



ZEMSTA JEST ROZKOSZĄ BOGÓW,
SPRAWIEDLIWOŚĆ JEST UŁUDĄ,
ZAPŁATĄ JEST ŚMIERĆ

BEZ LITOŚCI I PRZEBACZENIA

MARIUSZ LESZCZYŃSKI

NOVAE RES

MARIUSZ LESZCZYŃSKI

BEZ LITOŚCI I PRZEBACZENIA



NOVAE RES

*Książkę dedykuję mojej mamie Elżbiecie
i Franciszkowi, który jest dla mnie niczym ojciec.*

SPIIS TREŚCI

[ROZDZIAŁ I](#)

[ROZDZIAŁ II](#)

[ROZDZIAŁ III](#)

[ROZDZIAŁ IV](#)

[ROZDZIAŁ V](#)

[ROZDZIAŁ VI](#)

[ROZDZIAŁ VII](#)

[ROZDZIAŁ VIII](#)

[ROZDZIAŁ IX](#)

[ROZDZIAŁ X](#)

[ROZDZIAŁ XI](#)

[ROZDZIAŁ XII](#)

[ROZDZIAŁ XIII](#)

[ROZDZIAŁ XIV](#)

[ROZDZIAŁ XV](#)

[ROZDZIAŁ XVI](#)

[ROZDZIAŁ XVII](#)

[ROZDZIAŁ XVIII](#)

[ROZDZIAŁ XIX](#)

[ROZDZIAŁ XX](#)

[ROZDZIAŁ XXI](#)

[ROZDZIAŁ XXII](#)

[ROZDZIAŁ XXIII](#)

[ROZDZIAŁ XXIV](#)

[ROZDZIAŁ XXV](#)

[ROZDZIAŁ XXVI](#)

[EPILOG](#)

ROZDZIAŁ I

Dochodziło południe. Detektyw Rex Cane stał wśród wielu ludzi zgromadzonych na cmentarzu w miasteczku Hackensack w New Jersey. Był tam do czasu, gdy trumna z ciałem Margaret Parker z głuchym łoskotem dotknęła dna grobu. Dziewczyna została pochowana w rodzinnej miejscowości, z dala od zgiełku dużego miasta jakim był Nowy Jork, w którym mieszkała przez ostatnie trzy lata swojego życia. Gdyby nie to, że była martwa, tego właśnie dnia, trzeciego października, obchodziłaby swoje dwudzieste ósme urodziny. Dziś zapewne świętowałyby je razem ze znajomymi w przytulnej kawiarni. Jednak zły los pomylił najwyraźniej drogi i wstąpił do niej na chwilę. Miałaby jeszcze przed sobą wiele cudownych lat, gdyby nie to feralne spotkanie z nieznanym sprzed kilku dni, które to pozbawiło jej tych możliwości.

Detektyw Cane brał udział w każdym pogrzebie osób, ofiar seryjnych przestępców, których sprawy prowadził, a ciała zostały odnalezione. Margaret Parker należała właśnie do tych pozbawionych życia istot; jej zwłoki można było złożyć w grobie. Nie przepadał za takimi uroczystościami jak większość z nas, lecz czuł, jakby to był jego obowiązek, który dźwigał na swoich

barkach. Sądził, że w jakiś sposób zawiódł te osoby, nie potrafiąc w porę powstrzymać mordercy. Miał w swojej karierze do tej pory dwa takie śledztwa. Łącznie w nich, do dziś, stracił trzynaście niewinnych istnień. Patrzył obecnie na stojącą z przodu, tuż przed trumną, najbliższą rodzinę dziewczyny. Pani Parker, czyli matka Margaret, Susan, podtrzymywana była przez męża Hugh oraz ich młodszą córkę Laylę. Wszyscy ubrani byli na czarno, jak nakazywała tradycja. Dało się od razu zauważyć, że mocno wstrząsnęła nimi rodzinna tragedia. Nic dziwnego, w jednej chwili stracili ukochaną osobę. Z boku, koło młodszej siostry Margaret, stała najlepsza przyjaciółka zmarłej – Beatrice Butler – odziana w zielony zamszowy płaszcz, spod którego wystawała plisowana spódnica w odcieniu morskim. Jej ubiór wyróżniał się wśród wielu zgromadzonych osób, zarówno w kościele jak i teraz na cmentarzu. Dziewczyna postąpiła tak na znak piękna, jakie Margaret dostrzegała w przyrodzie, którą fascynowała się od najmłodszych lat. Detektyw dowiedział się tego od panny Butler w trakcie jednego z przesłuchań, tuż po odnalezieniu ciała zmarłej.

Panna Butler, stojąc, wsłuchiwała się w słowa kaznodziei. Nie godziła się z nimi. Nie rozumiała, jak łaskawy Bóg pozwolił na takie cierpienie. Zabrał kogoś tak niewinnego, niezastługującego na taki kres życia. Podeszła jeszcze na koniec do rodziny swojej najlepszej przyjaciółki. Ucałowała każdą z osób w policzek, składając kondolencje. Nie umiała sobie wyobrazić, jak musiała cierpieć matka, która właśnie rzuciła garść czarnej ziemi na wieko trumny skrywającej jej kochaną córkę. Świat na pewno wywrócił się dla niej do góry nogami. Nie tak powinno być. Na twarzy Susan Parker widać było ogromny ból rozrywający serce z rozpacz. Panna Butler odwróciła się, gdyż ścisnęło jej gardło i kolejne łzy napłynęły do oczu. Założyła ciemne okulary, zakrywając

zaczerwienienia i ruszyła w stronę samochodu. Pojechała prosto do najbliższego baru w tym niewielkim miasteczku. Takiego samego, w jakim pracowała z Margaret, tyle że w Nowym Jorku.

Nastała już późna noc. Panna Butler skończyła właśnie wlewać w siebie kolejne mocne trunki. Barman zaniepokojony stanem dziewczyny zamówił jej taksówkę, którą wróciła do swojego mieszkania na przedmieściach Manhattanu.

Margaret Parker była czwartą ofiarą zwyrodnialca odartego całkowicie z człowieczeństwa, który dokonując każdej ze zbrodni, odcisnął piętno cierpienia i udręki na życiu najbliższych zmarłym.

ROZDZIAŁ II

Detektyw Cane zaraz po uroczystości pogrzebowej wrócił do Nowego Jorku i mimo dość późnej pory udał się do swojego biura. Mieściło się ono w departamencie 67 położonym koło Park Row na dolnym Manhattanie. Budynek stał dokładnie naprzeciwko ratusza. Musiał zajrzeć jeszcze dziś do akt. Zdawał sobie sprawę, że miał do czynienia z seryjnym mordercą. Stwierdził to ponad miesiąc temu, przy drugiej z kolei ofierze. Sposób postępowania i okrucieństwo zbrodni nie budziły w nim żadnych wątpliwości – popełniała je ta sama osoba.

Detektyw, siedząc przy świetle małej lampki stojącej na biurku, która dawała specyficzne zielonkawe światło, na chwilę powrócił myślami do Margaret Parker, dziewczyny kochającej zieleni i przyrodę. Co mogło łączyć tę młodą kobietę z pozostałymi sprawami? Jak morderca wybierał swoje ofiary? Czym mógł się kierować? Przeglądał i analizował wszystkie zebrane dane. Szukał choćby najmniejszego śladu powiązania między zamordowanymi. Właśnie minęła północ. Detektyw rozprostował zastygłe od bezruchu kolana, zebrał papiery z biurka i schował je do szuflady. Zgasił małą lampkę i zszedł dużymi, marmurowymi schodami

z pierwszego piętra do holu departamentu policji.

- Cześć, detektywie. Dziś znowu do późna? - zagaił do niego policjant, mający nocną zmianę.

Ten zwolnił kroku, gdy się do niego zbliżył.

- Tak, to śledztwo nie daje mi spokoju. Musiałem przejrzeć jeszcze raz wszystkie akta. Szukam jakiegoś punku zaczepienia.

- Doskonale cię rozumiem, detektywie. Dorwiesz go na pewno, nie wątpię w to.

Detektyw tylko kiwnął głową. Zatrzymał się na chwilę i zamyślony dodał:

- Tylko kiedy? Ale na dziś mi już wystarczy. Spadam stąd, jadę do dzieciaków. Mam nadzieję, że mnie jeszcze pamiętają. Rzadko ostatnio bywam w domu na dłużej.

- Pozdrów żonę i swoje urwisy.

- Dobra, na razie.

Detektyw wyszedł na zewnątrz budynku. Deszcz padał obficie. Co za paskudna pogoda - pomyślał. Zdjął krótką, skórzaną kurtkę i zarzucił nad głowę. Pobiegł do swojego samochodu, po drodze niechcący wpadając butem w kałużę. Cholera! Jeszcze tego mi brakowało - wymamrotał pod nosem z grymasem niezadowolenia, otrząsając but z wody. Całe szczęście, że czarny cadillac stał zaparkowany niedaleko. Była to ulubiona marka samochodu detektywa. Miał nadzieję, że reszta nocy będzie przyjemniejsza. Bardzo stęsknił się za rodziną. Postanowił, że cichutko wślizgnie się do domu, a następnie ciepłego, mięciutkiego łóżka, gdzie zawsze czekała na niego ukochana, z którą przez ostatnie dwadzieścia lat dzielił swoje życie. Michelle była piękną kobietą średniego wzrostu z krótkimi, nowocześnie ostrzyżonymi, kruczoczarnymi włosami. Uwielbiała zajmować się domem i pisać wiersze, które były publikowane w różnych czasopismach.

Marzyła, że jakiegoś pięknego dnia wyda mały tomik i spełni swoje marzenia.

ROZDZIAŁ III

Czwartego października, tuż po północy, w pięciopiętrowej ceglanej kamienicy niedaleko Washington Square Park, w niewielkim pokoju na drugim piętrze budynku próbował zasnąć mały, kilkuletni chłopiec. Był okryty ciepłem swojej ulubionej kołderki. Nasunął ją po sam nos i w ciszy tulił do siebie małą, pluszową zabawkę. Długouchy był jego ukochanym zajęczkiem i zawsze towarzyszył Jonowi, nawet w szkole. Chłopiec był wyjątkowo drobnej budowy. W przedszkolu z tego powodu przekornie wołali do niego „duży Jon”, co mu się bardzo podobało.

Po kolejnej godzinie chłopiec, mocno już zmęczony, usnął i śnił o zabawie w parku. Lubił tam chodzić i bawić się z dziećmi, ale szczególnie uwielbiał zabawy ze swoim najlepszym przyjacielem Anthonym. Aly, mama Anthonego, była zawsze bardzo miła dla wszystkich dzieciaków. Przynosiła smaczne rzeczy w koszyku i częstowała każdego, kto miał na nie ochotę.

Nagle chłopiec przebudził się, słysząc coś za zamkniętymi drzwiami swojego pokoju. Ktoś lekko czymś stuknął. Słysząc było wyraźnie czyjeś kroki, gdyż podłoga trzeszczała w swój charakterystyczny sposób. Zerknął teraz w kierunku okna. Ranek

jeszcze nie nastał, świadczyła o tym ciemność rozproszona jedynie światłem pobliskiej latarni.

Kto to może być? – pomyślał. Spojrzał w stronę drzwi, spod których wydobywała się niewielka poświata, widoczna w jego pokoju. Ktoś najwyraźniej znajdował się na korytarzu. Nie pamiętał, żeby ktokolwiek z jego rodziny tak się zachowywał, a już na pewno nie jego mama, której nie widział od kilku dni.

– Kto tam? – zawołał z wyraźnym przerażeniem, naciągając kołdrę pod samą brodę.

Nastała chwila ciszy.

– Jeremy, jesteś już? Nie rób tak, bo się boję! – zawołał chłopiec.

Ciarki przeszły jego małe ciało. Chrobotanie znowu wzmogło się na sile i Jon wiedział już, że musiał wstać i przepędzić te straszne zmory, bo tak bardzo się bał.

– Won stąd, ty brzydki cieniu! – krzyknął, patrząc w szparę pod drzwiami, w której pojawiały się dziwne kształty.

– Ha, zabawny jesteś – osobnik za drzwiami zaśmiał się na głos. Po chwili dodał: – Mały, otwieraj już, bo nie mam za wiele czasu!

Jon zaniemówił i naciągnął na siebie kołderkę, zakrywając się nią szczelnie po same uszy. Jego ręce stały się lodowate. Czuł, że brakowało mu oddechu.

Kto to jest? Kto jest w moim domu? – myślał, z przerażeniem tuląc coraz mocniej pluszowego zajączka.

Mężczyzna tracił cierpliwość. Nie spodziewał się, że chłopiec będzie zamknięty w pokoju. Rozglądał się nerwowo po korytarzu, przeszukując szafki, szuflady i wieszaki w nadziei, że będzie znajdował się tam klucz do niedostępnego pomieszczenia.

Nagle Jon zrzucił z siebie kołdrę na podłogę i zaczął się

intensywnie rozglądać po swoich czterech ścianach, wyęzając wzrok w nadziei, że może to tylko zły sen i zaraz się przebudzi. Dla pewności pomrukał kilka razy oczami i uszczypnął się w rączkę. Jednak wszystko wydawało się takie realne. Nie miał zielonego pojęcia, gdzie Jeremy kładł kluczyk do drzwi. Zawsze zamykał go w pokoju, jak udawał się do sąsiada, w czasie gdy mama chodziła do pracy na nocną zmianę. Mówił mu, że wychodzi na chwilę czy, jak to ujmował, „na jednego kielicha dla rozluźnienia”. Powiedział, że to będzie ich mała, męska tajemnica i niech nie waży się wygadać mamie, bo mu przetrzepie skórę.

- Hej ty, cieniu, wynocha! Mówię, uciekaj stąd, bo zbudzę mamę, która śpi ze mną w pokoju i cię zaraz zleje! - Jon pewnym głosem postraszył osobnika za drzwiami.

- Ha! Jednak wyrosłeś na kłamczucha! Zaraz wchodzę do pokoju i cię zabieram.

Jon zeskoczył z łóżka. Stał na bosaka pośrodku ciemnego pokoju, ubrany jedynie w piżamkę w króliczki i podszedł do swojego kuferka, zakupionego przez mamę w sklepie z zabawkami, który stał tuż przy oknie. Miał mu służyć do przechowywania zabawek, jednak on wolał trzymać tam swoje ubranka i buciki. Otworzył plastikowe wieko i bez zastanowienia wyjął leżące z prawej strony tenisówki, a także pomarańczowy sweterek w granatowe paski. Założył szybko buty i spojrzał jeszcze w kierunku okna. Było naprawdę ciemno. Deszcz mocno padał, dudniąc w rynnach, a gałęzie drzew, targane wiatrem, pochylały się do dołu.

Za drzwi ponownie odezwał się gruby, potworny głos.

- Hej ty, mały, jakby ci tu powiedzieć... Jestem dobry, zaopiekuję się tobą, więc otwieraj te cholerne drzwi, zanim całkiem stracę cierpliwość! - Mężczyzna, mówiąc te słowa, walnął

nagle pięścią w drzwi i szarpnął ręką za klamkę.

Jon aż podskoczył ze strachu, po czym przystawił małe, plastikowe krzeselko do parapetu. Wszedł na nie i otworzył okno. Obejrzał się jeszcze w stronę drzwi, gdyż usłyszał dźwięk klucza wkładanego do zamka. Wiedział, że tym razem nie ujrzy w nich kogoś, kogo zna. Nagle mężczyzna nacisnął klamkę i popchnął do przodu drzwi. Smuga światła pojawiła się, wypełniając ciemny pokój i ukazując postać złego człowieka.

- A ty, dokąd, mały gnojku? - spytał napastnik.

- Ja? Idę szukać mamy, ty kłamliwy potworze! Długouchy też idzie ze mną.

- Nie! Zostajesz tu! Natychmiast schodź z tego okna!

- Nie! Jestem już duży! Wiem, że tam gdzieś jest moja mama i na mnie czeka. Znajdę ją! - odparł pełen nadziei chłopiec.

- Cholera! Wracaj natychmiast! - Mężczyzna ruszył w jego kierunku.

Jon zdążył jednak wyjść już na zewnątrz. Stał na schodach przeciwpożarowych i trzymając się jedną rączką poręczy, ostrożnie, stopień po stopniu, schodził coraz niżej. Krople deszczu smagały jego twarz i ubranie, które momentalnie przylgnęło do ciała, stanowiąc z nim jedność.

ROZDZIAŁ IV

Jon Milton, mimo późnej pory, stał na rogu bocznej ulicy. Płaszcz nasiąknął mu wilgocią. Deszcz mocno padał tej nocy, a księżyc znajdował się w pełni. Nagle spostrzegł, jak mały dzieciak ubrany tylko w jasną piżamkę zniżał się po schodach przeciwpożarowych. Milton nie pojmował, co mogło skłonić go do ucieczki z domu. Zauważył także mężczyznę wyglądającego przez okno, z którego mały właśnie wyszedł. Zastanawiał się chwilę, czemu on nie idzie za swoim dzieckiem i tylko przyglądał się temu, jak chłopiec narażał własne życie.

- Kurwa! - krzyknął i od razu ruszył przez ulicę w stronę bloku, orientując się, co zaraz nastąpi.

Na szczęście był niedaleko od tamtego budynku. Ledwo zdążył podbiec i złapać malca, który na pewno nie zdawał sobie sprawy, iż drabiny przeciwpożarowe nie zawsze sięgają do chodnika. Chłopiec, puszczając się ostatniego szczebelka, z pewnością nie widział, że do ziemi była jeszcze spora odległość. Dzieciak ledwo łapał oddech. Zbladł na twarzy i po chwili zamknął oczy.

- Co jest, u licha? Ocknij się! - wymamrotał Milton, trzymając go na rękach. - Mały - zawołał do niego łagodnie. - No co jest?!

Otwórz oczy! - powtórzył kilkakrotnie, po czym obtarł chłopcu mokrą twarz swoją dłonią.

Po chwili przytulił go mocno do siebie. Spojrzał do góry. Widział jak szara, niewyraźna postać wciąż wpatrywała się w niego i chłopca. Nie był w stanie dostrzec rysów tego człowieka. Mężczyzna schował się na chwilę i ponownie pokazał, jakby zastanawiał się nad czymś.

- Hej ty, gościu, to twój dzieciak?! - wrzasnął na cały głos Milton.

Nic, tylko cisza. Nagle mężczyzna burknął coś niezrozumiale pod nosem i zniknął w ciemności. Jasnym było, że ten maluch tak zaryzykował i uciekł, ponieważ coś go do tego zmusiło, a skoro facet w oknie nawet nie drgnął, widząc, jak on schodził na dół, to musiało coś być na rzeczy. Przytrzymał chłopca, jedną ręką zdejmując swój szary płaszcz. Zrobił to w pośpiechu, by jak najszybciej okryć przemoczonego malca. Ruszył przed siebie do głównej ulicy, zmierzając do najbliższego departamentu policji. Drogę znał doskonale. Doszedł już prawie na miejsce, ale stanął tuż przed wejściem do gmachu. Zawahał się chwilę. Zastanawiał się, czy dobrze robił, czy cała ta sytuacja nie przysporzy mu kłopotów, a starał się unikać ich już od roku. Analizował szybko w myślach, jakie mogą być dalsze działania ludzi, przed którymi postanowił zniknąć. Wiedział do tego, jak takie sprawy wyglądają, gdy ktoś wchodzi z obcym dzieckiem do departamentu policji. Najpierw cię spisują, potem biorą odciski. Następnie musisz się nastawić na długie przesłuchanie, a na koniec i tak nikt nie wierzy w twoją wersję wydarzeń. Do tego wszystkie informacje wyciekną zaraz do prasy i bum... Nieszczęście gotowe, jeśli pewne osoby akurat to zobaczą.

- Cholera! - zaklął, wyraźnie zaplątany w swych myślach.

Nagle chłopiec otworzył oczy i zaczął krzyczeć.

- Puść! Puść mnie, ty śmierdzący potworze!

- Śmierdzący? Zamknij się mały, bo mi kłopotów narobisz! -

Milton odezwał się lekko przyciszonym głosem.

Miał nadzieję, że chłopiec zaraz się uspokoi. Niestety on nawet o tym nie myślał i wrzeszczał dalej.

- Cicho! Daj spokój! Już cię puszczam. Przestań! Jakoś ci nie przeszkadzał smród, jak skoczyłeś mi na głowę - odpowiedział Milton, jednocześnie stawiając chłopca na chodnik.

Malec zrzucił z siebie płaszcz na mokrą nawierzchnię i spojrzał nieznajomemu w oczy. W rączce wciąż trzymał swojego zajączka. Deszcz nadal padał, ciało chłopca było przemarznęte, a ubranka zostały przemoczone do suchej nitki. Milton natychmiast podniósł ubrudzony, zmoczony płaszcz.

- Ja tylko się bałem, myślałem, że to cień mnie złapał - wymamrotał drobnym głosikiem Jon.

- Jaki cień, chłopcze? Sam przecież wyszedłeś i ciesz się, że byłem w pobliżu, bo nieźle byś dupsko potłukł.

- No ten z domu, to dlatego uciekłem. On po mnie przyszedł i chciał mnie zjeść.

- Zjeść? Mały, co ty! To pewnie twój ojciec, a nie cień. Przyśniły ci się jakieś głupoty. Widziałem go w oknie, jak spadłeś na mnie.

- Właśnie, że nie! To zły człowiek - zaprzeczył chłopiec.

- Daj spokój. Chodź, odprowadzę cię z powrotem do domu, zanim narobimy sobie większych problemów i się rozchorujesz.

Na chwilę Milton zapomniał o swoich wcześniejszych spostrzeżeniach. Strach o kogoś, kogo wciąż kochał, podpowiadał mu takie rozwiązanie. W żadnym wypadku nie chciał się teraz ujawniać i wracać do świata, w którym każdy wiedział wszystko

o wszystkich. Departament policji był właśnie takim miejscem.

- Nie! Tam nie wrócę! Nie ma mowy! On mnie pozre! Idę szukać mamy, ona ci powie, że mam rację. To zły cień jest u nas w domu! - zakomunikował chłopiec, przecierając rączką twarz.

Milton pogłaskał malca po głowie, odsłaniając mu czoło z mokrych blond włosów. Kucnął przed nim, zamyślając się przez moment. Dziwne słowa chłopca znowu dały mu do zastanowienia. Postanowił więc zaryzykować, by mały odrobinę ochłonął w ustronniejszym miejscu, a on sam miał trochę więcej czasu na podjęcie decyzji. Okrył chłopca z powrotem płaszczem, wziął go na rękę i ruszył w znanym mu kierunku. Dzieciak nie protestował, gdyż nie zamierzał bez mamy wracać do domu. Milton natomiast zdawał sobie sprawę, że postąpił źle i złamał prawo, nie idąc na policję. Sam jednak nie rozumiał do końca, co nim pokierowało. Mimo to szedł dalej, niosąc chłopca do znajdującego się nieopodal pustostanu. Przychodził w to miejsce już od kilku miesięcy. Miał tu swoich znajomków i osobny kąt do własnych przemyśleń. Postanowił spokojnie usiąść i spróbować ustalić, co tak naprawdę zaszło u dzieciaka w domu tej ciemnej, chłodnej, październikowej nocy. Obawiał się, że malec mógł być molestowany bądź do jego ucieczki przyczyniła się rodzinna awantura. Te dwie teorie zdawały się mieć uzasadnienie.

Blok, do którego weszli, był niezamieszkały i znajdowało się tam mnóstwo podejrzanych osób. Nikt jednak nie zwracał uwagi na nikogo w takim miejscu.

- Siadaj tu - Milton wskazał dłonią na stary materac.

- Tu? - zapytał chłopiec.

- Tak, a niby gdzie indziej?

Jon usiadł pod jedną ze ścian na wytartym materacu. Skulił się w kłębek i milczał. Milton stanął koło metalowej beczki, w której

palił się ogień. Rozcierał swoje ręce nad płomieniami, by je odrobinę rozgrzać.

- Chodź, podejdź i ogrzej się ze mną.

Jon wstał i powolutku podszedł do palącego się ognia. Milton zrobił krok w stronę stojącej niedaleko pod ścianą drewnianej skrzynki i wziął z niej suchy, szary koc.

- Owiń się - powiedział.

Pomieszczenie na dole było ogromne, o powierzchni kilkuset metrów kwadratowych. Przypominało duży garaż. W różnych miejscach stały beczki z płonącymi ogniskami, a przy nich ogrzewali się ludzie. Jon zauważył dwa psiaki oraz kilka szczurów biegających po kątach, choć nie to najmocniej przykuło jego uwagę. Spostrzegł białego królika na ręku mężczyzny. Gdy go puścił, zaczął kicać wesoło koło niego.

- Hej, ocknij się! Na co tak patrzysz? Może się przedstawisz? Masz chyba jakieś imię, co? Inaczej wszyscy tu pomyślą, że cię nawet nie znam i może komuś coś głupiego strzelić do głowy.

- Mam imię! I nie jestem żaden mały, ty brzydalu! - odpowiedział chłopiec, zerkając na Milтона i z powrotem na skaczącego królika.

- Co? Na potrawkę z zająca masz ochotę, że tak tam patrzysz? A ten twój, co go tak ściskasz, to kto? - Milton spojrział na pluszaka.

- Głupi jesteś! To nie zając, tylko królik. Zobacz, mój Długouchy jest zajcem. I ich się nie jada, tylko kocha.

- O, przepraszam, faktycznie. Ty też masz na sobie te króliki - poprawił się Milton, zerkając na piżamkę chłopca. - Mały, a jak ty się w ogóle nazywasz? Wyduś to wreszcie z siebie.

- Już ci mówiłem, że nie jestem żaden mały - zaprotestował chłopiec.

Milton zaśmiał się w głos.

- No nie... Ja cię bardzo przepraszam. Nie jesteś mały, tylko chudziutki - zażartował ubawiony postawą dziecka.

- Śmieję się, ty brzydki, zarośnięty, śmierdzący brudasio - wymamrotał wyraźnie obrażony żartem chłopiec.

- No dobra, dobra... powiedz, jak masz na imię.

- Jestem Jon Belly - przedstawił się chłopiec, po czym wstał i przez krótką chwilę zaczął się prężyć. W ten sposób chyba chciał pokazać, jaki jest duży i odważny.

- Wow. Faktycznie, skóra i kość. Ale przyznaję, niezły z ciebie gość - znowu zażartował Milton.

Tym razem odpowiedź ubawiła Jona, który także roześmiał się na głos.

- Siadaj już i się nie wygłupiaj, Jonie - Milton zwrócił się elegancko do chłopca, co wyraźnie mu się spodobało.

- Mów, co tam się wydarzyło w domu? Bo uwierz mi, jak cię tu za długo przetrzymam, to narobisz mi sporych kłopotów.

- Dlaczego? - zapytał Jon, wyraźnie zdziwiony.

Nie rozumiał do końca, jak wyglądał świat dorosłych, a Milтона szczególnie.

- Normalka, a co myślisz? Wezmą mnie za porywacza dzieci. A sadzę, że chyba tego byś nie chciał?

- Nie, przecież ja sam uciekłem i powiem im całą prawdę.

Jon cofnął swój chudy tyłeczek, opierając plecy o betonową ścianę. Milton sięgnął i podłożył mu z tyłu koc.

- Spokojnie, Jon. Powiedz, co się stało. Może jakoś razem wybrniemy z tego kłopotu.

- Bardzo przestraszyłem się, gdy cień przyszedł po mnie. Dlatego wyszedłem poszukać mamy.

- Z kim ty w ogóle mieszkasz?

- Z mamą i Jeremim.

- A ile masz lat?

- Pięć - wymamrotał dumnie chłopiec, po czym wstał i pokazał wszystkie pięć palców u jednej rączki.

- O, to faktycznie jesteś duży, a na dodatek chudy jak uschła gałąź - znowu zażartował Milton.

Jon ponownie się roześmiał i coraz ufniej rozmawiał ze swoim nowym przyjacielem.

- A ten facet, co tak patrzył przez okno, jak uciekałeś, to kto?

Chłopiec ponownie opuścił głowę.

- Mów, nie bój się. Przecież na siłę cię nie oddam temu gościowi, skoro wiałeś od niego, aż się kurzyło za tobą.

- To cień i zmora przebrzydła, co chce mnie zjeść, bo on zawsze zjada ludzi - wymamrotał ściszym głosem Jon, unosząc lekko głowę i spoglądając na Milтона spod długiej, zachodzącej odrobinę na oczy grzywki.

- Oj, daj spokój. To pewnie był twój tato, a nie jakaś tam zmora.

- Nie! Ja nie mam taty! - krzyknął chłopiec.

- Przecież widziałem go w twoim oknie, choć bardzo niewyraźnie. Nie wiem tylko, czemu pozwolił ci wyjść. Czego się tak naprawdę bałeś?

Strach nagle pokazał się na twarzy malca, który schował ponownie głowę w podkurczonych kolanach. Milton zmienił więc temat, odchodząc od wypytywania o mężczyznę.

- A twoja mama to gdzie wyszła na noc?

- Pracuje dużo, żebyśmy mogli kiedyś zamieszkać w domku z ogródkiem i mieć zajaczki i inne zwierzątka. One potrzebują mnie, a ja będę je karmił i się z nimi bawił.

- Jonie... i co, chcesz teraz iść na policję? Masz już na tyle

odwagi, by wejść tam samemu? Są tam odpowiedni ludzie na stanowiskach, udzielą ci pomocy, a uwierz mi, ja do nich nie należę.

- Nie! Tam nie pójdę! - Jon zaczął nerwowo powtarzać te słowa.

- Spokojnie. Czego się boisz? Możemy wymyśleć coś innego, nie dam cię przecież skrzywdzić.

Milton objął rozdygotanego chłopca i przycisnął do siebie. Po tych słowach zapanowała chwilowa cisza.

- Jon, może lepiej zdrzemnij się odrobinę, a później mi opowiesz resztę. Wtedy pomyślimy razem, co z tym wszystkim począć.

Chłopiec był wyraźnie mocno zmęczony. Położył się na materacu bokiem i prawie natychmiast usnął wtulony w wełniany koc. Zapadł twardo w sen niczym suseł na zimę. Milton ostrożnie ulokował się koło niego, obejmując go czule niczym ojciec swego syna. Wspomnieniami powrócił jeszcze do dni, kiedy sam był bliski założenia własnej rodziny. Zamknął oczy i równie momentalnie przysnął.

Wyrwał go nagły odgłos, dobrze znany tutejszym lokatorom, stawiający wszystkich na równe nogi.

- Jasna cholera by to wzięła! Wstawaj, szybko! - zawołał, wyraźnie zdenerwowany powstałą sytuacją.

- Co się dzieje, wujku? - wymamrotał ospale Jon, zwracając się już do Milтона jak do bliskiej osoby.

- Nic takiego, tylko pośpiesz się. Musimy zmykać, jeśli nie chcemy zaraz trafić do policyjnego radiowozu. Będzie, co będzie, ale idziesz ze mną. Mam tylko nadzieję, że tym nie spaprę wszystkiego do końca - powiedział Milton.

Jon sam założył swoje tenisówki, które zdążyły już wyschnąć.

Milton dopilnował tego, stawiając je wcześniej tuż przy płonącej beczce. Po paru minutach obaj wyszli niepostrzeżenie z budynku. Milton znał doskonale to miejsce oraz kilka sztuczek potrzebnych do szybkiego opuszczenia pustostanu. Wiedział, jak ominąć patrole, które wchodziły do owej rudery zawsze od tej samej strony. Lata służby wyrobiły w nim sposób myślenia jego mundurowych kolegów, co dawało mu przewagę w takich sytuacjach. Jednak pozostawało pytanie, czy aby instynkt, który nim obecnie pokierował, nie miał mu potem zaszkodzić.

- Dlaczego uciekamy? - zapytał lekko zdyszany Jon, podążając krok za Miltonem.

- Sam tego nie wiem. Ruszaj się, szybciej! Podjedziemy metrem, ale postaraj się tam zachowywać normalnie, jakbyśmy faktycznie byli rodziną.

Jon nagle stanął, pociągając Milтона mocno za rękę. Mało brakowało, a Milton przewróciłby się na mokrych po ulewie schodach prowadzących do metra. W ostatniej chwili zdążył złapać się poręczy.

- Co znowu? - zapytał, zaskoczony zachowaniem chłopca.

- Ja nigdzie nie idę, dopóki nie powiesz mi, jak się nazywasz! - obruszył się Jon.

Milton popatrzył na niego, po czym odparł.

- Fakt bezsporny, że się nie przedstawiłem. Przepraszam. Nazywam się Jon Milton. Miło mi cię poznać, Jonie Belly - podał chłopcu rękę i uścisnął jak prawdziwemu facetowi. Na twarzy dziecka pojawił się promienisty uśmiech.

- To jest nas dwóch Jonów, ty jesteś „mały”, a ja ten „duży” - skomentował bystro chłopiec.

- Może być, kolego, ale lepiej już chodźmy. Nie możemy tak stać na widoku, to mocno rzuca się w oczy.

Ruszyli więc dalej, po czym wsiedli do wagonu metra, podążającego w nieznanym dla chłopca kierunku. Po kilku przejechanych stacjach Milton wziął Jona za rękę i wysiedli na South Ferry Station.

- Jestem! - krzyknął piskliwym głosem Jon, wyraźnie podekscytowany wyjściem z wagonu.

- Cicho, Jonie - Milton przystopował rozentuzjasmowanego chłopca.

W oka mgnieniu opuścili podziemia metra. Tego dnia na obrzeżach miasta przywitało ich piękne słońce. Po ulewie pozostały tylko olbrzymie kałuże. Duży Jon wskoczył w jedną bez zastanowienia i zakręcił się niczym bąk. Na moment stał się małym, beztroskim dzieckiem, jakim powinien móc być.

- Ładnie, co? I ciepło - dodał Milton, zauważając niezwykłą radość malca.

- Gdzie teraz idziemy, wujku?

- Prosto, tam. Widzisz te tory kolejowe? - Milton wskazał palcem. - Jak się skończą i będzie stała taka stara lokomotywa to znak, że jesteśmy prawie na miejscu. Nie jest to zbyt daleko. Trochę na odludziu, ale mi pasuje idealnie.

- Idziemy do ciebie? To ty masz inny dom? - spytał zdziwiony chłopiec. Jak widać miał do tej pory mylne pojęcie o swoim nowym przyjacielu.

- A jak, myślisz, że co... niby na ulicy mieszkam? To, że wtedy tam stałem, gdy wychodziłeś przez okno, to przypadek - Milton skłamał na oczekaniu chłopcu, ponieważ nie chciał wspominać malcowi o swoich zmorach sprzed kilku miesięcy.

- A ja myślałem, że ty mieszkasz tam blisko, pod moim oknem, z tymi ludźmi - wymamrotał Jon, ledwo nadążając za Miltonem.

- No... ładnie mnie oceniłeś. Słuchaj, mam dom, a raczej

wynajmuję pokój i prawie jak każdy gdzieś mieszka, tak i ja - Milton zapunktował w oczach chłopca.

Zmrużył lekko brew, spoglądając na malca przez ramię, gdyż ten szedł odrobinę za nim, i uśmiechnął się do niego. Chłopczyk odwzajemnił radość, pokazując śnieżnobiałe, mleczone zęby z kilkoma przerwami między nimi. Nie zdawał sobie w ogóle sprawy, że rozwiązanie jego problemu nie było wcale takie proste, a dłuższe przebywanie z Miltonem będzie komplikować całą sytuację.

ROZDZIAŁ V

Rankiem, około godziny siódmej, czwartego października, Jeremy Robertson, ojczym Jona Belly'ego, tuż po powrocie do mieszkania natychmiast zgłosił na policji ucieczkę chłopca. Nie było mu to z pewnych powodów na rękę, jednak innego wyjścia nie miał. Zorientował się w całej sytuacji po tym, że drzwi do pokoju Jona były zamknięte na klucz, a jego samego nie było w środku. Nie zauważył też żadnych śladów włamania do mieszkania. Jedyne uchylone okno w pomieszczeniu mogło świadczyć, którądy mały musiał wyjść. Brakowało też niektórych rzeczy w kuferku, który wciąż stał otwarty.

Detektyw Cane był mocno zmęczony poprzednim dniem i zarwaną nocą. Właśnie dochodziło południe, gdy dojeżdżał do pracy. W trakcie jazdy zadzwonił do niego jego partner Robertson z niemiłą wiadomością o pasierbie. Upierał się przy tym, tłumacząc, że chłopiec po prostu uciekł z domu. On sam był już w departamencie policji i czekał na detektywa. Ten dojechał i po chwili wszedł do głównego holu budynku. Tam od razu został zaczepiony przez partnera z wydziału.

- Cane... Myślę, że dobrze się rozumiemy i dołożysz wszelkich

starań w odnalezieniu mojego pasierba – zakomunikował na cały głos Robertson.

Był tu już od dobrych dwóch godzin. Znał Cane'a od kilku lat, od dnia, kiedy zawitał w tym departamencie policji na swojej pierwszej służbie, gdy został przeniesiony z Detroit odległego o kilkaset mil stąd. Był także detektywem i dobrze wiedział, że nie mógł prowadzić tej sprawy. Nikt z bliskich nie miał takiej możliwości. Liczył jednak na małą współpracę, ponieważ formalnie nie adoptował chłopca, a jedynie wziął cywilny ślub z jego matką. Ostateczną decyzję dotyczącą jego udziału w tej sprawie musiał jednak pozostawić nieco wyżej postawionym od niego. Władza i polityka to była inna bajka.

- Spokojnie, znajdziemy go. A co z jego matką? Gdzie ona teraz jest? Sally powinna tu być i złożyć zeznania. Dzwon do niej natychmiast! – powiedział nieco zdziwiony jej nieobecnością detektyw Cane.

Nie rozumiał, dlaczego nie było tu matki chłopca. Przecież dzieci to największy skarb rodziców. Detektyw dobrze to wiedział, gdyż sam był szczęśliwym posiadaczem licznej rodziny. Obaj panowie udali się schodami na piętro, gdzie mieściły się ich biura. Weszli do Cane'a.

- Co nie dzwonicz, pomóc ci? Siadaj i wybieraj jej numer.

- Zaraz! Posłuchaj, nie bardzo wiem, gdzie jest Sally. Nie odbiera ostatnio ode mnie telefonów. Mówiła mi, że chodzi teraz tylko na noc do pracy, bierze nadgodziny. Coś tam bełkotała, że taką ponoć teraz ma zmianę, ale już sam nie wiem... Wiesz, Cane, Sally dziwnie się ostatnio zachowywała. Pewnie znowu coś kombinuje jak kiedyś, a ostatnio małego zostawiła mi do opieki na całe noce. Jakby tylko robota dla niej istniała.

- No co ty, Robertson, wygadujesz! Sally?!

- Wiesz przecież, że ich przygarnąłem, kiedy poprosiła mnie o pomoc wtedy w barze, jakieś cztery lata temu. Boże jak ten czas szybko leci. Tłumaczyła mi, że ten jej chłop ją leje i coś wydziwia, i na dodatek gdzieś wyjechał, zostawiając ich bez grosza. Więc pomogłem, a po czasie to i zżyłem się odrobinę. Ślub wziąłem po pół roku, a teraz widzisz...

- Pamiętam, dobrze wtedy postąpiłeś.

- A tam dobrze... - Robertson machnął ręką, dodając: - Sam zobacz, jak ten mały niewdzięcznik teraz mi kłopotów narobił, wymykając się oknem. Tylko na moment wyszedłem na piwko do kupła.

- Na moment? Piwko? - zapytał detektyw zdziwiony tym, co właśnie usłyszał, z góry zakładając, że ten moment musiał trwać wyjątkowo długo.

- No może i więcej czasu mi to zajęło, ale myślałem, że chłopak już mocno śpi. Ciemno u niego było, jak zajrzałem. Światło w pokoju miał zgaszone i nawet nosa mu nie było widać spod kołdry. Zamknąłem więc drzwi jak zawsze, a tu cholera spryciarz oknem wylazł i jak widać karku nawet nie skręcił.

- Tak, a skąd wiesz, że oknem? - spytał zaskoczony detektyw.

Zastanawiał się, jak to w ogóle możliwe, aby taki malec zszedł sam z drugiego piętra po schodach przeciwpożarowych i nic mu się nie stało.

- No kurwa, drzwi od jego pokoju zamknąłem na klucz, a sam poszedłem do sąsiada z boku - wyjaśnił pokrótce Robertson, gestykulując przy tym dziwnie rękoma.

- Co? - zapytał detektyw zniesmaczony postępowaniem kolegi.

Usłyszał z jego ust coś, co jemu nie mieściło się w głowie. Jak można małego chłopca zostawiać bez opieki i na dodatek zamykać w pokoju?

- No na klucz! - powtórzył partner z wydziału, jakby sam nie pojmował tego, co zrobił.

- Dobra stary! Dajmy spokój tym dywagacjom. Jeśli Jon uciekł naprawdę, to faktycznie nierozsądnie postąpił i oby tylko nic mu się nie stało. Sprawdzimy to, ale w tym mieście nie jest bezpiecznie dla tak małego, włóczącego się chłopca.

- Jak w żadnym, Cane.

- Były jakieś oznaki włamania? Nasi tam jeszcze pracują? Zaraz do nich dzwonię - powiedział detektyw, sięgając jednocześnie ręką w kierunku telefonu stojącego na końcu biurka.

- Nie, wyszli przede mną. Czekałem do końca. Potem zamknąłem mieszkanie i przyjechałem prosto do departamentu.

- Znaleźli coś?

- Nic, tak jak mówiłem. Zamki w mieszkaniu i przy oknie w porządku. Mały na pewno sam otworzył okno od wewnątrz, wyszedł i zszedł schodami przeciwpożarowymi. Nikt inny poza mną i Sally nie ma kluczy, a mieszkanie wyglądało tak samo, jak przed moim wyjściem - powiedział podenerwowany Robertson, pocierając dłonią tył głowy i kark.

- A może Sally go zabrała w nocy i uciekła? Nie pomyślałeś?! Dobrze wam się ostatnio układa?

- Wątpię. Gdzie ona by poszła? Jakoś jest - rzekł skonsternowany słowami detektywa Robertson.

- Może znalazła jednak jakieś miejsce? Zauważyłem, że ostatnio ciągnie cię do alkoholu! - dorzucił na koniec detektyw, patrząc w twarz koledze.

Ten zamilkł na chwilę. Wstał i podszedł do szafki stojącej z boku biurka detektywa. Znał to tajne miejsce. Otworzył drzwiczki i wyjął karafkę z whisky.

- Napijesz się? - zapytał Robertson, wskazując na napój.

- Nie, dzięki. Nalej sobie i wreszcie powiedz chłopie, co cię dręczy.

Robertson napełnił szklanę do połowy i wypił porządny łyk. Dolał jeszcze trochę i wrócił z nią w rękę, siadając w fotelu naprzeciwko detektywa. Dzieliło ich tylko to biurko.

- W porządku, Cane, przyznam ci się już... Od kilku dni jej nie widziałem, nie wróciła w ogóle do domu po ostatniej nocce, w dodatku ma wyłączony telefon. W pracy też się od tamtego momentu nie pojawiała. Sam muszę się zajmować Jonem i wiem, że ona po prostu nas zostawiła.

- Co?! Kurwa! I ty do tej pory milczałeś i kręcisz w takiej sprawie?!

Detektyw oparł się mocniej plecami o oparcie fotela, próbując opanować nerwy. Nie mógł uwierzyć, jak funkcjonariusz policji może wykazać się taką głupotą i nieodpowiedzialnością.

- A co miałem robić? Pochwalić się kumplom, że dałem się zrobić w ojcostwo? A może i rogi mi już przyprawiła?

- To niemożliwe, Robertson. Sądziłem, że tylko tej nocy jej nie było w mieszkaniu. Sally nigdy w życiu nie zostawiła syna na tak długi czas. Jeśli jej nie ma od kilku dni, to to zmienia postać rzeczy. Nie raz widywałem ich szczęśliwych razem w parku, jak bawili się z innymi dziećmi. Kurwa, Robertson! Ona go kocha nad własne życie; to nieprawdopodobne by tak postąpiła! Może i wygląda to tak, jak mówisz, ale w to wątpię. Zastanów się! Sądzę, że jest kilka innych możliwości. Przeanalizujmy je. Faktycznie mogła oczywiście coś wymyślić. Wedle ciebie wróciła i go zabrała, tylko w takim razie, po co zrobiłaby całe to przedstawienie? Otwarte od wewnątrz okno w pokoju, opuszczona drabina przeciwpożarowa... Głupia to ona nie była. Wiedziała, że będziesz ich szukał, gdyby faktycznie wzięła chłopca i odeszła w ten sposób, bez rozmowy.

Robertson zamyslił się na chwilę. Wyglądało na to, że najprawdopodobniej mylnie ocenił zaistniałą sytuację. Ewidentnie coś tu nie grało.

- Znajdziemy ich! Wdrażam odpowiednie procedury - rzekł z zapalem detektyw Cane.

- Tak! Musimy! Mały i Sally są mi bliscy. Poza tym to dobry dzieciak i w porządku kobieta. Chciałem być dla niego jak prawdziwy ojciec, a z Sally... Może nawet kiedyś byśmy postarali się o wspólne dziecko.

- Dobra, nie tłumacz mi się, zjechałeś to na maksa!

- Wiem, Cane. Nie wiem, co mnie, kurwa, zaślepiło.

- Słuchaj, musisz odstawić alkohol! Widzę, że masz już z tym poważny problem.

Detektyw spojrział na szklanę whisky, którą trzymał Robertson, wstał i uderzył pięścią w blat biurka. Zaczął niespokojnie kręcić się po pokoju. Kopnął nogą w niedomknięte drzwiczki szafki, z której wcześniej Robertson wyjął butelkę. Kipiał ze złości na swojego partnera.

- Cane, chyba nie myślisz, że coś im się stało? - zagadał Robertson.

- Daj spokój! Ty i ten twój dziwny tok myślenia. Pojmij... powinienś być mi powiedzieć o zniknięciu żony! Wiesz, czym się ostatnio zajmujemy!

- Nie, Cane! Mówię ci, ona musiała zwać i to wszystko jej sprawka. Zrobiła to durne przedstawienie, by mnie wyprowadzić w pole. I dać mi ostro popalić, pewnie za ten alkohol - Robertson, mówiąc to, odstawił szklanę na biurko.

- Nie żartuj! To, kurwa, wygląda ci na zbieg okoliczności?! Liczyłeś, że dlaczego nie pojawiła się w domu od tak długiego czasu? Z jakiego, znanego tylko tobie powodu? Zdrada?

Wydoroślej, chłopie! Nie zastanowiło cię to ani przez chwilę? Czy ty, kurwa, całkiem zgłupiałeś?! Syna nie widziałaś tyle czasu, coś kombinując?! – detektyw ledwo łapał oddech z wściekłości.

Robertson po kolejnych ostrych słowach detektywa chyba zaczął zdawać sobie sprawę, że źle postąpił, ale było już za późno. Musiał stawić czoła niemiłej rzeczywistości i przyznać się do błędu. Zawalił jako mąż i ojczym na całej linii.

- Wiesz, kolego, mam w duchu tylko taką nadzieję, że Sally i chłopcu nic się nie stało. On faktycznie mógł sam wyjść jej szukać. Zostawiałeś go, zamykając w pokoju i pewnie kłamałeś mu od kilku dni, że jego matka wróci. Piłeś w tym czasie. Chujowo to wygląda dla ciebie.

- Cane, bez przesady! Panuję nad tym!

- Tak? Zobaczymy jutro rano w pracy. A teraz spadaj stąd zanim sam cię wyleję z hukiem z roboty. Ja się wszystkim zajmę. Biorę sprawę zaginięcia obojga. A ty mi się w to nie mieszaj! Zrozumiałeś?

- W porządku, zrozumiałem – powiedział skruszony Robertson, po czym wyszedł z biura.

Detektyw na chwilę odetchnął, choć po słowach i zachowaniu swojego kumpla miał najzwyczajniej w świecie ochotę zdzielić go po mordzie. Robertson był policjantem z wieloletnim stażem. Wspólnie z detektywem Cane'em prowadził, już od ponad miesiąca, sprawę jednego z najgłośniejszych w ostatnim dziesięcioleciu seryjnych morderstw. Popełnił jednak błąd uczeniaka, nie sprawdzając dokładnie, dlaczego matka i zarazem żona nie pojawiła się w domu już od jakiegoś czasu. Założył z góry, że ponownie wróciła do dawnego stylu życia i zadawała się z byle kim. Tak bardzo go to zaślepiło, że nie pomyślał o innych możliwościach nagłego zniknięcia żony. Jednak detektyw Cane

niejeden raz z nią rozmawiał i wiedział, że dziewczyna była wyraźnie szczęśliwa. Znalazła przecież kogoś, kto zapewnił jej poczucie bezpieczeństwa i stabilność oraz zaopiekował się jej małym synkiem. Niewiarygodne... Jak Robertson mógł tak w nią zwątpić? To nie świadczyło o nim dobrze. Wskazywało też, że miał spory problem z własną samooceną oraz realnym postrzeganiem sytuacji. No i jeszcze jedna rzecz niezmiernie drażniła detektywa: jego partner z departamentu nadużywał alkoholu, a wręcz był już od niego uzależniony.

Detektyw Cane usiadł i chwilę przeglądał akta ostatnio zamordowanych kobiet. Przekładając kolejne teczki, zaczął się szczerze zastanawiać. Do tej pory nie spotkał sprawy, w której zabójca w takim tempie dopuszczał się tylu brutalnych morderstw. Nie pasowało mu to do żadnego profilu seryjnego mordercy i znanych schematów ich działania, dlatego dzisiaj postanowił zaufać swojemu przeczuciu i działać nieszablonowo.

- Dziennikarze już są - poinformował sierżant Lewis, uchylając drzwi do biura detektywa.

- Dobra, zaraz schodzę - odpowiedział, zbierając jednocześnie porozkładane dokumenty.

Dochodziła druga trzydzieści po południu. Detektyw zorganizował konferencję dla dziennikarzy w holu departamentu policji. Reporterzy z niecierpliwością czekali na nowe sensacje. Wiadomości o tym miały pojawić się w całym kraju. Robertson stanął niedaleko detektywa, otrzepując nerwowo niewidzialny pyłek z ubrania. Nie zamierzał zabierać głosu, pozostawiając wszystko w rękach kolegi. Detektyw poinformował zgromadzonych o zaginięciu Sally i jej syna Jona Belly'ego. Wdrożył od razu *AMBER Alert* i oświadczył, że są to najbliżsi policjanta - tu wskazał ręką na swojego partnera. Dodał, że był to także detektyw biorący

czynny udział w głównym śledztwie dotyczącym seryjnych morderstw. Nie wdawał się w szczegóły. Miał nadzieję, że takie posunięcie pomoże w odnalezieniu chłopca i jego matki. Istniała szansa, że ktoś może ich zauważyć, jeśli faktycznie oboje, bądź jedno z nich, uciekli. Wszystkie stacje nadały ten komunikat i powtarzały go kilkakrotnie, wyświetlając zdjęcia Sally i Jona, które dostarczył Robertson.

Policyjne dochodzenie w sprawie makabrycznych morderstw wciąż prawie stało w miejscu. Ojczym Jona Belly'ego jednak na razie o tym nie myślał, nie miał głowy analizować na nowo zebranych dowodów. Pragnął jak najszybciej odnaleźć podopiecznego oraz swoją kobietę. Niestety zachodził konflikt w sprawie i nie mógł czynnie uczestniczyć w dochodzeniu.

Po wcześniejszym ustaleniu z szefem swojego departamentu detektyw Cane postanowił udać się na rozmowę do komisarza. Chciał jednak poprosić o włączenie partnera do poszukiwań jego bliskich. Wsiadł do swojego służbowego czarnego cadillaca i ruszył ulicami Manhattanu. Przeciskał się wśród wielu samochodów, by na czas dojechać na miejsce spotkania. Znał doskonale komisarza Paula Janningsa już od kilkunastu lat. Prywatne przyjęcie obecnie odbywało się w hotelu Hilton Midtown Manhattan. Zdarzało się, że bywał w takich miejscach, obgadując różne zawodowe sprawy; lubił osobiście przekonywać ludzi do swoich pomysłów. Mimo że tym razem był to jego najwyższy przełożony, także postanowił spróbować. Dziś rozmowa będzie toczyć się na prywatnym gruncie. Małżonka jego zwierzchnika, Eleonora, pochodziła z bogatej rodziny i była krewną Michelle – żony detektywa. Niestety obie panie nie przepadały za sobą. Prowadziły całkowicie odmienny styl życia i inaczej postrzegały dzisiejszy świat. Przepych, w którym obracała się Eleonora, jej specyficzne maniery

oraz narzucanie swojego zdania nie zachęcały do zacieśniania relacji rodzinnych. Nie można przy tym rzec, że nie była serdeczną osobą, niekiedy wręcz rozbijającą uprzejmą. Potrafiła jednak obojgu czasami nieźle naprzykrzać się na przyjęciach, mimo że nie gościli na nich zbyt często. Bez skrępowania uwodziła detektywa, proponując między innymi wspólne wakacje. Oczywiście starała się nie pominąć w tych planach również Michelle, choć nie musiało być to koniecznością. Miała szczególną słabość do Cane'a. Wykorzystując swoją pozycję społeczną, chciała pomóc mu w awansie zawodowym i zdobyć znaczące stanowisko polityczne. Jednak detektyw nie przywiązywał uwagi do dziwnego zachowania Eleonory, nie interesowała go również zmiana pracy, a na zaloty patrzył z przymrużeniem oka. Bardzo kochał swoją żonę i szkolną miłość, z którą wychowywał czwórkę wspaniałych dzieciaków.

Cadillac detektywa zatrzymał się przed głównym wejściem hotelu Hilton około godziny siódmej trzydzieści wieczorem.

- Masz! Popilnuj młody. - Detektyw rzucił kluczyki bojowi. Wszedł do środka i skierował się w stronę schodów, a następnie udał się nimi na siódme piętro budynku. Bywał tu często u komisarza, do którego obowiązków należało także uczestniczenie w politycznych spotkaniach odbywających się w tak szczególnych miejscach. Tym bardziej, jeśli ktoś mocno pracował na awans do zamkniętego grona politycznego.

- Witaj, Paul - detektyw podał mu rękę zaraz po wejściu do pokoju.

Paul Jannings piastował to stanowisko od ponad czterech lat. Zawsze przyjmował detektywa w tym samym, hotelowym pokoju.

- Siadaj! Mów, Cane, z jakim znowu trywialnym pomysłem przychodzisz? W jakiej konkretnej sprawie chcesz uzyskać moje poparcie?

- Masz coś do picia, bo za stary się robię na te schody - zapytał Cane wyraźnie zmęczony wędrówką przez klatkę schodową.

Przełożony był postawnym mężczyzną ze sporą otyłością i tupecikiem na głowie. Zawsze elegancko ubrany; markowy garnitur i drogie buty. Jednak mylił się - Cane nigdy nie zawracał mu głowy głupotami, choć on to tak odbierał. Detektyw ulokował się wygodnie w dużym, skórzanym fotelu, który stał w rogu pokoju.

- Paul, to poważna sprawa. Z pewnością już słyszałeś o zniknięciu Jona Belly'ego i jego matki Sally, rodziny mojego partnera z wydziału.

- Tak, zostałem poinformowany i to, wierz mi, nie w ten sposób, co powinienem. Media to chyba nienajlepszy pomysł, co, Cane? Powinieneś być wpierw do mnie przyjść albo chociaż zadzwonić. Zniknięcie tego dziecka to poważna sprawa, a zwłaszcza syna jednego z naszych. No i jego matka. Takie rzeczy nie powinny mieć miejsca u nas w wydziale. A na dodatek sprawa dotyczy twojego partnera. Źle to wygląda, sam musisz przyznać.

- Wiem, Paul. Ale zrozum, nie miałem ani czasu, ani wiele możliwości. Postanowiłem nie zwlekać i dlatego urządziłem konferencję. Telefon do ciebie i tak by nic nie zmienił. Do tego Robertson postąpił nieodpowiedzialnie, ale nie będę ci teraz truć i go usprawiedliwiać. A już na pewno nie będę tłumaczyć jego zachowania. Całość i tak wygląda mi podejrzanie.

- Dobra, dawaj. O co chodzi? Mów, co mogę dla ciebie zrobić i streszczaj się, bo czas mnie dziś goni. Zawsze marudzisz, a potem okazuje się, że to zwykła błahostka. Tylko streszczaj się. Eleonora zaraz wpadnie, jak cię zwęszy, że jesteś u mnie, wtedy po naszej rozmowie.

- Słuchaj...

Detektyw zamilkł na chwilę, by przechylić do dna szklanekę

z whisky, którą podał mu wcześniej komisarz, po czym wstał, zrobił kilka kroków, podchodząc do przełożonego siedzącego w fotelu po drugiej stronie pokoju.

- Chcę dostać twoją pisemną zgodę na włączenie Robertsona do śledztwa w sprawie zniknięcia jego podopiecznego Jona Belly'ego. Szef mojego departamentu dał mi wolną rękę. Potrzebuję to na piśmie, żeby nie było później niejasności dla tych adwokacików. Mam pewne przeczucie co do tej sprawy, a on jest doskonałym policjantem.

- A mówiłem? Tylko tyle? Taki drobiazg? Zawracasz mi głowę czymś, co w ogóle nie wchodzi w rachubę - odpowiedział komisarz Jannings, wstając z fotela. Założył ręce za plecy i w ciszy krążył po całym pokoju, widocznie nad czymś rozmyślając.

Detektyw wrócił na swoje miejsce. Spoczął ponownie w fotelu, który wyjątkowo mocno zaczął go uwierać w pewnym miejscu. Spokojnie go obserwował. Znał jego schemat działania. Komisarz Jannings po dłuższej chwili podszedł i usadowił się za biurkiem stojącym na wprost wejściowych drzwi. Otworzył szufladę po prawej stronie, z której wyjął pudełko z kubańskimi cygarami. Zaproponował detektywowi jedno, chcąc w międzyczasie przeanalizować jeszcze sytuację. Detektyw jednak odmówił, ponaglając go z odpowiedzią.

- Dobra, spokojnie... Sam nie wiem, czego się po mnie spodziewałeś... Załatwione! Daję ci zgodę! Tylko pamiętaj, że jest to lekkie naciągnięcie, ewidentnie zachodzą tu pewne powiązania rodzinne.

- Jestem tego w pełni świadomy. Ojczym Jona to policjant z wieloletnim stażem i tak jak ci wspominałem świetny fachowiec. Całkowite odsunięcie go byłoby błędem.

- W porządku, ale to tylko umowa między nami. I żadnych

przecieków do mediów czy gazet! A tym bardziej podpisywania papierków. Jasne? - Krótko zakończył komisarz Jannings.

Jednak nie o to chodziło detektywowi. Teraz pomyślał, że szkoda było czasu na tę próżną drogę. Jedynie świetna whisky była warta tej wyprawy, ale to za mało, jak na tak poważne śledztwo.

- Tak, ale posłuchaj mnie... To po co ja tu jechałem w takim razie?

- A niby skąd mam wiedzieć, Cane? Co, według ciebie mam stracić poparcie, a potem stołek, gdyby to wyszło na jaw? Dziennikarze mnie rozszarpiają! Działaj jak do tej pory. Nikt przecież wam tam nie zagląda, co i jak robicie.

Przełożony wyraźnie zasugerował koniec wspólnej rozmowy, wyczerpując możliwości pomocy. Drzwi otworzyły się w najmniej dogodnym momencie, pozbawiając detektywa dalszej możliwości dyskusji.

- Paul, szukam cię i szukam... O, mój ulubieniec. Cześć, Cane, co u ciebie słyhać? - Eleonora pojawiła się w drzwiach pokoju, rozpromieniając się na widok gościa.

Detektyw podniósł się z fotela. Kobieta podeszła i subtelnie ucałowała go w każdy policzek, po czym ujęła jego dłoń w swoją rękę, tak jak matka ujmuje rękę dziecka, prowadząc je do przedszkola.

- Daj mu, kochanie, spokój, niech detektyw wraca do obowiązków. Dziś Cane nie ma nastroju na zabawę.

- Tak? A co mu zrobiłeś? - Eleonora spojrzała na męża.

- Nic, moja droga. Detektyw jak zawsze zawraca mi tyłek głupotami.

Eleonora wciąż trzymała rękę detektywa, czekając na dalszą odpowiedź. Niezmiernie lubiła jego silny, męski uścisk i szorstkie w dotyku dłonie.

- Spokojnie, Eleonoro, nic się nie stało, jedynie chciałem, aby komisarz mi ułatwił pewną sprawę. Jednak stwierdził, że stanowisko mu na to nie pozwala - rzekł Cane.

- Paul, jak mogłeś? - Eleonora zarzuciła małżonkowi brak dobrej woli.

- Mogłem i powinienem. A teraz, kochanie, wracajmy na przyjęcie. Na tym zakończymy rozmowę, detektywie. - Komisarz Jannings zwrócił się teraz bezpośrednio do Cane'a, podszedł do niego i uścisnął mu dłoń.

Detektyw pożegnał się jeszcze z Eleonorą, całując delikatnie w policzek i wyszedł niezwłocznie z pokoju.

Tym razem dojechał do departamentu błyskawicznie, gdyż wściekły na przebieg rozmowy, pędził całą drogę jak szalony. Przekroczył energicznie próg budynku. Zmierzał w kierunku schodów, gdy w holu spostrzegł Robertsona, gawędzącego z innymi kolegami z pracy. Podszedł do niego, a ten zapytał pierwszy.

- Coś ustaliłeś? Bo gotuję się w środku od tego czekania i nerwów.

- Chodź ze mną do biura, to ci wszystko powiem, skoro zamierzasz spędzić tu noc. Jest po dziesiątej wieczorem, mogłeś rano do mnie wpaść - zakomunikował detektyw i nie czekając na kolegę, ruszył dalej.

Robertson podążył za nim. Znał dobrze swojego partnera i zdawał sobie sprawę, że nie wróżyło to nic dobrego, skoro musiał pójść na górę, by z nim porozmawiać.

Detektyw bez owijania w bawełnę wyjaśnił koledze, jak mają wyglądać kolejne etapy poszukiwań chłopca oraz Sally. Poinformował go także o cichej akceptacji przełożonego na uczestnictwo Robertsona w śledztwie. Zaznaczył jednak wyraźnie,

iż było to jedynie poświadczenie ustne, gdyż komisarz Jannings w razie kłopotów i tak zaprzeczy istnieniu tej deklaracji. Detektyw miał poprowadzić całe śledztwo, wspierając się pomocą kolegów, a oficjalnie Robertson został odsunięty od sprawy. Partnerowi detektywa nie do końca przypadło to do gustu. Nie lubił stać z boku. Poirytowany wyszedł z gmachu departamentu po całej rozmowie i udał się do najbliższego baru.

ROZDZIAŁ VI

Czwarty października, dwunasta czterdzieści pięć.

Milton dotarł wreszcie z chłopcem do motelu, w którym miał wynajęty pokój. Pomieszkiwał tu od jakiś kilku tygodni, czyli dokładnie od poprzedniej przeprowadzki. Purpurowy, duży szyld, powieszony tuż z boku zajazdu z wymownym napisem Różowa przystań u Emilii jednych zachęcał do zahaczenia, a drugich zgoła odwrotnie. Ci ostatni omijali ten teren dużym łukiem niczym groźną epidemię. Samo miejsce to po prostu zwykła tania nora, gdzie zjeżdżały się podejrzane typki oraz żonaci faceci zdradzający żony.

Motel usytuowany był w pobliżu bocznic kolejowej, która od lat kipiała pustkami, a za budynkiem wyłaniał się niewielki lasek. Milton nie był zachwycony tym zakątkiem, ale idealnie wpisywał się w jego obecne położenie. Świetnie nadawał się na kryjówkę z dala od ludzi i cywilizacji miejskiej. Po zawaleniu ostatniej sprawy zawodowej musiał zaszywać się w różnych miejscach, izolując się od znajomych oraz wszelkiego rozgłosu.

- Wchodź śmiało, mały - ponaglił chłopca, który na dźwięk słowa „mały” spojrział na niego z nieukrywaną złością.

- Co? A przepraszam... Wiem, jesteś duży, zapomniałem. Nieczęsto mam do czynienia z takim twardzielem jak ty - usprawiedliwiał się Milton, jednocześnie pośpieszając po raz kolejny młokosa, by się nie zatrzymywał.

- Idę, idę! I nie o to mi chodziło - wycedził Jon.

- A o co? Nagle się boisz, a złazić z piętra po nocy to strachu nie miałeś? Wchodź szybko, gdybym miał ci coś zrobić, to wierz mi, już bym zrobił. - Milton delikatnie popchnął malca ręką w plecy, by wreszcie znalazł się w jego skromnych progach.

Jon wszedł do środka i od razu zaczął się rozglądać po pomieszczeniu z zaciekawieniem. Wszystko wewnątrz wyglądało zupełnie inaczej, niż wskazywał na to wygląd zewnętrzny budynku. Nieskrywane zdziwienie wymalowało się na jego twarzy. W pokoju panował ład i porządek. Na komodzie stały zdjęcia jednej i tej samej osoby. Nic nie pasowało do tego mokrego, brudnego, a zarazem brodatego faceta, na którym Jon przypadkiem wylądował w nocy.

- Siadaj, gdzie chcesz. Ja wleję wodę do wanny, bo chyba powinienes się umyć - zaproponował chłopcu Milton.

Jon w ogóle nie zwrócił uwagi na jego słowa, gdyż zajęty był buszowaniem po kątach niedużego, ale gustownie urządzonego pomieszczenia. Wszystko wyglądało, jak w prawdziwym domu. Mały telewizor, niewielka lodówka, stoliczek i mnóstwo grubych książek na półkach. Widać od razu, że jego nowy przyjaciel lubił czytać oraz robić zdjęcia.

- Hej, odważny! Słyszałeś? Umyj się - zawołał Milton po przygotowaniu kąpieli.

- Już! A na tych zdjęciach, to twoja żona? - zapytał chłopiec, spoglądając z ciekawością na Milтона.

- Nie gadaj, tylko leć do kąpieli. Ja zaraz też zrobię to samo.

Chyba dasz sobie radę, Duży?

- Dam.

Miltona urzekło pytanie chłopca, ale równocześnie zabolęło, gdyż momentalnie powróciły wspomnienia tego, czego nie dopilnował i po prostu spieprzył. Czas płynął. Minął kwadrans.

- Jak tam, skończyłeś? - zawołał Milton.

Z małej łazienki odpowiedziała mu jedynie głucha cisza, chłopiec nie odezwał się nawet słowem.

- Jonie, wychodź! Odgrzałem już pizzę w mikrofalach. Czeka na stole. - Znowu nic.

Milton odstawił z palnika czajnik na bok i ruszył w stronę drzwi łazienki. Dzielili go zaledwie trzy kroki od tego miejsca, gdzie kąpał się chłopiec. Stuknął delikatnie swą potężną pięścią. Drzwi otworzyły się od razu.

- Co tak walisz, brudny głupku?! - zapytał Jon obraźliwie.

Milton nie zareagował na uszczypliwości chłopca, gdyż zdawał sobie sprawę, że w ten sposób próbuje dodać sobie odwagi. Tak było w przypadku słowa „duży” przed jego imieniem, które lubił eksponować.

- Siadaj i wcinaj! Ja w tym czasie trochę się ochlapię, by ci ten mój smrodek za bardzo nie przeszkadzał w jedzeniu - zażartował Milton, zauważając jednocześnie wesoły uśmiech na buzi chłopca.

Po smacznym posiłku obaj udali się na rozłożony tapczan, kładąc wygodnie, jeden obok drugiego. Jon nie rozumiał, dlaczego Milton stał wtedy pod jego oknem. Czemu mu pomógł? Po kilkunastu minutach rozmyślań, Milton przerwał panującą ciszę, gdyż chciał poznać szczegóły z dotychczasowego życia chłopca. Miał świadomość, że czas będzie odgrywał niebywałą rolę. Nie wyglądało to wszystko za ciekawie.

- Jonie, odpocząłeś trochę, co? To może byśmy porozmawiali? -

zagał.

- Musimy odnaleźć mamę, bo ten facet kłamał mi, gdy mówił, że ją zjadł, prawda? - wymamrotał malec łamiącym się głosem.

- Tak, to nieprawda. Nie rozmyślaj nad tym. Spokojnie Duży, nikt nie zjada ludzi. To był tylko taki żart, on chciał cię pewnie nastraszyć - mówiąc te słowa, Milton otoczył Jona ramieniem.

- Musiałem uciec! Nic nie rozumiesz! To nie był Jeremy, tylko jakaś zmora weszła do domu, gdy spałem.

- Dobra, dobra, spokojnie. A twoja mama, mówiłaś, że gdzie poszła?

- Szukać jeść, jak co noc.

- Co ty mówisz? Chyba nie szukać jeść, tylko pracować na jedzenie.

- Może - odpowiedział malec.

- A orientujesz się, gdzie ona pracuje i co porabia ten twój Jeremy?

- Nie wiem, gdzie mama pracuje! A on wcale nie jest mój! - krzyknął Jon i stanął na łóżku.

- Co się tak denerwujesz?

Chłopak milczał.

- Siadaj z powrotem, bo zlecisz z tego łóżka.

Milton podniósł się i podszedł do szafki, na której stał mały telewizor. Sięgnął za niego ręką w poszukiwaniu pilota. Wracając, wcisnął guzik, uruchamiając ostatnio oglądany kanał, po czym przełączył na inny, na którym właśnie wyświetlali wiadomości. Wszędzie mówili o zaginięciu Jona i Sally Belly. Oświadczenie odczytywał jakiś detektyw. Wynikało z niego, że zawiadomienie o zniknięciu złożył ojczym Jona, niejaki Jeremy Robertson, policjant departamentu numer 67. Mężczyzna widoczny był przez całą konferencję, gdyż stał tuż obok detektywa. W dodatku ten przekaz

relacjonowano co chwila na różnych kanałach. Milton zaniemówił, wpatrując się w odbiornik telewizora. Dotarło do niego, iż chłopak nie kłamał. Przysunął się bliżej do malca i objął go czule. Najwyraźniej dzieciak nie miał pojęcia o zaginięciu mamy bądź po prostu wyparł tę informację z pamięci, mając nadzieję, że wkrótce wróci. Nie wspomniał mu, że nie widział jej od tak długiego czasu. Po półgodzinnym wpatrywaniu się w ekran Jon usnął, a Milton mógł spokojnie pomyśleć, co dalej począć.

Postanowił, że chłopiec zostanie na trochę sam w motelu, a on wróci w miejsce, gdzie malec mieszkał. Przygotował dla Jona kilka kanapek z wędliną i żółtym serem oraz termos gorącej herbaty. Postawił wszystko na stoliku obok łóżka, aby w razie, gdy chłopiec poczuje się głodny, mógł z łatwością po nie sięgnąć. Zamierzał szybko uwinąć się w obie strony. Jego plan zakładał rozmowę z policjantem Robertsonem. Do tego liczył na wyrozumiałość i współpracę ze strony służb, w których szeregach spędził wiele ostatnich lat. Nie nasuwało mu się obecnie inne, lepsze wyjście z tej sytuacji.

Milton przed wyjściem podszedł i stanął przed łóżkiem. Patrzył na chłopca.

- Jon, obudź się - trącił go delikatnie ręką w stopę.

Chłopiec otworzył oczy i ziewnął zaspany po niecałych trzech godzinach snu. Milton usiadł obok niego na brzegu łóżka.

- Jon, posłuchaj, wyjdę na krótko, zostaniesz tu na trochę sam, dobrze? Muszę coś załatwić.

- Nie! Na pewno nie zostanę sam w tym miejscu! - powtarzał na okrągło malec.

Poderwał się po chwili na równe nogi i stanął na łóżku, zrzucając z siebie koc na podłogę.

Milton domyślił się, że małego obleciał strach. Obawiał się

pewnie, że po niego nie wróci. Tłumaczył mu kilka dobrych minut, ale na próżno. Chłopiec ani myślał przystać na taką propozycję, zwłaszcza, że byłby zamknięty sam w obcym miejscu.

- Dobra, jak wolisz. Przestań się unosić. Chcesz, to pójdziesz ze mną, mały nerwusie! Ale musisz za mną nadażyć, bo nie będę się włókł. Nie zapominaj, co widzieliśmy w telewizji.

- Pamiętam i jestem już duży. Ty zapomniałeś?

- Tylko ci przypominam. A teraz posiedź tu jeszcze chwilę sam, dobra? Zajrzę na sekundę do recepcji. Zawsze pokazuję się im po powrocie. Lepiej, żebym nie zmieniał dziś przyzwyczajenia. Rozumiesz, prawda?

- Może być. Ale będę tu czekać na ciebie wujku. Pamiętaj, obiecałeś mnie nie zostawić.

- Tak, zaraz wracam. Umowa to umowa, razem idziemy w miasto.

Chłopiec opuścił głowę. Wyraźnie dał tym do zrozumienia, że chciałby pójść z Miltonem do recepcji. Wiedział jednak, że nie powinien tego robić. Rozumiał, co tak naprawdę się wydarzyło, a mimo to okazał swoje niezadowolenie.

Milton wyszedł, zamykając pokój. Podbiegł szybko kilkanaście kroków, które dzieliło go od recepcji. Otworzył duże, przeszklone drzwi do głównej siedziby motelu. Wszedł, rozejrzał się, lecz w środku panowała pustka. Wydawało się, że nikogo nie zastał.

- Emilio, jesteś tu?

- Idę już. - Kobieta odezwała się z innego pomieszczenia.

Właścicielka to starsza pani, dobrze po sześćdziesiątce. Zawsze lekko zamroczona jakimiś tanimi trunkami, ale za to była wyjątkowo miła i nie zadawała zbędnych pytań. Jeśli płaciłeś w porę i to gotówką oraz nie rozrabiałeś, to nic jej nie obchodziło, kim byłeś i co wyrabiałeś w wynajętych pokojach.

- A, to pan! Co, znowu wychodzimy na noc?

- Tak, a co, pilnujesz mnie?

- Nie, tylko pytam. Widziałam, jak pan wrócił i chyba nie był pan sam.

- Nie interesuj się, dobra? Nieraz nie warto za dużo widzieć. Potrzebuję jeszcze dziś coś załatwić. Może mnie nie być ładnych parę godzin, zapłacę ci za kolejny miesiąc z góry, byś mi pokoju nie skasowała.

- A to dobrze, bo kasa się kończy. Co, kłopoty jakieś?

- Nie, co ty, Emilio. Ja i kłopoty?

- No, nie udawaj pan, skoro tu mieszkasz i takie typy o ciebie pytają i ostatnio znikasz na noc, to znaczy, że z ciebie niezły gagatek.

Milton usłyszał słowa, których obawiał się od roku, gdziekolwiek w tym czasie mieszkał.

- Kto o mnie pytał?

- Nie mam pojęcia, jakieś łobuzy. Nawet próbowali mi grozić tymi swoimi małymi pukawkami. Chcieli dostać informację, który pokój wynajmujesz.

- Kurwa, Emilia! Wydałaś mnie?!

- Nie! W dupie mam takich łachmytów! Wyjęłam moją ulubienicę, dubeltówkę, i kazałam im spieprzać. Nawet nie protestowali tylko wyszli i odjechali tym swoim starym, granatowym mustangiem.

Milton nie potrzebował usłyszeć nic więcej. To miejsce i tak było dla niego spalone, a po tej informacji już nie miał co do tego złudzeń. Nie po raz pierwszy w tym roku musiał wiać. Domyślił się, że pewni ludzie już od kilku miesięcy byli w Stanach. Tyle, że zawsze był sam i łatwo ich gubił. Wiedział jednak, że nadchodził nieuchronnie dzień konfrontacji. Nie miał niestety teraz na to

czasu, musiał szybko załatwić sprawę z chłopcem. Miał już dość uciekania i życia w samotności. Milton, wracając, zajrzał jeszcze do znajomej, która wynajmowała pokój obok niego. Była dziewczyną po przejściach, jedną z nielicznych porządnych osób w tym przybytku grzechu, podobnie jak on. Wrócił do pokoju i spojrzał na chłopca, który usnął ponownie na łóżku.

- Pobudka! Wstawaj, śpiochu - zawołał.

Chłopiec przeciągnął się tylko i nakrył kocem po sam czubek głowy.

- Zaraz wychodzimy, podnoś się - powtórzył kilka razy.

Milton skrętnie zaczął pakować do plecaka stojący na stole termos i kanapki. Zerknął na chłopca, który usiadł na łóżku i zaczął mu się przyglądać.

- Wkładaj te suche ubrania - pokazał ręką rzeczy leżące na krześle. - Powinny na ciebie pasować.

Po granatowej kurtce i dżinsowych spodenkach widać było, że są używane. Pozostałe ubrania chłopca Milton zdążył wysuszyć.

- A co to za ubrania? - zapytał Jon, spoglądając na krzesło.

- To twoje nowe wdzianko. Ciepła kurtka, bo pogoda nas nie rozpieszcza i spodenki. Przecież nie możesz chodzić po ulicy w piżamie.

- A skąd to masz, wujku? Jesteś złodziejem?

Milton parsknął śmiechem.

- Nie, ty duży mądralo. Wpadłem na chwilę do dziewczyny obok. Wynajmuje pokój w tym motelu od jakiegoś miesiąca i mieszka razem z synem, który jest mniej więcej w twoim wieku. Pożyczyła nam te rzeczy, ale musimy później oddać.

- To nas wyda, jak jej powiedziałaś o mnie! I zawiadomi policjantów! Przyjadą po mnie! - zestresował się Jon.

- Nie martw się o to. Powiedziałem jej, że jesteś moim synem

i dopiero co cię odzyskałem. Ona też jest w podobnej sytuacji. Zwiąła z dzieckiem od męża pijaka. Zresztą wątpię, byśmy tu jeszcze wrócili.

- Dlaczego?

- Mamy znaleźć ci mamę, tak? Resztę zobaczy się później.

- To może być. Bo wiesz... Ja cię lubię, a kradzionych ubrań bym nie założył.

- Daj spokój, jeszcze miałbym ryzykować i kraść? Pamiętaj, gdyby ktoś pytał, to wiesz co mówić?

Jon wyraźnie poczuł się zadowolony. Wciągnął ubranka na swe drobne ciało i usiadł na brzegu łóżka ze spuszczone nogami, gotów do wędrówki.

- Wujku?

- Co?

- A ta zmora, to nic nam nie zrobi, jak wyjdziemy w taką noc?

Milton spojrzał małemu w oczy. Podszedł i przykucnął naprzeciwko niego.

- Słuchaj, jesteś duży Jon. Tak czy nie? - spytał stanowczo.

Chłopak milczał przez chwilę, by wreszcie wrzasnąć ile sił.

- Jestem i niczego się nie boję! Idę po mamę!

- No widzisz! Tak trzeba! Tak jak tamtej nocy, co wyszedłeś w ciemnicę, aby odnaleźć mamę.

Chłopiec uśmiechnął się i pochwycił dłoń nowego przyjaciela. Milton zgarnął ze stołu plecak i wyszedł, trzymając malca za rękę. Poruszali się wzdłuż torów kolejowych, zmierzając do najbliższej stacji metra, aby dostać się w głąb Manhattanu. Usadowili się w pobliżu drzwi wagonu, a Jon przysnął na chwilę wtulony w ramię Milтона.

- Podnoś się, wsiadamy - zakomunikował Milton, gdy dotarli na miejsce.

- Już? A gdzie teraz idziemy? - spytał malec ziewając.

- Chodź, podejźmy do mojego przyjaciela. Przypilnuje cię przez chwilę, a ja trochę się rozejrzę.

- A on jest dobry?

- Nie martw się, znam go od dawna. To porządny człowiek. Pospiesz się!

Jon mruknął coś pod nosem, okazując swoje niezadowolenie. Jednak wciąż trzymał dłoń Milтона i po chwili kiwnął lekko głową na znak, że się zgadza. Obaj wyszli schodami ze stacji metra na ulicę. Chłopak rozglądał się dookoła uważnie, z każdym kolejnym krokiem coraz bardziej poznawał otoczenie.

- A gdzie się rozejrzysz?

- A jak myślisz, Duży? Chodź tędy.

- Tam? - zapytał chłopiec, przechodząc z Miltonem przez pasy.

- Tak, tam. Coś ci nie pasuje?

- Nie. Tylko nie wiedziałem, że idziemy do mnie.

Milton skrzył z głównej alei w boczną, wąską uliczkę. Po obu stronach wznosiły się wysokie na kilkanaście pięter budynki, na końcu których postawiony został mur z cegieł. Znajdowali się w ślepej uliczce. Jon poznał to miejsce. Nie raz, idąc z mamą, przechodził niedaleko niego. Bał się jednak wchodzić w takie dziwne ulice bez przejścia na drugą stronę. Gdy doszli już do końca, Milton zatrzymał się i stanął przed pomarańczowymi, metalowymi drzwiami jednego z budynków. Uderzył w nie mocno pięścią, rozglądając się w międzyczasie w kierunku głównej alei, zapewne chcąc się upewnić, że nikt za nimi nie podążał.

- Hej leniu! - krzyknął Milton, czekając na odzew kogoś ze środka.

Przez chwilę panowała cisza, wreszcie usłyszeli skrzypnięcie zamka i drzwi się otworzyły. W progu ujrzeli starszego faceta

w granatowym, jednoczęściowym uniformie, który uważnie wpatrywał się w nich dosłownie przez ułamek sekundy.

- Co tam? - odezwał się mężczyzna.

- Nic. Ślepy już jesteś? Nie poznajesz mnie?

- Widzę przecież, że to ty. No, a ten mały to kto? Wreszcie masz dzieciaka? - wskazał palcem na chłopca.

- Co ty, Gregor! Głupi jesteś, a niby z kim? To przyjaciel. Posłuchaj, potrzebuję dziś twojej pomocy.

- A cóż ja mogę wam zaoferować?

- Możesz. Nie marudź, tylko się odsuń i nas wpuść.

Starszy mężczyzna jakby się zastanawiał i stał moment nieruchomo. Po chwili jednak odwrócił się do nich plecami i udał się w głąb ciemnego korytarza.

- Na co czekacie? Włóżcie do środka! - krzyknął, nawet nie spojrzawszy na swoich gości.

- Wchodź, śmiało, on tylko tak wygląda, to porządny gość. Zgrywać się lubi - zachęcił Milton chłopca.

Jednak Jon zaczął oponować na zaproszenie nieznanego, nie orientował się, jakie Milton ma plany, a widząc z kim ma zostać, trochę się wycofał. Stał blisko, za plecami Milтона i pochwycił energicznie rękaw jego płaszcza.

- Szybko wchodź, jeśli nie chcesz, by gliny nas zgarnęły. Nie wygłupiaj się, dobra? Przejdź do przodu.

Jon wyszedł niechętnie zza pleców, ale nim zrobił krok do środka, ujął mocno Milтона za rękę i dopiero wtedy ruszył wąskim korytarzem tuż przed nim. Obaj już po kilku krokach byli na miejscu. Na wprost nich znajdowały się szare drzwi, a po lewo kolejne, lekko uchylone. Zajrzeli do środka pomieszczenia. Gregor siedział już na krześle.

- Wchodźcie, wchodźcie, nie ociągajcie się. Jon, ten twój mały

przyjaciel, to kto? – zapytał Gregor.

- Nikt! Lepiej nie pytaj. Potrzebuję, żebyś wyświadczył mi przysługę – powiedział Milton do Gregora, spoglądając jednocześnie na chłopca.

- Niańka? Trzeba było tak od razu mówić!

- Gregor, popilnuj go, dobrze? Nigdzie nie wychodźcie stąd, aż do mojego powrotu. Ja coś muszę szybko sprawdzić w tej okolicy i niedługo wracam.

- Nie! Ja tu z nim nie zostanę! – krzyknął chłopiec w proteście.

- Spokojnie mały, nie bój się, przecież cię nie zjem – zachęcił Gregor.

Milton przykucnął przed chłopcem i popatrzył mu prosto w zaszklone, niebieskie oczka.

- Słuchaj, Duży, szybko wróć. Gregor to mój przyjaciel. Pamiętasz? Tłumaczyłem ci przecież, że musimy tak postąpić. To stary zrzęda, ale wierz mi, skrzywdzić cię nie da. U niego będziesz bezpieczny. Zanim się obejrzysz, będę już z powrotem.

- A gdzie chcesz iść?

- Tam, gdzie ci mówiłem: do ciebie.

- Do mnie?

- Tak, idę do twojego mieszkania.

- Nie! Lepiej tam nie idź! On cię złapie i zje! – zaprotestował Jon z poważną miną.

- Wyjaśniłem ci już, że to bzdury. Nikt nie zjada ludzi. Chodź, przytul się do mnie urwisie.

- Ta zmora przebrzydła, ona tam jest! Mówiłem ci, czeka na mnie! A jak tam pójdziesz to cię złapie. – Chłopiec ani drgnął z miejsca, mówiąc te słowa.

- Dobra Jon, daj spokój, poradzę sobie. Posłuchaj, mam na nią pewien plan. Zaczekam, aż jej nie będzie i wtedy zajrzę do twojego

mieszkania. Może być kolego?

- Może. Ale wrócisz po mnie.

Milton mocniej przycisnął chłopca do siebie, słysząc te słowa.

- Cholera! W niezłą kabałę wplątałeś się z tym małym dzieciakiem - zakomunikował Gregor.

- Daj spokój - rzekł Milton.

Gregor spędzał czas w tej norze głównie na słuchaniu radia, więc wiedział, że zaginął dzieciak policjanta. Momentalnie powiązał ze sobą obie sprawy. Domyślił się, że to właśnie o tego chłopca chodziło, ale nie powiedział tego na głos.

- Nie jestem mały - protestował jeszcze chłopiec i wtulał się mocno w Milтона.

Gregor spojrzał na nich w milczeniu, nawet się nie uśmiechając.

- Dobra, przyjacielu, popilnuj go i nie wychylajcie się stąd. Ja już ruszam. A ty, Jonie, grzecznie tu posiedź, najlepiej prześpij się, to szybko ci czas zleci. Popatrz, tam jest łóżko. - Milton wskazał palcem na leżące na tapczanie koce.

- Tu? Na tych łachach? - zniesmaczony propozycją chłopiec spojrzał w tamtym kierunku.

- Tak, tu. Będę z powrotem, nim się obejrzysz - zwrócił się do Jona. - A ty, Gregor, popilnuj chłopaka tak, bym nie musiał ci przypomnieć, kim jestem i co mi zawdzięczasz - stanowczym głosem rzekł do Gregora.

- Ale wrócisz, prawda? - dopytywał się wciąż Jon.

- Wrócę, Duży! Nie martw się, nie dam cię skrzywdzić, przecież obiecałem. Znajdziemy twoją mamę, porozmawiamy z nią i rozwiążemy twój problem - powiedział serdecznie.

Może potem uporam się też własnymi kłopotami - pomyślał Milton.

Na koniec po raz kolejny objął czule malca i bez zbędnych słów wstał, odwrócił się i podążył ciemnym korytarzem w stronę wyjścia. Dziwne uczucie towarzyszyło mu w sercu, gdyż przez ten krótki czas zdążył zżyć się z Jonem. Pozostawienie chłopca pod opieką Gregora wyraźnie poruszyło twardego mężczyznę, za jakiego uchodził do tej pory i sam się uważał.

Gregora poznał jeszcze zanim awansował do służby w DEA (*Drug Enforcement Administration*), czyli rządowej agencji zajmującej się walką z narkotykami. Był wtedy zwykłym stróżem prawa patrolującym miasto. Spotkał go wówczas na ulicy żebrzącego o pieniądze na jedzenie. Pomógł mu, załatwił pracę ochroniarza w tym miejscu, gdzie w tej chwili się znajdowali, czyli w małej, aczkolwiek znamienitej pracowni krawieckiej. Właściciel firmy znał rodzinę Milтона na długo, nim on się urodził. Po śmierci rodziców zdarzało się niejednokrotnie, że obaj panowie spotkali się, wspominając razem dawne czasy. Nawet starszy mężczyzna miał zamiar uszyć Miltonowi garnitur do ślubu. Jednak życie napisało inny scenariusz i nie doszło do tej uroczystości.

Zaplecze pracowni krawieckiej położone było w niedużej odległości od mieszkania chłopca. Chyba przeznaczenie sprawiło, że Milton wyszedł właśnie z tego miejsca, po pogawędce z Gregorem i przystanął na chwilę w zaułku jednego z budynków, chroniąc się przed ulewą, tuż pod małym zadaszeniem. To wtedy jego uwagę przykuło dziwne, niecodzienne zajście po drugiej stronie ulicy, a mianowicie widok kilkuletniego chłopca schodzącego po schodach przeciwpożarowych. Ten karkołomny wyczyn nie mógł umknąć jego uwadze.

Szybko doszedł w to samo miejsce. Poprawił plecak na ramieniu i włożył ręce do kieszeni, po czym wsunął się głębiej we wnękę budynku, dotykając plecami zimnego muru. Stał

w ciemności, całkowicie niewidoczny dla innych, za to sam miał doskonałe stanowisko obserwacyjne, szczególnie na okna w mieszkaniu chłopca. Księżyc nadal był w pełni i sprawiał wrażenie jakby monitorował jego każdy ruch.

ROZDZIAŁ VII

Czwarty października, godzina druga trzydzieści po południu.

Detektyw Cane uczestniczy w konferencji.

W tym samym czasie, na ostatnim piętrze pewnego budynku na Manhattanie, w małym mieszkaniu rozgrywało się coś zgoła odmiennego. Na krześle pośrodku dużego salonu siedział mężczyzna. Tuż za rogiem owego budynku mieściła się pospolita, całodobowa knajpka. Nieco dalej lodziarnia i duży park miejski.

Dziewczyna właśnie się ocknęła. Pamiętała jak przez mgłę ostatnie zdarzenia. Próbowwała sobie dokładnie przypomnieć, co tak naprawdę się stało i gdzie się obecnie znajdowała. Pomału zaczynała kojarzyć, że przyszła tu z tym gościem nad ranem po swojej zmianie. Wypiła z nim w salonie kilka drinków, ale nie tyle, żeby się upić. Mimo to w pewnym momencie film jej się urwał. Wcześniej, jeszcze w barze, ten wysoki, szczupłej budowy, żeby nawet rzec, chudy mężczyzna zaprosił ją do siebie. Zajmował miejsce przy stoliku, który ona obsługiwała minionej nocy. Przedstawił się zaraz na samym początku wizyty w lokalu. Steven był podobno poważnym przedsiębiorcą mającym koneksje w branży filmowej. Płacąc za swoje zamówienie, wyjął z kieszeni

marynarki spory plik studolarowych banknotów. Widok takiej kasy, urok osobisty nieznanego oraz obietnica związana z angażem w nowym filmie podziałały. Emma nawet nie kojarzyła go, przecież wcześniej spotkali się, ale nie zwróciła kompletnie wtedy na to uwagi. Zaproponował jej próbne zdjęcia. Wyjaśnił, że szukał takiej właśnie dziewczyny jak ona: wysokiej, wytatuowanej, lecz ze smakiem; dojrzałej z doskonałą sylwetką i tym czymś w oku. Dał Emmie do zrozumienia, że była idealna do tego zadania, a taka szansa zdarzała się tylko raz w życiu. I to on miał być jej uśmiechem losu. Wykazał się przy tym doskonałą znajomością stylów tatuaży, nawet stwierdził, że to jedna z jego pasji. Skomentował jej cudeńko na szyi, nieduże acz widoczne i dwa inne, którymi Emma pochwaliła się podczas pracy, ukradkiem odsłaniając zakryte części ciała.

Po zakończonej zmianie, zachęcona przysiadła się do przystojniaka i spędziła z nim kilkanaście minut na pogawędce. Koleżanki krzątające się między stolikami uśmiechały się znacząco, żartując z Emmy, że jak zawsze tylko jej trafiają się tacy superfaceci. Dzięki komplementom płynącym z ust tego mężczyzny poczuła się piękna i ważna jak nigdy dotąd. Dziewczyna nawet nie zwróciła uwagi, czemu obcy facet, dopiero co poznany tego wieczoru, tak mocno naciskał na nią, by z nim wyszła po pracy oraz dlaczego wypytywał o szczegóły z jej życia prywatnego. Interesował go szczególnie tatuaż umiejscowiony po prawej stronie szyi kobiety. Wyraźnie dało się odczuć, iż właśnie ta grafika najbardziej przypadła mu do gustu.

Perspektywa zmiany nudnego życia, a także bogactwo widziane oczami Emmy, momentalnie pozbawiły ją zdrowego rozsądku i stały się niczym najlepszy narkotyk. Wcześniejsza frustracja nudnym życiem ustąpiła miejsca marzeniom. Do tego

doszła chęć zagłuszenia dręczącego Emmę poczucia winy za czyn z przeszłości oraz pragnienie wyrwania się z tego zwyczajnego, monotonnego życia. To właśnie sprowadziło ją w to miejsce. Emma zrozumiała swój błąd, tyle że chyba za późno.

Kruczoczarne, ładnie ułożone włosy. Tak, to ten sam mężczyzna, który był wczoraj w barze. Niestety jego dzisiejsze ubranie było już całkiem inne – pomyślała Emma.

Markowy garnitur i biała koszula zniknęły. Wyraźnie widziała różnicę między nieskazitelnie ubranym i zachowującym się człowiekiem w barze, a postacią obecną w pokoju. Mieszkanie idealnie pasowało wizerunkiem do jego nowego stroju. Rankiem wszystko tu było jeszcze nowoczesne i eleganckie. Teraz nie zostało nic po tym widoku. Zewsząd w pokoju panowała czerń. Człowiek, który wydawał się wcześniej porządnym gościem, siedział i patrzył na nią w milczeniu. Emma nie była w stanie się poruszyć. Leżała naga na podłodze, owinięta ściśle jakąś folią od stóp do głowy, z rękoma przy ciele, niczym kawałek mięsa zapakowanego podczas zakupów w sklepie.

Światło żyrandola wiszącego nad jej głową delikatnie ją oślepiało. Usta miała mocno zakneblowane kawałkiem szmaty. Ból i odrętwienie całego ciała zaczynały dawać się jej we znaki. Pokój z białymi ścianami, który rankiem zastała, był obecnie pokryty czarną folią od sufitu, aż po samą podłogę. Emma wodziła wzrokiem po pomieszczeniu. Przez chwilę próbowała się oswobodzić, szarpała się i wiła, ale nie miała na to żadnych szans. Steven nie odezwał się do niej. Ubrany był w specjalistyczny kombinezon, podobny do tego, w którym strażacy ruszają na akcje, jednak kolorystycznie pasował do odcienia pokrytych folią ścian. Brakowało mu jedynie hełmu i maski tlenowej do całości nowego wizerunku. Na jego dłoniach widoczne były czarne, gumowe

rękawiczki sięgające do łokci. Emma wiedziała, że znalazła się w potrzasku i to z własnej winy. Nie była w stanie sobie uzmysłować, jak tak czarujący facet zamienił się, w ułamku sekundy, w taką bestię. Bała się jak nigdy dotąd. Krew w organizmie zaczęła krążyć jej w zawrotnym tempie. Nie mogła złapać oddechu i z trudem wciągała powietrze nosem. Poczowała ścisk w gardle, jakby wielka gula nagle w nim urosła, a łzy płynęły jej z oczu.

- Cicho mała, cii... - mężczyzna w kombinezonie uspokajał dziewczynę swoim męskim, twardym w brzmieniu głosem.

Wstał i przysunął odrobinę krzesło by być bliżej swojej wybranki.

- Jak tam? - zapytał po krótkiej chwili wpatrywania się w nią.

Siedział ponownie na krześle. Wyraźnie było widać jego niezwykle zadowolenie z zaistniałej sytuacji. Folia mocno opinała całe ciało kobiety. Emma kilkakrotnie aż stęknęła z bólu.

- Poczekaj, zaraz wrócę - zakomunikował bardzo spokojnie.

Wstał, odwrócił się i odszedł, znikając w głębi pokoju. Łzy, jedna po drugiej, spływały z kącików jej oczu.

Wtem usłyszała jakieś dziwne hałasy dobiegające z miejsca, gdzie się udał. To były metaliczne odgłosy przedmiotów wyjmowanych z torby, które mężczyzna kładł na stole oddalonym od niej zaledwie parę kroków. Emma spoglądała w tamtym kierunku, choć widziała wszystko niewyraźnie jak przez mgłę. Przeszywający ból i niewygodna pozycja, w jakiej się znajdowała, uniemożliwiły dalszą obserwację. Czuła się dosyć dziwnie, domyślała się, że musiał coś jej podać. To było jedyne wytłumaczenie, jakie przychodziło Emmie teraz do głowy. Zapewne to jego sprawka, że tak momentalnie straciła kontakt z rzeczywistością, aż do chwili, gdy ocknęła się na podłodze.

Uniosła z wielkim wysiłkiem odrobinę głowę, na tyle, ile to możliwe, tak by spojrzeć dokładniej w tamtym kierunku. Steven, jeśli to faktycznie jego prawdziwe imię, stał odwrócony tyłem do dziewczyny. Emma widziała jak zamknął właśnie swoją starą, brązową, skórzaną torbę z zamkiem od góry. Trzymał ją na stole, który także przykryty był folią. Skojarzyła momentalnie; widziała już tę samą torbę w barze. Zapytała go wtedy, co w niej ma, ale on ładnie wyjaśnił, że zawsze z nią chodzi, a służy mu jako neseser na dokumenty. Podobno był to prezent od jego zmarłego ojca i mimo, że nie pasował stylem do dzisiejszego, nowoczesnego świata, jemu to nie przeszkadzało.

Emma przestała stękać z bólu, ale wciąż oddychała z wielkim trudem. Leżała spętana niczym zwierzę przed mordem. Wyczuwała gruby sznur na swoim ciele, zawinięty wokół szyi. Jego końce biegły po obu stronach, wzdłuż ciała, aż do nadgarstków, które były mocno nim owinięte. Dalej zmierzał do stóp, gdzie równie ściśle skrepowane zostały kostki. Ręce miała ułożone równoległe do tułowia. Nie mogła wykonać żadnego znaczącego ruchu, nie mogła nawet krzyczeć, by wezwać pomoc. Czuła kompletną niemoc.

Lina zaczynała wrzynać się jej w ciało. Gdzieniegdzie, w miejscach związania, powoli sączyła się krew. Cierpienie przeszywało każdą cząstkę jej organizmu, usta zdrętwiały już od knebla. Lecz nie to było dla niej najgorsze. Bardziej dręczyła ją myśl, że mogło jej tu nie być. Dlaczego byłam taka naiwna? - myślała Emma.

Mężczyzna nagle odwrócił się na moment i spojrzał dziewczynie w oczy.

- Jak tam? Widzę, że dochodzisz już do siebie.

Emma zorientowała się, że ów człowiek okazał się oszustem i z

pewnością mógł być tym seryjnym mordercą, którego policja poszukiwała od ponad miesiąca. Słyszała o nim ostatnio, gdyż media trąbiły o tym dosyć często. Czyżby to ona miała być jego kolejną ofiarą?

- No, mruknij choć trochę, mała Słodzinko. Tak na znak przyjaźni i tego, że już zrozumiałaś co cię spotkało i co zaraz cię czeka. Ale pozwól najpierw, że ci wyjaśnię czemu tu się znalazłaś. Tylko jeszcze stęknij z bólu tak ładnie jak wcześniej, proszę, grzesznico.

Emma jednak ani pisnęła. Nawet nie wydała z siebie tego małego stęknięcia, o które prosił. Postanowiła nie dać oprawcy ani grama satysfakcji ze spełnienia sadystycznych zapędów. Nie chciała, by poczuł upragnioną rozkosz z obserwacji jej cierpienia i śmierci. Emma wiedziała, że z każdej sytuacji było jakieś wyjście, ucieczka, ale nie miała pojęcia, czy ona już jej nie przegapiła. Teraz wydawało się, że pozostała jej jedynie nadzieja.

- Powiedzmy sobie prawdę, piękna, wytatuowana blondyneczko, Emmo Bennett. Nawet nie wiedziałaś pewnie, że wybrałem cię już dawno. Czekałem tylko na ten odpowiedni moment. Nie pamiętasz mnie, co?

Emma popatrzyła do góry, mrużąc oczy od światła. Próbowwała cofnąć czas w pamięci i skojarzyć sobie tego człowieka. Niby skąd miała go znać? Zatracona w rozmyślaniu, zapomniała na chwilę o bólu.

- Pamiętasz, co zrobiłaś takiemu słodkiemu malcowi, co do dziś nie wie, dlaczego go oddałaś obcym ludziom? No, pomyśl, dziewczyno, komu wylewałaś te swoje żale i usprawiedliwienia? Gdzie byłaś po tym nikczemnym czynie?

Emma wracała myślami do zdarzenia z tego okresu, tuż po ciąży i narodzinach dziecka. Steven stanął przed nią, dokładnie u

samych jej stóp.

- A, jeszcze jedno... Będzie bolało i to mocno, byś wreszcie została oczyszczona. Ty nikczemna namiastko matki! I nie myśl sobie, że ból będzie mały, taki jak podczas robienia tego przepełnionego żalem i własną winą - choć muszę przyznać, że słodkiego - pełnego grzechu napisu na twoim ciele.

W tym momencie wszystko stało się dla Emmy jasne. Skojarzyła tego mężczyznę.

- Robię to, byś została uwolniona i dała przykład grzesznicom podobnym do ciebie.

Emma szarpnęła się lekko, wykrzywając twarz w grymasie bólu. Przesunęła swe ciało tak, by znowu mogła spojrzeć choć odrobinę na stół stojący dosłownie trzy metry przed nią. Steven zorientował się od razu, o co jej chodziło i odwrócił głowę w kierunku rzeczy leżących na nim.

- Co, słodziaku, próbujesz zobaczyć, co miałem w torbie?

Emma kiwnęła lekko głową.

- Spokojnie, to tylko zwykły młotek, no i piękna, robiona wedle mojego pomysłu i projektu stal.

Dziewczyna poczuła, że zaraz straci przytomność. Wszechobecna panika zawładnęła również jej sercem. Zdała sobie sprawę, że jej koniec był bliski. Próbowwała się jedynie skupić na tym, by nie dać oprawcy satysfakcji. Zamknęła oczy i modliła się w duchu, myślała o swoim synku.

- Hej, ocknij się! Mam dla ciebie coś, co lubisz... Piękną, II symfonię Beethovena. Nie chcę, by twoje jęki sprowadziły nieproszonych gości.

Emma odwróciła głowę na bok i udała się w inny świat. Mężczyzna zawinął młotek i kilka metalowych przedmiotów w folię leżącą na stole, następnie położył wszystko na podłodze. Podszedł

powoli do kobiety, wziął ją na ręce bez żadnego wysiłku niczym kawałek suchego drewna, zaniósł w kierunku stołu i umieścił ją na nim.

Kilka godzin później mężczyzna zdjął kombinezon, zapakował go do dużego, foliowego worka, po czym mocno zawiązał i odstawił z boku stołu. Zamierzał go zabrać, wychodząc z mieszkania. Pozostałe rzeczy dokładnie wyczyścił i schował do skórzanej torby, którą również postawił koło stołu.

ROZDZIAŁ VIII

Milton czekał w ukryciu już jakieś dwadzieścia minut. Co jakiś czas spoglądał w okno, z którego poprzedniej nocy wyszedł chłopiec. Wewnątrz mieszkania panowała kompletna ciemność. Aby upewnić się, czy w środku jednak się ktoś znajdował, postanowił jeszcze chwilę poczekać.

Po zmroku zaułek, w którym się obecnie znajdował, był ledwo widoczny i idealnie pasował do tego typu obserwacji. Minęły kolejne minuty. Milton kierował swój baczny wzrok nie tylko w stronę okna, ale i dookoła, obserwując pobliską okolicę. Nie chciał, aby go ktoś zaskoczył zniemacka. Miał pewien plan, ale zastanawiał się w dalszym ciągu, czy rozmowa z policjantem, ojczymem Jona, to dobry pomysł.

Zerknął ponownie na zegarek, dochodziła godzina dziewiąta wieczorem. Spojrzał jeszcze raz do góry. W lokalu obok ktoś właśnie zapalił światło. Po krótkiej chwili spostrzegł, że w mieszkaniu Jona pojawił się dziwny błysk. Nie wyglądało to na zwykłe oświetlenie. Najwyraźniej użyto latarki. Znał doskonale ten obraz z własnego doświadczenia. Uważnie przyglądał się, jak poświata poruszała się po mieszkaniu, wchodząc także do pokoju

chłopca. Mieszkanie było usytuowane na rogu budynku, więc postać była teraz widoczna z obydwu stron bloku. Milton zrobił krok do przodu, by wnikliwiej się przyjrzeć. Stał blisko latarni, która oświetlała ulicę i teren z boku. Niestety w związku z tym, sam mógł zostać zauważony przez innych. Nagle zagrzmiało i jakby znikąd pojawiła się gwałtowna ulewa. Momentalnie zmoczyła go do suchej nitki. Instynktownie zsunął plecak z ramienia i chwycił w dłoń. Przebiegł błyskawicznie przez ulicę i bez zbędnego zastanowienia ruszył w stronę interesującego budynku. Zatrzymał się tuż przed wejściem, cofnął o krok i zerknął ponownie do góry w okno. Spostrzegł, jak postać znajdująca się w środku, zgasła latarkę i przyglądała się mu przez chwilę. Milton nie widział twarzy w tej ciemności, ale był już pewien, że miał do czynienia z tym samym człowiekiem, co kilkanaście godzin temu. Wszedł zwawo do środka bloku. Na dole klatki schodowej panowała cisza, nie było żywego ducha, jedynie szare podrapane ściany. Pierwsze piętro zdobył migiem. W połowie drugiego minął go dziwny, zakapturzony typek, którego delikatnie trącił barkiem, gdy tamten zbiegał po schodach.

- Przepraszam! - krzyknął, ale facet nic nie odpowiedział i momentalnie zniknął, zbiegając w dół.

Nawet się nie obejrzał - pomyślał Milton. Nie miał pewności, ale facet chyba trzymał coś w ręku.

Ostatnie stopnie schodów Milton pokonał jeszcze prędej, licząc na spotkanie człowieka, którego już po raz drugi widział w tym samym oknie. Tyle, że żadne z tych natknięć nie wydawało mu się miłe. Tym razem liczył, że będzie miał więcej szczęścia i go dorwie. Będąc na drugim piętrze, usłyszał dziwne, acz znane hałasy. Dochodziły zza jednych drzwi. W najlepsze rozgrywała się kłótnia jakiejś pary. Zlekceważył to, dziś nie był już policjantem,

miał co innego do załatwienia. Podszedł do mieszkania o numerze 12 i wcisnął dzwonek. Wiedział od Jona, że to właśnie pod tym numerem mieszkał. Cisza, nikt nie otworzył. Jakby nagle ten jegomość z okna rozpląnął się, nim zdołał tu dotrzeć. Zastukał jeszcze energiczniej pięścią. Znowu nic. Za to kłótnia ucichła, a drzwi z boku mieszkania numer 12 się uchylły.

- Co jest, kurwa? Hałasujesz i hałasujesz! Jeremiego nie ma! Spadaj stąd - oznajmił groźnie sąsiad.

- Dobra, nie marudź! Widziałem światło w środku, mam sprawę do tego człowieka.

- Kurwa! Nie rozumiesz! Mam powtórzyć? Jeremiego nie ma, jest na służbie. Ma poważne problemy, więc lepiej spieprzaj, bo ty też je możesz mieć - wzburzył się wielkolud. - A w ogóle to cię nigdy tu nie widziałem...

Mężczyzna miał dobre dwa metry wzrostu i potężną nadwagę. Zarośnięty, z tłustymi włosami do ramion, ubrany jedynie w krótkie spodenki stał i wpatrywał się w Milona z wyraźnym niezadowoleniem. Widać było, że chyba dopiero co podniósł się z łóżka.

- Spokojnie, grubasie.

- Co ty, kurwa, powiedziałaś?! Nie jestem dla ciebie żaden grubas, ty pieprzony łachmyto! Nie rozumiesz? Wypad stąd, bo zaraz ci dopierdolę, a potem zadzwonię po gliny, kumpli Jeremiego. Zwałą się tu w moment i łomot ci dodatkowy spuszcza - wycedził przez zęby, intensywnie przy tym gestykułując rękoma i grożąc palcem.

Mimo to nadal stał w progu własnego mieszkania, nawet nie drgnął do przodu w kierunku nieznajomego. Milton w tym czasie spokojnie rozsunął plecak i wyjął z niego czarne, skórzane rękawiczki. Facet przyglądał się tylko tej czynności, zerkając co

chwila do środka własnego mieszkania. Milton włożył je, jedna po drugiej, nawet nie słuchając wciąż coś bełkoczącego jegomościa. Zrobił krok w jego stronę. Bez zastanowienia wykonał szybki cios pięścią w twarz przeciwnika. Facet stracił równowagę i padł do tyłu, przewracając się na podłogę w korytarzu. Twarz miał zalaną krwią, która sączyła się z nosa oraz rozwalonej wargi. Półprzytomny leżał tuż za progiem mieszkania. Pluł i chrząkał, nie chcąc udusić się własną krwią. Mimo swojego fatalnego położenia, wciąż próbował grać odważniaka. Groził krzykami, wydobywającymi się w przerwach na pozbycie nadmiaru śliny zmieszanej z krwią. Nie zdawał sobie sprawy, że nie stanowił żadnej większej przeszkody dla wyszkolonego byłego agenta. Milton pochylił się nad znokautowanym i wymierzył swój palec wskazujący prosto w jego twarz.

- Nawet nie waż się stąd podnosić!

Ruszył w głąb jego mieszkania. W pokoju, na dwuosobowym łóżku siedziała drobniutka dziewczyna ubrana jedynie w skąpą bieliznę. Trzęsącymi rękoma próbowała się czymś szybko nakryć, by schować swe drobne ciało. Milton stanął i popatrzył na nią.

- Cicho, młoda, nie zrobię ci krzywdy. Zmykaj stąd. Nie warto tak marnować życia - rzekł do zdenerwowanej dziewczyny.

Momentalnie wciągnęła na siebie jakieś ubranie, a wychodząc, uśmiechnęła się do swojego wybawiciela.

Potężnych rozmiarów gość, leżący w przedpokoju, pomaleńku zaczął się zbierać, czując przenikliwy ból głowy. Nie miał już najmniejszej ochoty stawiać ponownie oporu nieznanemu. Dostał niezłą nauczkę. Okazał się przy tym najzwyczajszym tchórzem, który lubił znęcać się nad słabszymi kobietami. Widać było, że nie spodziewał się takiego obrotu sprawy.

- Nie ruszaj się! Leż spokojnie! - ostrym głosem nakazał

Milton.

Wielkolud wciągnął pomału na łóżko swe spocone ciało i głośno westchnął. Nie tylko ucierpiał fizycznie, gdyż miał złamany nos i obitą twarz, ale najbardziej została zraniona jego wielka duma i pewność siebie; były wręcz zmiażdżone, a przyczyniła się do tego zaledwie jedna osoba.

- Zjebałeś mi wieczór, człowieku! Zawiadomię gliny - stękał i marudził wielkolud.

Jednak widać było, że niejedną rzecz miał na sumieniu, a owa panna, co u niego przed chwilą się znajdowała, to jakieś zagubione dziewczę dorabiające w ten niegodny sposób. Milton spojrzał na niego i nic nie mówiąc, podszedł do drzwi balkonowych. Był przekonany, że ten zbereźnik nigdzie nie zadzwoni, obawiając się, że ściągnie kłopoty także na siebie. Musiałby się grubo tłumaczyć z zabawy z młodą dziewczyną, a być może nawet z dzieckiem.

Milton otworzył szeroko drzwi balkonowe. Poczuł świeże powietrze oraz delikatne krople deszczu na swojej twarzy. Nie tracąc czasu wdrapał się na metalową balustradę balkonową i podtrzymując ręką muru, postawił stopę na mały, wystający gzysik prowadzący do drabiny przeciwpożarowej tuż obok. To właśnie po niej Jon zszedł minionej nocy. Śliskość powierzchni gzysmu murku dała o sobie znać. Już po pierwszym kroku o mało nie wylądował kilka pięter niżej, gdyż na chwilę stracił równowagę. Jednak przytrzymał się mocno ściany i powoli, posuwistym ruchem dotarł do poręczy drabiny, chwycił mocno rękoma i wszedł na jej stopnie.

Zdziwił się niezmiernie, że w takiej nieprzewidywalnej sytuacji stał się nagle włamywaczem i to na oczach tego grubasa. Miał to jednak gdzieś. Koniecznie chciał się dostać do mieszkania policjanta. Momentalnie zadziałał u niego instynkt, który nie

pozwoił mu się zatrzymać. To dziwne światełko, które widział przed kilkunastoma minutami... Nie byłby sobą, gdyby tego nie sprawdził. Do tego właśnie został przeszkolony w akademii, a niewątpliwie także miał to we krwi. Nie zawsze było warto długo się zastanawiać. Najlepiej szło się na żywioł, po prostu działało, wykonywało swoją robotę.

Spojrzał przez szybę do środka mieszkania. Wewnątrz panował mrok. Nic i nikogo nie było widać. Milton zdawał sobie sprawę, że miał niewiele czasu. Przysunął twarz bliżej okna, wyteżył wzrok, próbując dostrzec zawartość pomieszczenia. Niestety nic. Pusto i cicho, jak makiem zasiał. Liczył, że zastanie tu tego osobnika wyglądającego niedawno przez okno, lecz on najwyraźniej wyparował. Oczywiście, byłoby idealnie, gdyby zdążył dorwać mężczyznę z latarką, kimkolwiek on był, choć chyba wolałby spokojnie pomówić z ojczymem Jona i mieć tę sprawę już z głowy.

Nie zastanawiając się za długo, przystawił plecak do szyby i walnął w niego łokciem. Delikatne uderzenie wystarczyło, szyba pękła nie robiąc za dużo hałasu. Wsunął dłoń w powstały otwór i zmieniając położenie klamki, otworzył okno. Wpakował się ostrożnie do środka, lustrując uważnie każdy kąt. Poruszał się cichutko i bezszelestnie. Wewnątrz panowała ciemność, jedynie pobliska latarnia użyczala odrobinę jasności. W pomieszczeniu, w którym się znajdował obecnie nie było już śladu po mężczyźnie. Milton wyjął latarkę i poszperał trochę w zakamarkach mieszkania. Zajrzał do salonu, kuchni, kolejnego pokoju. Wszystko wyglądało tam zwyczajnie. Pokoik Jona był mały, ale przytulnie urządzone. Nic nadzwyczajnego. W całym mieszkaniu nie znalazł niczego, co wydawałoby się mu podejrzane. Do tego żadnej wskazówki, która poinformowałaby go o miejscu pracy mamy chłopca. Szuflady pełne ubrań, w szafie wisiały dwa policyjne

mundury i kilka męskich garniturów.

Czas się zmywać. Nic tu po mnie – pomyślał. – Ten facet co tu był, dawno już wyszedł – mamrotał do siebie pod nosem.

W tym momencie usłyszał sygnały nadjeżdżającego radiowozu. Syreny wyły głośno i wyraźnie, co oznaczało, że są bardzo blisko. Milton zgasił latarkę i podszedł do okna. Wyjrzał na zewnątrz. Policyjne auto zaparkowało pod blokiem, tuż przy głównej ulicy. Okazało się, że źle ocenił tego zbereźnego sąsiada, z czego zdał sobie sprawę dopiero teraz. Fakt był bezsporny. Wielkolud tu mieszkał, sprowadzał nieletnie dziewczyny do zabawy i do tego pod samym nosem gliniarza. Najwyraźniej musiał być jego dobrym kumplem.

Na szczęście na razie pojawił się tylko jeden radiowóz. Kierowca nie wyłączył świateł zamontowanych na dachu, które uporczywie migotały wciąż w ciemności, dając o sobie znać. Milton analizował pośpiesznie swoje położenie. Miał szansę ekspresowo i niepostrzeżenie zejść po drabinie przeciwpożarowej i zniknąć, zanim w ogóle ktoś się tu zjawi. Dysponował zatem niewielką ilością czasu, by zmyć się z tego mieszkania, lecz przypomniał sobie, że przeoczył łazienkę. Musiał koniecznie tam zerknąć, choć na moment.

To zajmie mi tylko chwilę, jedną małą chwilę – powtarzał, kierując energicznie swe kroki w stronę korytarza.

Otworzył drzwi łazienki, jednocześnie nasłuchując uważnie odgłosów z klatki schodowej. Jednak w takiej ciemności nie mógł nic dojrzeć. Zdawał sobie sprawę, że i tak był już spalony. Wyciągnął rękę w poszukiwaniu włącznika na ścianie. Nacisnął go niezwłocznie i dzięki dwóm kinkietom zamontowanym przy lustrze ujrzał wnętrze małego pomieszczenia.

– O kurwa! – powiedział na głos, spoglądając na wannę.

Zaczerpnął głębiej powietrza w płuca, by oprzytomnieć i odzyskać jasność umysłu, gdyż poczuł lekki zawrót głowy, a w ustach momentalnie zrobiło mu się sucho.

- Ja pierdolę! Co tu zaszło? Kim ona była? - nurtujące pytania odbiły się echem w pomieszczeniu.

Makabryczny widok omal nie zwałił go z nóg. Wiele widział przez lata służby, ale nie spodziewał się takiej sceny w tym miejscu.

Łazienka była naprawdę nieduża. Znajdowała się tam umywalka z podwieszoną szafką, pralka automatyczna, kosz na bieliznę, a po prawej stronie niewielka, biała wanna, nad którą suszyły się ubrania. To, co odbiegało od wszelkiej normy, to ciało kobiety owinięte folią i umieszczone we wnętrzu wanny. W pierwszej chwili Milton pomyślał o matce Jona. Czyżby to ona?

Podszedł bliżej i nachylając się, przyjrzał zmaltretowanym zwłokom kobiety. Zorientował się, że nie żyje i to od dobrych kilku godzin, gdyż temperatura ciała spadła znacząco. Młoda dziewczyna o pięknych blond włosach, umazanych we krwi, leżała z wykrzywionym grymasem twarzy. Z całą pewnością była torturowana przed śmiercią. Na ramionach miała dziwne rany kłute, po jednym na każdym z nich. Podobne ślady widniały na obu udach ofiary, co mogło świadczyć, że do zadania obrażeń użyto tego samego przedmiotu. Milton spostrzegł, że po lewej stronie szyi została przecięta tętnica.

Boże - pomyślał. - Czy to matka chłopca? Czy ten zwyrodnialec, ojczym Jona, znęcał się nad nią, gdy chłopiec był ze mną?

Myśli zaczęły przygniatać Milтона, ale otrząsnął się momentalnie, gdyż usłyszał ogromny hałas dochodzący z klatki. To oznaczało, że za długo tu zabawiał. Teraz musi uciekać. Tylko

którédy?

Jeremy Robertson, nieformalny ojczym Jona ubrany po cywilnemu wraz ze swoim kolegą, sierżantem Torresem, który był w mundurze policyjnym, stanęli przed drzwiami mieszkania numer 12. Sąsiad wyglądał z własnych, lekko uchylonych drzwi.

- Cześć, Bernard. Dobrze, że zadzwoniłeś - zwrócił się Robertson do swojego sąsiada.

- Jak tylko doszedłem po tym ciosie do siebie. Uważajcie, to groźny bydlak.

- Dobra stary, daj spokój - rzekł Robertson, przerywając w ten sposób dziwne tłumaczenia sąsiada.

- Jak tam chcesz, ale to niezły typek. Tak mnie jebnął znieńacka, zem ledwo przeżył - usprawiedliwiał swoją słabą postawę.

- Dobra, dobra - odpowiedział kolega Jeremiego, sierżant Torres, nie chcąc tracić czasu na zbędne pogaduszki.

Sąsiad Hudson zadzwonił do swojego kumpla Jeremiego Robertsona, gdyż dobrze się znali i często razem popijali. Miał do niego prywatny numer. Nie wezwał policji, tak jak każdy inny obywatel, zgłaszając przestępstwo na 911, ponieważ chciał uniknąć kłopotów i długich przesłuchań. Dlatego postanowił skontaktować się bezpośrednio z kolegą z mieszkania obok. Akurat trafił, że Robertson był nieopodal w barze razem z Torresem, więc obaj panowie pojawili się w miarę szybko, jak tylko otrzymali wiadomość.

- Odsuń się lepiej, Bernard! My wejdziemy do środka. Może być nieprzyjemnie, jeśli on tam jeszcze jest.

- Jest, kurwa! Mówię ci! A niby którédy miał zwiać?

- Dobra, mądralo, a drabina przeciwpożarowa?

- Fakt, o tym nie pomyślałem. Ale on tam jest - dodał sąsiad

i cofnął się za próg swojego mieszkania. Nadal miał uchylone drzwi. Ciekawość zwyciężyła.

Robertson odpiął pasek zabezpieczający pistolet, wyjął klucz i włożył w zamek. Najdelikatniej jak potrafił przekręcił powoli w prawo. Obaj policjanci byli uzbrojeni, nie zamierzali się cackać z intruzem. Torres wyjął broń i ubezpieczał kolegę.

- Zmykaj, kurwa, do siebie. Głuchy jesteś? Nic tu po tobie - ściszone głosem zakomunikował sąsiadowi Robertson.

Hudson już nie zakwestionował tego polecenia, gdyż znał doskonale charakter kolegi. Jednak w duchu kipiał ze złości, że nie mógł obejrzeć, jak mu się wydawało, niezłego przedstawienia.

Robertson przysunął prawą rękę do broni. Zawiasy skrzypnęły, gdy powoli drugą ręką uchylił drzwi do połowy. Zerknął do środka. Cisza i ciemność. Nie było widać ani żywego ducha.

- Wchodzę - rzekł do Torresa.

Gdy tylko zrobił krok za próg mieszkania, z zaskoczenia otrzymał potężne uderzenie drzwiami w twarz. Padł niczym ścięta kłoda drewna, wpadając z impetem na kumpla. Obaj osunęli się bezwładnie na podłogę. W wyniku tego zderzenia Torresowi wypadł pistolet z ręki.

Nagle z mieszkania wyłonił się Milton i stanął naprzeciwko leżących na posadce dwóch dżentelmenów. Od razu zauważył, że tylko jeden był w policyjnym mundurze. Popatrzył na nich z niesmakiem. Stanął butem na leżącej przed nim broni. Wyraźnie dał tym do zrozumienia, żeby nie ważyli się sięgnąć po pistolet. Dla ich dobra, oczywiście. Milton nie ukrywał przed nimi twarzy. Wiedział, że to, co zobaczył w łazience, musiało być niezwłocznie zgłoszone na policję, a właściciel mieszkania nawet nie mógł marzyć, by wyslizgnąć się wymiarowi sprawiedliwości. Zbrodnia prawdopodobnie miała być doskonała. Jednak on pokrzyżował

mordercy szyk. Podejrzewał, że policjant, a może nawet obaj funkcjonariusze chcieli zatrzeć ślady, ale świetny plan nie wypalił, gdyż przez przypadek odkrył zwłoki.

Milton zdawał sobie sprawę także ze swojego trudnego położenia, właśnie przestał być anonimowy. Schylił się i podniósł gnat, po czym rozładował go i rzucił obok mężczyzn. Nie zrobił nic więcej, mimo tego, co zobaczył w środku. Zszedł wyjątkowo spokojnie po schodach i wyszedł z budynku. Zastanawiał się, co tak naprawdę zaszło w tym mieszkaniu i kim była ta kobieta, ofiara brutalnego mordu. Co powie chłopcu? Obiecał mu przecież, że znajdzie jego mamę i nie da go skrzywdzić. Koniecznie musiał jak najszybciej powiadomić policję o znalezisku. Anonimowo rzecz jasna. Nie mógł pozwolić, by ci dwaj pozbyli się ciała i wyczyścili mieszkanie z dowodów.

*

Sąsiad Hudson stał cały czas za zamkniętymi drzwiami mieszkania i nasłuchiwał wydarzeń na klatce schodowej. Wyszedł tuż po zniknięciu intruza. Z jego małą pomocą policjanci zaczęli podnosić się z podłogi. Robertson nie wyglądał najlepiej; miał rozwalony nos, gdyż przyjął mocne uderzenie, natomiast sierżant Torres wyszedł praktycznie bez szwanku z tej niemiłej niespodzianki. Posłużył jedynie koledze za amortyzację podczas upadku.

- A nie mówiłem, że to niebezpieczny typ? - odezwał się Hudson ze współczującą miną.

- Faktycznie. Zaskoczył nas, skurwysyn! A ty, Berni, się tak nie wymądrzaj! - odpowiedział zdenerwowany Robertson.

- Spokojnie, kolego, widzieliśmy jego gębę - dodał Torres.

- Tak! Jeśli jest w bazie, to go już mamy. Torres wezwij ekipę,

niech zbiorą dowody, może mimo rękawiczek zostawił odciski. Muszą być po nim jakieś ślady. Teraz pewnie rozpląnął się gdzieś, szkoda wyłazić w taką pogodę - Robertson obtarł nos rękawem i odchylił głowę do tyłu, chcąc zatamować krew.

- Mowy nie ma, żebyśmy go dogonili. To duże miasto. Facet wyraźnie wiedział, co robił, nawet się nie krył, jebany. Co o tym sądzisz, Jeremy? Pojeb czy co? Przecież musiał słyszeć nasz radiowóz. Może to nie przypadek, że tu dziś był?

- Nie mam pojęcia. Nie wiem też, czemu tak postąpił. Ciekawe kim jest i dlaczego wyszedł prosto na spotkanie z nami. Mógł przecież po prostu zwać schodami przeciwpożarowymi - powiedział Robertson, zatykając ręką wciąż krwawiący nos.

- Wchodzisz? - zapytał sąsiad, wskazując dłonią w stronę otwartego mieszkania.

- A co? Ty kurwa chcesz to zrobić? - odpowiedział zirytowany Torres.

- Nie, tylko...

- Dobra, Berni, ty już swoje zrobiłeś, daj nam popracować i nie zacieraj śladów. Kto wie czy facet nie maczał łap i nie wie, gdzie jest Sally z małym. Spadaj, kolego, do siebie, później pogadamy - dodał wyraźnie wkurzony całą sytuacją Robertson.

ROZDZIAŁ IX

Milton w tym czasie wrócił już do miejsca, w którym zostawił chłopca pod opieką Gregora.

- Gregor! Jon! - zawołał, otwierając szerzej uchylone zewnętrzne drzwi budynku.

Musiał zachować zimną krew, aby nie dać po sobie poznać zdenerwowania. Odkrycie, którego dokonał w mieszkaniu, kompletnie wyprowadziło go z równowagi.

- Jon? - powtórzył, idąc ciemnym korytarzem.

Pokonał go kilkoma szybkimi krokami. Drzwi do pomieszczenia, gdzie zostawił chłopca, były lekko uchylone. Wszedł do środka, jednak nikogo tam nie zastał. Momentalnie skóra ścierpła mu na plecach.

- Jon? Gregor? - powtórzył, lecz na próżno.

Rozejrzał się po pokoiku. Był na tyle mały, że nic, a w szczególności nikt nie mógł się tam ukryć. Na podłodze, tuż przy łóżku, leżał zajaczek Jona. Milton podniósł go i schował do kieszeni płaszcza.

Jezu, co tu zaszło? Gdzie oni są? Może po prostu się przenieśli, gdy w okolicy zrobiło się zbyt gorąco? Nadjeżdżający radiowóz

mógł ich wystraszyć – pomyślał.

Nie miał pojęcia, dlaczego Gregor wyszedł i zabrał Jona, ale pozostawiony Długouchy sugerował szybkie opuszczenie tego miejsca. Na stole nadal stał termos i leżały kanapki, które zostawił przed wyjściem. Serce zaczęło walić mu tak mocno, jakby chciało wyskoczyć z klatki piersiowej.

- Duży Jonie! - krzyknął, będąc już na zewnątrz budynku.

Na jego słowa odpowiadała mu jedynie cisza, którą zakłócały kolejne, policyjne patrole jadące na sygnale główną aleją. Dojeżdżały do bloku, który Milton opuścił kilka minut temu. Radiowozy zatrzymywały się przed wejściem, rozświetlając wokół okolicę blaskiem kogutów zamontowanych na ich dachach. Milton czuł, że coś tu nie grało. Czyżby to sprawka tych gości na górze, którym spuścił łomot?

- Cholera! - zaklął pod nosem, wyraźnie wkurzony i zdezorientowany.

Czasu teraz nie cofnie i nie zmieni decyzji. Kompletna pustka wypełniała jego głowę i w dodatku miał na karku gliny z jego rysopisem. Ruszył przed siebie do głównej ulicy, rozglądając się wokoło. Minął metalowy kontener na śmieci, stojący zaledwie kilka metrów od drzwi, z których wyszedł i się zatrzymał. Spojrzał uważniej w tamtym kierunku.

- Kurwa! - zaklął, gdy dojrzał wystające palce człowieka na jego krawędzi.

- Jonie! - krzyknął, a serce zaczęło bić mu jak oszalałe.

Wykonał energiczny zwrot i już znalazł się przy metalowym więzieniu, w którym ktoś najwyraźniej się znajdował. Patrzył na ledwo widoczną postać przywaloną gruzami i leżącą w stercie śmieci.

- Gregor? - wymamrotał. - Co się stało? Gdzie jest Jon? -

wydusił z siebie, po czym pochwycił Gregora pod ramiona, aby móc odrobinę wydobyć go spod sterty kawałków betonu i innych budowlanych odpadów.

- Gregor? - powtórzył zdezorientowany, uważnie przyglądając się przyjacielowi, który był w fatalnym stanie. Ciemna krew wypływała mu obficie z rany pod żebrami. Gregor miał mocno uszkodzone ciało w miejscu, gdzie znajdowała się wątroba. Milton znał doskonale ten rodzaj ran; to mogło oznaczać tylko jedno. Przyjaciel, w wyniku odniesionych obrażeń, może nie przeżyć. Popatrzył mu prosto w oczy. Gregor poruszył z wysiłkiem ustami i ledwo słyszalnym głosem coś szeptał w jego kierunku. Milton ze strzępków słów zrozumiał, co tak naprawdę się tu rozegrało. Chłopca zabrał jakiś facet. Mały bardzo się go bał.

Najwyraźniej obaj zostali zaskoczeni przez człowieka, który wiedział, że Milton pozostawił Jona w tym miejscu. Osobnik wyglądający przez okno mógł to zauważyć, choć wydawało się to mało prawdopodobne. Jednak istniała taka możliwość.

Do tego ten koleś z klatki, co nic mu nie odpowiedział, gdy Milton niechcący zawadził go ramieniem. Czas pasowałby idealnie. Nie zastał nikogo w mieszkaniu numer dwanaście. Ten facet spokojnie mógł dotrzeć w to miejsce. Nie był jednak pewien tego scenariusza i nie do końca przekonała go ta myśl.

- Szukaj chłopca - wyszeptał Gregor.

- Znajdę go, nie martw się o to.

- Przepraszam cię, Jon, ale chłopak mi uciekł.

- Co?

- Pobiegnął za tobą - ostatkiem sił wydusił na koniec Gregor.

- Spokojnie, to nie twoja wina. Wzywam ci pomoc - dodał Milton.

W tym samym momencie miał wrażenie, że Gregor na chwilę

ścisnął mocniej jego dłoń, po czym momentalnie uścisk osłabł. Milton stracił nadzieję, że go uratuje. Gregor przestał oddychać, a on puścił jego rękę i zamknął mu oczy. Oddalił się z tego miejsca tak szybko, jak było to możliwe. Jego przyjaciel został zamordowany i to w paskudny sposób.

Miasto tej nocy roіło się od glin. Chłopiec przebywał teraz z obcą osobą i na pewno nie był bezpieczny.

Co robić? Jak mam postąpić? - zastanawiał się Milton. Wiedział, że najlepszym dla niego rozwiązaniem byłoby, aby się ulotnił, a następnie gdzieś zaszył i dał sobie spokój z tą sprawą, pozostawiając wystarczająco czasu detektywom na ustalenie faktów. Lecz nie był w stanie tego zrobić. Więż, która połączyła go z chłopcem, wyraźnie zaczęła mącić mu w głowie. Czuł się odpowiedzialny za tego malca i tragiczną śmierć swojego przyjaciela Gregora. Orientował się, że facet, który tego wszystkiego dokonał, był sprytny, ale i pełen nienawiści. Nie wahał się na oczach dziecka śmiertelnie ranić starszego mężczyznę i wrzucić do kontenera. Świadczyć to mogło o tym, że w jakimś celu chłopiec był mu potrzebny i na pewno nic dobrego nie czekało Jona ze strony tego porywacza.

Gdy Milton podążał dalej chodnikiem, zauważał kolejne policyjne patrole mijające go na ulicy. Schylił głowę nieco do dołu i pośpiesznie podszedł za róg następnego budynku. Ukrył się w jego cieniu tak, aby nie zauważyła go policja. Nie miał pewności, czy nie mieli już jego opisu, który mogli podać ci trzej panowie, z jakimi miał niemiłe spotkanie. Jako były agent zdawał sobie sprawę, że sprawdzą momentalnie, kto znajdował się w mieszkaniu chłopca i poturbował dwóch gliniarzy oraz sąsiada.

Rozejrzał się jeszcze wokół i po chwili ruszył w kierunku podziemi metra. Wszedł do ostatniego wagonu. Mijał stacje jedna

po drugiej. Milton odruchowo wysiadł na jednej z nich. Czuł się teraz niczym zagubiony psiak, przemierzając bez celu ulice Manhattanu, mimo że akurat tę okolicę znał doskonale, chociaż z wyboru od pewnego czasu trzymał się od niej z daleka.

ROZDZIAŁ X

Była październikowa noc, kwadrans do północy. W mieszkaniu, gdzie znajdowały się zwłoki kobiety, zjawił się detektyw Cane. Na miejscu pracowały już inne policyjne służby. Zawiadomił je właściciel, gdy dokonał makabrycznego odkrycia w łazience, co okazało się dla niego niemałym zaskoczeniem. Robertson oraz sierżant Torres zostali zatrzymani i przewiezieni do departamentu 67. Pozostaną tam pod nadzorem, aż do dalszych ustaleń i wyjaśnień okoliczności zdarzenia w mieszkaniu zatrzymanego. Sąsiad Hudson był przesłuchiwany na miejscu. Jego zeznania nakreśliły detektywowi, jak mógł wyglądać przypuszczalny przebieg wydarzeń. Porówna je później z tymi, które przedstawią mu obaj zatrzymani panowie.

- Chłopaki, proszę o szczególną dokładność - zakomunikował detektyw.

Prokurator kiwnął tylko głową, gdyż znał swoich ludzi i wiedział, że pracują rzetelnie. Nie musiał im wyjaśniać, iż dana sprawa była niecodzienna i priorytetowej, wysokiej wagi.

Detektyw Cane przejął to śledztwo. Doskonale zdawał sobie sprawę, że nie był to zwykły przypadek, podobnie jak zniknięcie

żony i pasierba jego partnera z wydziału. Zakładał najgorsze. Sądził, że wszystkie te sprawy mogły się łączyć i stała za tym ta sama osoba, którą on od kilku tygodni próbuje aresztować.

- Słuchaj, Cane! - wrzasnął na cały głos koroner, który znajdował się obecnie w salonie.

Koroner był mężczyzną po sześćdziesiątce, średniego wzrostu, mocno otyły, doskonale znający się na swojej robocie. Nie miał włosów na głowie, a w tej chwili czoło zraszały mu krople potu. Ubierał się dosyć wyraziście, zazwyczaj w czerwoną koszulę ozdobioną pstrokatym krawatem, na którym widniały zwierzątka; do tego chabrowe spodnie i podobnego koloru marynarka. Detektyw nie raz zwracał mu uwagę na jego oryginalny strój, na co koroner z uśmiechem odpowiadał, że jego praca do najprzyjemniejszych nie należy, więc lubi trochę ją ubarwić.

Koroner przyglądał się ciału kobiety z bliska. Zamordowana owinięta była folią i nadal leżała w wannie.

- Co tam? - zapytał detektyw, stając w progu łazienki.

- Detektywie, dziewczyny nie zamordowano w tym miejscu. To pewne. Za mało śladów. Rzekłbym nawet, że ich po prostu nie ma.

W tym czasie podszedł do nich prokurator i w milczeniu przysłuchiwał się rozmowie.

- Domyśliłem się, że nic tu nie znajdziemy poza ciałem - powiedział detektyw.

- Może ten typek, co poturbował Robertsona z Torresem, wcześniej ją tu zatargał - powiedział zza pleców detektywa dość niepewnie prokurator.

- To także mało prawdopodobne, aby to był on, prokuratorze. Facet pokazał swoją gębę najpierw sąsiadowi Robertsona, a potem jemu samemu i Torresowi... Coś mi tu nie pasuje. Sam mi powiedz, czy to byłoby logiczne zachowanie z jego strony, wracać w miejsce

zbrodni i tyle narozrabiać? - odpowiedział detektyw.

- Mówiłem wam, dziewczynę zamordowano gdzie indziej. Do tego poza wybitą szybą nie ma żadnych śladów włamania do mieszkania, a to przecież wyjaśnił Bernard Hudson, sąsiad Robertsona. Mówił, że ten facet, co zaatakował naszych, wybił szybę, by dostać się do środka. Ja upieram się przy swojej teorii i uważam, że morderca musiał mieć własne klucze. Otworzył drzwi jak do własnego mieszkania i zostawił ofiarę w środku - dodał koroner, przyglądając się wciąż martwemu ciału kobiety.

Detektyw zauważył mnóstwo sprzeczności, powstała sytuacja wydawała się wręcz nieprawdopodobna.

- Nie sądzisz, detektywie, że sprawca czegoś zapomniał i po to wrócił? - prokurator forsował swoją teorię.

- Tak sądzę, to doskonały trop, panie prokuratorze. Najpierw facet, którego namierzemy po rysopisie, przytargał niepostrzeżenie ciało do mieszkania. Co, jak uważam, wcale nie było łatwe... Do tego wszedł wejściowymi drzwiami, przynajmniej na razie tak to wygląda. Zrobił to po cichu, tak że nikt go nawet nie zauważył, a następnie narobił tyle szumu, wracając, że szanse na jego zniknięcie obecnie wynoszą prawie zero. Kompletny idiota. Tyle, że to jedynie pana punkt widzenia, z którym ja się w ogóle nie zgadzam - skomentował wnioski prokuratora detektyw.

- A co z Robertsonem, może działali wszyscy razem? Czuję, że tak było, detektywie - rzekł prokurator.

- Przesłucham ich jeszcze dokładnie, ale po wstępnych zeznaniach sądzę, że taka możliwość, by Robertson, Torres i ten sąsiad Hudson we trzech uzgodnili identyczną wersję zdarzeń jest bardzo nieprawdopodobna. Poza tym zauważyłem, że byli mocno zaskoczeni całym wydarzeniem.

- Niemożliwe, panie prokuratorze, by sami tak się poturbowali.

Akcja niczym z gangsterskiego filmu - skomentował podejrzenia prokuratora koroner, który mówiąc te słowa, wstał, wyciągnął chustkę z kieszeni i otarł sobie czoło z potu.

- Dobra, ja się niedługo zwijam. Rysopis powinien nam ułatwić zadanie, jeśli facet był notowany. Sprawdzę to w bazie danych - zapowiedział kolejne czynności detektyw.

- Przyciśnij jeszcze porządnie swoich zatrzymanych kolegów. I radzę ci, pomyśl lepiej o tym typie, co ich tak urządził - prokurator nie dawał za wygraną swojej koncepcji.

- Niech pan da spokój tym swoim teoriom i zostawi to mnie, prokuratorze. Znam obu od lat i żaden jeszcze nigdy mnie nie zawiódł. A co do reszty, to tłumaczyłem, że ten nasz włamywacz nie wyglądał na idiotę, tyle że wedle pańskich przypuszczeń właśnie tak by się zachowywał. Dodatkowo ten gościu nie pasuje mi do profilu seryjnego mordercy, który do tej pory nie zostawił nam nawet najmniejszego śladu po sobie. Zabieracie ją już? - Detektyw spojrzał jeszcze raz na ciało denatki.

- Tak, za moment. Dam ci znać po sekcji. Wyniki przekaże ci Eli, bo od jutra idę na zasłużony urlop. Ona się tym zajmie. Znasz ją, prawda? Jest młoda i mało taktowna w pewnych sprawach, ale poradzi sobie - powiedział koroner z przekąsem w głosie.

Detektyw tylko kiwnął głową i udał się do salonu. Stał jeszcze na chwilę pośrodku pomieszczenia i przyglądał się wybitej szybie. Zastanawiał się nad postępowaniem tego człowieka, który obecnie był jednym z podejrzanych. Po co ten typek walnął w nos sąsiada Hudsona i wyszedł frontowymi drzwiami prosto na dwóch funkcjonariuszy? Detektyw dostrzegał w tym mnóstwo nieścisłości. Do tego irracjonalne podejrzenia prokuratora. Przecież gdyby Robertson był mordercą i mieszał w śledztwie, to dlaczego miałby ściągnąć całą ekipę do swojego mieszkania? Na pewno próbowałby

zatuszować sprawę przed Torresem i sąsiadem.

- Detektywie, podejdź proszę. Zobacz! - zawołał koroner.

- Co tam? - odezwał się i ruszył w jego stronę.

Gdy podszedł, zobaczył, jak wkładano dziewczynę do czarnego, foliowego worka leżącego na podłodze w korytarzu. Popatrzył na to drobne, blade sine, zmasakrowane ciało.

- Słuchaj, ona nie udusiła się jak panna Parker, mimo że ma identyczną pętlę na szyi, to mogę stwierdzić już dziś. Tym razem morderca dobrze się pilnował. Dołączyła do jego pozostałych ofiar, które zmarły z wykrwawienia.

- Widzę. Jak myślisz, ile jeszcze mogła żyć, po takim przecięciu tętnicy szyjnej?

- Czy ja wiem, zaczęła pewnie tracić przytomność po około trzydziestu sekundach. Po kilku minutach była martwa. Spójrz, ma głębokie rany na ciele, te na barkach i udach są na wylot. Jak u każdej do tej pory. Związał ją i owinął w folię. Sposób działania wskazuje, że zbrodni dopuścił się ten sam człowiek. Skurczybyk torturował dziewczynę jak pozostałe swoje ofiary.

Rany klute zrobione były w dość nietypowych miejscach, ale dobrze już znanych detektywowi. Ostre przedmioty morderca wbijał przez folię. To oznaczało, że najpierw je związał, a następnie owijał ściśle zwykłą folią spożywczą, dostępną w każdym supermarkecie. Ofiara nie mogła się dzięki temu szarpać ani wykonywać innych gwałtownych ruchów. Potem zwyrodnialec przebijał obojczyki i oba uda. Oczywiście rany wykonywał w tych miejscach na wylot. Odcinał też jeden palec i wycinał przez folię jakieś fragmenty skóry. Czyżby to stanowiło dla niego swoiste trofeum? Tego detektyw nie wiedział. Na koniec morderca przecinał tętnicę, tak by się wykrwawiły.

- Dobra, detektywie, my już swoje zrobiliśmy. Resztę

zostawiam tobie. Masz tu niezłą zagwozdkę - dodał koroner.

Znał detektywa i domyślił się, że kolejne ciało nie da mu spokoju, a niejasna sytuacja w mieszkaniu Robertsona tylko to utrudniała.

Na miejscu zostały pobrane i zabezpieczone niezbędne dowody. Zwłoki zabrano na dalsze oględziny. Detektyw będzie niezwłocznie oczekiwał na informację dotyczącą sekcji.

- Tak, tak, ja też już się wynoszę. Czas przesłuchać tych dwóch. Może dowiem się od nich czegoś nowego - rzekł po chwili detektyw, po czym wyszedł z mieszkania.

Zatrzymał się na klatce, tuż przed pierwszym stopniem schodów i spojrzał w dół. Zjechanie windą nie wchodziło u niego w rachubę, gdyż incydent z czasów młodości pozostawił do dziś niezbyt przyjemne doznanie. Poprzysiągł sobie wtedy, że nie wsiądzie więcej do windy, jeśli nie będzie takiej konieczności. Popatrzył jeszcze w górę, na klatkę schodową. Coś zaświtało mu nagle do głowy. Jakby dobry duszek podpowiedział pewną myśl. Nos detektywa nigdy go nie zawiódł.

- Dajcie mi tu ludzi z psami - zakomunikował jednemu sierżantowi.

Uczestnictwo Robertsona w zbrodni w ogóle mu nie pasowało. W takim razie kto podrzucił ciało i jak dokonał tego tak niepostrzeżenie? To mocno zaczęło zastanawiać detektywa, dając mu także pewne podejrzenie.

Po około godzinie zjawiły się dwa psy tropiące ze swoimi policyjnymi opiekunami.

- Detektyw Cane? - zapytał funkcjonariusz, gdy dotarł pod drzwi mieszkania numer dwanaście. Za nim wyłonił się jeszcze jeden policjant. Obaj byli w towarzystwie owczarków niemieckich, które grzecznie usiadły obok swoich opiekunów.

- Tak, to ja. Czekałem na was, chłopcy - odrzekł detektyw i wyszedł do nich na klatkę.

- Zdaje sobie pan sprawę, że niewiele tu zdziałyśmy w tym zatłoczonym mieście? Dodatkowo ulewa na pewno zmyła większość śladów.

- Zobaczymy, róbcie swoje.

- Dobra. Potrzebujemy tylko czegoś, co naprowadzi psy na trop. Cokolwiek.

Detektyw nie miał im wiele do zaoferowania. Sięgnął po folię zawierającą małą, skórzaną bransoletkę, która została zdjęta z ręki ofiary. Uchylił opakowanie, aby psy obwąchały tę jedyną „część garderoby” młodej kobiety. Dosłownie po paru minutach jeden z nich wyraźnie pochwycił trop. Przeczucie detektywa nie zawiodło. Drugi pies też już coś wyczuł. Pierwszy prowadził opiekuna na zewnątrz budynku. Ten drugi natomiast wyraźnie zmierzał do góry, na kolejne piętra. Detektyw i jego ludzie ruszyli powoli w jego kierunku. Dokładnie trzy segmenty wyżej, nad mieszkaniem Robertsona, pies stanął przy drzwiach i zaczął poszczekiwać. Detektyw wcisnął dzwonek do drzwi, lecz na próżno. Spodziewał się, że tak będzie. Nakazał po chwili sprawdzić do kogo należało to mieszkanie. Zlokalizowali szybko dozorcę kamienicy, który udzielił im informacji o właścicielach tego lokum. Okazało się, że zostało ono wynajęte przez jakiegoś mężczyznę. Dozorca jeszcze nie miał przyjemności go zobaczyć, a jeśli chodziło o prawowitych właścicieli, to obecnie przebywali w Europie od ponad roku. To postawiło sprawę jasno. Zaistniała konieczność pilnego skontaktowania się z nimi i szybkie zdobycie nakazu przeszukania mieszkania. Jednak nie było na to czasu, musieli działać niezwłocznie. Na szczęście dozorca znał doskonale tych właścicieli. Jak się po chwili okazało, zostawili mu swój prywatny

numer telefonu.

- Dobra, zatem dzwoniemy do nich - rzekł detektyw i wyjął komórkę z kieszeni.

W Europie był już ranek, więc bez wyrzutów sumienia wystukał numer na klawiaturze telefonu. Odebrał starszy mężczyzna, tak przynajmniej wyczuł po jego głosie. Bez zbędnych pytań udzielił mu informacji o lokatorze, gdy tylko sięgnął po umowę. Właściciel wynajmował razem z małżonką mieszkanie niejakemu Stevenowi Bergmanowi, przynajmniej takie personalia im podał i co lepsze, zapłacił za cały wynajem z góry gotówką. Przyznali również, że nie zgłosili tego w odpowiednim urzędzie.

Detektyw spodziewał się takiego obrotu sprawy, miał już opracowany w głowie następny ruch. Wydawało się to zbyt proste, aby taki przestępca tak łatwo dał się namierzyć. Raczej nie podał prawdziwych danych do podpisania umowy najmu. Był na to za sprytny.

- Dobra, sierżancie - zwrócił się do młodszego kolegi.

- Tak, detektywie?

- Wchodzimy! Dawaj mi tu prędko ekipę! Niech wywalają te drzwi!

- A nakaz? - zapytał podwładny.

- Załatwię to rano. Mam znajomego sędziego, więc bez problemu go wystawi. No dalej, kolego, do roboty, trwonimy tylko cenny czas! - popędzał detektyw, gestykulując wymownie rękoma.

Nie zamierzał więcej marnować kolejnych godzin na jakieś durne przepisy. Gdzieś tam w mieście kręcił się naprawdę niebezpieczny człowiek.

Ślusarze zabrali się właśnie do pracy. Uwinęli się sprawnie i już po chwili można było wejść do wnętrza. W środku panowała prawdziwa ciemność, jakby wszystkie okna zostały szczelnie

zasłonięte. Detektyw zapalił latarkę i ostrożnie przekroczył próg mieszkania, trzymając w pogotowiu odbezpieczoną broń. Nie liczył jednak, że kogoś tam zastanie. Na pierwszy rzut oka wszystko wyglądało normalnie. Skierował światło na ścianę w holu, szukając włącznika oświetlenia. Wcisnął go. Nic. Żadnej reakcji, jakby prąd specjalnie został odłączony. Poruszał się więc bardzo ostrożnie, aż wszedł do dużego salonu. Kilku policjantów podążyło tuż za nim.

Ich oczom ukazał się wielki, drewniany, nieoheblowany stół, umieszczony praktycznie pośrodku pomieszczenia. Miał jakieś dwa metry długości i metr szerokości. Całe ściany dookoła, jak i znajdujące się tam meble oraz inne przedmioty, były pokryte czarną folią. Wszystko, poza jednym krzesłem, na którym leżały dokumenty i jak się okazało, ubrania ofiary. Zaschnięta krew widoczna była na stole oraz pod nim.

- Pobierzcie co trzeba! Każdy najmniejszy szczegół macie mi tu sprawdzić! Każde pomieszczenie po kilka razy, jasne? Wygląda na to, że właśnie znaleźliśmy miejsce ostatniej zbrodni - zakomunikował ekipie detektyw, nadal przeglądając rzeczy leżące na krześle.

- Tak - odpowiedział jeden z mundurowych.

Reszta robiła już, co do nich należało, lekko wstrząśnięta miejscem, w którym morderca urządził rzeź.

- Słuchajcie, jeśli ktoś tu mieszkał, musiał coś po sobie zostawić. Kobieta z mieszkania Robertsona to Emma Bennett - dodał na koniec.

Detektyw dał wszystkim do zrozumienia, że dzięki temu może dokonają przełomu w śledztwie. Osobiście sprawdzał każdy najdrobniejszy szczegół, zajrzał nawet do lodówki, która okazała się słabo zaopatrzona. Zlew w kuchni zionął pustkami, łóżko równo posłane w sypialni, a i reszta prezentowała się w należywym

porządku. Jedynie salon całkowicie odbiegał od normy. Choć rzecz by można, iż z wielką pedanterią został przygotowany do nowej funkcji, specjalnie zabezpieczony, aby krew nie poplamiała wyposażenia, ścian oraz podłogi.

Wreszcie detektyw ujrzał małe światełko w tunelu, szansę, by dorwać człowieka, za którym podążał od kilku tygodni. Skoro morderca miał swój plan, a wyglądało na to, że wykorzystał do tego Robertsona, to być może i motyw działania też miał podobne znaczenie. Po kolejnych trzech żmudnych godzinach detektyw udał się do departamentu policji. Tam oddzieleni od siebie funkcjonariusze oczekiwali na przesłuchanie. Na podstawie oględzin mieszkania Robertsona, jak i faktycznego miejsca zbrodni oraz wywiadu z sąsiadem, detektyw ustalił kolejność wydarzeń. Na pewno sprawca włamania nie przyniósł tej zamordowanej kobiety do mieszkania policjanta. To było dla niego jasne, gdyż po co później wchodziłby oknem i jak ostatni głupiec ulatniał się głównym wejściem, w chwili gdy pojawiła się w drzwiach policja. Jednak po co wszedł do tego mieszkania? Czego szukał? Tego detektyw jeszcze nie wiedział. Zatem, czy jego partner z wydziału mógł wynająć to mieszkanie na ostatnim piętrze budynku i stać się seryjnym mordercą, który znosiłby zwłoki do własnej łazienki? To raczej też kompletnie nie pasowało do całej układanki.

Przez całą drogę zastanawiał się i analizował dotychczasowe fakty, próbując znaleźć jakiś logiczny sens w postępowaniu przestępcy. Zaparkował samochód na ulicy, stanął na wprost głównego wejścia do departamentu. Trzasnął mocno drzwiami swojego cadillaca. Manhattan nawet późną porą niewiele różnił się od dnia codziennego. Nowy Jork to ogromna metropolia, w której ruch nie ustępuje prawie nigdy. Detektyw wyminął kilka przypadkowych osób, podążając w stronę wejścia do gmachu

departamentu policji, po czym skierował się prosto w stronę schodów. Był milczący jak nigdy. Zmęczenie i praca zaczęły odbijać swe piętno na jego twarzy. Oczy miał podkrążone, a włosy w nieładzie. Udał się na piętro, do swojego biura, gdzie opadł na fotel stojący przy biurku i uruchomił komputer. Przeglądał pobieżnie dokumenty dotyczące prowadzonego obecnie śledztwa. Minął jakiś kwadrans, gdy zirytowany uderzył pięścią w biurko. Wciąż nie zdołał znaleźć najmniejszego motywu, nawet takiego, który połączyłby Robertsona bądź Torresa z którąkolwiek z ofiar. Nic szczególnego nie rzucało się w oczy, a było jasne, że to nie przypadek sprawił, że zwłoki znaleziono w mieszkaniu policjanta.

- Kurwa! - zaklął na głos i zostawiając wszystko włączone, wyszedł i udał się do pokoju przesłuchań. Spojrzał przez lustro weneckie na swojego kolegę. Nie miał pojęcia, jak dobrze to rozegrać.

Otworzył kolejne drzwi i wszedł do środka. Popatrzył na partnera, który siedział bez kajdanek, wpatrzony w kubek gorącej kawy stojący przed nim na metalowym stole.

- Jesteś wreszcie - rzekł Robertson, podnosząc spuszczoną głowę.

- Tak, zeszło się trochę.

- Co ja w ogóle tu robię, Cane?

- Spokojnie, miejmy nadzieję, że pomału wszystko się wyjaśni.

- Pomału?! - wrzasnął zatrzymany.

Robertson nie miał pojęcia o najnowszym znalezisku na ostatnim piętrze jego bloku. Detektyw musiał to rozegrać po mistrzowsku, aby mieć pewność, że jego partner nie brał w tym udziału. Usiadł spokojnie naprzeciwko niego, rzucił kluczyki od cadillaca na stół, gdyż zorientował się, że trzymał je do tej pory w ręce. Robił to, nawet przeglądając akta w komputerze. Miał

zwyczaj bawić się nimi, gdy dopadał go mocny stres. Odsunął jeszcze kubek kawy na bok i kontynuował rozmowę.

- Robertson, jak w ogóle dowiedziałeś się o włamaniu?

- Tak jak ci już wspominałem, sąsiad zadzwonił.

Wyraźnie rzucało się w oczy, że Robertson nie czuł się komfortowo w zaistniałej sytuacji. Przecież był gliną i to on zawsze znajdował się po tej drugiej stronie. Tym razem role się odwróciły i sam był przesłuchiwany.

- Dlaczego tego od razu nie zgłosiłeś?

- A tak jakoś wyszło, właśnie patrolowaliśmy z Torresem okolicę, przepytывaliśmy włóczęgów, chwilkę w barze posiedzieliśmy. Miałem nadzieję, że wpadniemy na jakiś trop Jona bądź Sally. I wtedy zadzwonił ten mój sąsiad Bernard i dał nam cynk, że coś się dzieje w budynku. Co miałem robić? Nie zastanawialiśmy się zbyt, tylko ruszyliśmy w tamtą stronę.

- I co? Ustaliłeś jakieś nowe informacje w sprawie zniknięcia?

- zapytał detektyw.

- Nie, niestety te obdartusy milczą. Jak zawsze.

- Znajdziemy chłopaka - zapewnił detektyw.

- Dobra Cane, zastanów się przez chwilę, może ten włam i te zwłoki w moim mieszkaniu mają coś wspólnego z porwaniem Jona i zniknięciem Sally?

- Może, ale wiedz, że dla ciebie dość kiepsko to wygląda.

- Dlaczego? Przecież ci mówię, że nie mam nic z tym wspólnego! Nie znam tej martwej dziewczyny! I nie mam pojęcia, kto i po co ją tam zostawił! - wyraźnie uniósł się w swoich wyjaśnieniach Robertson.

-Tak, ale nie wiesz jeszcze wszystkiego - zaskoczył go detektyw.

- Jak to?

- Po prostu. Wiem na pewno, że dziewczynę zamordowano w innym miejscu i że od pięciu lat mieszkała w Nowym Jorku. Jak znalazła się w twoim mieszkaniu i to bez śladu włamania? O to chcę zapytać właśnie ciebie.

- To strata czasu Cane, bo ja, kurwa, nie mam pojęcia, jak to mogło się stać! Ale wierz mi, jestem przekonany, że ktoś, kto ma Jona, a może i Sally, wie to na pewno, ponieważ na sto procent to zaplanował. Chyba, że Sally razem z nim to uknuła i mordują te dziewczyny. Może tak być... Te jej nocne zmiany ostatnio dają mi dużo myślenia. Do tego, jak sam zauważyłeś, nie było śladów włamania, a tylko ja i Sally mamy klucze do mieszkania. Trzeba koniecznie sprawdzić u niej w pracy i przepytac dokładnie ludzi, czy ktoś może widział jakiegoś typka, co się koło niej kręcił. Kurwa! Już sam nie mam pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi! Ale zrób coś, Cane, bo zechcą mnie posadzić za coś, czego nie zrobiłem!

- Opanuj się, znasz procedury. Sally i Jon są uznani za zaginionych i tego na razie nie zmienię. Zwłoki to inna sprawa, ale na pewno wszystko się w jakiś sposób łączy.

Detektyw usłyszał to, co chciał usłyszeć. Zachowanie jego partnera nie budziło wątpliwości. Robertson w jego mniemaniu był niewinny.

- Cane, po co ja tu jeszcze siedzę? To wyraźna próba zrobienia ze mnie kozła ofiarnego i prosty sposób, aby odsunąć mnie od śledztwa.

Robertson podniósł się i popatrzył z góry na siedzącego detektywa, który był dziwnie spokojny, podczas gdy on aż kipiał ze złości. Nie zdawał sobie sprawy, że detektyw miał coś jeszcze w zanadrzu.

- Może i tak, ale wyjaśnimy i to. Widzę, co tu się dzieje. Tylko

jest jeszcze jedno... Siadaj i wysłuchaj mnie do końca.

Detektyw wskazał ręką krzesło.

- Dobra, już siadam. A w sprawie nadal będę uczestniczył, czy może ten cwaniak wygra i pójdę na przymusowy urlopik?

- Robertson, jesteś na razie zawieszony, komisarz do mnie dzwonił. Zaznaczył to dobitnie i wyraźnie, gdy wracałem do departamentu z twojego mieszkania.

- Kurwa, to szybko się dowiedział!

- Tak, a co myślałeś, że niby co zrobi? Sam do niego zadzwoniłem i poinformowałem o zdarzeniu.

- Po co? - zapytał zniesmaczony Robertson.

- Po co pytasz? Chyba rozum całkiem już postradałeś! Sądziłeś, że dalej będziesz pracował i prowadził to śledztwo? A alkohol odstawiłeś, jak prosiłem?

- Jaki alkohol? Dwa piwa przed snem i tyle. Ty też nie jesteś święty. Kurwa, nie do wiary! Załatwił mnie zwyrodnialec, a ty chcesz mu jeszcze w tym pomóc!

Detektyw stanął na równe nogi i spojrzał z oburzeniem na partnera.

- Zastanów się! Ochłoń trochę, stary! Zlokalizowaliśmy miejsce zabójstwa tej dziewczyny, co była w twoim mieszkaniu.

- Co? Gdzie? - zapytał Robertson, otwierając szeroko oczy ze zdziwienia.

- W twoim bloku, na ostatnim piętrze. Tam także były jej ubrania oraz dokumenty. Dziewczyna nazywała się Emma Bennett. Sam widzisz, jak to wszystko zrobiło się popaprane.

Robertson podniósł się, obszedł stół i podszedł do detektywa.

- Ktoś mnie wrabia! Narysować ci to, czy rozumiesz?! Muszę wrócić do służby, ta sprawa tak śmierdzi, że nie idzie oddychać - powiedział dobitnie.

- Mówiłem ci już wcześniej; na razie jesteś zawieszony do odwołania. Ale z aresztu jesteś zwolniony. Idź, podaj opis tego gościa rysownikowi, to naszkicuje portret pamięciowy. Mam przeczucie, że to nie jest zwykły obywatel. Potem jesteś wolny. Masz u kogo przenocować czy ci pomóc? Do mieszkania przez kilka dni nie możesz wracać, zostało zabezpieczone.

- Poradzę sobie, kimnę u sąsiada. Niby jaki z niego niezwykły obywatel? Kurwa, po prostu się nie spodziewałem takiego ruchu z jego strony. Ciebie też by załatwił. To cwany psychol.

- Dobra, Robertson, na teraz to koniec rozmowy, spadaj, wypocznij. Szkoda tracić energię na domysły. Zobaczymy, czy znajdziemy gościa w bazie danych.

Robertsonowi nie postawiono na razie żadnych zarzutów. Zdał szczegółowy raport z całego zajścia i udał się do sąsiada Hudsona. Miał dopiero usłyszeć, co z nim dalej będzie po kolejnych przesłuchaniach policjanta Torresa i innych świadków zdarzenia.

ROZDZIAŁ XI

Po jakichś czterech godzinach od wyjścia z mieszkania chłopca i włączeniu się bez celu po mieście oraz marznięciu na dworze w ulewie Milton spojrzał na zegarek. Wskazówki pokazywały drugą trzydzieści osiem rano. On sam zdawał sobie sprawę, że włamanie samo w sobie nie stanowiło dla niego problemu. Jednak to, co odkrył w łazience, już na pewno nie pozostanie bez konsekwencji. Tyle, że istniała szansa, iż ktoś inteligentny zastanowi się dwa razy nim wyśle list gończy za byłym agentem. Nie dlatego, że był kompletnie niewinny, gdyż faktycznie znalazł się w tym mieszkaniu, tylko dlatego, że to nie pasowało do całego zajścia.

Milton kierowany instynktem dotarł do znanego mu skrzyżowania. Zatrzymał się i spojrzał na sygnalizację świetlną na ulicy. Na przejściu dla pieszych paliło się właśnie czerwone światło. Gdy nastąpiła zmiana koloru i pojedyncze osoby ruszyły, on, pogrążony w rozmyślaniach, stał nadal. Zdał sobie sprawę, że stracił już wszystko i niewiele teraz mógł zrobić. Zastanawiał się, czy powrót do świata po takim czasie miał jeszcze sens. Czy Jon Belly, mały miłośnik zwierzątek, był tym, który ma przywrócić mu nadzieję? Kto wcześniej znał Milтона, wiedział jakim był

człowiekiem. Bez przerwy dążył do prawdy i obranego przez siebie celu. Każdy awans i kolejni przestępcy schwytani przez niego o tym świadczyli. Kto zatem zrobił z niego tego, kim się stał po powrocie z Meksyku? Czy tylko on i jego wrodzony instynkt do działania sprowadziły go na samo dno, robiąc z niego człowieka, jak się wydawało, bez odpowiedzialności? No bo jak inaczej wytłumaczyć meksykańskie gówna, w które się wpakował? Wreszcie, kto wysłał go na bezsensowną, źle przygotowaną akcję i kto go zdradził? Przełożony wiedział, że Milton planował założyć rodzinę. Mimo to po całym zająsci w Meksyku nikt nawet go nie przeprosił. Nikt nie znalazł czasu, by choćby spróbować naprawić to, co po prostu spieprzyli ci na górze.

Milton ruszył przez pasy i podążał dalej przed siebie. Przestało mu zależeć, że ktoś mógł go rozpoznać. Dotarł do ulubionego baru, do którego lubił kiedyś wpadać na drinka. Wszedł do środka i zamówił Burbona. Wypił mocno procentowy napój, który momentalnie rozgrzał jego ciało. Na stole pojawiło się jeszcze kilka podobnych drinków. Spoglądał na nie, jak na cudowne lekarstwo mające uleczyć jego chorą duszę. Tulił w dłoniach szklaneczki, szepcząc im swoje żale. Miał wielką ochotę urznąć się do nieprzytomności i zapomnieć o każdym zdarzeniu z ostatnich godzin. Około piątej rano wyszedł z baru na zewnątrz, będąc delikatnie wstawionym.

- Hej, wy! - zawołał do koleśi stojących po drugiej stronie ulicy przed nocnym klubem.

Na dworze było pochmurno, a ponowna ulewa wisiała w powietrzu. Ciężkie chmury spowiły niebo, czekając, aż nadejdzie odpowiednia chwila, by wyrzucić na ziemię swe mokre zasoby.

Na zaczepkę Milтона pierwsze zwróciły uwagę dziewczyny towarzyszące owym gościom i uśmiechnęły się w jego kierunku.

Milton oparł na moment rękę o ścianę, gdyż bał się, że straci równowagę. Po chwili, nie czekając na zmianę światła na pasach, ruszył na czerwonym w stronę owej grupki.

- Czego? - odezwał się jeden z postawniejszych mężczyzn do Milтона, który ledwo trzymał się na nogach.

Wszyscy zamilkli i również spojrzeli na niego.

- Widzieliście może dzieciaka, jak wyszedł z kimś z tamtej ślepej uliczki? - wskazał przypadkowy kierunek palcem, w którym wszyscy odruchowo spojrzeli.

Zdawał sobie sprawę, że nie mogli nic dostrzec z tego miejsca. Nie ta okolica ani czas. Jednak jego frustracja i złość brały górę. Chciał koniecznie znaleźć dzisiaj winnych, a nieźle podpici kolesie, którzy z pewnością byli tu od dłuższego czasu, bawiąc się w tutejszym barze, nie wykazali nawet odrobiny taktu, by choćby dopytać, o co mu dokładnie chodziło.

- Nie. Spadaj stąd koleś! - odpowiedzieli zdawkowo.

Dziewczyny parsknęły przy tym śmiechem.

- Co?

- Spadaj, nic nie widzieliśmy! - powtórzył duży, napakowany facet, który miał ciało w większości wytatuowane, łącznie z twarzą i mimo chłodu ubrany był w koszulkę na krótki rękaw.

Wyglądał dosyć głupio jak na tę porę roku, ale widocznie towarzystwo uroczych dziewczyn, przednia zabawa i alkohol nieźle musiały go grzać.

Teraz dopiero dotarło do Milтона - musiał pomóc chłopcu, choćby miał za to zapłacić wysoką cenę. Wkurzył się, że nikt z nich nie chciał mu pomóc, zajęci sobą, nie mieli najmniejszej ochoty nawet z nim pogadać. Podszedł więc bliżej i stanął twarzą w twarz z jednym pakerem.

- Ty, twardziel! - wycedził Milton, lekko bełkocząc.

- Mówiłem ci, pijany łachmyto, spieprzaj stąd, jak nie chcesz kłopotów! - mężczyzna pchnął dwiema rękoma Milтона, który ledwo złapał równowagę i nie wpadł na ulicę.

Dziewczyny znowu się roześmiały.

Zapowiada się małe przedstawienie - pomyślał Milton, rzucając plecak na chodnik, aby mieć wolne obie ręce.

Podszedł i również popchnął tego gościa. On, zaskoczony, wpadł całym swoim potężnym ciałem na kolegów stojących z boku. Panienki krzyknęły, może trochę ze strachu, może z podniecenia, że zacznie się coś dziać.

- Kurwa, co ty, pijusie, się rzucasz?! Nie zrozumiałeś w porę, co ci mówiłem?

- Spokojnie, tylko was pytałem - powtórzył grzecznie Milton.

Podniósł ręce do góry, jasno sugerując, że nie chce kłopotów. Choć sam w to wątpił, czy to prawda, a koleśie raczej nie prześwietlili jego prawdziwych zamiarów i motywacji.

- Dobra, chłopaki, dajmy mu nauczkę! - zaproponował kolejny wielkolud z przerośniętą tkanką mięśniową. Popatrzył na pozostałych kumpli i chichoczące, nie wiadomo z czego, młode panienki.

- Słuchajcie, ja jedynie... - tyle zdążył wymamrotać Milton i urwał w pół zdania, gdyż cała męska część grupy rzuciła się na niego z łapami. Porządnie go przez chwilę okładali. Jednak to była tylko chwila, gdyż momentalnie zostali niemile zaskoczeni. Milton po kolei, jeden po drugim, porządnie spuścił im lanie. Wyglądało to tak, jakby nagle wpadł ojciec i złapał ich na zrobieniu czegoś niewybaczalnego i musiał za to ukarać. Wytrawny agent DEA z doświadczeniem i mocnym charakterem nie miał żadnych problemów, by poustawiać wszystkich w odpowiednim szeregu.

Dziewczyny przestały już chichotać, lecz teraz krzyczały

przestraszone. Niektóre wyciągnęły komórki i dzwoniły po gliny, a ich wrzaski ściągnęły ochronę z klubu na zewnątrz budynku, która patrzyła z niedowierzaniem na leżących mężczyzn oraz sprawcę tego dzieła. Milton jednak stał spokojnie i przyglądał się wszystkim. Zerknął na swoje starte kostki na rękach, które zaczęły mu krwawić. Minęły kolejne minuty, nim wyrwał go z zamyślenia dobiegający z oddali dźwięk policyjnych syren.

Zdawał sobie sprawę, że w pojedynkę nie miał żadnych szans, aby odnaleźć chłopca. Musiał teraz zastanowić się i znaleźć wyjście z tej osobliwie trudnej sytuacji. Pomoc chłopcu i to jak najszybsza, była dla niego priorytetem, a czasu mógł mieć nie za wiele.

Deszcz zaczął lekko siąpić, grożąc większą ulewą. Milton zabrał się więc z tego miejsca i zarazem dotarło do niego, że powrót do motelu był już bez sensu. Jedynym logicznym wyjściem w tej sytuacji wydawało się poproszenie o pomoc osoby, która nadal była mu bliska. Dochodząc pod znany adres, przypomniał sobie szczęśliwe, wspólne lata. Stanął na wprost starej, ceglanej kamienicy. Do drzwi prowadziła metalowa, czarna poręcz biegnąca po obu stronach balustrady znajdującej się na kilku schodkach. Pogoda wciąż wygrywała smutną muzykę, rzucając krople deszczu na dachy budynków i asfaltowe ulice. Powoli wykonał krok po kroku, docierając do celu. W sercu czuł strach przed spotkaniem, ale zarazem tliła się w nim nadzieja. Brązowe drzwi z ciemnymi szybami czekały na jego kolejny ruch. Spojrzał na przycisk domofonu. Wahał się chwilę, czy dobrze robił. Przed oczami znów pojawiła mu się uśmiechnięta buzia Jona. Palec Milona powędrował na biały przycisk przy znanym numerze mieszkania.

- Słucham? - odezwała się po dłuższej chwili kobieta.

Milton tylko chrząknął.

- Słucham? - powtórzył głos w domofonie.

Milton wciąż milczał.

- Dość tego! Kto tam? Co to za głupie żarty?! Wzywam zaraz policję, jak nie odejdiesz! - postraszyła dziewczyna.

Milton wymamrotał coś mało zrozumiale do mikrofonu w ścianie. Po chwili zapadła cisza z obu stron.

- Jon? To ty, prawda? - zapytał damski głos.

- Tak, Jess.

- Czego chcesz? Po co tu przyszedłeś? Nie mam ci nic więcej do dodania! - walnęła dziewczyna mocno wzburzonym głosem.

Takiej właśnie reakcji mógł się spodziewać po ich wcześniejszym rozstaniu.

- Jessico, wpuść mnie. Proszę, potrzebuję twojej pomocy - wyszeptał.

- Nic z tego! Już wystarczy, co mi w życiu zabrałeś! Skończyłam z tobą raz na zawsze! Odejdź, rozumiesz?

- Jessico, tu nie chodzi o mnie... Jest malec, któremu muszę pomóc. Proszę, wpuść mnie, choć na chwilę. Potrzebuję z tobą porozmawiać, choćby ze względu na to, co nas dawniej łączyło.

- Jaki malec? Sam jesteś czy z kimś? - zapytała zdezorientowana dziewczyna.

- Otwórz, to ci opowiem, tu jest niezbyt bezpiecznie, proszę cię - powtórzył. Milton był gotów nawet błagać. Trząśł się cały z zimna, był przemoczony do szpiku kości, ale nie mógł stąd odejść bez rozmowy z dziewczyną.

- W co znowu się wpakowałeś? Dziecko z kimś masz? I co niby ja mam z tym wspólnego? Już zapomniałeś? A nasze małżeństwo?

Głos dziewczyny był coraz bardziej wzburzony i słychać było w nim rozdzierający żal.

- Jess, proszę, ty nic nie rozumiesz, jestem tu sam.

- Ja wszystko rozumiem, Jon - przerwała mu w pół słowa.

I w tym momencie odezwał się dźwięk oznajmujący, że można dostać się do budynku. Milton nacisnął klamkę i wszedł do środka. Przemierzał stopień po stopniu do apartamentu byłej narzeczonej. W połowie drogi na piętro usłyszał odgłos otwieranych zamków. Za chwilę miał ujrzeć swą dawną miłość po tak długiej rozłące. Pozostawało tylko pytanie: czy wytrzyma i spojrzy jej prosto w twarz? Czy dziewczyna wpuści go do mieszkania choćby na kilka słów? Jednak gdy doszedł na górę, spostrzegł, że drzwi wejściowe były lekko uchylone. Drgnęła mu ręka, nim popchnął je do przodu.

- Wejź! - odezwała się Jessica.

- Jess? - zawołał, wchodząc niepewnie do środka.

Młoda, wysoka blondynka w krótkich jeansowych spodenkach i białej koszulce, stała i czekała na niego w salonie. Była na bosaka. Przemoczony Milton stanął w progu drzwi, które prowadziły do pokoju.

- I jak to jest, wracać po takim czasie? - zapytała dziewczyna.

- Wiem, Jess, że wszystko spieprzyłem.

Jessica zamilkła, słysząc te słowa. Nawet nie próbowała ciągnąć dalej tego zbędnego tematu. Dla niej przeszłość odeszła w zapomnienie.

- Mogę? - zapytał, wskazując ręką w kierunku łazienki.

- Śmiało, znasz przecież drogę. Poradzisz chyba sobie, niewiele tu się zmieniło od twojego odejścia - powiedziała dziewczyna, wyraźnie dając do zrozumienia, co ją bolało.

- A to kto? - spytał, spoglądając na czarno-białego malca, który pojawił się między nogami dziewczyny.

- To Kociak, mój trzymiesięczny ulubieniec.

- Dałaś kotu na imię Kociak?

- Tak, a co?

- Nic, ładnie! Ty zawsze miałaś oryginalne pomysły.

Milton po tych słowach w milczeniu udał się do łazienki.

- Masz - Jessica uchyliła drzwi po kilku minutach i podała mu czyste, suche ubranie.

Milton zauważył, że były to jego stare spodnie i dresowa bluza z kapturem, w których chodził, gdy jeszcze mieszkali razem. Zatem dziewczyna wciąż trzymała jego garderobę. Ubrał się i udał do kuchni, gdzie Jessica, stojąc przy oknie, trzymała kubek z jakimś gorącym napojem.

- No, teraz o wiele lepiej. I ten twój zarost... Dodaje ci powagi - skomplementowała go, gdy wszedł do kuchni.

- Tak, dziękuję. Ale to mała zmiana w stosunku do reszty życia. Widzę, że wciąż trzymasz moje ubrania.

- Tak, kilka jeszcze leży w pudłach, ale daj spokój swoim domysłom. Mów, czego chcesz. Raczej nie pojawiłbyś się u mnie bez przyczyny?

Milton poczuł się dziwnie, słysząc ostre jak brzytwa słowa. Zdawał sobie sprawę, że były to uzasadnione zarzuty co do jego osoby. Przecież po powrocie z akcji więcej się tu nie pojawił. Zniknął, nawet nie tłumacząc nic ukochanej. Zachował się, przynajmniej według niej, jak zwykły tchórz.

- Jess, Skarbie...

- Daruj sobie. Jeśli chcesz o czymś porozmawiać, to tylko nie „Skarbie”, dobrze?

- Przepraszam.

Milton usiadł na krześle przy małym kuchennym stoliku, który stał pod ścianą naprzeciwko szafek kuchennych. Zapanowała chwila niezręcznej ciszy, podczas której spoglądali nawzajem na siebie. Jessica naląła kubek gorącej kawy i podała mu, stawiając obok także jego ulubione czekoladowe ciastka z rodzynkami na

małym, porcelanowym talerzyku. Wzięła drugie krzesło i usiadła tuż przy oknie, z dala od niego. Za stół posłużył jej parapet. Nie chciała być zbyt blisko Milтона. Obawiała się swojej reakcji.

- Mów, co znowu wymyśliłeś, bo od rana mam ważne obowiązki w pracy.

- Wiesz, trochę się narobiło przez ten rok. A w ostatnim czasie nawet bardzo dużo.

- Nie żartuj. Za dużo to narobiłeś, zostawiając mnie samą w ciąży.

Milton zdawał sobie sprawę do czego piła Jessica. Jednak do dziś nie mógł, a może raczej nie chciał, wyjawić jej prawdy, dlaczego tak wtedy postąpił.

- Jess, ja...

- Tak, śmiało. Wydusisz to wreszcie z siebie? Najwyższy czas, żebyś powiedział prawdę. Czemu zniknąłeś bez słowa, a teraz wracasz, jak gdyby nigdy nic? - oburzona dziewczyna nie darowała sobie przytyku.

- Posłuchaj, to z DEA skończone. Oszczędłem z wydziału na dobre. Teraz muszę komuś dotrzymać słowa i mam nadzieję, że razem coś wymyślimy.

Milton zaczął relacjonować swoją wersję zdarzeń, które miały swój początek dobrych kilkanaście godzin temu, spychając odpowiedź na pytanie dziewczyny na dalszy plan. Kreślił teraz niczym wytrawny artysta niecodzienną historię chłopca o imieniu Jon. Rozmowa i skrupulatne wyjaśnienia doprowadziły oboje do jednego wspólnego wniosku. Jessica była doskonałą dziennikarką poczytnej gazety, mającą niezłe wtyki w każdej dziedzinie życia społecznego, jak również, a może w szczególności, w policji. Po dość długiej konwersacji stwierdziła, że sprawdzi ojczyma Jona Belly'ego i dowie się co nieco o nim i o zaginionym chłopcu.

Milton, wykończony, ulokował się na rozkładanym fotelu w salonie, wyciągnął swoje zmęczone nogi i naciągnął na siebie koc. Gdy spał, Jessica zadzwoniła w kilka miejsc. Umówiła się na spotkanie ze znanym w półświatku handlarzem nielegalnym towarem, który od kilku miesięcy był jej informatorem. Właśnie od niego, jeśli nie od glin, zdobywała informacje do swoich artykułów w gazecie. Doskonała współpraca na dwa fronty zapewniała jej ciągłe nowinki i możliwość pisania na całkiem ciekawe tematy.

Dawna miłość Jessiki do Milтона plątała się obecnie z nienawiścią. Jednak mimo rozsądku, który wyraźnie podpowiadał, aby nawet nie próbowała czegokolwiek, ona po raz kolejny nie zaufała swojej intuicji. Uwierzyła w każde słowo byłego narzeczonego dotyczące chłopca. Do tego widok małego pluszowego zajaczka, którego pokazał jej Milton, wyjmując z kieszeni swojego płaszcza, tylko upewnił ją w słuszności podjętej decyzji. Dodatkowo jej dziennikarski zmysł dostrzegł w tym coś, co z całą pewnością powinna dokładnie sprawdzić. Wiadomości w kanałach informacyjnych potwierdzały słowa Milтона. Kolejny doskonały artykuł wisiał w powietrzu – pomyślała. Pozostawał do tego jeszcze najważniejszy argument. Chłopiec o imieniu Jon. Ona jako niedoszła matka nie pozwoliłaby skrzywdzić kogokolwiek, a już na pewno nie dziecka. Na razie oboje pominęli rozmowę na bolesny temat odejścia Milтона, mimo że nieustannie zastanawiała się, czemu to zrobił. Dlaczego nawet nie zadzwonił, nie napisał bądź choć nie przysłał krótkiej wiadomości przez kogokolwiek? Dodatkowo to, że nie byli jeszcze małżeństwem, tylko utrudniało jej zdobycie konkretnych informacji w tamtym czasie. Wydział DEA milczał, dając jedynie zdawkowe odpowiedzi. Dopiero po pewnym czasie, dzięki odpowiednim wtykom, dowiedziała się, że Milton żył i na własną prośbę odszedł ze służby. Nikt nic więcej jej nie

powiedział. Żyła do tej pory, nie znając prawdy, na której odkrycie po cichu obecnie liczyła. Myśli, że mógł odejść do innej, długo nie dawały jej spokoju. Przez to i przez utratę dziecka spędziła długie godziny u psychologa, aby móc wrócić do życia w społeczeństwie i pracy zawodowej.

- Hej, wstań, zrobiłam ci coś do jedzenia.

Milton podniósł głowę i przetarł zaspane oczy. Spojrzał na stojącą przed nim Jessicę i na chwilę zapomniał o istniejących problemach. Wrócił wspomnieniami do dawnych lat, które spędzili razem. Usiadł na brzegu fotela i przegarnął dłonią kruczoczarne włosy do tyłu. Jessica stała dosłownie na wyciągnięcie ręki. Objął ją wpół i wtulił głowę w jej ciało delektując się przez chwilę zapachem jej aksamitnej skóry.

- Puść! - zaprotestowała natychmiast, odsuwając dłońmi jego rękę w dół.

Poczuła dziwne ciepło w swoim ciele. Dawne uczucie zatliło mały płomyk. Odwróciła się momentalnie i udała do kuchni, chcąc pozbierać swoje rozbiegane myśli. Wiele słów powinno było teraz paść, ale na razie oboje jedynie milczeli. Milton wstał i usiadł przy stole w salonie. Kanapki położone na talerzyku znikwały jedna po drugiej, a on w duchu liczył, że dziewczyna do niego dołączy.

Jessica jednak siedziała sama w kuchni. Nie dawała sobie rady z tą sytuacją. Nie mogła tak po prostu wrócić do dawnego, wspólnego życia. Zniknięcie Milтона i pamięć o dziecku to cios nie do zniesienia, tym bardziej zapomnienia. Wybaczenie w ogóle nie wchodziło w rachubę. Milton skończył jeść i rozejrzał się po mieszkaniu. Ten sam obszyty szarym materiałem fotel. Przy ścianie mała kanapa. Obok niej, po lewej stronie, mały, drewniany stolik z lampką.

Jessica przyszła z kuchni i w milczeniu zebrała talerze. Po

chwili zniknęła z powrotem, nawet nie spojrzawszy na byłego narzeczonego. Milton już się nie zastanawiał. Wstał i podążył za nią.

- Jess, porozmawiajmy o nas.

- Mów... - odpowiedziała, stojąc tyłem i zmywając naczynia.

- Popatrz na mnie choć przez chwilę.

Jessica cisnęła talerzem do zlewu, który od razu pękł na kilka kawałków. Odwróciła się, wpatrując w oczy Milтона.

- Jon, czego ty chcesz? Mało ci? - Złość buchała z jej ust.

- Zrozum, Jess, musiałem tak postąpić.

- Jak? Zostawić mnie w ciąży? Taki miałeś plan od początku? Było zachować się jak mężczyzna i powiedzieć, że nie chcesz tego dziecka, a nie wiać pod przykrywką wyjazdu na szkolenie do Europy. Myślisz, że mi było łatwo? Ja cię kochałam i naszego synka, którego przez to straciłam.

- A ty sądzisz, że miałem jakiś wybór? Co ty w ogóle wiesz? Chciałem zdobyć awans, polepszyć nam start i życie w trójkę.

- No to, kurwa, polepszyłeś, zostawiając mnie samą w ciąży i tyle!

Milton nie znał do końca prawdy, a jego dawna partnerka nie zamierzała mu teraz tego wyjaśniać. Reszta dnia wyglądała podobnie. Krótkie spięcia z kilkoma niepotrzebnymi słowami z obu stron. Żadne z nich do końca nie miało odwagi, by wreszcie usiąść i wszystko sobie wyjaśnić. Ból, strach oraz skrywane tajemnice. To powstrzymywało ich od szczerości, do której już dawno powinno dojść. Godziny do późnego popołudnia zleciały migiem. Jon Belly nie miał z dawnym życiem ich obojga nic wspólnego, a teraz to jemu czas uciekał w zastraszającym tempie. Oboje siedzieli w kuchni, tym razem naprzeciw siebie, przy niedużym stoliku. Jessica była tyłem do okna. Odwróciła się i zerknęła na zegar,

stojący za nią na parapecie. Dochodziła szósta po południu.

- Zbieramy się, powinniśmy tam być na czas - zakomunikowała oschłym w brzmieniu głosem.

Milton wstał i oboje ruszyli w miasto. Dotarcie na wyznaczone miejsce spotkania nie powinno zająć im dłużej niż godzinę.

ROZDZIAŁ XII

Detektyw za dnia wykonał kilka telefonów i przesłuchał pozostałych świadków. Zebrane dane z miejsc przestępstw ukazały mu cały zarys wydarzeń sprzed kilku godzin. Podniósł się z fotela i wyszedł z biura. Udał się długim korytarzem, mijając kilka pokoi i swoje kroki skierował w kierunku wielkiego pomieszczenia, gdzie znajdowali się inni, niżsi rangą policjanci prowadzący dochodzenia. Detektyw stanął w samym wejściu.

- Ederson? Albo któryś z was, widzieliście gdzieś Robertsona? Jest już w departamencie? - spytał detektyw, gdyż nie zauważył kolegi w jego pokoju.

- Tak, detektywie, był tu niedawno. Zajrzał na chwilę, po czym wyszedł. Mówił, że musi ochłonać. Jest teraz pewnie na zewnątrz budynku, od strony parkingu.

- Dobra Ederson, to leć po niego! Powiedz mu, że czekam w biurze i ma zaraz przyjść do mnie.

Ederson, mundurowy z trzyletnim stażem, błyskawicznie wyszedł z pomieszczenia i zjechał najbliższą windą do głównego holu departamentu policji. Detektyw tylko pokręcił głową. Nie rozumiał jak ktoś tak młody mógł z pierwszego piętra zjeżdżać tym

ciasnym urządzeniem. Ruszył z powrotem do swojego biura, gdzie zasiadł za biurkiem. Drzwi pozostawił otwarte. Robertson zjawił się momentalnie.

- Siadaj - detektyw wskazał na stojący przed nim fotel.

- Nie, dzięki! Postoję! Ledwo to wszystko ogarniam, muszę koniecznie dorwać tego typa. Wierz mi, Cane, jeśli skrzywdził kogoś z mojej rodziny, to nie będzie procesu.

- Przestań się wygłupiać! Mało masz kłopotów? Skończ z myśleniem o zemście. Oni mogą jeszcze żyć, a poza tym jedna sprawa została załatwiona. Prokurator nawet nie myśli o zarzutach wobec ciebie.

- W porządku. A co z moim powrotem do służby?

- Dostałeś zielone światło, urlop nie będzie konieczny. Co do dalszej pracy ze mną, to zostałeś całkowicie z niej wyłączony. Przydzielę ci nowe zadanie.

- Kurwa, to mi dopiero pomogłeś!

- Pomogłem. Nie zauważyłeś, że wciąż jesteś w wydziale? Nie mogło być inaczej, to nie przypadek, że jesteś w to zamieszany, choć może tylko postronnie, tego jeszcze na pewno nie wiem.

- Cane! Przecież ci tłumaczyłem! To ten sam człowiek stoi za wszystkim.

- Faktycznie, istnieje taka możliwość, Robertson, choć nie jest to przesądzone.

- Informuj mnie na bieżąco, nigdzie nie zamierzam się stąd ruszać.

- Jasne, ale pamiętaj: oficjalnie nie dotykasz tych spraw związanych z Jonem, Sally i seryjnym mordercą. Nie spieprz mi tego i nie mieszaj się, przynajmniej na oczach kolegów. Masz być trzeźwy dwadzieścia cztery godziny na dobę! Zrozumiałeś, kolego?

- powiedział dobitnie detektyw.

Robertson odwrócił się i wyszedł bez słowa. Krew zagotowała mu się w żyłach. Nie potrafił pogodzić się ze swoim obecnym położeniem. On, facet z takim doświadczeniem w wydziale, musiał podporządkować się tak durnym przepisom. Sytuacja była z jednej strony prosta, ale z drugiej za to nieprzyjemna, rzucała bowiem cień podejrzeń na Robertsona, co dziennikarskie hieny będą pewnie chciały wykorzystać. Jednak on nie przejmował się tym za bardzo. Nie zamierzał także nikomu tłumaczyć się z tego, co zaszło u niego w mieszkaniu.

Detektyw Cane po kilku godzinach mozolnej papierkowej roboty wyszedł z biura i przystanął zaraz za progiem.

- Mamy go! - zawołał głośno.

Robertson słyszał te słowa doskonale, gdyż echo niosło je niczym w lesie. Od razu podniósł się z krzesła, zostawiając stertę papierów i udał niezwłocznie w stronę pokoju detektywa. Jego biuro znajdowało się na samym końcu korytarza, w niewielkim pomieszczeniu. Kilka szybkich kroków i przemierzył odległość dzielącą go od partnera.

- Mów! Kto to jest, do cholery?! - zapytał Robertson, wpadając do Cane'a.

- Siadaj, sprawa się skomplikowała - powiedział Cane zza monitora komputera.

- Dobra, nie smęć mi, tylko dawaj jego imię i nazwisko!

Detektyw przesunął monitor tak, aby obaj mogli popatrzeć, co się na nim wyświetlało. Robertson spojrział na ekran i rozpoznał twarz człowieka, który był u niego w mieszkaniu.

- To ten cwaniak, jedziemy! Dawaj adres skurczybyka!

- Opanuj się! To Jon Milton.

- I co z tego?! Kim on, kurwa, jest?

- Wynajmuje pokój w motelu niedaleko stacji metra South

Ferry Station, to mało przyjemna okolica. Wiemy to od barowiczów, z którymi wdał się w bójkę przed lokalem w środkowym Manhattanie. Podczas niej zgubił breloczek od pokoju w motelu. Ochrona klubu zgłosiła awanturę nad ranem, podali też rysopis rozrabiaki. Zgadza się z twoim opisem i tym, który mamy w bazie. Wspomnieli również, że pytał o jakieś dziecko. Wysłałem tam patrol, powinien zaraz być na miejscu. Zadzwoiłem także do motelu, jednak właścicielka powiedziała, że nikogo o takim nazwisku nie ma na swojej liście. Tyle że z opisu facet jej pasował. Chłopaki, jak dojadą, to dokładnie sprawdzą te informacje i dadzą nam od razu znać.

- Cane, ruszamy do tego motelu, nie ma na co czekać! Pieprzony pedofil ma małego i pewnie Sally!

- Nie gotuj się tak! Nerwy schowaj do kieszeni. Być może to nie był ostatni łomot, jaki od niego dostałeś. Ten facet to były agent DEA. Do tego nie mamy pewności, czy ma twoją rodzinę. Dla mnie to wszystko, co wydarzyło się do tej pory i było z nim związane, nie ma żadnego sensu. W bazie nie znalazłem o nim za wiele informacji, sporo było utajnionych, szczególnie z ostatnich trzech, czterech lat służby. Wcześniej drabinka jego kariery, szczebelek po szczebelku, aż do pracy w DEA. Jedyne, co mnie zastanawia, to fakt, co właściwie taki człowiek robił u ciebie w mieszkaniu.

- A niby skąd ja mam wiedzieć?

- Jonie Milton... - detektyw wymówił te słowa bardzo powoli.

Kim jesteś skurczybyku? - pomyślał. - Jaki powód miałeś, żeby tak narozrabiać?

- Co dalej, Cane, jedziemy?

- Nie, nie jedziemy. Poczekamy na informację od naszego patrolu. Napijesz się czegoś?

- Dobra, naleję sobie kawy, bo mi ciśnienie skacze jak cholera.

To zaskoczyło detektywa. Czyżby nastąpiła zmiana w jego partnerze, o którą tak prosił?

- Posłuchaj Robertson, jest jeszcze jedna sprawa. Znaleźliśmy zwłoki starszego mężczyzny w kontenerze, w ślepej uliczce niedaleko twojej kamienicy. To niejaki Gregor Brzeziński. Pracował u krawca jako stróż. Zgon nastąpił w nocy. Nie było tam żadnych kamer, na razie nie mamy też świadków zdarzenia.

- A co to ma w ogóle wspólnego z naszą sprawą? W tym mieście ktoś ginie co kilka minut.

- Chłopaki sprawdzają to dla mnie. Może to faktycznie zbieg okoliczności.

- Cane, a ten Milton to ma jakąś rodzinę?

- Z tego co ustaliliśmy jego rodzice nie żyją od kilku lat. Nie ma w bazie jego adresu zamieszkania. Wygląda na to, że facet nie ma także rodziny. Nie mamy najmniejszej wzmianki o tym. Gość jest niczym duch. Jedyne co mamy to ten motel i niepełną przeszłość ze służby, aż do jego odejścia, które miało miejsce rok temu. Powody decyzji również zostały utajnione.

- Żaden duch!

- Wierz mi, Robertson, wiem coś o tym. Musieli mieć niezły powód, by wymazać jego dane. Wcale nie było łatwo dowiedzieć się o nim czegokolwiek. Sporo musiałem poszperać i podzwonić.

- Cane, ja myślę, że to, kurwa, on je morduje i za tym wszystkim stoi. Pewnie pojebało go po jakiejś tajnej akcji. Nie ma na co czekać, zbierajmy się i załadujmy mu dupsko do radiowozu. Nie wiem, czemu wylazł prosto na mnie tamtej nocy. Może zgłupiał? Ale jak ma Jona i Sally, to sukinsynowi nie daruję. Łeb mu urwę gołymi rękoma!

- Nie tak szybko! - przystopował po raz kolejny Robertsona. -

Raczej to nie on stoi za tym wszystkim. Sądzę, że w jakiś sposób jest powiązany, ale wątpię, aby był naszym głównym poszukiwanym. Czekamy na odpowiedź od chłopaków. Musimy mieć pewność, że faktycznie wynajmuje tam pokój. Jeśli potwierdzi się informacja, to go zgarniemy i przesłuchamy. Zobaczymy, co powie.

Niecały kwadrans później detektyw dostał potwierdzenie, że Jon Milton zajmował jeden z pokoi w tym motelu. Patrol, który to zgłosił, został na miejscu. Policjanci na jego wyraźny rozkaz nie weszli do środka. Zatrzymali radiowóz tak, aby nie rzucał się mocno w oczy. Właścicielka zapewniała ich, że człowieka, którego szukają, nie ma tam już od kilkunastu godzin. Nie potwierdziła także, aby przebywał z nim mały chłopiec. Detektyw postanowił jednak sprawdzić to osobiście. Nie chciał, by ktokolwiek zatarł jakieś ślady, na wypadek gdyby okazało się, że kobieta miała złe informacje lub po prostu kłamała. Jednak osobiście wątpił, by w pokoju znajdował się Jon Belly bądź jego matka. Mimo to i taką możliwość założył, wolał niczego nie wykluczać.

Robertson w tym czasie kręcił się nerwowo między biurem swoim a detektywa. Nosił go niemiłosiernie. Nie dawał za wygraną, koniecznie chciał być obecny przy tym, jak aresztują agenta Milтона. Wszedł do detektywa i stanowczo mu zakomunikował.

- Dobra, jadę z wami! Cane, nawet nie próbuj mnie przed tym powstrzymać!

- W porządku, ale zrobimy to po mojemu. Masz trzymać się z daleka i nie angażować w akcję. Rozumiemy się, Robertson? Nie chcę dodatkowych kłopotów. Adwokaci wykorzystają przeciwko nam każdy najmniejszy paragraf, gdyby coś poszło nie tak. Pamiętaj, tylko obserwujesz.

Robertson wyszedł. Chciałby jak najszybciej dorwać tego, którego uważał za porywacza Jona, a to, że facet złamał mu nos na korytarzu przed jego mieszkaniem, tylko jeszcze bardziej go grzało, aby uczestniczyć w aresztowaniu. Było już późne popołudnie. Policjanci z patrolu nadal byli na miejscu i obserwowali budynek. Czarny cadillac ruszył spod departamentu 67 wraz z trzema dodatkowymi radiowozami, które zmierzały za detektywem pod znany już adres. Wszyscy funkcjonariusze po dotarciu na miejsce mieli zachować ostrożność, na wypadek gdyby jednak ktoś znajdował się wewnątrz pomieszczenia.

- Robertson, zostajesz w samochodzie, tak jak się umawialiśmy wcześniej - zakomunikował detektyw, wysiadając z auta na parkingu przed motelem.

- Teren zabezpieczony - usłyszał od jednego z policjantów.

W tym momencie jego partner opuścił samochód. Nie było czasu na jakiegokolwiek sprzeczeki. Reszta funkcjonariuszy zajmowała już swoje pozycje.

- Robertson, w takim razie trzymasz się z tyłu, my wchodzimy - uprzedził detektyw.

Ten nic nie odpowiedział, wyjął broń i szedł dosłownie dwa kroki za nim. Detektyw szedł chodnikiem tuż przy ścianie parterowego budynku. Podążał w stronę pokoju numer 23.

- Głowy nisko - zakomunikował chwilę przed dojściem do odpowiednich drzwi.

- Robertson, cholera, przejdź na drugą stronę! - Detektyw wskazał kierunek działania koledze. Następnie rzekł do innych funkcjonariuszy: - Reszta ubezpiecza.

Partner detektywa, przechodząc wzdłuż okna, schylił się, następnie minął drzwi wejściowe do pokoju i stanął po przeciwnej stronie. Musiał uważać, gdyż zaraz za jego plecami znajdowało się

kolejne okno. Wszyscy trzymali broń w pogotowiu. Radiowozy miały włączone sygnały świetlne na dachach.

Dwa mocne stuknięcia pięścią w zielone drzwi numer 23. Cisza. Po chwili detektyw uderzył ponownie ręką. Zero odpowiedzi, tak jak się spodziewał. Nie mieli drugiego klucza, który podobno nie istniał, wedle słów właścicielki.

- Dobra, wchodzimy na ostro! - zakomunikował detektyw.

Machnął dłonią na funkcjonariusza z hooliganem, narzędziem ratowniczym służącym do wywarzania drzwi. Mundurowy szybko podbiegł i stanął plecami do Robertsona.

- Można? - spytał, upewniając się, czy reszta była gotowa, gdyż po takim wyłomie musieli szybko reagować.

Detektyw tylko kiwnął głową. Mocne uderzenie zrobiło swoje, drzwi ustąpiły.

- Wchodzę! - wrzasnął Robertson i nie czekając zrobił pierwszy krok w próg.

W tym momencie potężny wybuch odrzucił detektywa i resztę mundurowych kilkanaście metrów dalej. Coś przebiło mu ciało po lewej stronie, tuż poniżej żeber. Ciemność pojawiła się w jego oczach, w uszach zaszumiało niemiłosiernie i nie mógł złapać oddechu. Budynek został pozbawiony szyb, a pokój, do którego chcieli się dostać, stanął cały w ogniu niczym płonące szyby wiertnicze. Niektórzy funkcjonariusze wstawali o własnych siłach, pozostali potrzebowali natychmiastowej pomocy. Rannych zostało również kilka postronnych osób przebywających w innych pokojach. Pożar i towarzyszący mu gęsty dym momentalnie się rozprzestrzenił. Detektyw wsparł się na łokciu i z bólem podniósł głowę odrobinę do góry. Rozejrzał się wokoło. Nie miał siły, aby cokolwiek zrobić. Szukał wzrokiem kolegi. Spostrzegł Robertsona kilka metrów od niego. Nie miał tyle szczęścia co inni, gdyż znalazł

się w bezpośredniej linii wybuchu. Jego partner zginął na miejscu.

ROZDZIAŁ XIII

Dochodziła szósta trzydzieści wieczorem.

Milton nie czuł się swobodnie w metrze. W każdej chwili liczył się z tym, że jego wizerunek mógł pojawić się na monitorach w wielu publicznych miejscach. *AMBER Alert* ogłoszony przez detektywa z departamentu 67 pokazał, że potrafi zaskoczyć swoimi decyzjami.

Milton i Jessica wyszli z podziemi. Udali się w kierunku podanego miejsca, gdzie musieli poczekać. Jessica nie знаła konkretnego adresu. Informator, który miał się z nimi spotkać, powiedział, że sam ją wypatrzy. Podał tylko nazwę skrzyżowania dwóch alei, gdzie będzie zgodnie z umową. Włączyli się bez celu na 5th Avenue w pobliżu 79th Street już dobre kilkanaście minut. Milton przystanął przy znajdującej się tam kawiarni. Nie miał zamiaru wchodzić wewnątrz lokalu. Zerknął tylko na gości siedzących przy stolikach. Jessica stała koło niego i również była zapatrzona w tę samą szybę. Oboje pomyśleli w tej chwili o tym samym: jak cudownie mogło wyglądać ich wspólne życie.

- Jess, wiesz co robisz? Znasz go dobrze? - Milton zapytał, patrząc w odbicie dziewczyny w tafli szkła.

- Tak, znam. To młody człowiek, ale jak wielu podobnych, nie miał fartu w życiu. Poczekajmy jeszcze, na pewno przyjdzie.

W tym samym momencie zauważyła odbicie chłopaka w szybie kawiarni.

- Hej, Tommy! - krzyknęła, odwracając się tak, by ją zauważył i rozpoznał.

Młodzieniec stał po drugiej stronie ulicy, przed budynkiem banku. Był to drobny diler i złodziejaszek kieszonkowy, z którym byli umówieni. Chłopak swym sprytem i bezczelnością dorównywał najlepszym w swojej branży. Od lat ani razu nie był aresztowany za posiadanie nielegalnego towaru.

- Joł, mała, co tam? - zapytał, podchodząc do swojej dobrej sponsorki.

Jessica zawsze odpalała mu coś za informacje.

- Dobrze, Tommy. A u ciebie?

- Eee, a to kto? - zapytał zniesmaczony, spoglądając na Milтона.

Widać było wyraźnie, że dziewczyna nie wspomniała, że nie będzie sama. Obawiała się pewnie, że wówczas chłopak nie pojawiłby się.

- Spoko, Tommy, to mój przyjaciel - odpowiedziała krótko, zauważając jego podenerwowanie.

Młodzieniec zaczął kręcić się dookoła obojga. Przystanął po chwili naprzeciwko Milтона i spojrzał na niego, mierząc go wzrokiem od dołu do góry.

- Taa, ale wiesz, że ja tak nie działałam. Niech spada albo znikam - uprzedził Jessicę, wpatrując się w twarz Milтона.

- Dobra, Tommy, daj dzisiaj spokój. Tym razem to coś zupełnie innego - tonowała go dziewczyna.

- Joł, młoda, ale przy nim nie gadam. Mowy nie ma! -

odpowiedział Tommy, poprawiając dredy na głowie lewą ręką, przy czym nie spuszczał z Milтона wzroku.

- Tommy, tak chcesz to zakończyć? - zapytała podenerwowana Jessica.

- Idę - zakomunikował i od razu zaczął się oddalać od obojga.

- Hej! - wrzasnęła twardo Jessica.

Młodzieniec zatrzymał się i obejrzał.

- Wracaj! A przysługa? Zapomniałeś?!

Tommy stał przez chwilę jak wryty. Doskonale pamiętał, co jej zawdzięczał, gdy pewnej nocy przypadkiem natknęła się na niego w trakcie upłynniania towaru. Jessica wracała wtedy z kolacji, gdy nadjechał policyjny patrol. Gość, który kupował od niego narkotyki, zwiął samochodem, zostawiając go gliniarzom jak na talerzu. Jednak ona, widząc co się święci, nie zastanawiała się długo, zgarnęła od niego towar i schowała do torebki. Udawała, że tylko rozmawiali. Była znaną dziennikarką, więc policjant nawet jej nie sprawdzał, za to chłopaka przeszukano dokładnie. W ten sposób ocaliła mu tyłek od pierwszego w życiu mamra.

Zanim tu przyszli, Jessica uprzedziła Milтона, aby nie wtrącał się w rozmowę, dopóki Tommy nie nabierze pewności co do jego osoby i sam się do niego pierwszy nie odezwie. Chłopak podszedł do nich z powrotem. Nie miał zadowolonej miny.

- Tommy, wiesz coś o sprawie zwłok i akcji policji koło Park Row w mieszkaniu policjanta?

- A co, przespałaś dzień z tym gościem?

- Ty, nie cwaniakuj już, tylko mów, dobra? Czy wiesz coś o porwaniu Jona Belly'ego i znalezionym ciele młodej kobiety w domu u gliny? - zapytała stanowczo Jessica.

- Ha, to ty naprawdę nic nie wiesz? Zabawa z przystojniakiem w nocy i kac w dzień - znowu odezwał się bezczelnie diler.

- Gadaj i nie interesuj się moim życiem osobistym, bo przysięgam, pożałujesz!

- Nie tu... Weź tego dupka i chodźcie za mną. W tym miejscu jest za duży ruch. Gadka z wami na ten temat i to na widoku to byłaby wielka głupota.

Wskazał przy tym ręką kierunek, w którym mieli się za nim udać. Dojście w dość osobliwe miejsce na uboczu nie zajęło dużo czasu.

- Co wiesz? Tylko szczerze, bo nie chce mi się dzisiaj słuchać twoich kręctw i dziwnych gier. Trzymaj - podała mu zwinięty banknot studolarowy. Tommy wziął go i wcisnął w tylną kieszeń spodni.

- Ty, młody, tylko gęba na kłódkę! Nikomu ani słowa, że z nami rozmawiałeś! - uprzedził Milton chłopaka, gdyż znał ten typ ludzi. Za odpowiednią kasę sprzedadzą cię każdemu.

- Ucisz się gościu, z tobą nie gadam! - Diler odpowiedział Miltonowi. Wpatrując się w Jessicę, zapytał bardzo poważnie: - A słyszałaś o bombie, która wybuchła w motelu na obrzeżach miasta? Zginął tam glina.

- Co?! - odpowiedziała zaskoczona Jessica.

- Taa, a co myślałaś, że niby co ci powiem? Wiadomości nie oglądałaś po południu? Trąbią o tym na okrągło.

- Nie, zabrakło mi na to czasu. Pytałam tylko o zaginionego chłopca i jego opiekuna policjanta Robertsona. A co ma do tego śmierć jakiegoś gliny?

- To młoda, ty naprawdę niewiele jeszcze wiesz. Nieźle musiałaś zalać robaka.

- Nie rozumiem, Tommy.

- Widzę przecież, że nic nie rozumiesz. Słuchaj, to podobno ojciec tego porwanego dzieciaka tam zginął, a sam detektyw

tutejszego departamentu 67 został nieźle ranny i ledwo dycha w szpitalu na Madison Avenue. - Diler ujawnił obojgu chyba najważniejszą tego dnia wiadomość.

- Kurwa! Małolacie, co ty pieprzysz! - przeklął na głos zszokowany informacjami Milton.

Tommy spojrział na niego od razu, jakby chciał przypomnieć mu ustalony wcześniej udział w tej rozmowie. Zorientował się także, że ten obcy facet musiał mieć z tym coś wspólnego. Inaczej by go tu nie było.

- Dobra, Tommy, mów jakie informacje masz dla mnie jeszcze. - Jessica próbowała wrócić do tematu z nadzieją, że dowiedzą się czegoś więcej.

- Tyle - odpowiedział krótko, obejrzawszy się za siebie, jakby czegoś się obawiał i sprawdzał, czy nikt nie nadchodził.

- Coś wiesz, Tommy, nie kłam! - Jessica podeszła do dilera tak blisko, żeby poczuł, że tym razem to naprawdę poważna sprawa, a ona nie odpuści.

Chłopak odwrócił się i zrobił jeszcze kilka kroków, wchodząc głębiej w boczną uliczkę, tak by mieć pewność, że nikt ich nie zauważy.

- Hej ty, zostań! - wtrącił chłopak, widząc jak Milton także ruszył za nimi.

Jessica spojrzała wymownie na swojego byłego narzeczonego, aby od razu zrozumiał, że to jedyne wyjście, by informator zdradził coś więcej niż tylko wiadomość, która pojawiła się już w każdej stacji nadającej informacje. Ich ściszona rozmowa na osobności trwała chwilę, lecz to, czego dowiedziała się dziewczyna, naprawdę zmroziło jej krew w żyłach. Tommy spojrział na odchodne jeszcze raz na Milтона i momentalnie się ulotnił.

- I co? Mamy coś? - Milton zawołał do Jessiki, która wciąż

stała kilkanaście kroków od niego.

Po chwili Jessica, jakby obudzona z transu, podeszła do niego i stanęła twarzą w twarz. Teraz wydawało się jej, że miała do czynienia z największym krętaczem i oszustem, jakiego kiedykolwiek spotkała w życiu.

- O co chodzi? Jess, co on ci powiedział?!

- A jak myślisz, ty pieprzony kłamco i bandyto! - dziewczyna zaczęła krzyczeć na cały głos jak oszalała.

- Uspokój się! O co ci chodzi, Jess?

- Jeszcze pytasz, o co mi chodzi? To śmiało, powiedz, w co mnie wplątujesz?! Pojechało cię całkowicie! Po co przylazłeś do mnie tej nocy? Co za bajkę mi wcisnąłeś z tym dzieciakiem i tobą? - skołowana Jessica zaczęła wymyślać Miltonowi.

- Jaką bajkę? Powiedziałem ci prawdę! Uspokój się, bo zaraz zjawią się tu gliny, jak będziesz tak wrzeszczeć wniebogłosy.

- O, to super! Może im opowiesz tę ckliwą historyjkę, bo mnie to już gównie obchodzi! - odpowiedziała, popychając Milona na bok i skierowała się w stronę głównej ulicy.

- Jess, stój! - krzyknął, widząc, jak jego jedyny sprzymierzeniec w tej walce i poszukiwaniu chłopca oddalał się, nawet nie oglądając za siebie. - Chodzi ci o ten wybuch? O to, że wydarzył się w moim pokoju motelowym, tak? I zginął tam ten gliniarz? - dodał na koniec.

To dopiero spowodowało, że zdenerwowana dziewczyna zatrzymała się i stanęła tuż przy chodniku głównej ulicy. Odwróciła się w stronę Milona. Spojrzała na niego z dużej odległości, szukając od nowa mocy w zakamarkach swej duszy, by znowu mu zaufać.

- Podejź, proszę - powiedział delikatnie, nawet na moment nie spuszczać z niej wzroku.

Jessica niechętnie ruszyła w jego kierunku. Zdawała sobie sprawę, że to, co przed chwilą usłyszała od Tommy'ego, można było na pewno w jakiś sposób spróbować wyjaśnić. Informacja o tym, że pokój, który wynajmował Milton w motelu, wyleciał w powietrze i przez to zginął policjant, zszokowała ją do granic możliwości. Ponadto ranny został detektyw, którego znała doskonale. To było za dużo dla niej jak na jeden dzień.

- Jess, wiesz przecież, że bym cię nie okłamał.

Dziewczyna stanęła dosłownie metr przed Miltonem. Pogoda ponownie dała o sobie znać i to w ten nienajlepszy sposób. Jesienny deszcz zaczął padać, nie zważając na nikogo.

- Słucham - powiedziała krótko.

- Ja tego nie zrobiłem... Ktoś podłożył to gówno u mnie. Ja taki nie jestem. Słyszałem, jak ten cwaniak w dredach mówił ci o tym wybuchu, ale on nie zna całej prawdy. Chcą mnie w coś zrobić albo...

- Co ty pieprzysz?! Kto chciałby cię zrobić? I w co?

- Nie wiem, ale na pewno się dowiem. Nie zostawię tego tak.

- Ty i niezostawianie to trochę naciągane, nie uważasz? Jon, nas zostawiłeś - wyrzuciła przez łzy skrywany w sercu ból.

Krople deszczu coraz bardziej uderzały o chodnik. Oboje stali przez dłuższą chwilę w milczeniu.

- Jess... gdy odkryłem te zwłoki w mieszkaniu tego gliniarza, myślałem, że to on miał coś z tym wspólnego. Obawiałem się, że zabił matkę Jona i ją tam trzymał. Jednak, gdy znalazłem umierającego Gregora, a teraz jeszcze ten gliniarz Robertson nie żyje... myślę, że mogłem się mylić.

Jessica słuchała wyjaśnień byłego narzeczonego. Włosy zrobiły się jej mokre od deszczu, a wiatr spowodował, że bardzo zmarzła. Zaczęła dygotać z zimna. Zdała sobie sprawę, iż Tommy wyciągnął

pochopne wnioski co do Milтона, myśląc, że mógł być sprawcą tego zdarzenia w motelu. Milton objął ją i przytulił do siebie.

Po krótkiej chwili udali się razem do pobliskiej kafejki, którą wcześniej minęli po drodze. Dużo ryzykowali, pokazując się w takim miejscu. Zdawali sobie również sprawę, że dalsze ukrywanie Milтона nie miało już żadnego sensu.

- Poproszę dwie kawy i śmietankę - zawołała Jessica do kelnerki, siadając przy wolnym stoliku.

- Głodna jesteś? Może coś zamówimy? - zaproponował Milton.

- Nie, daj spokój. Tylko przeczekamy chwilę ulewę i idziemy stąd. Późno już jest, a jestem naprawdę wykończona.

- Tak... ale co teraz?

- Coś wymyślimy - uspokajała go Jessica.

Milton naprawdę czuł się podłamany. Nie miał bladego pojęcia, co począć dalej. To, czego dowiedzieli się od informatora, zaskoczyło ich oboje. Nie spodziewali się tego. Liczyli, że to policjant, ojczym Jona, będzie pociągnięty do odpowiedzialności za morderstwo tej kobiety. Do tego wszystkiego nie otrzymali żadnej wskazówki, która pomogłoby im w odnalezieniu chłopca.

Dziewczyna mimo tego starała się zachowywać rozsądek. Wyglądało to tak, jakby miała już wymyślony plan dalszego działania. Niestety nic bardziej mylnego, gdyż sama była zagubiona. Zawsze działała instynktownie, ufając swojemu dziennikarskiemu nosowi i tym razem też na to liczyła.

Krótką, zwykłą rozmowa i ciepło kawy rozplływające się w jej ciele pozwoliły na chwilę odprężenia. To wystarczyło, by umysł się rozjaśnił i zaczął intensywniej pracować, analizując zaistniałą sytuację. Wróciła nagle nadzieja, w głowie zaświtała jej pewna możliwość, która mogłaby dać Miltonowi szansę na przedstawienie swojej wersji zdarzeń, zanim go aresztują i postawią zarzuty o coś,

czego nie zrobił.

Dziewczyna wstała od stolika i poszła do łazienki. Milton w tym czasie poprosił jeszcze o dolewkę czarnego, aromatycznego napoju. Spojrzał w okno. Ulewa na zewnątrz nie ustawała, a zabawiali w tej kawiarni już ponad godzinę.

ROZDZIAŁ XIV

Dochodziła dziewiąta wieczorem.

- Cześć, Cane! - zawołał burmistrz z uśmiechem na twarzy, przekraczając próg sali szpitalnej, w której leżał ranny detektyw.

Jak na taką eksplozję doznał niewielkich obrażeń.

Burmistrz zjawił się z całą świtą. Za jego plecami stali dziennikarze i kilku ochroniarzy. Wyglądało to dość komicznie. Detektyw popatrzył na swojego politycznego zwierzchnika z lekkim niesmakiem.

- Jak tam, Cane, dobrze się czujesz? - zapytał ponownie burmistrz, podchodząc bliżej łóżka.

Położył rękę na tylnej poręczy. Flesze błyskały przez cały czas. Wyciągnął dłoń na znak powitania na oczach wszystkich obecnych w pomieszczeniu, w tym dwóch mocno zaprzyjaźnionych pismaków z poczytnych gazet. Detektyw rozpoznał ich od razu. Burmistrz nieźle to sobie zaplanował, licząc na świetne zdjęcia do porannych gazet. Cane znał ten typ ludzi i wiedział, że polityka towarzyszy im zawsze, na każdym kroku. Niestety tym razem burmistrz popełnił gafę, gdyż chyba nie do końca zdawał sobie sprawę ze stanu zdrowia detektywa. Obszedł się więc smakiem, sądząc, że

osobiście uściska dłoń rannego policjanta największego departamentu policji w tym kraju. Twarz polityka wyraźnie wyglądała na zniesmaczoną zachowaniem detektywa.

- Panie burmistrzu! - Z tyłu odezwał się tubalny głos ordynatora szpitala, który przyglądał się temu przedstawieniu z korytarza.

- Tak, słucham? - spytał wciąż zaskoczony polityk.

Zauważył, że ktoś przeciskał się między obecnymi w pokoju.

- Detektyw Cane jest mocno osłabiony po zabiegu. Kto pana tu w ogóle wpuścił z tymi wszystkimi ludźmi? Nie taka była umowa! - powiedział oburzony ordynator.

- Niech pan nie żartuje, ordynatorze. Ja nie potrzebuję niczyjej zgody na to, z kim mam się spotykać i gdzie mam wchodzić. To ja rządę tym miastem, jakby pan nie wiedział - pouczył ordynatora.

Sytuacja zrobiła się mało przyjemna.

- Panie burmistrzu, tyle że tą placówką rządę ja i osobiście odpowiadam za zdrowie oraz spokój pacjentów.

- Dobrze, dobrze, ordynatorze. Chwilę porozmawiam z detektywem i wychodzimy.

- Proszę natychmiast się pożegnać z pacjentem i opuścić salę. Detektyw nie powinien się na razie przemęczać - dodał ostro ordynator i wskazał ręką w stronę otwartych drzwi.

Nie wyglądał na skorego do negocjacji.

- Jezu, Cane... A ja myślałem, że to tylko draśnięcie, jakiś drobiazg - sapnął zniesmaczony polityk, nie dając poznać po sobie, że słowa ordynatora mocno go zaboląły.

W sali pojawiły się w tym czasie dwie pielęgniarki. Momentalnie wszyscy goście wyszli na zewnątrz. Burmistrz pozostał jednak na chwilę. Poklepał delikatnie detektywa po nodze, która była przykryta kołdrą.

- Spokojnie, poradysz sobie, dasz radę. Nie martw się, złapiemy tego gościa i odnajdziemy malucha... Jak mu tam?

Detektyw milczał i nie dlatego, że chciał urazić swoim zachowaniem burmistrza. Wolał nie wdawać się w dyskusję z politykiem, który nawet nie pamiętał nazwiska poszukiwanego dziecka. Wizyta tak ważnej osobistości oraz jej świty na szczęście dobiegła końca.

Żona detektywa, Michelle, i czwórka dzieciaków, mocno przeżyły to, co wydarzyło się na służbie. Mimo to rodzina nie namawiała go na odejście z wydziału. Wiedzieli, że ktoś w tym kraju musiał być tym najodważniejszym ze wszystkich. To akurat był Cane, mąż i ojciec. To on codziennie, z podobnymi do siebie ludźmi służącymi krajowi w różnych formacjach, narażał życie, aby inni mieli choćby odrobinę spokoju i nadzieję na lepsze jutro.

Rany na ciele detektywa pozostawią jedynie nieduże blizny, za to strata partnera z wydziału będzie bolała przez długi czas. Cała akcja w motelu nie zapowiadała takiej katastrofy, a to, co przytrafiło się Robertsonowi, nie powinno w ogóle mieć miejsca. Bezradność, tyle na razie czuł detektyw z wydziału kryminalnego. Natomiast Jon Milton był obecnie poszukiwany i miał być jak najprędzej zatrzymany w celu wyjaśnienia eksplozji w motelu i w sprawie włamania do mieszkania Robertsona.

ROZDZIAŁ XV

Upłynęło wiele godzin od momentu, gdy mężczyzna przyniósł nieprzytomnego chłopca do mieszkania i zamknął go w niewielkim pomieszczeniu. Uśpił go chloroformem po tym, jak pchnął nożem starszego faceta.

Wszedł teraz do pokoju, w którym okna były całkowicie zasłonięte metalowymi roletami. Zapalił światło i postawił na stole talerz z jedzeniem oraz kubek herbaty. Spojrzał na śpiącego na łóżku malca.

- Pobudka! Wstawaj, wystarczająco długo już spałeś!

Jon uchylił lekko powieki. Łzy stanęły mu w kącikach oczu. Mężczyzna to zauważył.

- Chyba nie będziesz się mazać? Nie jesteś jakąś beksą! Widzę, że na razie wystarczy ci tych leków. Dochodzi dziesiąta w nocy, a ty spałeś jak suseł do tej pory.

Chłopiec czuł się mocno skołowany i był delikatnie odrętwiały. Po policzkach popłynęły mu łzy. Przypomniawszy sobie, co ten mężczyzna zrobił przyjacielowi Miltona.

- Podnieś się! Zrobiłem ci coś do jedzenia - powiedział, nie spuszczać wzroku z chłopca.

Jon powoli usiadł na łóżku, podpierając się rączkami. Wzrokiem wodził po całym pomieszczeniu.

- Rusz się! - ponaglił go nieznajomy, wskazując ręką w kierunku stolika stojącego w rogu, po czym odwrócił się i robiąc trzy duże kroki, doszedł do wskazanego miejsca. Przesunął talerz z jedzeniem na brzeg, dając wyraźny znak, żeby chłopiec się nie ościagał.

- Nie chcę! - krzyknął odważnie Jon.

- Jedz, jak ci każę! Nie miałeś tyle czasu nic w buzi, siły musisz nabrać!

- Jadłem, ty zmore przebrzydła! Chcę stąd wyjść!

- Tak, mądralo? A kto cię karmił, ty mała zmore przebrzydła? - przedrzeźnił go mężczyzna.

- Wujek Milton dał mi jeść.

- Nie masz żadnego wujka! A ten Milton to kto?

- Mój przyjaciel. On cię zabije, za to co zrobiłeś temu staremu panu, u którego mnie zostawił! Zobaczysz!

- Ha! To ten frajer spod okna, co z nim wtedy uciekłeś? Milton mówisz... A jak ten twój kumpel ma na imię? Powiedział ci?

- Ma na imię tak samo, jak ja! Tylko on jest mały Jon, a ja duży, ty zmore! Zobaczysz, co ci robi, jak po mnie przyjdzie!

- No już, uspokój się! Daj sobie na wstrzymanie z tymi zmorami, ciągle mnie tak nazywasz. Nic innego, mądrzejszego, nie umiesz wymyśleć?

- Nie, bo nią jesteś!

- Już dobrze! Cieszę się, że wreszcie wiem, kim jest ten mały Jon. Podnoś tyłek, ubieraj się! Zjadaj, co ci postawiłem!

- Gdzie są moje ubrania?

- Za tobą, mały bystrzacho.

Chłopiec odwrócił głowę w stronę ściany, zauważył swoje

spodnie i sweterek wystające spod poduszki. Wyjął je i ubrał się powoli. Zsunął nogi z łóżka i boso podszedł do stolika. Wdrapał się niemrawo na krzesło.

- No, lepiej - powiedział mężczyzna i usiadł naprzeciwko niego.

- Wypuścisz mnie czy zjesz?

- Naoglądałeś się bajek? Nie wypuszczę cię i nie zjem, mały głupolu.

- To Milton z mamą tu przyjdą, zobaczysz!

- Raczej wątpię, nie zawracałbym sobie tym głowy na twoim miejscu. Załatwiłem już, co trzeba, a temu twojemu Miltonowi również zgotowałem trochę kłopotów tym starym szmatławcem. Jak wrócił, to na pewno się zorientował. Niepotrzebnie wmieszał się, zabierając cię tamtej nocy. - A zobacz - i tak jesteś ze mną.

- Ucieknę ci!

- Tak, tak... A może wiesz, po co z tobą wrócił i zostawił u tego starca? Wpakował mi ciebie idealnie w ręce niczym prezent na gwiazdkę. Przyznaję, bałem się, jak z nim odszedłeś wtedy w nocy.

- Nie jestem żadnym prezentem!

- Oj, jesteś... Tylko jeszcze o tym nie wiesz. Słyszałem, że ten twój przybrany ojciec też dostał to, na co zasłużył. Trąbią o tym w każdych wiadomościach... Chociaż z nim miało być inaczej i ten Milton źle zrobił, uwierz mi chłopcze - powiedział mężczyzna, po czym wstał i wyszedł, zamykając za sobą drzwi na klucz.

Nie był zadowolony z takiego obrotu sprawy, nie chodziło mu o przypadkową śmierć tego policjanta. Poświęcił mnóstwo czasu, by dojść do tego momentu, w którym zostawił zwłoki kobiety w mieszkaniu Robertsona. Wszystko miał doskonale ułożone i szło zgodnie z planem, poza Miltonem, który zjawił się wtedy pod budynkiem i zabrał chłopca. Nienawiść to zło, które naznaczyło

mężczyznę swym palcem niczym hodowca naznacza było znakiem swojej hodowli. Doznał tego uczucia już jako dziewięciolatek. Znalazł wtedy list od osoby, którą kochał najbardziej. Od tamtego momentu jego życie zmieniło się w koszmar. Było tak do czasu, gdy skończył czternaście lat. Wtedy pomyślał, że zły los się nareszcie od niego odwrócił. Jednak nic bardziej mylnego, zło ponownie szybko uderzyło z całej siły i odebrało mu resztki wiary i nadziei.

Mężczyzna siedział po ciemku w pomieszczeniu obok, dręcząc się wciąż wspomnieniami, zaś chłopiec w swoim pokoju skończył właśnie jeść, mimo że wcześniej głośno protestował nieznanemu. Był bardzo głodny, więc gdy tylko tamten wyszedł, zjadł wszystko z talerza. Pragnął, aby Milton z mamą odnaleźli go, bo oni nie pozwoliliby, żeby ktokolwiek go skrzywdził.

- Chcę stąd wyjść, ty zmozo przebrzydła! - krzyknął Jon, podchodząc do zamkniętych drzwi.

Nie mógł tak łatwo się poddać. Był drobnym, ale wyjątkowo odważnym chłopcem. Mężczyzna wstał i zajrzał do małego pokoiku. Spojrzał surowym wzrokiem na malca.

- Jedz, cholera, jak ci kazałem, chyba że lanie mam ci spuścić! Musisz mieć dużo siły, gdyż czeka cię niedługo przygoda. Może jutro... Zobaczymy.

Powoli nerwy zaczynały puszczać mężczyźnie. Za sprawą dziwnego zrzędzenia losu jego misterny plan musiał ulec zmianie.

- Jestem silny! I zjadłem wszystko - zakomunikował stanowczo Jon.

- Tak, mądralo? - Mężczyzna spojrział na pusty talerz. - W takim razie przyniosę ci tu małą niespodziankę - powiedział i udał się do salonu.

Chłopiec nawet się nie uśmiechnął, był naprawdę wystraszony

i tęsknił za swoim zajaczkim. Pamiętał, jak wypadł mu z rączki, gdy ten mężczyzna wyciągnął go siłą spod łóżka w pokoju Gregora. Schował się tam, wracając z dworu, podczas gdy nieznajomy zaatakował na zewnątrz przyjaciela Milтона.

Po chwili mężczyzna był już z powrotem, a Jon, tak jak mu kazał, czekał na niego. Malec spostrzegł w jego ręku białego, pluszowego królika i momentalnie się w nim zakochał. Wziął go bez słowa i poszedł z nim na łóżko. Przyciszonym głosem opowiadał królikowi, że pozna go z zajaczkim Długouchym, jak tylko mama z Miltonem go stąd zabiorą.

Widok pokoju nie napawał chłopca radością. Dobrze, że dostał chociaż nowego przyjaciela, z którym mógł porozmawiać o wszystkim. Z boku znajdowało się wejście do małej łazienki, gdzie zamontowana była nieduża umywalka i sedes, lecz nie było wanny ani prysznic. Niebieskie mydełko czekało na umywalce na pierwsze użycie i jeden pstrokaty ręcznik wisiał z prawej strony. Wszystko wyraźnie różniło się od prawdziwego domu i pokoju chłopca. Dwie rzeczy były natomiast identyczne. Chodziło tu o światło wpadające szparą spod drzwi oraz zamknięty na klucz pokój. Teraz z zewnątrz, z innego pomieszczenia, dochodził stukot klawiatury komputera. To wyraźnie zdradzało, że zły człowiek wciąż przebywał w mieszkaniu. Chłopiec położył się na łóżku i wcisnął głowę w małą poduszkę, tuląc do siebie królika.

- Nie bój się, króliczku. Ja jestem duży Jon, a ty Długouchy dwa. Poznam cię niedługo z twoim kolegą, moim przyjacielem zajaczkim, jak tylko wrócimy - wyszeptał do kłapciatego ucha i się rozplakał.

Cały nakrył się kocykiem, tak jak zawsze robił to w swoim domu. Wydawało się, że miarowy dźwięk klawiatury dochodzący zza ściany uspił chłopca.

Mężczyzna w tym czasie wpisał adres zaplecza pracowni krawieckiej w przeglądarkę internetową. Było to miejsce, gdzie niejaki Milton zostawił chłopca pod opieką starszego faceta. Na ekranie monitora wyświetliła się informacja o danej pracowni. Należała ona do Howarda Clippera, krawca pochodzenia żydowskiego, szyjącego wyłącznie dla mężczyzn. Wyglądało, że to wyjątkowo majątny człowiek. Jego rodzina szyła od lat i tylko dla pewnej grupy odbiorców, żeby nie powiedzieć, prawdziwej elity tego kraju. Skoro tak, to co szkodziło zadzwonić i zaryzykować oraz zrobić małe przedstawienie? A nuż właściciel znał także Jona Milтона? Telefon leżał tuż pod ręką. Wpisał więc numer na wyświetlaczu i dotknął palcem przycisku połączenia. Czekał. Trzeci sygnał, czwarty... i wreszcie ktoś odebrał. Mężczyzna przedstawił się jako dobry znajomy Jona Milтона, od którego otrzymał kiedyś i zapisał w notesie adres tej pracowni. Powiedział, że numer telefonu do firmy znalazł w Internecie. Wyczuł, że jego pomysł wypalił. Przedstawił swojemu rozmówcy, panu Clipperowi, krótką historyjkę o kradzieży telefonu i zgubionych kontaktach. Wytłumaczył pokrótce, że koniecznie potrzebuje skontaktować się z przyjacielem Miltonem w prywatnej sprawie i potrzebuje do niego jakiś kontakt, numer telefonu bądź najlepiej aktualny adres. Starszy jegomość nie należał do łatwowiernych ludzi i momentalnie zapytał, dlaczego to do niego zadzwonił w tym celu. To nie stanowiło jednak większego problemu. Mężczyzna wyjaśnił, że wie, że są znajomymi, a ten zakład krawiecki został mu polecony właśnie przez Milтона na wypadek, gdyby potrzebował eleganckiego garnituru. Pan Clipper łyknął bajeczkę niczym ryba przynętę. Okazał się teraz niezwykle rozmowny. Wspomniał nawet o śmierci niejakiego Gregora Brzezińskiego, ochroniarza swojej pracowni. Mężczyzna z tego powodu wyraził duże ubolewanie

panu Clipperowi. Pogawędka szła dalej po najlepszych torach. Pan Clipper z upływającym czasem stawał się coraz bardziej wylewny i na koniec przekazał rozmówcy nie tylko numer telefonu Jona Milтона, o który wcześniej prosił, ale także podał jego adres. Co najzabawniejsze, zrobił coś, co bardzo zaskoczyło mężczyznę. Pan Clipper podał jeszcze informację o wiele cenniejszą, niż on mógł sobie wymyśleć i się spodziewać. Dzięki temu ów wieczór okazał się wyjątkowo owocny, a kolejne dni i noce zapowiadały się wręcz fascynujące oraz niezwykle pracowite.

ROZDZIAŁ XVI

Milton spojrział na zegarek, było już naprawdę późno. Podniósł się od stolika i nie dopijając ostatniej dolewki kawy, wyszedł z restauracji. Dziewczyna właśnie wracała z łazienki, gdy spostrzegła, jak opuszczał budynek. Pośpiesznie wyjęła z torebki kilka dolarów i rzuciła na stolik, regulując rachunek. Szybkim krokiem minęła inne stoliki i płaczących się gości. Pobiegnęła za partnerem na zewnątrz i przystanęła przed lokalem. Rozejrzała się wokoło. Deszcz wciąż padał, ale już dosyć słabo. Spostrzegła Milтона siedzącego na ławce nieopodal kawiarni. Miał spuszczoną głowę ze wzrokiem wbitym w chodnik, a na twarzy zarysowany wyraźny ból. Jessica domyśliła się, że mocno przeżywał całą sytuację. Poproszenie ją o pomoc nie było dla niego z pewnością łatwe, a strata kolejnego dziecka, choć nie własnego, musiała nim mocno wstrząsnąć. Podeszła i usiadła koło niego. Ujęła jego rękę w swoje dłonie i położyła, trzymając sobie na udzie. Chwilę siedzieli w zamyśleniu, zanim spojrzeli na siebie.

- Słuchaj, zamartwianie się w niczym nie pomoże. Zadzwońłam już do kogoś, chyba udało się nam pozyskać sprzymierzeńca.

- Coś już wiesz?

- Chodź, wracamy do domu. Zobacysz, będzie dobrze - odpowiedziała zdawkowo, nie ujawniając żadnych szczegółów.

Po chwili podnieśli się z ławki i w milczeniu udali w kierunku metra. Gdy wysiedli na odpowiedniej stacji, pospiesznie podążyli do mieszkania.

Tam zdjęli z siebie przemoczone ubrania. Dziewczyna została tylko w białych majtkach i krótkiej, niebieskiej bluzce, on zaś w spodniach i bez koszuli. Jessica wyszła z salonu na korytarz i udała się do łazienki. Włączyła suszarkę, aby wysuszyć wilgotne, zmoczone przez ulewę włosy, choć może zrobiła to tylko po to, by zagłuszyć swoje rozszalałe serce. Milton w tym czasie poszedł do kuchni. Znał tu każdy kąt, każdą szafkę. Zalał Jessicę kakao gorącym mlekiem. Pamiętał, że kiedyś uwielbiała ten napój. Sobie zaś nalał burbonu do szklaneczki, gdyż potrzebował czegoś na uspokojenie. Wypił do dna, po czym skierował się z kubkiem parującego napoju do łazienki. Zastukał do drzwi, choć wcześniej, gdy byli razem, tego nie robił.

- Mogę wejść? - zapytał głośniejszym głosem, gdyż nie usłyszał żadnej odpowiedzi.

- Wejdz, suszę tylko włosy.

Milton uchylił drzwi i stanął w progu. Jessica, odwrócona do niego tyłem, trzymała nad głową włączoną suszarkę i wolną ręką przegarniała swoje długie, proste blond włosy. Krótka koszulka uniesiona lekko do góry odsłaniała spory kawałek jej pleców.

- Przyniosłem ci kakao.

Jessica wyłączyła urządzenie i odwróciła się w jego stronę.

- Co mówiłeś?

- Masz nowy tatuaż na plecach? - Milton spostrzegł rysunek na ciele dziewczyny.

- A to... Zrobiłam go sobie jakiś miesiąc temu, tak dla zabawy, a może dla... Sama nie wiem.

- Zawsze je lubiłaś. Nawet ten mój na ramieniu i nasze obrączki, które wytatuowaliśmy sobie na palcach.

- Tak, ale sama jakoś nigdy nie miałam odwagi na taki duży. Mama nie pochwaliłaby tego. Już ten wytatuowany palec nieźle ją wkurzył. Pamiętasz awanturę?

- Co ona w ogóle ma do tego?

- Wiem, że to nie jej sprawa, ale kocham ją i nie chcę dokładać jej nerwów, szczególnie po śmierci taty.

- Fajny jest ten skorpion. Nie martw się, jeśli nie pójdziecie razem na plażę, to pewnie nigdy go nie zauważy - skomentował Milton.

- Przesuń się! - powiedziała Jessica, podchodząc do niego, gdyż blokował jej wyjście z łazienki.

Cofnął się o krok do tyłu i podał jej kubek.

Ten i następny dzień minęły podobnie. Oboje oczekiwali na telefon z wielkim napięciem. Coś jednak wisiało w powietrzu i nie chodziło tylko o obecne kłopoty Milтона. Oboje byli wyjątkowo rozdrażnieni. Pogoda wciąż płała figle. Od kilku dni nieustannie padało, wyłącznie z małymi przerwami. Deszcz dzisiejszego dnia również dawał znać o sobie już od samego rana.

- Jess, wyjdziemy gdzieś? Mam dość tego czekania! Ja już wariuję! Siedzenie tu do niczego dobrego nie doprowadzi! Niech się dzieje, co chce, najwyżej mnie aresztują!

- Cierpliwości! Na pewno zadzwoni, jeśli o to ci chodzi. A jeśli bardzo chcesz, to możemy pójść do tej kawiarni po przeciwnej stronie ulicy na jakąś małą kawę i ciastko. Może to cię uspokoi. Zauważyłam, że wczoraj ją otworzyli i nie widziałam u nich za wiele ludzi. Wątpię, by ktoś cię tam rozpoznał.

Milton podniósł się od razu i założył płaszcz. Jak nigdy wcześniej, potrzebował teraz zaczerpnąć świeżego powietrza. Dochodziła właśnie dziesiąta rano. W restauracji zamówili śniadanie, a do tego wypili po dwie kawy. Opuścili lokal dość szybko, by nie zwracać na siebie niepotrzebnie uwagi. Jessica szła pierwsza, dosłownie krok przed nim. Gdy tylko znaleźli się po drugiej stronie ulicy, w pobliżu budynku, w którym znajdowało się mieszkanie dziewczyny, Milton dostał niespodziewanie jakimś przedmiotem w plecy. Odwrócił się instynktownie do tyłu i spojrzał w kierunku ulicy.

- Hej, ty idioto! - krzyknął.

- Poczekaj! - wrzasnęła na rowerzystę jeszcze głośniejsze Jessica.

Zorientowała się od razu, że to nie był przypadek, a ten ktoś oddalał się główną ulicą zbyt raptownie, aby mogli go dogonić. Momentalnie rowerzysta skręcił na skrzyżowaniu i zniknął im z pola widzenia.

- Weź to! - szepnęła, wskazując na szarą kopertę leżącą na chodniku.

Rozejrzała się dookoła. Ludzi akurat kręciło się niewiele w okolicy, lecz kilka osób zwróciło uwagę na dziwną sytuację i zaczęli się im przyglądać.

- Rusz się, bo ludzie patrzą! - ponagliła Milтона.

- Jess, spójrz, ona jest podpisana.

Na kopercie widniał dobrze czytelny, krótki wyraz: „Milton”. Sekundę trwało, gdy oprzytomniał i podniósł rzecz. Szara, duża koperta była ubrudzona i mokra, a cała paczka wydawała się ciężkawa jak na przesyłkę listową.

- Chodźmy! - powiedziała ponownie Jessica.

- Tak, już idę - odpowiedział zdawkowo.

Milton szedł jednak powoli, nie zwracając uwagi na

ciekawskich gapiów. Myślami był już przy tym, co trzymał w dłoni. Dotarcie do mieszkania zajęło im dosłownie chwilę.

Jessica zdjęła pośpiesznie płaszcz i o to samo poprosiła zamysłonego Milтона. Zrobił to, lecz wpierw położył kopertę na stole w salonie. Znał procedury i wiedział, jak należało postępować w podobnych sytuacjach, jednak wezwanie policji wydawało się ryzykownym posunięciem.

- Otwórzmy to, do cholery! Szkoda tracić czasu na domysły - zaproponowała Jessica.

- Nie wiem, czy powinniśmy to robić - odpowiedział bez przekonania w głosie Milton.

Jessica zdjęła bluzkę, rzucając na poręcz krzesła i wyraźnie podenerwowana podeszła do niego. Napięcie i stres spowodowały, że przestała zachowywać się racjonalnie. Popatrzyła mu prosto w oczy, po czym wspięła się na palce i pocałowała w usta. Objął ją mocno w pasie, odwzajemniając pocałunek, następnie wziął na rękę i zaniósł na łóżko. Zsunął jej spodnie i zerwał zębami białe majtki. Oboje już od pierwszej chwili tego pragnęli. Milton delikatnie całował brzuch dziewczyny, przesuwając się ku jędrnym, niedużym piersiom. Gładził jej aksamitną skórę, aż pojękiwała z rozkoszy. Dali ponieść się żądzy, którą tłumili w sobie od samego początku, gdy Milton pojawił się u niej w domu.

Pościel zsunęła się z łóżka na podłogę, a oni razem z nią, nie przerywając igraszek.

Wtuleni tak w siebie leżeli, gdy po miłosnych uniesieniach wyrwał ich nagły dzwonek telefonu. Jessica podniosła się, wzięła z krzesła marynarkę Milтона i narzuciła na siebie. Jej pośladki, widoczne spod ubrania, kusiły go ponownie. Dziewczyna udała się do przedpokoju i wyjęła z torebki dzwoniący smartfon.

- To on! - krzyknęła i połączyła się ze swoim rozmówcą.

Milton wstał w tym czasie i założył spodnie. Usiadł przy stole, wpatrując się w szarą kopertę. Jessica podeszła do niego po chwili i stanęła z boku. Przytrzymała jedną ręką poły marynarki, zasłaniając piersi, jednak reszta jej ponętnego ciała nadal była odkryta. Spojrzał na nią i zaczął się zastanawiać, czy aby nie poszła z nim do łóżka z litości, gdyby okazało się, że za moment może trafić za kratki. Długa rozmowa partnerki wydawała się nie mieć końca. W tym czasie Milton analizował powstałą sytuację z przesyłką i zaczął podejrzewać o to nie tylko psychopatę, ale i tych, których unikał w ostatnim okresie.

Odłożyła wreszcie telefon.

- Jess, to ten ktoś?

- Tak, to Ron, mój kolega z pracy. Zgodził się i porozmawia dyskretnie z Cane'em, i da nam znać, czy możemy liczyć na jakieś wsparcie detektywa w tej sytuacji. Mogłam osobiście pójść z nim pomówić, ale chyba obecnie nie dałabym rady, bo niechcący mogłabym się wygadać.

- Wsypie nas ten Ron! Zobaczysz!

- Nie, gwarantuję ci, że tego nie zrobi. Ufam mu, a i tak nie mieliśmy innego wyjścia. Będzie działał ostrożnie, by nas nie zdradzić. Obiecał mi to. Ma zresztą do takich rzeczy smykałkę. I tak, jak słyszałaś, wszystkich faktów mu nie przekazałam. Co w tym złego, że poprosiłam go jedynie o to, by Cane spotkał się z nami i porozmawiał?

- A ty znasz tego detektywa Cane'a?

- Może, ale nie o to chodzi, czy go znam, lecz o to, aby nie wpakować ciebie w większe kłopoty i nie marnować cennego czasu potrzebnego na odnalezienie chłopca. W ciągu ostatnich kilku miesięcy poznałam wielu gliniarzy w tym mieście. Taka praca. Sądziłaś, że jesteś wyjątkiem?

- Nie, to twoje życie. Masz do tego prawo, ja już się nie liczę.

- Daj sobie na wstrzymanie z tą zazdrością. Ktoś czeka na ciebie, zapomniałeś o nim?

- Tak, masz rację, jak zawsze. Jon jest niewinnym dzieckiem, a ten psychol wyraźnie bawi się z nami w jakąś paskudną grę.

- Z nami? Co ty do cholery mówisz?! Z tobą! Ja nic nie wiem, to ty wtedy przyszedłeś do mnie nad ranem i wplątałeś w to coś.

- Jess, daj spokój. Tylko cię poprosiłem o pomoc, co miałem zrobić?

- Otwórzmy tę cholerną kopertę i miejmy to z głowy! - zaproponowała Jessica. Podeszła do biurka stojącego w rogu pokoju i wyjęła nożyczki z szuflady. Rzuciła je na stół. Trzęsły jej się ręce. Milton spojrzał na nią, a potem wziął kopertę w dłonie. Dziewczyna ze strachem wpatrywała się w niego i czekała, aż wyjmie zawartość ze środka. Rozciął papier i wsunął palce do koperty. Powoli wyjął zawartość.

- Jezu! - krzyknęła i odwróciła od razu głowę, zasłaniając dłońmi twarz.

Milton trzymał w ręce dość spore zdjęcie. Niedowierzał. Na fotografii była ta sama kobieta, której ciało znalazł w domu policjanta. Rozpoznał ją od razu. Na tym ujęciu wyglądała, jakby wciąż jeszcze żyła. Leżała owinięta przezroczystą folią i przybita gwoźdźmi do drewnianego stołu. Buzię miała zakneblowaną, a twarz wykrzywioną z bólu. Krew wypłynęła jej w miejscach, w których wbito metalowe pręty. Milton odwrócił ten makabryczny obraz tak, by Jessica nie musiała tego więcej oglądać. Jednak dziewczyna wciąż stała w tym samym miejscu, przerażona widokiem, który przed chwilą ujrzała.

- Jess, spokojnie. Jej już nie pomożemy. To właśnie tę kobietę znalazłem w mieszkaniu Jona i tego gliny - powiedział Milton. -

Zaczekaj, tam jest coś jeszcze – dodał.

Włożył ponownie rękę i wydobyl jakiś przedmiot owinięty białą szmatką. Powoli rozwinął materiał i zamarł w bezruchu. Jego oczom ukazał się długi gwóźdź, na którym znajdowała się zaschnięta krew. Prawdopodobnie należała do ofiary ze zdjęcia. To musiał być ten metalowy pręt, jeden z tych, którym kobieta została przybita. Zszokowany Milton upuścił go na podłogę. Oboje z Jessicą nie wierzyli w to, co teraz zobaczyli. Stracili resztki pewności siebie i nie rozumieli, co postanowił ten człowiek i jaki będzie jego kolejny ruch.

- Podnieś to, zobacz, tam jest jeszcze kartka! - Jessica wskazała palcem na podłogę.

Mała, zwinięta w rulonik karteczka leżała teraz tuż koło nogi stołu. Musiała wypaść, kiedy Milton wyjmował pakunek ze środka. Podniósł ją i bez zastanowienia rozwinął. Czytał w skupieniu, a Jessica wyczekiwała w milczeniu na to, co ma jej do przekazania na temat zawartości karteczki.

- Kurwa, Jess! On zabije Jona! - Milton zaklął na głos i wstał od stołu, podchodząc do dziewczyny.

- Co?

- Mówię ci, on z nami w coś pogrywa, zobacz!

Jessica otarła łzę i z niechęcią wzięła kartkę z rąk Miltona.

- Boże, co tu się dzieje? Lepiej tego nie dotykajmy - wymamrotała po przeczytaniu wiadomości.

- Jess, pewnie i tak są tu tylko nasze odciski.

- Pewnie tak, ale... - w tym momencie Jessica położyła kartkę na stół i przytuliła się do Miltona.

- Posłuchaj, natychmiast jedziemy do tego detektywa! Dzwon do tego kumpla z gazety, Rona, może już coś ustalił z tym gliną. Jak nie to nie. I tak jedziemy.

- Tak? A ten chłopiec, co z nim? Nie pomyślałeś? - Jessica odsunęła się o krok od Milтона.

- Nie wiem, Jess.

- Czy ty czytałeś to? Zgłupiałeś całkiem? Masz zakaz gadania z glinami. Mamy czekać na kolejną wskazówkę, żeby chłopiec nie zginął. Musimy tak zrobić, nie dam ci skrzywdzić tego dziecka! O nie! Więcej nie będzie po twojemu!

- Nie, Jess. Ja tak w to nie będę z nim grał! - Stanowczo zareagował były agent.

- Jak to? Znowu chcesz działać po swojemu? Tak jak ostatnio?!

Milton patrzył dziewczynie prosto w oczy i aż zagotował się środkiem. Nie wydawało mu się fair, aby obarczała go winą za całe ich nieszczęście i na dodatek mieszała do tego chłopca.

- Po prostu nie! - odpowiedział.

Jessica wzięła telefon do ręki, lecz wciąż wahała się z wykonaniem połączenia.

- Obiecałem dużemu Jonowi, że się nim zajmę i znajdę jego matkę. Do cholery, Jessico, nie pójdę z nim na takie układy! Rób, co należy, szkoda marnować czas. Mnie i tak zatrzymają.

Milton odsunął się od dziewczyny o kolejny krok i uderzył mocno ręką w poręcz krzesła, które z impetem obilo się o ścianę.

- Uspokój się! To nic nie pomoże! - wrzasnęła.

- Zabiję tego zwyrodnialca! Kurwa, zabiję, jak tylko go znajdę!

- Daruj sobie! Co ty wyprawiasz? To do niczego dobrego nie doprowadzi. Trzeba chwilę pomyśleć.

- Co tu myśleć? Idę do nich. Niech, do cholery, te patałachy z kryminalnego wreszcie coś zrobią, a nie łażą i mnie szukają. Pieprzone typy bez rozumu!

- Jon! - wrzasnęła Jessica i chwyciła go za rękę.

Zdawała sobie sprawę, że zżył się z tym chłopcem,

a jednocześnie winił siebie za utratę syna.

- Jess, jestem, jaki jestem, ale nie dam mu skrzywdzić dziecka.

W tym momencie Jessica zwolniła uścisk i spoliczkowała byłego narzeczonego, po czym odepchnęła od siebie i zaczęła okładać go rękoma na oślep, bez wytchnienia krzycząc w kółko to samo.

- Nasze maleństwo dałeś!

Łzy pojawiły się ponownie na jej policzkach. Milton na chwilę zaniemówił.

- Jess, wiem, przepraszam - usprawiedliwiał się dziewczynie.

- Ty łajdaku, gdzie byłeś, jak potrzebowaliśmy ciebie oboje? Spieprzaj stąd! Wynocha! - zaczęła wrzeszczeć jeszcze głośniej i wciąż go popychała. Uderzała po twarzy, ile tylko miała siły.

Milton tylko stał, cofając się odrobinę z każdym przyjętym ciosem. Jego twarz była coraz bardziej obolała i krew pojawiła się na wardze. Jessica opadała powoli z sił. Milton oparł się plecami o ścianę.

- Nie zgadzam się z tobą, nie pójdziemy na policję! Wtedy nas opuściłeś i teraz też chcesz podjąć złą decyzję. Zabijesz to dziecko! Zawsze jesteś najmądrzejszy i robisz po swojemu! Tak jak wtedy, gdy nie wróciłeś po akcji i bez słowa zostawiłeś mnie samą!

Wachlarz pretensji był coraz dłuższy, choć odnosił się tylko do kilku zdarzeń, ale za to tych najważniejszych w życiu obojga.

- Jess... musiałem tak postąpić. - Milton wreszcie odpowiedział, choć bez przekonania głosem.

- Co musiałeś? Gównu musiałeś! Zostawiłeś przyszlą żonę i matkę twojego syna przez to, że byłeś na jakimś tam szkoleniu w Europie? Żartujesz chyba, ty podły kłamco! - Jessica mówiła przez łzy, trzęsącym się głosem.

- Jess, nie miałem wyboru.

- Każdy ma. Mogłeś chociaż zadzwonić, dać znać, że wróciłeś i żyjesz. A nie, zamiast tego zostawiłeś mnie, bym myślała, że już nas nie chcesz.

- Wiem, ale w tamtym momencie wydawało mi się, że to najbezpieczniejsze wyjście dla was obojga.

- Nie ma nas, Jon!

- Jess... Liczyłem, że sobie poradzicie i twoja mama ci pomoże, a ja wrócę, gdy tylko wszystko ucichnie. Czekałem aż... - i tu Milton zamilkł, nie chcąc powiedzieć za dużo.

- No, na co czekałeś? Mów, skoro już tu do mnie przyszedłeś, to mów! Bądź choć raz w życiu mężczyzną! Mniej, kurwa, odwagę!

- Wolę nie.

- Znowu kręcisz. Powiedz, łajdaczyłeś się po barach, wolałeś seks i dziewczynki, a nie odpowiedzialność, dziecko...

Te słowa zabolowały Milтона tak, że aż krzyknął.

- Ucisz się! Ty nic nie wiesz, nic nie rozumiesz! Pracowałaś kiedyś pod przykrywką? Wiesz, jakie mogą być konsekwencje, gdy popełnisz błąd w takiej operacji?!

- To proszę, wyjaśnij mi, czekam!

Wydawało się, że awantura będzie trwać bez końca. Milton pojął, że nadszedł wreszcie czas, by wyjawić dziewczynie prawdę.

- Usiądź, proszę - wskazał na fotel.

Jessica ochłonęła odrobinę i spuściła z tonu. Siadła na brzegu, a Milton stanął na wprost niej.

- To gdzie byłeś? - zapytała wyraźnie pogodzona już ze wszystkim.

Nawet nie patrzyła na niego.

- Nie miałem wyboru. Dlatego tak postąpiłem.

- Nie kłam i powiedz, co było tak ważne, że nas zostawiłeś i sama musiałam zdecydować o wszystkim. No słucham.

- Jess, byłem w Meksyku.

- Co ty pieprzysz?!

Jessica najwyraźniej nie miała pojęcia, czym tak naprawdę zajmował się jej partner przez ostatni rok poprzedzający jej zajście w ciążę.

- Powiedziałem ci prawdę.

- Miałeś być na szkoleniu za granicą! A teraz co chcesz mi za bajkę wcisnąć, że będąc ze mną przez cały ten czas kłamałeś?!

- Nie, nie cały.

- Ooo, to pięknie. Tylko tyle, ile ci było potrzeba?

- Nie, tylko tyle, ile musiałem.

- Jesteś taki sam jak ten psychol, z premedytacją mnie zostawiłeś. Wypieprzaj stąd!

- Zastanów się, a niby skąd do cholery miałem wiedzieć, że poronisz? Poza tym liczyłem, że poradzisz sobie z pomocą Rachel. Moje zniknięcie miało być na pewien czas, aż sytuacja by się ustabilizowała.

Milton tłumaczył i zarazem uspokajał wzburzoną dziewczynę. Ona natomiast zdała sobie sprawę, że może zbyt ostro potraktowała byłego partnera i popełniała błąd, oceniając go tak surowo, zanim z nim porozmawiała. Zaczęła to dostrzegać; coś, co nie do końca pasowało do tego, co usłyszała od swojej matki i koniecznie zapragnęła poznać prawdę. Milton wahał się przez chwilę, ale znając swoje obecne położenie, przeszedł do sedna. Wyjaśnił Jessice, że brał udział w tajnej operacji, w wyniku której mieli pojmać bossa kartelu narkotykowego w Meksyku. Praca odbywała się pod przykrywką jeszcze przed tym, nim poinformowała go, że zaszła w ciążę. Przez to nie mógł już zrezygnować, kiedy dowiedział się o dziecku.

Jessica do tej pory sądziła, że wiedziała wszystko o swoim

narzeczonym, ale teraz okazało się, że były to jedynie zwykłe strzępki informacji, które miała. Pojęła także, że może niespecjalnie, ale została oszukana i to przez własną matkę. To Rachel powiedziała jej, że widziała Milтона z jakąś panną po tym, jak nie wrócił. To również ona skłoniła córkę do, wydawałoby się, błędnej decyzji podjętej w tamtym czasie. Dziewczyna bała się jednak wyjawic Miltonowi skrywany sekret. Cała obecna sytuacja wyraźnie dała jej dużo do myślenia. Zaczęła mieć też wątpliwości, czy aby tylko chodziło o seryjnego mordercę. Może porwanie Jona i wplątanie jej oraz Milтона we wszystkie te sprawy to zemsta meksykańskiej mafii? Kartel z pewnością był zdolny na takie posunięcie, szczególnie, że operacja spaliła na panewce. Jednakże snucie domysłów i teorii do niczego dobrego nie prowadziło. Oboje musieli postępować ostrożnie i z wyczuciem, a własną bolesną przeszłość zostawić na później.

- W porządku, lepiej już dajmy spokój temu, co było. To nigdy nie wróci - dodała na koniec Jessica.

- Jess, razem damy radę.

Milton usiadł z boku, na poręczu fotela, i przytulił do siebie ukochaną. Zdawał sobie sprawę, że za to, co źle kiedyś zrobił, będzie płacił do końca swojego życia.

- Jess, Kotku, kocham cię.

- Nie! Nie! Tamto skończone... Spójrz! - odsunęła się, uwalniając z objęć byłego partnera.

Wstała i podeszła do miejsca, gdzie leżał metalowy przedmiot. Wskazała na niego palcem. Gwóźdź rzucony wcześniej z obrzydzeniem na podłogę miał pewne specjalne cechy. Dziewczyna spostrzegła to przed chwilą.

- Nie rozumiem. Co chcesz mi powiedzieć?

- Słuchaj, to jest gwóźdź zrobiony na specjalne zamówienie,

jestem tego pewna.

- Jak to? Czemu tak sądzisz? - zapytał Milton.

Podszedł i zaczął przyglądać się przedmiotowi.

- Zobacz, jaki jest długi i ten jego trójkątny kształt... Czy kiedykolwiek widziałeś gdzieś w sklepie takie wyroby? Popatrz na główkę tego gwoźdźca.

Coś dziwnego znajdowało się na końcu metalowego przedmiotu. Główka była duża, płaska i mierzyła co najmniej dwa centymetry średnicy. Została pokryta kilkoma nacięciami, jedne przypominały wyraźnie krzyże, a trzy były zwykłymi kreskami. Dokładnie naliczyli dziewięć takich znaków, licząc również te pojedyncze.

- Jess, czy ty myślisz o tym samym co ja? - spytał Milton.

- Tak. Sądzę, że to jest wiadomość. Morderca przekazuje w ten sposób, ile było i jeszcze ilu dokona zbrodni. I do tego ta kartka do ciebie. Zastanów się, napisał, że coś ci przyśle. W informacjach podawali o dokonaniu pięciu morderstw, muszą zatem być gdzieś kolejne zwłoki, których nie odnaleziono do tej pory. Wygląda na to, że najwyraźniej zaznacza krzyżem swoje ofiary, a więc wynika z tego, że zamordował już co najmniej sześć osób. Rozumiesz?

- Jess, w takim razie on planuje zabić jeszcze troje ludzi, skoro wszystkich nacięć jest dziewięć. Kolejną ofiarą może być Jon, jeżeli czegoś nie zdążymy zrobić.

- Idziemy na policję, miałeś rację.

Jessica diametralnie zmieniła swoje negatywne nastawienie, jak również zdanie na temat wcześniejszej propozycji Milтона. Na pewno wpływ na jej obecną decyzję miało świeże spojrzenie na sprawę, dzięki rozmowie, a raczej krzykom, które pozwoliły jej na uwolnienie stłumionych od dawna, destrukcyjnych emocji. Teraz dowiedziała się nareszcie, jakie Milton miał prawdziwe powody,

żeby ją opuścić. Nie mogła się z tym pogodzić i nie dawała sobie rady. Aż do dziś. Z racji tego, chwilami nie potrafiła racjonalnie myśleć.

Nagle usłyszeli w telefonie krótki sygnał SMS. Idealnie w porę - pomyślała dziewczyna, odczytując wiadomość.

- Spakuj to z powrotem w tę samą kopertę i włóż do mojej torby. Możemy jechać!

- Jess, jak chcesz to zrobić? Jak wyjaśnić sprawę w departamencie? Przecież mnie od razu zatrzymają i skują. Niepotrzebnie będą marnować cenny czas na moje tłumaczenia.

- Nie będę im nic wyjaśniać w departamencie, przynajmniej na razie. Kto ci w ogóle powiedział, że jedziemy na policję? Porozmawiamy osobiście z detektywem Cane'em bezpośrednio w szpitalu.

- Wpuszczą nas do niego?

- Mówiłam ci, że mamy sprzymierzeńca. Ron już z nim rozmawiał.

Jessica włożyła swój niebieski płaszczyk i oboje udali się na dół windą. Machnęła ręką na jadącą żółtą taksówkę, która zatrzymała się tuż przy nich.

- Proszę do szpitala na Madison Avenue - zakomunikowała kierowcy dziewczyna.

Siedząc na tylnym siedzeniu w samochodzie, wtuliła się w ramię Milтона. Po drodze zdradziła mu kilka szczegółów ze znajomości z detektywem. Mówiła o tym, jak nieraz podsunął jej parę ciekawych spraw do przeanalizowania, o których pisała potem w swoich artykułach. Dodała na koniec, że nawet fajny z niego facet. To odrobinę zaskoczyło Milтона, gdyż nie miał pojęcia, że Jessica po jego odejściu pracowała w dziale gazety, w którym zamieszczano artykuły dotyczące spraw kryminalnych

i śledczych. Za to doskonale pamiętał, jak natknął się na jej matkę Rachel kilka miesięcy temu. Dała mu wtedy dobitnie do zrozumienia, że jej córka, po tym jak poroniła, ułożyła sobie życie na nowo i to bez niego. Pierwsze, co mu się nasunęło do głowy to to, że Jessica najwyraźniej poznała jakiegoś faceta. Teraz jednak okazało się, że chodziło o pracę - Jessica była dziennikarką piszącą naprawdę poważne reportaże. Wyglądało na to, że jego była partnerka spełniła jedno ze swoich szkolnych marzeń. Wcześniej także pracowała dla gazety, lecz artykuły dotyczyły mało istotnych spraw. Teraz to było zupełnie coś innego.

- Jess, oni i tak mnie od razu aresztują, jak tylko tam wejdem - wycedził ściszym głosem Milton.

- Zakładam i taki scenariusz, ale może wpierw uda nam się pomówić z detektywem. Potem powiemy im wszystko. Skoro mówisz prawdę, to nie mamy się czego obawiać. Co, zamierzasz kryć się do końca życia? Jak pomożemy wtedy chłopcu?

- Tak, ale zrozum... Jestem byłym agentem wydziału narkotykowego, znajdowałem się na miejscu zbrodni. W takich sytuacjach powinienem zawiadomić od razu odpowiednie służby.

- Daj spokój! Na pewno już mają wszystko o tobie, skoro dotarli do motelu.

Milton uświadomił sobie, w jakim obecnie znajdował się położeniu. Dziewczyna miała całkowitą rację, policja na pewno już zebrała o nim szczegółowe informacje. Z pewnością będzie musiał się nieźle tłumaczyć z włamania do mieszkania tego gliny, nie mówiąc już o znalezionych tam zwłokach kobiety, które mogli mu przypisać. Najwięcej jednak problemów, jak sądził, będzie miał z wyjaśnieniem wybuchu w jego wynajętym pokoju motelowym. Zdradzenie policji szczegółów udziału w tajnej operacji o kryptonimie „Albatros” raczej nie leżało w jego naturze. Nigdy

nikogo nie wsypał, a tym bardziej był lojalny przysiędze, którą złożył, wstępując w szeregi agencji DEA. Jednak jeśli Meksykanie stali za tym wybuchem, to wszystko co do tej pory robił, by chronić Jessicę, mogło już nie mieć żadnego znaczenia. Skoro zdołali go znaleźć, to z czasem dotrą i do niej.

Taksówka zatrzymała się na podjeździe, tuż przy głównym wejściu do szpitala. Wysiedli oboje i ruszyli prosto do recepcji. Milton dokonał szybkiej analizy sytuacji. Po szpitalu kręciło się mnóstwo mundurowych i nie tylko. Byli tam też tajniacy. Spostrzegł ich od razu.

- Dzień dobry, chciałabym się dowiedzieć, gdzie leży detektyw Rex Cane - zapytała Jessica pulchną pielęgniarkę siedzącą w rejestracji.

- A w jakim celu pani chce to wiedzieć? Kim pani jest dla pacjenta? Rodziną? - Po tych słowach pielęgniarka spojrzała w bok na stojącego nieopodal policjanta i machnęła ręką do niego.

Najwyraźniej personel szpitala został poinformowany jak reagować w wypadku, gdy detektywa będzie chciał odwiedzić ktoś obcy. Milton przyglądał się całemu zajściu z boku, stał oddalony dosłownie o kilka kroków od Jessiki. Przysłuchiwał się rozmowie obu pań i zerkał na kolegów po fachu. Dziewczyna jednak nie dawała za wygraną i poprosiła bardzo stanowczo o przekazanie informacji detektywowi o tym, że przyszła na umówioną przez Rona rozmowę. W tym momencie podszedł policjant przywołany wcześniej przez pielęgniarkę.

- Słucham pani, w czym mogę pomóc? - zwrócił się uprzejmie do dziewczyny.

- Nazywam się Jessica Christensen i muszę pilnie porozmawiać z detektywem Cane'em.

- Tak? A o co chodzi? Może ja w czymś pomogę? - zapytał

podejrzliwy funkcjonariusz.

Rozejrzał się dookoła i spostrzegł Milтона, który wyraźnie różnił się swoim zachowaniem od innych osób przebywających w holu szpitala.

- To już nie pańska sprawa. Ale uprzedzam, że jeśli natychmiast nie poinformuje pan detektywa o moim przybyciu, to na pewno pożegna się pan ze swoją robotą i odpowie za to przed przełożonym! - powiedziała zdenerwowana Jessica.

- Proszę, pójdzie pani ze mną. - Policjant powiedział bardzo stanowczo, wskazując ręką kierunek.

- Gdzie?

- Widzę, że musimy koniecznie porozmawiać, wskazuje na to pani osobliwe zachowanie. Znajduje się pani w szpitalu, więc proszę nie robić scen! - rzekł policjant, chwytając Jessicę za przedramię.

Milton na widok nieeleganckiego zachowania mundurowego aż drgnął z miejsca, w którym stał. Spostrzegł to inny policjant, tyle że ubrany po cywilnemu, który stał w budynku zaraz przy wejściu do szpitala. Od razu podszedł do Milтона.

- Pan jest razem z tą panią? - zapytał. - Zapraszam również! - wskazał ręką kierunek.

Oboje z Jessicą nagle stracili przewagę zaskoczenia, na jaką wcześniej liczyli.

- Dokumenty poproszę! - powiedział policjant po cywilnemu, gdy znaleźli się w jakimś pokoju lekarskim.

- Traciecie niepotrzebnie czas, detektyw Cane zna mnie i muszę się z nim natychmiast zobaczyć!

- Spokojnie, panno Christensen, zaraz wszystko wyjaśnimy i ustalimy. Proszę odłożyć tu swoją torbę - wskazał policjant na biurko lekarskie.

Przeglądał uważnie dokumenty, które mu podali. Spojrzał na Milтона, potem jeszcze raz w papiery i wyraźnie zaniemówił. Poczłł gwałtowne uderzenie gorąca na całym ciele. Właśnie zdał sobie sprawę, że bez zbędnego wysiłku zatrzymał podejrzanego, który był poszukiwany w sprawie włamania oraz wybuchu w motelu na obrzeżach miasta. Tylko nie bardzo rozumiał, dlaczego przyszli tu oboje. Wyglądało na to, że liczyli dostać się do detektywa bez większego problemu.

- Skuć ich! - wrzasnął.

Mundurowi od razu wykonali polecenie.

- Koniecznie musimy pomówić z detektywem! - upierała się dziewczyna.

Torba Jessiki wciąż leżała na blacie białego biurka, nie budząc najmniejszych podejrzeń. Natomiast informacja podana przez dziewczynę dotycząca znajomości z detektywem pomogła na tyle, że jeden z policjantów postanowił pójść z nią na górę do pokoju, w którym leżał jej znajomy glina. Milton został tymczasem zatrzymany i zakuty w kajdankach oczekiwał, co uda się załatwić Jessice.

Minęło dobrych kilkanaście minut, gdy detektyw poprosił policjantów, aby zdjęli zatrzymanemu kajdanki i przyprowadzili do jego sali. Ufał Jessice, a po rozmowie z nią potwierdziły się tylko jego przypuszczenia co do udziału Milтона w prowadzonych przez niego śledztwach. Detektyw od początku przeczuwał, że za sprawą morderstw i wybuchu stał kto inny, a były agent został w to wplątany w nie do końca dla niego jasny do dziś sposób. Milton wszedł do pokoju w asyście policjanta.

- Cześć, przyjacielu - powiedział jeszcze w progu.

- Witam kolegę po fachu, agencie Jonie Miltonie - detektyw wyciągnął dłoń na powitanie.

Jego zachowanie świadczyło, że zamierzał im pomóc. Porozmawiali chwilę o wybuchu i obecnym stanie zdrowia Cane'a. W pokoju nadal towarzyszył im policjant po cywilnemu, ten który na dole ich przesłuchiwał. Czas uciekał szybko. Milton po uprzejmościach przejął teraz inicjatywę i zwrócił się bezpośrednio do znajdującego się w pomieszczeniu policjanta.

- Możemy zostać sami?

Funkcjonariusz zdziwił się mocno tym pytaniem. Warował cały czas w sali przy drzwiach jak pies pilnujący swojej kości, przygotowany na obronę swojego łupu oraz terytorium. Padła ponowna prośba, a raczej rozkaz z ust samego detektywa, co spowodowało, że zniesmaczony glina wyszedł natychmiast na korytarz.

- Dobra, mówcie, o co dokładnie chodzi, tylko konkretnie - powiedział detektyw przyciszonym głosem.

Miał wciąż obolałe gardło po rurce intubacyjnej.

- Nie zrozum nas źle, ale przyszliśmy do ciebie z czymś, co wydaje się mało prawdopodobne. Liczę jednak, że wysłuchasz nas do końca, zanim wyciągniesz pochopne wnioski - powiedziała Jessica.

- Dobra, dziewczyno, nie przeciągaj! Przecież znasz mnie nie od dziś. - Detektyw uśmiechnął się do niej figlarnie.

- Tak! Ale chyba wtedy odrobinę się zagalopowaliśmy.

- Daj spokój, to co nas łączy, jest wyjątkowe. Skoro jeszcze go nie aresztowali, to chyba mi ufasz. Mówcie co macie dla mnie, a jeśli będę mógł w czymś pomóc, to oczywiście to zrobię - dodał detektyw, patrząc dziewczynie prosto w oczy.

Milton nie rozumiał, o co tej dwójce chodziło, a już na pewno nie chciał się wplątywać w przeszłość dziewczyny i gliniarza po tym, co sam wywinął. Wziął od Jessiki torebkę i podszedł do

stolika, który znajdował się tuż koło łóżka detektywa. Przesunął flakon z kwiatami, wyjął słodycze i położył je na stoliku, a następnie ostrożnie zwinięta, szarą kopertę. Widniejący na niej napis jasno wskazywał adresata przesyłki. Detektyw spostrzegł to od razu.

- Pokaż mi, co znajduje się w środku - powiedziała Jessica do Milтона.

- Co to jest? - Detektyw odkrył kołdrę i usiadł na brzegu łóżka.

Lekarze zabronili mu się nadwyreżać, ale mimo to powoli założył leżące z boku kapcie i stanął przy stoliku.

- A jak myślisz? To on nam podrzucił tę kopertę - powiedziała z niepokojem w głosie dziewczyna.

- Nie dotykaj już tego, Milton! - Detektyw zastopował go w dalszych czynnościach.

Domyślił się, że ta rzecz leżąca teraz przed nim oraz jej zawartość zapewne dotyczyły sprawy, którą prowadził.

Milton usiadł na krześle, tuż przy paczce. Przysunął ją odrobinę w swoją stronę. Chciał koniecznie otworzyć i pokazać, co zawierała koperta. Jessica jednak szybko zareagowała, chwytając go mocno za rękę, jednocześnie dając tym samym znak, aby tego nie robił, skoro detektyw nie wyraził na to zgody.

Gdy Milton sięgał po kopertę, Cane spostrzegł coś jeszcze. Milton na serdecznym palcu miał identyczny tatuaż, co Jessica; obrączkę przeplataną czarnymi i czerwonymi różami. Kiedyś pytał ją, co to dla niej to znaczy, lecz zbyła go jakąś błażostką. Teraz zrozumiał, widząc dwa takie same malunki, jeden na ręku kogoś, o kim wyrażała się wtedy w dość nieprzyjemny sposób, można nawet rzec, że w samych negatywach.

Obecnie dziewczyna zaczęła skrupulatnie wyjaśniać, w jakich okolicznościach weszli w posiadanie tej koperty i tego, co kryła.

Kolejny ruch należał do detektywa. Wezwał policjanta czekającego przed salą i poprosił o ekipę z kryminalistyki. Istniała przecież szansa, że osoba, która podrzuciła tej dwójce paczkę, pozostawiła choćby drobne ślady. Należało także upewnić się, czy metalowy przedmiot na pewno pochodził z któregoś z miejsc zbrodni. Sam postanowił porozmawiać z prokuratorem oraz komisarzem w sprawie Milтона, na którym wciąż ciążyło sporo podejrzeń.

W ciągu kolejnych kilku dni Jessica Christensen była tylko raz w departamencie policji, aby złożyć zeznania. Natomiast Jon Milton codziennie skrupulatnie objaśniał swój udział w każdej ze spraw. Pobrano od niego odciski palców, materiał DNA i dodatkowo za jego zgodą śledczy poddali go badaniu wariografem. Pominięto jednak pytania dotyczące tajnych operacji i pracy w DEA, gdyż tylko pod takim warunkiem Milton, po wcześniejszej konsultacji z dawnym przełożonym, zgodził się na testy.

Całość jego wyjaśnień, łącznie z tym, jaki powód nim kierował, by dokonać włamania do mieszkania Robertsona oraz dalsza szczegółowa analiza dowodów potwierdziły brak winy Jona Milтона w którymkolwiek z obecnych śledztw prowadzonych przez detektywa Cane'a. Oczyszczony z podejrzeń, mógł już tylko czekać na dalszy rozwój wydarzeń. Jednak niepokój o los chłopca przygniatał zarówno jego, jak i Jessicę, odbierając ponowną radość obcowania z sobą. Choć skrzętnie to ukrywali przez ostatnie dni, ponownie rozpalona miłość dawała po cichu o sobie znać. Właśnie dojechali taksówką po ostatnich zeznaniach pod budynek, w którym znajdowało się mieszkanie dziewczyny. Nie bardzo wiedzieli, jak powinni się teraz oboje zachować. Milton czuł, że sprawa była dla niego zakończona. Otrzymał pomoc, o jaką poprosił Jessicę, powinien zatem odejść, gdyż dziewczyna nie

chciała wracać do przeszłości, a przynajmniej tak wyrażała się jeszcze do dziś w krótkich rozmowach na temat ich obojga.

Taksówka wciąż stała tuż przy chodniku, naprzeciwko wejścia do budynku. Na zewnątrz lał deszcz. Jessica wysiadła pierwsza i w milczeniu wzięła Miltona za rękę. Oboje mokli, stojąc chwilę przed wejściem. Patrzyli, jak kierowca odjeżdżał. Czy to, co zostało zburzone, można jeszcze było uratować? Drzwi wejściowe otworzyły się w najlepszym momencie. Sąsiadka z parteru przywitała się, przytrzymując je na chwilę. Dziewczyna uśmiechnęła się do niej i pozdrowiła. Weszła razem z Miltonem do budynku. Podeszli do windy, przywołując ją naciśnięciem guzika. Słychać było delikatne skrzypnięcie i metalowa maszyna pojawiła się momentalnie na parterze. Gdy dowiozła ich na odpowiednie piętro, Jessica wyjęła z torebki klucze i otworzyła drzwi do mieszkania.

- Wchodź i zdejmuj te mokre ubrania - rzuciła jakby od niechcienia, przekraczając próg apartamentu.

Milton bez słowa wszedł za nią i zdjął swój płaszcz. Powiesił go w szafie wbudowanej we wnęce na korytarzu, którą sam kiedyś zamówił i zamontował na jej życzenie. Wszedł do salonu i stanął po jego środku mocno zamyślony. Jessica w tym czasie błyskawicznie przebrała się w wygodne, dresowe spodnie związane sznurkiem w pasie i zwężane u dołu oraz założyła białą koszulkę z krótkim rękawem znanej firmy odzieżowej.

- Jak myślisz Jess... - Milton zagaił pierwszy coś bez sensu.

- Dziś już nie myślę, chcę po prostu odpocząć. Wystarczy mi tych ostatnich przeżyć oraz wspomnień.

- Wiem, przepraszam.

- Nie, nie przepraszaj na okrągło. Sama nie jestem pewna, jakbym postąpiła w takiej sytuacji, ale zrozum ból, który mi

towarzyszy. Chcesz, to tu zostań. I tak nie masz gdzie wracać. Potem zobaczymy.

Cegielka do cegiełki składane przez kilka następnych dni powoli budowały od nowa dawny związek.

W tym okresie detektyw uczestniczył w pogrzebie swojego partnera Jeremiego Robertsona. Wyszedł na przepustkę ze szpitala dosłownie na kilka godzin, gdyż nie darowałyby sobie, gdyby nie oddał ostatnich honorów koledze z wydziału. Podczas ceremonii żałobnej wystrzelono salwy i wręczono flagę Stanów Zjednoczonych matce Robertsona. Starsza kobieta z czarną woalką na głowie, odbierając ją z rąk policjanta, uświadomiła sobie, że straciła syna bezpowrotnie. Momentalnie też przytłaczający żal sprawił, że ugięła się bardziej w krzyżu, jakby została znienacka ograbiona z ostatnich zasobów energii. Schowała skrzętnie wspomnienia w zakamarkach swojego serca, gdyż już tylko to jej, jako matce, zostało i nikt tego nie mógł jej odebrać. Ten widok mocno zapadł detektywowi w pamięci, ponieważ zwykle nie jesteśmy przygotowani na wieczną rozłąkę, a zwłaszcza z bliskimi.

ROZDZIAŁ XVII

Jon Belly przespał kilkanaście godzin od ostatniego posiłku, który otrzymał w tym okropnym, przygnębiającym miejscu. Przecierał właśnie rączkami zaspane oczy, gdy usłyszał za drzwiami ten sam męski głos pozbawiony jakiegokolwiek uczucia. Momentalnie strach oblał całe ciało chłopca, a działało się tak za każdym razem, gdy ów mężczyzna był w pobliżu. Jon nie orientował się, która mogła być pora dnia. Jedyne niewielkie światło wpadające przez szpary między metalowymi roletami zdradzało, że noc już minęła. Nagle drzwi do jego pokoju otworzyły się i ujrzał wysokiego mężczyznę z kruczoczarnymi włosami. Stanął on w progu i dziwnie przyglądał mu się przez chwilę.

- Wstawaj i przyjdź do mnie! Dziś wreszcie nadszedł twój wielki dzień. Odrobinę później niż planowałem, ale pewnych zdarzeń nie mogłem przewidzieć. Będziesz potrzebował więcej odwagi niż kiedykolwiek, chłopcze. - Mężczyzna rzucił te słowa jakby od niechcienia, po czym odwrócił się i zniknął w głębi jasnego korytarza, kierując się do innego pokoju.

Jon bez słowa podniósł się z łóżka i poszedł za nim do wskazanego pomieszczenia. Tam zauważył, że na drewnianym,

okrągłym stole znajdowało się jedzenie, które zostało dostarczone z restauracji McDonald's. Coca-Cola w puszcze, którą chłopiec uwielbiał pić, stała koło pustej szklanki. Zdarzało się, że mama przynosiła mu takie zestawy, kiedy wracała rano po pracy. Usiadł na wysuniętym krześle, rozwinął papier, po czym wyjął z niego ciepłą kanapkę i ugryzł duży kęs. Odłożył ją na chwilę na talerzyk. Spojrzał na puszkę z ulubionym napojem i biorąc ją do rączki, otworzył jednym sprytnym ruchem. Napełnił szklankę prawie do pełna tym smacznym, gazowanym napojem. Na jego wierzchu intensywna piana syczała, chcąc wyskoczyć ze szkła.

- Smaczne, co?

- Tak - padła krótka odpowiedź.

Chłopiec wziął ponownie kanapkę do ręki. Jadł, nie uśmiechając się nawet, lecz wydawało się, że przez ten krótki moment był szczęśliwy, wspominając wspólne posiłki z mamą. Po wszystkim podniósł się i zaniósł pusty talerzyk do zlewu.

- Wiesz kim jestem? - zapytał mężczyzna.

- Nie.

- A chcesz wreszcie wiedzieć?

- Chcę stąd wyjść. Wypuść mnie, ty zmoru, cieniu brzydki!

- Jaki cień? Jaka zhora? Odpuściłbyś sobie wreszcie to głupie gadanie.

- Zjeść mnie chciałeś! Mama mówiła mi, że kiedy przyjdzie ktoś taki, to mam uciekać!

- Ale przez okno, ośle? No nieźle to sobie wymyśliłeś.

- Nie, bo ja jestem duży i umiem latać! Widzisz, cieniu, nic mi nie jest! - powiedział odważnie Jon.

- Fakt, dupska żeś nie potłukł, ale narobiłeś mi mnóstwo kłopotów swoją nocną ucieczką.

- Ja?

- Tak, ty! Przecież musiałem cię odszukać, po tym jak zwiąłeś z tym twoim całym Miltonem. Tak w ogóle nie zapominaj, że miałeś mówić do mnie po imieniu.

Jon Belly bał się tego człowieka, do tego poprzysiął sobie, że nigdy nie wypowie jego imienia na głos. Mężczyzna często w ostatnich dniach pozwalał mu obserwować ulicę i ludzi przechodzących chodnikiem na dole przez zamknięte okna w dużym pokoju, tym z okrągłym stołem. Zawsze jednak wtedy przebywał z nim w tym samym pomieszczeniu.

- Słuchaj, dziś znowu zostaniesz sam. Masz siedzieć cicho, pamiętaj! Ale wiem, że do tego już przywykłeś. Nie będę cię zamykał w pokoju na klucz, ale zostań u siebie. Tu i tak nikt nie przyjdzie i cię nie usłyszy. Ja muszę coś załatwić.

Chłopiec spuścił głowę do dołu i nie próbował nawet o nic więcej pytać. Udał się do swojego pokoiku. Usłyszał jak po dobrych kilkunastu minutach drzwi wejściowe otworzyły się, po czym zamknęły. Tym razem mógł chociaż wyjść do innych pomieszczeń i pobuszować po kątach. Najpierw jednak wcisnął przełącznik na małej lampce wiszącej przy łóżku i przy jej świetle chwilę pobawił się z pluszowym królikiem. Dość szybko poczuł się zmęczony, przytulił więc pluszaka do siebie i wciskając głowę w poduszkę, zasnął.

Nagle, zbudzony ze snu, uniósł delikatnie powieki i stęknął z bólu.

- Auu!

- Co, boli? - powiedział mężczyzna, przyglądając mu się z boku.

- Tak, bardzo! Co mi zrobiłeś?

- Spokojnie. Wierz mi, dobrze, że jesteś dzielnym chłopcem.

Mężczyzna siedział teraz na krześle stojącym obok łóżka, na

którym leżał malec. Jon podniósł odrobinę do góry prawą rączkę i spojrzał na nią. Jego cała dłoń i ciut za nadgarstkiem była owinięta bandażem. Mężczyzna wstał bez słowa i wyszedł do przedpokoju. Jon cofnął się, aż do ściany, tuląc drugą rączką do siebie królika. Facet wrócił po chwili i usiadł na tym samym krześle.

- Odejdź z moro! - Chłopiec wydusił te słowa ledwo z siebie, a łzy stanęły mu w kącikach oczu.

- Dobrze, już dobrze! Wszystko będzie dobrze. Uwierz mi, musiałem to zrobić.

- Nie, nie musiałeś, strasznie mnie to boli. Ja chcę do mamy! - powiedział Jon, płacząc, po czym położył głowę na poduszce i schował owiniętą rączkę pod kocyk.

- Przytul się, jutro będzie mniej boleć. Tłumaczyłem ci, że przed tobą wielki dzień i musisz być mężny. Nie martw się, dostaniesz coś fajnego ode mnie i szybko uśniesz, tak jak rano zasnęłeś po posiłku.

Chłopiec spostrzegł, że mężczyzna trzymał w ręku jakieś opakowanie. W tym momencie cały nakrył się kocykiem, łącznie z głową. Facet spokojnie wyjął coś z pudełka, podniósł się z krzesła i nachylił nad Jonem. Zdjął z niego koc i przytrzymując mu rękę, wsunął do ust dwie niewielkie tabletki. Jon zaczął się krztusić i kasłać, gdyż nie chciał ich połknąć. Wtedy mężczyzna przyniósł szklanekę niedopitej Coca-Coli i przysunął chłopcu do ust, by odrobinę się napił. Posiedział jeszcze przy nim tak długo, aż malec uspokoił się i zasnął głębokim snem.

ROZDZIAŁ XVIII

Dochodziła dziesiąta wieczorem. Milton właśnie wyszedł spod prysznicza i udał się prosto do salonu. Z kuchni rozprzestrzeniały się na całe mieszkanie wspaniałe aromaty, nęcąc go swym uwodzicielskim zapachem. To Jessica przyrządzała dla nich kolację. Spojrzał na stół. Natrętna komórka dziewczyny dzwoniła i dzwoniła już kilkanaście sekund. Ktoś nie dawał tak łatwo za wygraną.

- Odbierz! - krzyknęła podobnie jak kiedyś, gdy mieszkali razem.

Milton nawet nie spojrzał na wyświetlacz, tylko przyjął połączenie.

- Tak, słucham?

- Dobry wieczór. Czy może zastałem Jessicę? - powiedział męski głos po drugiej stronie.

- Tak. A z kim mam przyjemność?

- Tu Rex Cane z departamentu policji.

- Aa! To pan! Witam detektywie, z tej strony Jon Milton.

- Cześć! Miło mi cię usłyszeć. Nie poznałem cię kompletnie, gdyż po tym wybuchu do dziś szumi mi jeszcze w uszach.

- Cóż, ja również nie skojarzyłem pana od razu. W szpitalu miał pan lekką chrypkę. Czy już coś wiadomo na temat tego przedmiotu, który panu dostarczyliśmy do szpitala?

- Posłuchaj, Milton! Wygląda na to, że niedługo będziemy mieli okazję lepiej się poznać. Reszty dowiesz się w swoim czasie. Mógłbyś poprosić Jessicę do telefonu? Muszę z nią zamienić słówko.

Milton nie drążył tematu, który go nurtował. Zawołał dziewczynę i rozsiadł się na małej kanapie stojącej w rogu pokoju. Jessica włączyła w telefonie tryb głośnomówiący, więc z zainteresowaniem wsłuchiwał się w rozmowę. Usłyszał pod koniec, jak detektyw podał jakiś adres, który, jak zrozumiał, miał zapisać. Spojrzał na blat biurka i sięgnął ręką po notatnik. Jednak nie widział żadnego długopisu lub czegoś nadającego się do pisania, więc poprosił o niego szeptem Jessicę, gestykulując przy tym wymownie dłonią i wskazując na papier. Dziewczyna podeszła do biurka i otworzyła szufladę. Uśmiechnęła się lekko, podając mu ołówek. Zapisał adres. Detektyw zakończył szybko konwersację, pożegnał się i rozłączył. Nie podał szczegółów, a niewiele wynikało z jego słów.

- Jess, co jest u licha? Jak to mam jechać jeszcze dziś na 1335 6th Avenue? Czy on zwariował?!

- Nie wiem, sam słyszałeś. Skąd mam wiedzieć takie rzeczy? W ogóle po jaką cholerę to mnie prosił, żebym przekonała cię do tej wizyty? Nie widzę powodu, abym to robiła. Nie znam jego zamiarów. Mogłam mu powiedzieć, że słuchasz całej rozmowy. Być może tobie wyjaśniłby konkretnie, o co mu chodziło.

- Wątpię, skoro tak się upierał przy rozmowie z tobą. Chyba chciał, abyś to ty mi przekazała jego propozycję. Ale w takim razie co on kombinuje?

- Sam zgadnij, mi wystarczy już tych wrażeń. I tak jestem przerażona tym wszystkim. Mówił, że to ważne... Rób, co uważasz za słuszne.

- Tak, ale co on sobie wyobraża, że ja jestem znowu na służbie? W ogóle znasz ten adres? Co tam się znajduje?

- To ekskluzywny hotel Hilton Midtown Manhattan, kilka stacji metrem stąd. Ponoć będzie czekać na ciebie komisarz Jannings, sam zresztą słyszałeś.

- Fakt, teraz kojarzę to miejsce.

Milton udał się za Jessicą do kuchni, gdzie zjedli wyśmienity stek z warzywami, a towarzyszył im jej czarnobiały kot o imieniu Kociak, który kręcił się po stole, co chwila wchodząc jej na kolana. Rozmowa wciąż toczyła się wokół sytuacji sprzed kilku minut. Wreszcie Milton dopił herbatę, ubrał się i dając Jessice buziaka na odchodne, wyszedł z mieszkania. Dotarcie we wskazane miejsce faktycznie nie stanowiło problemu. Milton znał miasto i mimo późnej pory, błyskawicznie zjawił się przed wejściem do hotelu Hilton. Minął recepcję i ruszył holem w kierunku windy. Wcisnął guzik siódmego piętra, drzwi się zamknęły, a cichy dźwięk silnika świadczył, że urządzenie prawie bezszelestnie poszybowało do góry.

Idąc korytarzem, spotkał dwóch osiłków, którzy stali przed pokojem. Nie przeszukali go nawet, widocznie spodziewali się jego przybycia. Milton zastukał pięścią w drzwi numer 1376.

- Proszę śmiało! - usłyszał damski głos z apartamentu.

Otworzył więc drzwi i wszedł do środka. Zrobił kilka kroków w głąb salonu, gdzie spostrzegł młodą panienkę, która siedziała w fotelu za stojącym na wprost biurkiem. Dziewczyna wstała, pokazując mu się w pełnej okazałości. Była w krótkim jedwabnym szlafroczku, który ukazywał jej długie, zgrabne, opalone nogi.

W tym samym momencie z sypialni wyłonił się komisarz Jannings. Panowie znali się doskonale. Cała ta sytuacja sprzed kilku sekund jednak mocno zaskoczyła Milтона; z tego, co on pamiętał, zwierzchnik policji był żonaty i to od dłuższego czasu. Czyżby schadzka? – pomyślał Milton. Facet nawet nie krył się przed nim i wyglądało, że czuł się zupełnie nietykalny, jak większość osób piastujących wysokie stanowiska.

Dziewczyna nadal przechadzała się prowokująco po apartamencie.

- Zmykaj, mała myszko! – powiedział komisarz do kobiety, po czym zaśmiał się grubiańsko do Milтона.

- Ładna, nie, przystojniaku?

- Tak, ładna, ale wyjątkowo młodziutka.

- Nie dla mnie, Milton! W pewnym wieku zrozumiesz, jak życie szybko ucieka i lepiej z niego korzystać, póki jeszcze można. My się znamy, prawda, agencie Jonie Miltonie? – Komisarz specjalnie zwrócił się do niego w ten sposób, aby mu przypomnieć, kim był i na co przysięgał.

- Tak, komisarzu Jannings, mieliśmy już przyjemność, jeszcze za czasów mojej służby w DEA.

Dziewczyna zwana myszką skryła się w łazience, zamykając za sobą drzwi. Słysząc było, jak napuszczała wodę do wanny.

- Drinka?

- Tak, poproszę burbonu. Pogoda nie rozpieszcza nas dzisiaj, a do tego ta moja nagła wizyta w tym miejscu, której celu nawet nie znam.

Komisarz ubrany był w biały, bawełniany szlafrok typu frotte, z wyszytym po lewej stronie logiem hotelu. Podszedł do barku i nalał alkohol. Podał Miltonowi szklanę napełnioną trunkiem do połowy, stanął naprzeciwko niego twarzą w twarz i chwilę mu się

przyglądał.

- Jonie Milton, słuchaj... Mam dla ciebie pewną propozycję albo nawet rozkaz. Pamiętaj, że wciąż jesteś na służbie. Wy nigdy z niej nie schodzicie, prawda?

- Tak, proszę mówić śmiało, bo widzę, że nie brakuje panu tupetu oraz arogancji.

Milton nawiązał w tej chwili do „małej myszki”, jak to komisarz określił młodą dziewczynę.

- Słuchaj, nie byłoby mnie na tym stanowisku, gdyby nie arogancja i odrobina tupetu. Tu przyznam ci rację. A co do niej - komisarz wskazał ręką w stronę zamkniętych drzwi łazienki - to jest pełnoletnia i sama decyduje, z kim się spotyka i co robi. Zapewniam cię. Poza tym jesteś tu z innego powodu niż analiza mojego życia prywatnego. Detektyw Cane podobno za dwa dni wychodzi ze szpitala i wraca do pracy. Osobiście do mnie zadzwonił po rozmowie z szefem departamentu i poprosił, abym cię namówił do powrotu oraz pomocy w tych konkretnych sprawach.

- Jakich? I na jaką cholere mam znowu wracać? Brnąć w to gównno, z którego nigdy już nie wyjdę?

Komisarz poklepał Milтона po ramieniu i powiedział:

- No wiesz, ten dzieciak, martwe kobiety, do tego operacja „Albatros” i ty w tym wszystkim.

Milton zaniemówił, słysząc te słowa z ust zwierzchnika. Komisarz wymienił wszystkie trzy sprawy, które wydawało się nie powinny być ze sobą powiązane.

- A niby w jaki sposób mam pomóc detektywowi? Nie mam przecież wglądu do akt spraw i nie znam szczegółów. Nadal jestem na urlopie i to z własnego wyboru, rozumie pan, komisarzu Jannings?

- Siadaj i posłuchaj mnie, bo niepotrzebnie gotujesz się w środku. - Komisarz wskazał Miltonowi duży, brązowy, skórzany fotel, który stał pod ścianą.

- Niech pan powie, o co dokładnie chodzi, bo szkoda mojego czasu.

- Zaraz, pomału, agencie. - Komisarz kończył nalewać sobie kolejnego drinka. Wypił duży łyk i znowu podszedł do Milтона, który w tym czasie usiadł we wskazanym wcześniej miejscu. Komisarz stanął teraz na wprost niego, uznając, że ma nad nim przewagę psychologiczną z tej pozycji.

- Detektyw Cane uprzedzał mnie, że nie zrozumiesz i tak zareagujesz. „Albatros” był niewypałem. Jednak to, co tam się wydarzyło, nie pozostało bez echa i dalszych skutków.

Milton opróżnił swoją szklanę do dna i odstawił ją na nieduży, ręcznie rzeźbiony stolik kawowy w kolorze ciemnego mahoni, stojący tuż przy fotelu, na którym siedział.

- Śmiało! - Komisarz wskazał ręką w stronę barku.

- Dziękuję! Na dzisiejszy wieczór wystarczy mi już procentów.

- Nie to nie! Może masz i rację, lepiej, żebyś był trzeźwy, bo to, co mam ci do powiedzenia, już dawno powinieneś usłyszeć, tyle że z ust kogoś innego. Żeby była jasność, to nie tylko moje zdanie na temat tej sprawy. Posłuchaj! Kreta, co namieszał u was w wydziale, służby zwinęły dwa miesiące po tym, jak odszedłeś. Brak cierpliwości z pewnością ci nie pomógł. Śpiewał później jak kanarek w klatce. Więc dla jasności, ta sprawa jest już wyjaśniona i zamknięta, tylko wygląda na to, że nie dla kartelu Manuela, więc lepiej, abyś wrócił. To ułatwi ci uporanie się z tymi ludźmi. A dodatkowo, skoro seryjny wybrał ciebie, to nie ma co ukrywać, uczestnictwo w śledztwie pomoże i tobie, i detektywowi.

Milton był wyraźnie zaskoczony tym, co właśnie usłyszał.

Większość czasu, który spędził z komisarzem, milczał. Pożegnał się i wyszedł dobrze po północy. Włączył się bez celu godzinę po mieście. Zastanawiał się nad wszystkim, a szczególnie nad jednym. Propozycja, która padła, nie wydawała się odpowiednia na ten moment. Bał się reakcji Jessiki. Dotarł do mieszkania około drugiej nad ranem. Nie miał kluczy, więc nacisnął guzik domofonu. Zanim wjechał windą na wskazane piętro, Jessica już czekała na niego w drzwiach. Spozrzegł zmartwienie w jej oczach, gdy tylko przekroczył próg.

- Mogłeś zadzwonić z hotelu. Bałam się o ciebie, tak długo cię nie było - rzuciła, stojąc w korytarzu.

- Przepraszam, nie pomyślałem o tym.

- Zdejmuj płaszcz, przemokłeś cały. W jakim celu tam pojechałeś? Co chciał od ciebie komisarz? - Jessica zasypywała go pytaniami.

- Cicho, podejdź na chwilę do mnie i przytul się. Nie wiem, czy powinienem ci wszystko powiedzieć.

- No nie! Znowu to samo! Kręactwo i kłamstwa to twoja druga czy pierwsza natura? Ja czekałam jak jakaś głupia, naiwna nastolatka, zamartwiałam się, bo nawet nie dzwonisz, a ty teraz znowu chcesz coś ukrywać?! - zareagowała ostro Jessica, odpychając od siebie Milona.

- Jess, posłuchaj...

- Żadne Jess, żadne posłuchaj! Jak chcesz dalej tu ze mną mieszkać, to powiedz, po co tam pojechałeś!

Milona bił się chwilę z własnymi myślami, zastanawiając nad tym, czy powinien zataić część rozmowy przeprowadzonej z komisarzem Janningsem. Jednak wyjawiał dziewczynie całość, także tę dotyczącą kreta, którego znaleźli w wydziale. Prośba detektywa Cane'a o jego powrót, i to do wydziału kryminalnego,

zupełnie zszokowała Jessicę. Stało się też jasne, że współpraca sprawiłaby, że otrzyma wgląd do wszystkich akt i znowu będzie na służbie dwadzieścia cztery godziny na dobę. Jak się okazało, Milton przyjął złożoną propozycję. Komisarz nie przewidywał nawet odmowy. Po skończonej rozmowie, przekazał Miltonowi odznakę i broń oraz podpisał stosowne papiery. To sugerowało, że w ostatnich dniach detektyw musiał się mocno napracować nad tym, by agent DEA został jego nowym partnerem.

Oboje położyli się spać dopiero nad ranem, wtuleni w siebie jak za dawnych czasów. Jessica nie wyrażała entuzjazmu z decyzji podjętej przez Milтона. Rozumiała jednak, że tak naprawdę nie miał większego wyboru. Przecież gdzieś tam przebywał mały chłopiec, który czekał i wierzył, że jego nowy wujek, jak nazwał Milтона, przyjdzie po niego i go uratuje. Do tego wyglądało, że potężny kartel wysłał już swoich ludzi do stanów i prawdopodobnie stał za tym zamachem w motelu.

Po niecałych czterech godzinach ze snu wyrwał ich sygnał wiadomości SMS, który dobiegł z kieszeni spodni Milтона. Jessica odwróciła się w jego stronę. Spojrzała zaspana na niego, wyraźnie zaskoczona faktem, że partner miał komórkę. Milton również przetarł oczy z niewyspania i przeciągnął się ociężale.

- Odczytaj wiadomość! Nie miałam pojęcia, że masz telefon.

Nic jej nie odpowiedział, tylko wstał i wyjął urządzenie z kieszeni. Zerknął najpierw na wyświetlacz, sprawdzając adresata wiadomości.

- To detektyw.

- Już dziś? Myślałam, że... Nieważne, a skąd ten telefon?

- To od komisarza. Tłumaczyłem ci, że był przygotowany. Chyba obaj z detektywem wiedzieli zawczasu, że się zgodzę. Szczerze mówiąc, to niepotrzebnie tam jechałem. Przecież mogli

mi kazać się stawić rano w departamencie i wyszłoby na to samo.

Jessica usiadła na łóżku i owinęła się białą narzutą. Milton odczytał w tym czasie wiadomość i sięgnął po swój zegarek leżący na nocnej szafce. Rzucił komórkę na łóżko, tuż obok nóg dziewczyny. Podszedł do dużego lustra wiszącego pośrodku ściany. Jessica uwielbiła je i wieszała w różnych zakątkach mieszkania. To takie jej małe wariactwo, drobne upodobanie. Lubiała patrzeć na odbicia w tafli szkła, zarówno swoje jak i innych.

Dziewczyna wzięła telefon i przeczytała SMS-a.

- Słuchaj, podał jakiś adres i każe ci natychmiast tam przyjechać. Masz czekać na miejscu i nigdzie nie wchodzić. Czekać, aż tam dojedzie.

- Czytałem to, nie mam pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi. Po co te zagadki? Dziwny jest ten twój znajomy. I jeszcze mam z nim pracować? W życiu bym się nie zgodził, gdyby nie chodziło o nas i Jona!

- Wiesz, ja też nie chciałam, żebyś wracał do dawnego stylu życia.

- Jess, może do niego zadzwonię, niech mi wyjaśni, co takiego chodzi mu po głowie. Jest wcześniej rano, przecież miał być jeszcze w szpitalu, tak wspominał mi komisarz.

- Raczej szkoda czasu na ten telefon. Wątpię, aby w ogóle odebrał. Ze mną też tak postępował, gdy miał jakiegoś newsa do przekazania. W ogóle to nie wiem, czy dobrze zrobiłeś, wracając do tej pracy. Znowu służba jak kiedyś. Jeszcze po takiej wpadce i czyjejś zdradzie. Mało cię to kosztowało?

Jessica ponownie zaczęła mieć wątpliwości mimo wcześniejszych rozmów. Jednak Milton nie zmienił podjętej decyzji i po kilku minutach gotowy wyszedł z mieszkania.

Rankiem deszcz nadal padał, jesienna pogoda każdemu dawała

się już mocno we znaki. Milton dojechał taksówką pod wskazany adres i nie kazał kierowcy czekać na siebie. Znajdował się teraz na jakimś odludziu. Omiótł wzrokiem okolicę. W oddali widział kilka zabudowań. Czekał ubrany w swój szary płaszcz, trzymając w ręku tylko termos z kawą, który wręczyła mu Jessica, gdy wychodził. Buty ugrzęzły mu w błocie na rozmoczonej przez ulewę, czarnej ziemi. Spojrzał w lewą stronę. Kilkanaście metrów od niego, na niewielkim terenie, stała biała przyczepa kempingowa ogrodzona wokół metalową siatką. Pośrodku dookoła miała wymalowane dwa niebieskie pasy na wysokości jakiegoś metra od ziemi. Była mocno zniszczona i zardzewiała, wyglądała na bardzo starą. Chyba nikt z niej nie korzystał od dłuższego czasu. Na teren prowadziła furtka wykonana z metalowych prętów. Jednak była zamknięta na kłódkę. Milton przyglądał się okolicy i zastanawiał, co tu właściwie robił w taką paskudną pogodę. Momentalnie zrobiło mu się chłodno. Odkręcił więc górną nakrętkę termosu, wcisnął korek i nalał sobie do niej gorącej kawy. Padające krople deszczu mieszały się z parującym napojem. Wypił mały łyk.

Z oddali dochodził dźwięk policyjnych syren. Zerknął za siebie. Kilka radiowozów zmierzało w jego stronę, a z przodu kolumny czarny cadillac. Spod kół auta błoto chlapnęło Miltonowi na spodnie, gdy detektyw zatrzymał się dosłownie metr za nim. Wysiadł spokojnie z pojazdu i podszedł do bagażnika. Pozostali policjanci zaparkowali tuż za detektywem i zaczęli zabezpieczać teren wokoło. Milton zastanawiał się, dlaczego to on jako pierwszy dotarł na miejsce. Wydawało mu się to mało logiczne.

- Co słyszeć? - Detektyw krzyknął do niego, wydając coś z bagażnika.

Milton jedynie stał, obserwując pozostałych gliniarzy. Wypił kolejny łyk kawy. Smakowała już ohydnie, zmieszana pół na pół

z deszczówką.

- Podejź do mnie! Co, odwykłeś od roboty? Trzymaj latarkę, na pewno się przyda. Pewnie nie ma tam oświetlenia - powiedział do Milтона.

- Detektywie, nie napisałeś mi, że mam przyjechać na miejsce przestępstwa!

- Faktycznie, ale niby co to by zmieniło? I tak byś tu przyjechał - rzekł detektyw, gdyż zdawał sobie doskonale sprawę z położenia, w którym znajdował się obecnie jego nowy partner. - A tak na marginesie, to mów do mnie po prostu Cane.

- W porządku, Cane... ale myślałem, że jeszcze porozmawiamy przed moim czynnym powrotem. Chciałem najpierw z tobą co nieco ustalić. Nie do końca jestem przekonany, że powinienem tak szybko wracać do służby.

- Miej pretensje do tego zwyrodnialca, seryjnego, co nie poczekał, aż ja porządnie wydobreję, a ty się wyśpisz. Dobra, nie smęć mi tu, szkoda czasu. Posłuchaj, jakąś godzinę temu zniekształconym głosem w słuchawce facet przekazał nam krótką wiadomość o tym miejscu; że pozostawił tu zwłoki.

- Namierzyliście telefon?

- Tak, chłopaki sprawdzili. Dzwonił z budki stojącej przy wejściu do metra South Ferry, blisko motelu, w którym wynajmowałeś pokój. Przejrzeliśmy monitoring, widać jakąś osobę. Jesteśmy pewni, że to mężczyzna, ale był zakryty po same uszy. Przez to nie mamy żadnych szans, aby poszukać go w bazie. Pamiętaj Milton, gdzieś tam czeka mały chłopiec, a rodziny zamordowanych domagają się sprawiedliwości. Choć i tak jej nie dostaną, nawet jak go dorwiemy. Nie da się wymierzyć sprawiedliwej kary za takie zbrodnie. Bierzmy się więc do działania. Tym razem Bogiem jest czas, od niego zależy, czy

zdamy zrobić wszystko w porę i ocalimy kolejne niewinne osoby oraz malca.

Milton poczuł znowu ten dziwny dreszczyk związany z jego pracą. To właśnie on sprawił, że już za młodu wybrał taki zawód, a nie inny. Wytarł dłonią mokną twarz, zamknął termos i wrzucił go do samochodu detektywa na przednie siedzenie, po czym zadał pytanie, które wydawało się mało istotne w obecnej sytuacji:

- Cane, jak to jest, u licha, że ja pierwszy dojechałem w to miejsce?

Detektyw ruszył już w stronę przyczepy kempingowej i zatrzymał się dopiero przed wejściem do niej, aby udzielić mu odpowiedzi.

- Słuchaj, dotarliśmy najszybciej jak mogliśmy - popatrzył w stronę kilku policjantów będących w pobliżu. - A tak na poważnie, to chciałem zobaczyć, czy zrobisz to, o co cię poprosiłem. Wchodź i niczego nie dotykaj bez mojej zgody! Rozumiesz?

Milton kiwnął głową i wszedł jako pierwszy do środka przyczepy. Zrozumiał także ten mały test detektywa. Prawdopodobnie już zapoznał się z jego aktami i chciał się przekonać, czy będzie pracować z porywczym partnerem.

- O kurwa, ale smród! - Milton przeklął, gdy odór uderzył go prosto w twarz.

Poczuł niemiłą woń rozkładających się zwłok. Był to zapach nie do zniesienia dla zwykłego śmiertelnika.

- Tylko mi nie zwymiotuj, twardzielu Milton. Chłopaki, ktoś czegoś dotykał? - upewnił się jeszcze detektyw, spoglądając na pozostałych funkcjonariuszy. Wciąż stał na zewnątrz.

- Nie, detektywie, nikogo nie wpuściłem. Tylko otworzyłem drzwi i zajrzałem do środka, ale nie wchodziłem tam -

odpowiedział mundurowy Ernest, który zerwał kłódkę i jako pierwszy wszedł na ogrodzony teren.

- Dobra, czekajcie! Nie wchodzić bez wezwania! - powiedział detektyw, po czym zrobił krok do wnętrza przyczepy.

- Cane, może ona żyje? - zapytał niepewnie Milton.

- Daj spokój! Kto ci w ogóle powiedział, że to kobieta? I wierz mi, na pewno już nie żyje. Ten zapach raczej nie świadczy, że znajdziemy gnijące zwierzę.

Detektyw trzymał w ręku zapaloną latarkę, a Milton świecił drugą. Mimo tego, niewiele mogli dojrzeć. Wszystkie okna były zamalowane czarną farbą. Wewnątrz panowała złowroga ciemność, a nieład i brud rzucał się w oczy już od samego wejścia. Wydawało się, jakby ktoś nigdy tu nie sprzątał i od dawna nie mieszkał. Milton szedł pierwszy, robiąc małe kroki. Obaj z detektywem przyświecali latarkami po ścianach i innych zakątkach, podążając w stronę końca przyczepy. Zapach, a raczej smród rozkładającego się ciała był coraz bardziej intensywny. Milton skierował strumień światła wprost przed siebie.

- O w mordę! - powiedział głośno, gdyż stojąc tuż przed wejściem do ostatniego pomieszczenia, od razu zauważył drewniane deski przymocowane do ściany na wysokości około pół metra od podłogi. Zajmowały całą powierzchnię sypialni. Jednak to widok mocno rozłożonego ciała denatki, owiniętego folią do samej głowy, rzucał się najbardziej w oczy. Podobny obrazek Milton odkrył w łazience policjanta, tyle że tamta młoda dziewczyna została zamordowana kilka godzin przed jego przyjściem i położona w wannie.

Kobieta znajdująca się tu została przybita do desek gwoźdźmi i ułożona głową w kierunku okna, które było na wprost wejścia do tego pomieszczenia. Z pewnością zostało to zrobione na długo

przed ich przybyciem w to miejsce. Główki metalowych prętów wystawały odrobinę ponad ciało. Zwłoki zostały mocno okaleczone, a ich stan był katastrofalny. Szum padającego na zewnątrz deszczu odbijający się o metalowy dach, duchota panująca w środku i kompletna cisza – to wszystko połączone ze zmasakrowanym ciałem nie było zbyt przyjemne. Milton przepuścił detektywa przed siebie, który przykucnął teraz przed denatką i przyglądał się jej z tej perspektywy. Nie miał możliwości podejść z boku. Morderca musiał poruszać się zatem po tych deskach. Milton dokładnie przyświecał latarką wzdłuż ciała. Zaczął od stóp nieboszczki, które były tuż przed nim, a następnie skierował światło na nogi, brzuch, ramiona i głowę. Nie miał żadnych szans na rozpoznanie rysów twarzy zamordowanej. Spostrzegł jednak, że w kilku miejscach były wycięte, łącznie z folią, fragmenty skóry.

- Boże, ale robactwo! – skrzywił się detektyw, zerkając pod deski.

Pełzało tam mnóstwo małych pożeraczy martwego ciała. Uciekały na widok światła.

- Przybił ją przez folię. Zobacz, ma także sznur zawiązany wokół szyi, podobnie jak ta dziewczyna u Robertsona, którą odkryłem w wannie – powiedział Milton.

- Każdą zamordowaną tak potraktował. Jak przeczytasz akta i zapoznasz się z nimi w departamencie, to poznasz szczegóły. Mogę ci powiedzieć, że na koniec przecina im tętnicę szyjną. Tyle że to pewnie też już wiesz – rzekł detektyw, po czym wstał i skierował światło w stronę szyi dziewczyny.

Leżała z rękoma ułożonymi wzdłuż ciała, nogi miała wyprostowane w kolanach. W obydwu udach widoczne były wbite gwoździe i tylko jeden w obojczyku.

- Cane, zobacz – Milton wskazał właśnie na lewy obojczyk

dziewczyny.

- Tak jak mówiłem, ta sama metoda. Ale tym razem po raz pierwszy zostawił nam w ciele te pręty. Widzę trzy, więc niech zgadnę, ten co otrzymałeś w tej przesyłce, musiał pochodzić z jej lewego obojczyka. Wygląda, że wrócił tu specjalnie, żeby móc ci przysłać go w kopercie. Ciekawi mnie tylko, dlaczego zmienił swój sposób działania.

- Mnie nie pytaj. Chcę tylko odnaleźć Jona i zabrać Jessicę jak najdalej stąd. Mamy jeszcze szansę zniknąć przed kartelem.

Detektyw zaświecił mu latarką w oczy i spojrzał na nowego partnera z dziwnym wyrazem twarzy. Milton momentalnie odwrócił wzrok, mrużąc oczy. Cane nie pojmował, jak zamierzał się z tego wyplątać tak łatwo, skoro oprócz złapania seryjnego mordercy i odnalezienia chłopca, miał jeszcze na karku zaszłe sprawy z meksykańskim bossem.

- Co ty wyprawiasz, przestań mi świecić w oczy!

Detektyw odwrócił się ponownie i schylił, zaglądając pod spód konstrukcji.

- Zobacz! Musiał ciąć ją głęboko. Na pewno wtedy jeszcze żyła. Mnóstwo krwi z niej wyciekło, nim dokończył swoje dzieło. Nieźle musiała się wycierpieć, zanim zmarła - powiedział detektyw, po czym wstał i popatrzył na ciało kobiety.

- Wszystkie ofiary tak okaleczył? - zapytał Milton.

- Nie, różnie. Każda z ofiar miała cięcia w innych miejscach. Okaleczał je, wycinając fragmenty skóry w różnych ilościach. Dlatego jeszcze nie ustaliliśmy wspólnego mianownika pomiędzy tymi wyciętymi fragmentami. Ofiary nie były ze sobą spokrewnione i niczym powiązane. Facet musiał się długo przygotowywać do tego zadania. Zauważ, ile zabójstw popełnił w kilka tygodni.

- Faktycznie, nieschematyczne zachowanie jak na seryjnego

mordercę.

- Wciąż szukamy motywu jego działania. Margaret Parker, czwarta z odnalezionych zamordowanych, jako jedyna do tej pory udusiła się, nim przeciął jej tętnicę. Tylko jej wyciął jeden fragment skóry. Założyliśmy z Robertsonem, że ktoś musiał go wystraszyć bądź sam spaprał robotę i dziewczyna się udusiła.

- Cane, mówisz, że czasu mu zabrakło, ponieważ ktoś go wystraszył? Mało prawdopodobne. Raczej ją za mocno związał i dlatego taki był jej koniec.

- Detektywie, pani koroner przyjechała. - Mundurowy zajrzał i krzyknął przez otwarte drzwi.

- Każ jej czekać, aż wyjdę! Niech tu nie wchodzi! Po ostatnim nie mam ochoty jej oglądać.

- Ale detektywie, ona stoi na dworze i moknie.

- Gównu mnie to obchodzi! Niech idzie i usiądzie w samochodzie! Dam znać, jak skończę. Przekaż jej, że po raport z miejsca zbrodni i sekcji udam się do niej osobiście. Powiedz jej to Ernest i czekajcie! - zakomunikował wzburzony detektyw.

- Zerknij Cane. - Milton skierował światło latarki tuż nad ramieniem detektywa w stronę głowy kobiety, a następnie przesunął strumień wyżej, na mały parapet, który znajdował się na samym końcu przyczepy kempingowej.

Wąska futryna uniemożliwiła im oglądanie zwłok, jednocześnie stojąc obok siebie. Milton był wyższy o dobre pół głowy, łatwo więc dostrzegł ten szczegół, mimo niezbyt wygodnej pozycji. Wcześniej nawet nie zwrócili na to uwagi. Skupili się głównie na ciele leżącym na deskach.

- Co to jest? - spytał detektyw.

Przyglądali się teraz czemuś, co, jak się wydawało, nie zostało pozostawione tu przypadkiem. Milton precyzyjnie przesuwał się do przodu

przed detektywa i przyświecił bliżej, tak by wyraźniej dostrzec przedmiot leżący na parapecie. Wyglądało jak złożony kawałek gazety.

- Sprawdzę to - zaproponował Milton.

- Zaczekaj! Załóż rękawiczki! - powiedział do niego detektyw.

Po chwili zapytał: - Ale jak chcesz tam dojść?

- Tak jak on, zapewne. Przejdę koło niej po tych dechach.

- W porządku, ale niczego nie dotykaj. Ostrożnie, może tym razem znajdziemy jakieś ślady - uprzedził go detektyw, podając mu jednocześnie niebieskie, gumowe rękawiczki, które wyjął właśnie z kieszeni.

Milton włożył jedną, drugą natomiast wciąż trzymał w ręce z latarką, po czym postawił nogę koło stóp leżącej denatki. Drewniana konstrukcja lekko się ugięła, wydając niemiły odgłos skrzypienia. Każdy kolejny ruch powodował to samo. Milton zgarbiony, z przychyłoną głową, ostrożnie kierował się do końca przyczepy. Spojrzał jeszcze z bliska na twarz dziewczyny. Przeszły mu po plecach dreszcze i momentalnie odwrócił wzrok, zmrożony zatrważającym dziełem zwyrodnialca. Ten obraz z pewnością na długo pozostanie w jego pamięci. Obaj nie wiedzieli, czy ten kawałek papieru miał jakieś znaczenie. Milton uniósł delikatnie fragment gazety. Jak się okazało, to nie był koniec niespodzianki zostawionej dla nich przez mordercę.

- Zaczekaj! - przystopował go detektyw, po czym krzyknął głośno w kierunku wejściowych drzwi. - Sierżancie Erneście, wejdź tu natychmiast!

Policjant stał na zewnątrz razem z kilkoma innymi kolegami po fachu. Wszedł niezwłocznie do środka, gdy tylko usłyszał polecenie przełożonego.

- Masz latarkę?

- Tak - odpowiedział sierżant Ernest i uniósł dłoń, w której trzymał małą policyjną latarkę.

- Poświeć tu razem ze mną, bo niewiele widać. A ty Milton odłóż ten papier na bok!

Milton zrobił to, o co poprosił detektyw. Spostrzegł teraz wyraźnie, co znajdowało się tam oprócz papieru. Detektyw, który spoglądał z odległości dwóch metrów w kierunku parapetu, również zorientował się, z czym miał do czynienia. Ich oczom ukazał się zamknięty woreczek foliowy, w którego wnętrzu znajdowały się ludzkie palce.

- O cholera! - przeklął sierżant Ernest na ten widok.

- Cane! Na pewno pochodzą od ciał zamordowanych.

- Racja, każda z dotychczasowych ofiar miała odcięty jeden palec u prawej ręki. Policz je, tylko nie otwieraj torebki - poprosił detektyw.

Sierżant stał tuż za plecami detektywa, świecąc w stronę parapetu. Nawet nie patrzył na zwłoki, odwrócił głowę w drugą stronę. Wydawało się, że jego nadmierna wrażliwość kłóciła się z byciem stróżem prawa.

- Siedem - powiedział Milton.

- Co?

- Siedem - powtórzył.

- O kurwa! Do tej pory znaleźliśmy pięć ofiar, plus teraz ta tu. Więc czyj palec otrzymaliśmy właśnie w prezencie? - zastanawiał się głośno detektyw.

Obaj teraz niedowierzali temu odkryciu. Detektyw sądził do dziś, że morderca zabijał kolejno, tak jak znajdowali zwłoki. To znalezisko wskazywało na coś zupełnie innego. Nie tylko nie zgadzała się kolejność odnajdowania zwłok, ale i informacja o następnym ciele, gdyż można było założyć, że dodatkowy palec

należy do kogoś, kto był już martwy.

- Cane, powiedziałaś, że ile było ofiar?

Detektyw tylko spojrzał na niego, by po chwili skierować wzrok na sierżanta, który w duchu modlił się, aby obaj wreszcie skończyli swoje pogawędki i pozwolili mu stąd wyjść. Cisnęło go niemiłosiernie do wymiotów.

- Teraz mamy sześć, ale i jeden dodatkowy palec. Wracaj i mów, co chodzi ci po głowie.

Milton jeszcze raz popatrzył na martwą dziewczynę.

- Sadzę, że to właśnie ta niespodzianka, o której wspominał ten psychol w wiadomości napisanej na karteczce do mnie. Do tego ten wyjęty gwóźdź, który mi przysłał - Milton wskazał na lewy obojczyk kobiety.

- Tak, to może być jego nowa zagrywka. Zmienił swój plan, skurczybyk, czuję to. Poza tym ona nie żyje od dawna.

- Sprawdzę i upewnię się, czy jej też odciął palec. Żeby nie było dwóch niespodzianek... - powiedział Milton, po czym przykucnął przy ciele kobiety.

Deski, na których stał, wygięły się mocniej, gdy wykonał ten ruch. Wydały przy tym swój charakterystyczny skrzypiący dźwięk.

- Trzymaj! Rozetnij tym folię! - Detektyw sięgnął do swojej tylnej kieszeni spodni i pochylając się w stronę partnera, podał mały scyzoryk.

Milton wziął go, otworzył i delikatnie naciął kawałek plastiku w miejscu, gdzie znajdowała się dłoń zamordowanej.

- Kurwa, skaleczyłem ją!

- Uspokój się! To niczego nie zmieni i tak przecież jest martwa.

Milton odłożył nożyk i latarkę na deskę koło swojego buta i założył drugą rękawiczkę, po czym rozerwał folię. Jego oczom ukazał się ludzka dłoń pozbawiona serdecznego palca.

- To jebany świr, uważałem tak od początku! - powiedział Milton, patrząc na detektywa.

- Dobra, widzę! Zbieramy się stąd! Jeden palec należy pewnie do niej. Poczekamy na wyniki analizy. Teraz w tym bałaganie nic więcej sami nie znajdziemy. Chłopaki sprawdzą tu wszystko, jak Eli skończy. Nie widzę tu żadnych ubrań, a tym bardziej dokumentów - powiedział detektyw, spoglądając na torebkę foliową, po czym skierował się do wyjścia.

Tymczasem sierżant z wielką niechęcią został z Miltonem, zanim on zszedł z tej dziwnej konstrukcji.

Partner detektywa zadumał się i zastanawiał, jaką nieludzką istotą musiał być ten człowiek, który tak męczył tę dziewczynę. Gdyby tylko dorwał tego bydlaka sam na sam... - pomyślał.

- Dobra, idziemy sierżancie, bo mi tu zaraz ducha wyzioniesz!

- Tak, detektywie Miltonie, ledwo to znoszę - odpowiedział cały blady jak ściana sierżant.

- Idź pierwszy.

Po wyjściu na zewnątrz obaj zaczerpnęli świeżego powietrza. Wyraźnie jednak głębiej oddech łąpał mundurowy Ernest. Detektyw Cane stał przy otwartym bagażniku swojego auta, usilnie coś przekładając z miejsca na miejsce. Pogoda wreszcie się zmieniała. Słońce wyjrzało zza ciężkich chmur.

- Co o tym myślisz? - zapytał Milton, podchodząc do niego.

- Zamorduje jeszcze trzy niewinne istoty, jeśli dobrze to rozumiem. Potem koniec, zniknie. - Detektyw trzasnął klapą bagażnika, zamykając ją z hukiem.

- Co miałeś na myśli, mówiąc o jej ubraniu i dokumentach?

- Do tej pory przy wszystkich zwłokach zostawiał ubrania zamordowanych i ich dokumenty potwierdzające tożsamość. Tym razem mamy zagadkę, nie wiemy, kim może być ta dziewczyna.

- Może coś znajdą, jak sprawdzą dokładniej?

- Wątpię, skoro nic nie leży na widoku! On działa z planem i tak to sobie wymyślił.

- Nieludzki skurwysyn! Wygląda na to, że morduje z wyraźną wściekłością. Musi mieć jakiś motyw - powiedział Milton.

- Dobra, zbieramy się stąd! Dajmy popracować innym. Zobaczymy, co nam powiedzą ciekawego, jak skończą robotę - rzekł detektyw i spojrzał w stronę zaparkowanego nieopodal auta.

Siedziała tam kobieta, którą doskonale znał, a od pewnego zdarzenia miał z nią porządnie na pieńku. Obaj wsiedli do cadillaca. Dyskusja trwała do samego departamentu policji.

W biurze detektyw zaproponował nowemu partnerowi mocną kawę; sam też jej potrzebował do dalszego funkcjonowania. Spostrzegł, jak na twarzy Milтона malowało się zmęczenie. Domyślił się, że pewnie po wizycie u komisarza miał mało zabawną noc.

- Nie kręć się tak bez celu! Odpręż się i odpocznij przed dalszą pracą! Trochę to potrwa, nim DNA odciętych palców dopasują do tych pobranych próbek z ciała. Poza tym jednym, oczywiście, który nie wiadomo, do kogo należy. Zastanawiam się, czy odcinał im palce, gdy jeszcze żyły czy może, gdy były już martwe - powiedział detektyw do Milтона, który wciąż nerwowo chodził po pokoju, obracając kubek w dłoniach i chcąc zebrać myśli, które mieszały się w tej chwili z silnymi emocjami.

- Jakie to ma znaczenie dla śledztwa? - zapytał, przystając na moment na wprost detektywa.

- Kuriozalne Milton, kuriozalne. Wtedy istniałaby nadzieja na uratowanie tej siódmej, której palec znajdował się w woreczku.

- Wątpię byśmy mieli szansę, nawet jeśli jeszcze żyje.

- Zawsze jest szansa! Nie odbieraj dziewczynom nadziei, były

agencji DEA! U nas w wydziale nigdy nie mówimy, że ktoś jest martwy, dopóki nie mamy ciała - mówiąc to, detektyw wpatrywał się w Milтона.

Popołudnie zleciało im błyskawicznie. Miltonowi przydzielono osobny gabinet i mógł w spokoju zgłębiać szczegóły akt dotychczasowych zabójstw. Przeglądał także inne sprawy o podobnym charakterze. Cofał się nawet dziesięć lat wstecz, przerzucał papiery dotyczące seryjnych morderstw mających miejsce nie tylko Nowym Jorku. Szukał punktu zaczepienia, analogii pomiędzy ofiarami i tymi sprawami.

Późnym popołudniem udał się do pokoju detektywa, który rozłożył na biurku zdjęcia zamordowanych ostatnio kobiet. Przyglądali się im skrupulatnie. Liczyli, że znajdą wskazówkę odnośnie do wyciętych fragmentów skóry, chociażby najmniejszą.

Milton postanowił jeszcze sprawdzić informację o biologicznym ojcu Jona Belly'ego. Coś mu nie grało, że do dziś nikt go nie odnalazł. Wertował bazę danych policji oraz wykonał kilka telefonów do odpowiednich instytucji. Sally, matka chłopca, podała w urzędzie „ojciec nieznany”, a Jon nosił jej nazwisko. Do ślubu z Robertsonem była panną z dzieckiem. Jej rodzina mieszkała ponad tysiąc mil od Nowego Jorku. Z akt wynikało, że miała jedną siostrę.

- Detektywie! - zawołał nagle jeden z oficerów z korytarza.

- Co tam?

- Włącz wiadomości - powiedział policjant, gdy stanął w progu.

Milton znajdował się akurat w biurze detektywa i sprawdzał dokumenty w szufladach regału stojącego po lewej stronie, tuż przy ścianie na wprost okien. Od razu spojrział na mały telewizorek umiejscowiony na metalowej szafce, w której grzebał.

- Milton włącz go i odrobinę się przesun, żebyś nie zasłaniał mi

widoku – poprosił detektyw.

Po uruchomieniu urządzenia, nikt nie musiał długo czekać na reakcję z jego strony.

- O kurwa! Co on wyprawia? Zgłupiał całkowicie?! - zaklął detektyw, podnosząc się gwałtownie z fotela.

- Jezu, skąd on ma te wszystkie informacje? - skomentował zdziwiony Milton. - Kto to w ogóle jest?

- On? To kurwa nadgorliwy prokurator. Karierowicz jebany! Ten sam, co chciał cię zapuszkować, nie znał faktów, a już węszył aferę i punkty dla siebie u wyborców. Ciągłe pieprzy o politycznym awansie! Pcha się na siłę do polityki, uważaj na niego! Posłuchaj, co on w ogóle wygaduje!

Obaj nie dowierzali, jak to było możliwe, że bez żadnego uzgodnienia z detektywem prokurator podzielił się publicznie wiadomością o kolejnej zamordowanej. Przekazał mnóstwo informacji, nie przemilczał także tych o odciętych palcach. Wszystko, co teraz wyciekło do mediów, jedynie mogło skomplikować odnalezienie chłopca. Wydawało się, że prokurator świadomie zdradził postronnym ludziom, a także przestępcy tok prowadzonego śledztwa.

- Jedziemy do kostnicy! Osobiście pogadam z Eli. Tym razem to przegięła - powiedział mocno zdenerwowany detektyw, chwytając kurtkę z wieszaka.

Panowie wyszli z gmachu departamentu, detektyw całą drogę kipiał ze złości. Gdy dojechali na miejsce, pierwszy wysiadł Milton i od razu wybrał numer do Jessiki. Odebrała po drugim sygnale.

- Idziesz? - ponaglił go coraz bardziej wzburzony detektyw.

- Tak, zaraz dołączę. Daj mi chwilę, dobra?

Detektyw ruszył przed siebie w kierunku budynku. Milton podążał tuż za nim. Wewnątrz było ciepło i przynajmniej ciszej niż

na ruchliwej ulicy. Milton zamienił kilka krótkich zdań z Jessicą, która właśnie wracała z pracy. Oboje zaczęli zachowywać się jak przed rozstaniem. Umówili się na kolację, którą przygotuje Jessica. Na koniec rozmowy przesłał jej mnóstwo buziaków. Obiecał, że wszystko opowie wieczorem i się rozłączył.

- Cane, spójrz, jest winda! - zakomunikował detektywowi, wskazując palcem na drzwi.

- To sobie nią jedź!

- Co?

- Chodź i nie marudź, kiedyś ci o tym opowiem.

Milton tylko się uśmiechnął i ruszył razem z detektywem schodami na dół. Idąc korytarzami, doszli do dużych, metalowych, dwuskrzydłowych drzwi, które rozsunął detektyw. Wszedł pierwszy do pomieszczenia i od razu rzucił garść obelg w stronę pani koroner.

- Jasna cholera! Porąbało cię do końca?! Dzwonisz z informacjami do prokuratora zamiast do mnie? - mówiąc to, podszedł do dobrze znanej mu kobiety, która stała odwrócona tyłem do niego.

Była to ta sama osoba, którą Milton już widział na miejscu zbrodni. Dwójka młodych ludzi przebywających z nią teraz w sali momentalnie opuściła pomieszczenie. Pani koroner odwróciła się i omijając detektywa, przywitała wpieryw z Miltonem. Kobieta na oko miała trzydzieści lat. Ciemne, przyszczyżone krótko włosy. Ubrana w ołówkową spódnicę przed kolano, a powyżej talii dekolt eksponujący obfity biust. Detektyw wspominał, że próbowała już nie raz go uwieść, jednak on nie był zainteresowany jej zalotami. Może właśnie dlatego tak nie przepadała za detektywem, a on za nią. Czowała, że nie miała u niego żadnych szans. Dzisiaj jednak wyglądało, że upatrzyła sobie nowy obiekt zainteresowania.

Okazało się, że niezła z niej była flirciara.

- Wrzuć na luz, detektywie! - Po czym zwróciła się do Milтона, podając mu swoją wypielegnowaną dłoń. - Cześć przystojniaku. Pracujesz teraz z Cane'em?

- Cześć! Nie, tylko pomagam mu w tym śledztwie.

- A, to szkoda, bo moglibyśmy się częściej widywać - rzekła z uśmiechem, puszczając do niego oczko i ukazując perfekcyjnie wycieniowaną powiekę w ciepłym pastelowym kolorze.

- Eli, mówiłem do ciebie! Nie słyszałaś? Po cholereę przekazałaś informacje prokuratorowi? Ten idiota chwali się tym na cały kraj! Zobaczysz, polecisz, jeśli się to powtórzy!

- Ciekawe, Cane, co byś zrobił na moim miejscu, gdyby przyszedł do ciebie twój szefunio z takim poleceniem... - Koroner w oschły sposób zwróciła się do detektywa.

Nawet nie marzyła, aby ją zrozumiał. Jemu zwolnienie za niesubordynację nie groziło.

- A tak ogólnie, to który nadgorliwiec ją zaciął? - spojrzała na obu.

Milton w tym momencie zerknął zakłopotany na detektywa.

- Ty, przystojniaku, wykazałeś taką nieudolność? - zapytała wprost Milтона, widząc jego małe zmieszanie.

- To był przypadek, nie draż czegoś bez znaczenia. Skończmy te niepotrzebne dyskusje, a na twoje podrywy przyjdzie jeszcze pora. Pokaż ciało ostatniej zamordowanej - rzekł do niej detektyw.

- Szuflada po lewej stronie, mógłbyś? - wskazała Miltonowi kierunek palcem.

Cwana z niej kokietka. Chciała sprawdzić, jak zareaguje. Wiedziała, że Milton znajdował się na miejscu ostatniej zbrodni, ale czy na pewno był takim twardzielem, na jakiego wyglądał? Miała już z niejednym mundurowym do czynienia, co na widok

ludzkich zwłok po sekcji odpływał, lądując bezwładnie na podłodze.

Milton podszedł i wysunął wskazaną szufladę zawierającą ciało denatki przykryte białym nakryciem. Bez zastanowienia zdjął je i spojrzał teraz na panią koroner, uśmiechając się do niej. Dał jej tym jasno do zrozumienia, aby nie bawiła się z nim w takie rzeczy. Detektyw również dołączył do niego i oglądał z bliska martwą dziewczynę.

- Mów, co ustaliłaś w trakcie sekcji?

- Miała w organizmie mocne środki nasenne, łatwo dostępne na czarnym rynku. Sprawca mógł, co prawda, nabyć je też w aptece, tyle że byłoby to głupie z jego strony. Najpierw musiał ją uśpić, potem związał sznurem i owinął folią spożywczą. Gwoździe wbił bardzo precyzyjnie, aby nie uszkodzić głównych tętnic. Unieruchomił w ten sposób ciało. Na koniec wyciął fragmenty skóry.

- Dobra! Przyczyna zgonu? - Detektyw ponaglił kobietę, gdy w tym czasie Milton przyglądał się uważnie ciału zamordowanej.

- Śmierć nastąpiła poprzez wykrwawienie w wyniku przeciętej tętnicy szyjnej. Resztę badań dostaniesz za jakiś tydzień, może wcześniej. Ustaliliście już jej tożsamość?

- Nie, ale liczę, że ktoś zgłosi jej zaginięcie, gdyż tym razem nie zostawił ani jej dokumentów, ani ubrań - rzucił w zamyśleniu detektyw.

- W porządku, to już twoja działka. Słuchaj, dla mnie wszystko idealnie pasuje. Ten gwoździe, który dostałam wcześniej od ciebie i zaschnięta krew na nim, także prawdopodobnie został wyjęty z jej ciała. Grupa krwi na pewno się zgadza. Na resztę wyników, w tym badania DNA, trzeba poczekać. Zresztą mogę potwierdzić, że tak jak każda z pozostałych była przytomna, podczas gdy wbijał jej te

przedmioty. Świadczą o tym rany w barkach i udach, które nieznacznie się powiększyły. Fragmenty skóry wycinał czymś naprawdę ostrym, może jakimś specjalnym, myśliwskim nożem. Wszystkie cięcia zostały wykonane bardzo dokładnie, mimo że przez folię. W ranach znalazłam mikroskopijne kawałki tego materiału.

- Mamy coś konkretnego? Coś co pozwoli nam dorwać tego zwyrodnialca? Eli, daj mi choć jakiś drobiazg.

- Nic nie zostawił, żadnych śladów.

Milton założył rękawiczki, które wyjął z tekturowego pudełka znajdującego się razem z innymi pojemnikami na szafce obok nich. Podszedł i delikatnie rozsunął denatce nogi.

- Co, podniecasz się takimi widokami? - Koroner skomentowała jego nagłą czynność.

- Cane, zobacz! - Milton wskazał miejsce na udzie, blisko narządów intymnych kobiety.

- Co to? - Detektyw podszedł i przyglądał się czemuś, co najwyraźniej przeoczył morderca. - Wygląda mi to jak fragment tatuażu.

- Tak, też tak uważam. Czas i rozkład zwłok zrobiły swoje, dlatego ten fragment jest mało wyraźny. Do tego został w większości wycięty. Musiał tego małego skrawka nie zauważyć, a ta folia pewnie utrudniła mu dokładne usunięcie - powiedział Milton.

- Przeoczył to, skurczybyk! Mamy chyba to, czego potrzebowaliśmy. Dobra robota, partnerze - powiedział detektyw, po czym zwrócił się do koroner. - Eli, przydad się wreszcie na coś i podaj mi lupę. Nie zauważyłaś tego?

- Skądże - zaprzeczyła koroner, po chwili dodając. - To pewnie nieistotny drobiazg.

- Przestań! Od wyciągania wniosków jestem ja! Od ilu lat tu pracujesz? Lepiej skup się na robocie! - postawił ją do pionu.

- Próbowałam to odczytać. Może wam się uda, ja miałam za mało czasu. Ciągłe tylko do mnie dzwonili i pospieszali.

- Tak? Pogawędka z przyszłym politykiem odebrała ci rozum i potrzebny czas? Karierę ci obiecał? Dawaj lupę i nie gadaj tyle! Wystarczy na dziś tych twoich wyznań - Cane ponownie wyraził swe niezadowolenie.

Zniecierpliwiony Milton podszedł do niej sam i wziął do ręki szkło powiększające. Dokładnie przyglądał się odkryciu sprzed kilkunastu sekund.

- Niezbyt wyraźnie to widać, ale to fragment jakiejś dużej litery i mały napis „love” - stwierdził. - To duże „S”, jestem pewien - dodał po chwili.

- Właśnie, nic więcej, nie bardzo mi pasowało do czegokolwiek, ale opisałam to w protokole oględzin i sekcji zwłok, zapoznacie się z nimi później - wtrąciła koroner.

Detektyw nawet na nią nie spojrział, ale w środku aż wrzał ze złości.

- Reszta wycięta, a ciało zostało zbyt mocno uszkodzone przez rozkład, niczego więcej nie odczytamy - dodał Milton.

Chwilę to trwało. Detektyw z Miltonem krążyli nad ciałem niczym sępy nad padliną, aż kłębek myśli zaczął przybierać inną formę.

- To ona - powiedział Milton przygaszonym głosem.

- Kto?

- Matka Jona, Sally Belly. „S” - to pierwsza litera jej imienia.

- Ja pierdołę! - zaklął siarczyście detektyw, spoglądając na dziewczynę.

Zwłoki miały mocno wykrzywioną twarz w grymasie bólu,

z wciąż otwartą szczęką po usuniętym kneblu. Teraz obaj pojęli, kto prawdopodobnie leżał przed nimi. Nieznane ciało być może właśnie otrzymało imię. Do tej pory matkę chłopca uważano za zaginioną. Czyżby to miało się zmienić?

- Cane, on najprawdopodobniej wycinał im tatuaże. To dlatego te cięcia i ich ilość nie pasują do niczego.

- Fakt, to może być prawda, nie mamy wyciętych fragmentów skóry. Musiał się ich pozbyć albo gdzieś trzyma, podobnie jak palce.

- Pytałeś rodziny i znajomych zamordowanych osób, czy one miały tatuaże?

- Robertson to sprawdzał, rozmawiał z nimi. Nic nie wspominali na ten temat.

- Dziwne, nie sadzisz?

- Sam nie wiem! Każda, poza Margaret Parker, miała wycięty więcej niż jeden kawałek skóry. Gdyby to były tatuaże, to rodziny powinny chyba o nich wiedzieć. Jak widzisz, Sally, jeśli to w ogóle ona, też ma sporo pousuwanych fragmentów. Ten, wycięty w tym miejscu, może być zwykłym przypadkiem - dodał detektyw mało przekonującym głosem.

- Wracajmy i sprawdźmy panią Belly. Dowiedzmy się, z kim się zadawała i gdzie pracowała, zanim urodził się chłopiec - powiedział Milton.

- Tak, musimy także cofnąć się kilka lat wstecz. Przejrzymy jeszcze raz zdjęcia pozostałych ofiar, może jednak miały jakieś malunki na skórze. Ciekawi mnie, gdzie ona mogła go zrobić - powiedział detektyw.

- Eli, macie przecież DNA Sally Belly z mieszkania Robertsona. Porównajcie je, pewnie potwierdzą tożsamość tej zamordowanej. Milton, ona leżała w tej przyczepie od dawna. Mogła być pierwszą

z ofiar – zwrócił się bezpośrednio do partnera, wskazując ręką na martwe ciało.

Eli w milczeniu zerknęła w oczy Cane'a. Wiedziała, że znał się doskonale na tej robocie. Jego rodzina od kilku pokoleń służyła społeczeństwu. Przeczucie podpowiadało jej także, że i Milton nie był pozbawiony doświadczenia, skoro stał obok tak wytrawnego detektywa. Natomiast Milton w rzeczywistości nadal czuł się lekko zardzewiały po nieudanej akcji oraz odejściu z DEA. Dziś ponownie jednak przyływ adrenaliny kazał mu brnąć w tę sprawę, by odszukać mordercę.

Cane wydawał się psychicznie mocno zmęczony. Dużo spraw zbiegło się naraz w krótkim czasie.

- Zbieramy się stąd! - zwrócił się do Miliona i wyszedł bez pożegnania.

Ten jednak uśmiechnął się do kobiety i podał jej rękę, a następnie podążył do wyjścia.

- Późno już, podrzucić cię do domu? Ja jeszcze na chwilę wpadnę do departamentu - dodał detektyw, opuszczając budynek.

- Tak, jeśli możesz. Mam dość wrażeń jak na dziś.

Obaj panowie wsiedli do samochodu. Milton od razu wyjął komórkę z kieszeni.

- Gdzie dzwonicz?

- Do Jessiki. Powiem jej, że będę za kilka minut. Umówiliśmy się na kolację.

- Pozdrów ją i przekaż, że chętnie powtórzylibym także naszą kolację sprzed pół roku.

- A co, spotykałeś się z nią?

- Dorosły jesteś, więc nie pogrywaj ze mną i schowaj dumę zazdrości do kieszeni. Mam żonę oraz czwórkę wspaniałych urwisów. Nie w głowie mi romanse - odpowiedział detektyw

z ironią w głosie, wyczuwając ten mały przytyk ze strony nowego partnera.

Milton natomiast całą drogę powrotną zastanawiał się, czy coś mogło łączyć tych dwoje, poza przyjaźnią. Tak przynajmniej wnioskował ze słów kolegi. Cisza zapanowała już do miejsca, w którym detektyw wysadził go przed blokiem. Ten bez słowa opuścił auto i dwoma dużymi krokami wszedł po zewnętrznych schodkach. Wcisnął poznany już kod domofonu i wchodząc do środka budynku, od razu udał się w stronę windy. Zadzwoił dzwonkiem, stając przed drzwiami apartamentu. Dziewczyna otworzyła w samej pizamie. Ubrana była w błękitną, bawełnianą bluzeczkę i spodnie w kolorowe muszelki.

- Wow! To nieźle się wystroiłaś jak na wystawną kolację!

- A kto ci w ogóle powiedział, że ma być wystawna? Wchodź i rozbieraj się, urządzimy sobie pizama party. Myślałam, że wcześniej skończysz.

- Jakoś tak wyszło, ten dzień dłużył się niemiłosiernie. Może i miałaś lepszy pomysł z tą kolacją, bo potrzebuję odpocząć... Kociak, uciekaj spod nóg, bo cię zdepczę, mały urwisie. - Milton przychylił się i pogłaskał kotka Jessiki.

- Chętnie ci w tym relaksie pomogę, ale powiedz mi jeszcze, co takiego się wydarzyło, że musiałeś jechać tak rano?

- Jessico, to trudne. Pozwól, że najpierw się wykąpię. Cuchnę niemiłosiernie po tym dzisiejszym dniu. Do tego jest kolejne morderstwo i uważam, że nie warto, byś się w to głębiej mieszała oraz niepotrzebnie denerwowała.

Dziewczyna odpuściła na chwilę temat związany z pracą i gdy Milton brał prysznic, odgrzewała kolację, którą przyszykowała wcześniej. Kociak towarzyszył jej cały czas, kręcąc się po blacie na szafkach. Wspólny posiłek jedli w salonie, a Milton tłumaczył

w jego trakcie niektóre kwestie związane z dzisiaj, pomijając te najbardziej okrutne i brutalne.

- Wygląda, że Cane nieźle cię przegłodził.

Pamiętała jak kiedyś na wspólnej kolacji Cane wspominał jej, że gdy wpadał na jakiś trop, to zapominał o Bożym świecie. Jedzenie wtedy to była ostatnia rzecz, o jakiej myślał.

- Faktycznie, bardzo zgłodniałem. Ten twój detektyw już się o to postarał. Woził mnie z miejsca na miejsce, nawet na małego pączka nie miałem czasu.

Dziewczyna uśmiechnęła się szerzej, widząc, że stary przyjaciel nie zmienił swoich osobliwych przyzwyczajzeń.

Oboje sprzątnęli po kolacji. Milton usiadł w kuchni z gorącą kawą i ciastem czekoladowym. Jessica w tym czasie kończyła wycierać naczynia i chować je do szafki.

- Jess, mogę? - przeprosił, wciskając się pomiędzy nią a szafkę.

Dziewczyna odwróciła się do niego twarzą i spojrzała mu prosto w oczy. Milton wstawił brudne naczynie do zlewu i przysunął swe usta do ust partnerki. Nawet nie drgnęła, czekając na jego kolejny krok. Nastąpiło subtelne muśnięcie wargami jej ust i czubka nosa. Jessica stała, jakby zaskoczona tym, co teraz robił jej były partner. Tamta wspólna chwila sprzed kilku dni miała być tą ostatnią. Odwzajemniła jednak pocałunek, gdyż pragnęła odzyskać ten utracony smak miłości i dotyk męskich warg oraz poczuć silne dłonie penetrujące jej ciało.

*

Rankiem Milton podniósł się i wyjrzał przez okno. Tym razem pogoda była idealna, a słońce wyglądało zza niewielkich chmur. Jessica wciąż smacznie spała wtulona w poduszkę. Jej nagie ciało leżało nieco okryte białym prześcieradłem. Milton przyglądał się

ukochanej i wręcz nie mógł uwierzyć, że dostał od losu taką szansę. Jessica przeciągnęła się leniwie, uchylając powieki. Popatrzyła na niego, gdy podszedł z powrotem do łóżka. Przekręciła się powoli na bok, a materiał, którym była przykryta, zsunął się na podłogę. Jej ponętne kształty mógł teraz podziwiać do woli.

Nagły dzwonek telefonu dziewczyny przerwał igraszki umysłu, wkraczając między powracające uczucie. Jessica powoli wstała i bosko podeszła do okna, gdzie na parapecie leżał jej smartfon. On obserwował ją, chcąc, aby ta chwila trwała wiecznie.

- Tak? Słucham?

- Cześć, piękna, będziesz dziś w pracy? - zapytał męski głos w słuchawce.

- O rany, Ron, chodzi ci o artykuł? Jasne, że będę! Mam go, jest już prawie gotowy.

- Właśnie! Miał być do wczoraj, najpóźniej do godziny czternastej, zapomniałaś?

- Tak, pamiętam, ale jakoś mi nie wyszło, skończę go zaraz. Ron, będę za godzinę na miejscu, już się zbieram jadę!

- Dobra, mała, powiem szefowi, że jeszcze razem go sprawdzamy. Nie będzie się pieklił.

- Kochany jesteś. Wiszę ci lunch.

- Kto to? - zapytał Milton, gdy Jessica rozłączyła się po dość krótkiej rozmowie.

- To Ron, pamiętasz, mój kolega z pracy. Razem przygotowujemy taki mało istotny artykuł o nowościach filmowych. Nie zawsze mam super temat.

- Sorry, Skarbie, że ci tak komplikuję ostatnio twoje życie, ale Jess... Powoli nam się ułoży, zobaczysz.

Dziewczyna nic nie odpowiedziała i zaczęła zbierać się do

wyjścia. Milton wyszedł chwilę po niej i pojechał metrem do departamentu.

ROZDZIAŁ XIX

Był poniedziałkowy ranek. Milton poznał w ostatnim czasie dość dobrze nawyki i charakter detektywa, który również wyrobił sobie opinię na temat nowego partnera. Jessica ten weekend spędziła w rodzinnym domu na Brooklyn Heights, a w pierwszy dzień tygodnia wzięła wolne w pracy. Nadal czuła potrzebę głębszej rozmowy z mamą i wyjaśnienia do końca zamierzonych spraw. Nie wiedziała, co jej były narzeczony dokładnie usłyszał od Rachel kilka miesięcy temu, jednak zdawała sobie sprawę, że on i tak któregoś dnia dowie się o skrywanym sekrecie.

Około godziny jedenastej ponownie pojechała na Brooklyn w miejsce, gdzie wychowywała się do czasu ukończenia szkoły średniej. Jej mama mieszkała teraz sama, gdyż tata zmarł siedem lat temu. Właśnie dopijała malinową herbatę zaparzoną przez matkę. Uwielbiała ją od dzieciństwa. Zjadła też krem z dyni, za którym jednak nie przepadała.

- Chyba zwariowałaś! - wrzasnęła matka, słysząc, co Jessica zamierzała zrobić.

- Mamo, dałam mu drugą szansę! Ty już nie będziesz o tym decydować!

- Znowu cię skrzywdzi. Taki on już jest.

- Nie, ty po prostu nie wiesz, co się wtedy wydarzyło, dlaczego odszedł.

- To oświeć mnie! - powiedziała Rachel. - Chcesz dokładkę? - dodała, patrząc na pusty talerz córki.

- Nie, straciłam apetyt. - Jessica odsunęła od siebie talerz.

- Znowu zaczynasz! Pomogłam ci wtedy! Wiesz, że to było jedyne wyjście.

Jessica tylko pokręciła głową na znak braku aprobaty co do słów matki.

- Nie, mam! Teraz nie jestem już tego taka pewna.

Rachel wyszła z salonu, udając się do kuchni.

- Chodź, nie siedź tam sama! - zawołała po chwili.

Jessica niechętnie wstała i zrobiła to, o co została poproszona.

- Nie warto się zadręczać tym, co było, kochana. Jesteś dorosła, nie potrzebujesz mojej zgody. Rób, co uważasz, ale będziesz przez niego znowu cierpieć.

- Mamo, jadę już, boli mnie głowa i mam dość tych dyskusji.

- Weź lekarstwo, skarbie. - Rachel sięgnęła ręką do apteczki w kuchni i podała córce tabletkę.

Jessica, nim wzięła tabletkę od mamy, spojrzała na nią z wyrzutem. Obie panie zdawały sobie sprawę z tego, co wcześniej uczyniły. Jednak Rachel wydawała się pewna, że tamta, podjęta niby wspólnie, decyzja była słuszna. Jessica wyszła, minęła przydomową zieleń i wsiadła do swojej zielonej toyoty prius. Całą drogę powrotną rozmyślała, czy mogłaby cofnąć czas.

*

Kolejna noc minęła każdej z osób w innych okolicznościach.

Detektyw cieszył się w domowym zaciszu ze wspólnych

rozmów i obcowania z rodziną. Później przytulił w sypialni ukochaną żonę.

Matka Jessiki w samotności zastanawiała się nad słuszością podjętej kilka miesięcy temu decyzji.

Jessica co chwila budziła się w nocy i wtulona w partnera, wspominała swoje utracone dziecko.

Jon Belly nadal nie tracił nadziei, licząc na powrót mamy i ratunek Milтона.

Za to mężczyzna, który więził chłopca, przez ostatnie dni nie próżnował. Zdobył wszystkie potrzebne mu informacje na temat osób, które dręczyły się myślami, analizując swoje postępowanie. Znał środowisko przestępcze i miał tam wystarczająco dużo kumpli. Doskonale potrafił wcielać się w wykreowaną przez siebie postać. Często tak postępował, aby osiągnąć to, co zaplanował.

ROZDZIAŁ XX

Tego ranka Milton podniósł się z łóżka pierwszy. Było bardzo wcześnie. Jessica jeszcze spała wtulona w poduszkę, na której pozostał jego zapach i nawet nie uchyliła powieki, wyczuwając ruch. Udał się do kuchni, by przygotować śniadanie.

Matka Jessiki również zbudziła się o świcie i nie mogła już zasnąć.

Natomiast w tym czasie detektyw Cane był w drodze do departamentu policji.

- Cześć, Young! Jak minęła ci nocka w domu? - Detektyw zapytał kolegę, wchodząc do gmachu.

- Koszmarnie. A u ciebie, detektywie? Co dziś tak rano? Bo ja, przyznam, zviałem wcześniej z domu. Mała płacze na okrągło, nie dało się spać.

- Ha! Też tak miałem przy pierwszej córce. Jak skończy rok, to się wam uspokoi. Coś mi nie pasuje w zachowaniu seryjnego i to mnie dręczy. Nie mogłem przez to zmrużyć oka. Muszę się lepiej temu wszystkiemu przyjrzeć. Przejrzę po raz kolejny zebrane dowody.

- A co z ostatnią zamordowaną, znaleźliście coś?

- Niewiele, ale pokopię jeszcze głębiej w jej przeszłości.

- Dobra, detektywie, ja spadam. Wpadnę jeszcze na chwilę do chińskiej knajpy coś zjeść. W domu pustka, żona nie wyrabia. Mam nadzieję, że dziś będziesz miał lepszy dzień, bez kolejnych zwłok - dodał detektyw Young.

- Tak, kolego, na to liczę. Ja już jestem po śniadaniu, Michelle doskonale gotuje.

- A, jeszcze jedno, zapomniałbym, detektywie. Mam dla ciebie wiadomość z laboratorium.

- Przysłali coś?

- Dzwonili z godzinę temu i prosili, aby koniecznie przekazać ci, byś zajrzał do skrzynki mailowej, wysłali ważne informacje. Okazało się, że wszystkim ofiarom odcięto palce, gdy żyły. Ponoć pytałeś o to. Zgadza się?

- Faktycznie, Young, pytałem.

- Dobra, na razie, detektywie. Idę, bo z głodu tu padnę.

- To spadaj. Pozdrów ode mnie żonę i tę twoją pociechę. Ile ona już ma?

- Dziękuję, przekażę wieczorem, jak zamelduję się w mieszkaniu. Właśnie mała rozrabiaka skończyła trzy miesiące - odpowiedział Young i ruszył w stronę drzwi. - A, sorry! Detektywie, jeszcze jedno... - krzyknął, będąc już przy wyjściu.

Detektyw Cane zatrzymał się i odwrócił w jego kierunku. Był już na pierwszych stopniach schodów prowadzących na górę. Zszedł niżej, gdyż kolumna stojąca pośrodku holu zasłaniała mu kolegę.

- Co znowu?! Weź stary ogarnij się trochę! Zmęczenie zmęczeniem, ale w pracy musisz się trzymać.

- Tak, tak. Kazali jeszcze przekazać, że jeden palec należał do dziecka i został odcięty jakieś kilka dni temu.

- Kurwa, Young! Nie skojarzyłeś? - wrzasnął detektyw, gdyż był już mocno wzburzony zachowaniem kolegi.

Detektyw Young natychmiast przeprosił, ponieważ i tak nic więcej nie mógł zrobić. Cane nie poszedł już na górę. Wyjął natychmiast komórkę i wybrał numer do laboratorium kryminalistyki. Potwierdzono mu informację. Palec należał do dziecka w przedziale wiekowym między cztery, a sześć lat. Detektyw natychmiast zlecił porównanie wyniku z DNA Jona Belly'ego, które, podobnie jak DNA matki chłopca, zostało pobrane z mieszkania Robertsona. Nie był w stanie zrozumieć, czemu porywacz odciął palec chłopcu. Jaki motyw nim kierował, że okaleczył dziecko w ten sposób? Przecież do tej pory mordował tylko kobiety. Czyżby Jon Belly był już martwy? - pomyślał i od razu odrzucił tę myśl. Opuścił w pośpiechu budynek departamentu. Udał się samochodem prosto do mieszkania znajomej dziewczyny, gdzie liczył, że zastanie swojego partnera.

Milton właśnie kończył nalewać sobie w kuchni kawę, gdy zjawiała się Jessica, zachęcona zapachem wydobywającym się z małego pomieszczenia. Przyszła tak wcześnie, aby towarzyszyć mu przy śniadaniu. Dzisiejszego ranka wyjątkowo starała się opóźnić jego wyjście do pracy, wtulając się w jego ramiona. Puszyste pankejkę z syropem klonowym leżały na talerzu, który stał na blacie szafki, gotowe na konsumpcję. Wyzwalały cudowną, słodką woń.

- Kucharzu, czy starczy dla mnie tych pyszności?

- Śpiochu, daj mi najpierw buziaka.

- Za placka?

- Może być. A co chcesz za piętnaście minut igraszek?

- Kawę i wszystkie te placki. - Jessica wskazała na blat.

Stała w samych majtkach i krótkiej, różowej koszulce. Milton

sięgnął ręką talerz.

- Są moje! - krzyknęła, schwyciła talerz z jego rąk i z frywolnym uśmiechem uciekła do salonu.

Tam wygłupom obojga nie było końca. Ganiali się dookoła dużego stołu do momentu, gdy Milton przechytrył Jess. Wtedy wziął ją na ręce i zaniósł do sypialni. Placki wystygły, czekając cierpliwie na swoją kolej.

Oboje teraz wylegiwali się w łóżku. Milton objął leżącą na nim Jessicę.

- Puść mnie już! Muszę dokończyć kolejny artykuł, bo wylecę w końcu z roboty. Idź zrób mi kawy - poprosiła przymilnie.

- Nie! Teraz twoja kolej na gorące danie. - Milton droczył się z Jessicą. - Zresztą sądziłem, że masz jeszcze wolne.

- Nie, dziś właśnie skończył mi się urlop, a pojutrze ma ukazać się artykuł w gazecie. Obiecałam, że dokończę w domu i im wyślę, ale jakoś nie miałam głowy nad tym ślęczeć w wolnym czasie.

Milton tylko się uśmiechnął i w tym momencie zadzwonił domofon.

- Jess, spodziewasz się kogoś?

- Nie, a ty? - odpowiedziała równie zdziwiona tym rannym najściem.

- Pójdę to sprawdzić.

- Okej, ja też wstaję. Idę spróbować tych twoich wypieków - powiedziała Jessica i założyła bieliznę, którą z niej ściągnął.

Milton wciągnął spodnie i udał się w kierunku drzwi wejściowych.

- Jess, to Cane. Jest na dole, wpuściłem go - zawołał głośno z korytarza.

- O rany, a ten co?

- Nie wiem, ale głos miał jakiś niewyraźny.

Pojawienie się detektywa zaniepokoiło oboje. Od razu, gdy tylko znalazł się w środku, dało się u wszystkich wyczuć narastające napięcie.

- Cześć! Coś nie tak? - spytał Milton w korytarzu.

Jessica wychyliła się za drzwi salonu, gdy zarzuciła na siebie szlafrok.

- Wchodź! Siadaj, właśnie jedliśmy śniadanie. Podać ci coś do picia? - zaproponowała.

- Tak, proszę wodę. - Detektyw usiadł w salonie na krześle, nie zdejmując nawet kurtki.

Wypił spory łyk ze szklanki. Wyraźnie widać było, że tego potrzebował. Jessica usiadła z boku, na wolnym krześle niedaleko Milтона.

- Przepraszam was, że wpadłem tak bez zapowiedzi i pewnie nie w porę, ale nie miałem wyboru.

- Nie nic nie szkodzi, może też dołączysz do nas? Placki już wystygły, ale ja takie wolę - wskazała na stół, gdzie na talerzu leżały pankejki w kilku porozrywanych kawałkach.

- Nie, dziękuję. Straciłem apetyt po dzisiejszym powitaniu w departamencie - odpowiedział, patrząc tylko na nich.

- Coś się stało? - spytała zaniepokojona.

- Tak, owszem.

- Mów! - ponaglił go Milton.

- Nie wiem, jak to ująć, ale z godzinę temu, gdy byłem w departamencie, dostałem informację o analizie tych znalezisk z przyczepy.

Detektyw jeszcze przed przyjazdem zastanawiał się, czy powinien wtajemniczyć we wszystko również Jessicę. Jednak doszedł do wniosku, że i ona powinna być świadoma ostatniego odkrycia. Ufał jej, choć nagiął tym mocno przepisy.

- Dobra Cane, mów, i tak w tym siedzę po uszy - powiedziała dziewczyna, zauważając jego zawahanie.

Detektyw znał przeszłość Jessiki, jednak wątpił, aby to, co miał do przekazania, nie poruszyło jej wrażliwej natury. Po kilkuminutowej rozmowie i zwięzłych wyjaśnieniach dotyczących różnych szczegółów morderstw wreszcie wyjawiał, że jeden palec z przyczepy kempingowej należał do dziecka. Nie pomylił się w swej wcześniejszej ocenie, Jessica nie wytrzymała. Bolesna przeszłość powróciła. Zaczęła płakać oraz zadawała mnóstwo pytań i to z rodzaju tych, na które brak logicznych odpowiedzi. Niewiele potem wydusiła z siebie, wtulając się w ramiona Milтона. On umówił się z detektywem, że dotrze do departamentu trochę później niż zwykle. Wiedział, że dziewczyna potrzebowała jego wsparcia jak nigdy. Nie mógł jej ponownie zostawić z tym, co usłyszeli. Sam również odczuwał ogromny ból, jednak wciąż miał nadzieję, że mały, sympatyczny chłopiec o imieniu Jon żyje, a palec należał do kogoś innego. Oczywiście nie było to uczciwe myślenie, gdyż takie przekonanie i uczucie temu towarzyszące czyniło z niego podłego okrutnika, ponieważ jeśli okazałoby się, że to inny malec został okaleczony, to czyjaś matka opłakiwałaby stratę swojej pociechy. To dziecko musiało cierpieć niewyobrażalne katusze przed śmiercią - pomyślał. Pozostawała więc tylko nikła nadzieja, tłąca się w ich umysłach. Czas i konkrety, które miały obnażyć tożsamość tego dziecka, wkrótce nadejdą.

Dzisiejszy ranek przyniósł straszne wieści. Jessica mimo to opanowała się i po około dwóch, może trzech godzinach od wyjścia detektywa, udała się do pracy. Milton opuścił mieszkanie razem z nią i pojechał prosto do departamentu. Starał się zachować spokój i zdrowy rozsądek. Wchodząc do gmachu z nikim nie rozmawiał, jedynie kiwnął głową na powitanie w kierunku szefa

departamentu i kilku funkcjonariuszy przebywających w holu. Stał tam również sierżant Torres, który skinął do niego w ten sam sposób. Wiedział, że ten incydent w mieszkaniu Robertsona należał już do przeszłości.

- Siadaj! Już wiemy, że to palec Jona Belly'ego. Przed chwilą dostałem potwierdzoną informację. Do tego znalezione ostatnio ciało, które leży teraz w kostnicy, to ciało Sally Belly, matki Jona. Jest martwa od co najmniej miesiąca, prawdopodobnie była pierwszą ofiarą tego sprawcy. Potwierdza to także wersję Robertsona o jej zniknięciu w tamtym okresie. Pewne jest również, że morderca musiał niedawno wrócić na miejsce zbrodni i zostawić tam torebkę z odciętymi palcami, skoro w środku znajdował się także palec chłopca. Skurczybyk zbierał je i trzymał aż do momentu, w którym zaplanował, abyśmy je znaleźli. Ten gwóźdź, co ci podrzucił, też pochodził z ciała Sally. Analiza potwierdza, że nie był wyjęty od razu po morderstwie. Porąbany skurwysyn, wracał tam co najmniej dwa razy! - Detektyw mocnymi słowami ponownie przywitał Milтона, tyle że tym razem w departamencie policji.

Milton aż zaniemówił. Przysiadł na krześle, tuż przy otwartym oknie. Chłód pomagał utrzymać emocje i nerwy na wodzy.

- Bałem się, że to się potwierdzi. Nie ma sensu snuć domysłów. Skupmy się na znalezieniu tego typu, kimkolwiek jest, może zdążymy zapobiec kolejnemu bestialstwu - rzekł Milton.

- Tak, masz rację. Mamy już kolejny trop. Otóż nie każdy potrafi zrobić ten rodzaj gwoździ. Rozmawiałem też z chłopakami, skończyli przepytować po raz kolejny rodziny i znajomych ofiar. Nikt z nich nie potwierdził, żeby miały na ciele tatuaże bądź inne rzeczy, które morderca mógł im wycinać. To mógł być przypadek, że akurat Sally go usunął. Albo miał inne znaczenie. Nie wiem,

dalej będziemy to analizować. Na razie sprawdzimy te gwoździe, bo czuję, że to nie zbieg okoliczności, że dopiero teraz je znaleźliśmy. Każdą z dotychczasowych ofiar odnajdowaliśmy bez tych metalowych prętów. Wygląda na to, że usuwał je za każdym razem, nie licząc tych w ciele Sally.

- Jak ci wspominałem, Jessica też od razu zwróciła na to uwagę. Zauważyła ten ich dziwny, trójkątny kształt i wzór, jakby wymalowany na całej długości metalu. Sądziła, że to ręczny wyrób, wykonany na zamówienie.

- Milton, nie chodzi tylko o to, że wykuto je w takim kształcie i wielkości, ale głównie o ten wzór na nich. To mówi nam z jakiej zostały wykonane stali. Jest to stal damasceńska. Składa się z kilkuset warstw. Stąd te wzory. Potrzeba nie lada specja do wykucia takich gwoździ.

- Cholera! To musiało go nieźle kosztować. W takim razie facet na pewno ma forszę. Tyle że po co poniósł zbędne ryzyko na taki wyrób? Cane, po jaką cholere mu to było?

- Myślę, że morderca jest zafascynowany czymś takim już od dawna. Trzeba poszukać kogoś, kto wyrabia takie rzeczy. Dobra, szkoda tracić czas! Przejrzyj w odległości stu mil od miasta rzemieślników, co się w to bawią. Ja sprawdzę przeszłość Sally, może wspólnie uda nam się coś ustalić - powiedział detektyw Cane, po czym zaczął przeglądać informacje w komputerze.

Milton odnalazł na jednej ze stron w Internecie kowala zajmującego się podobnymi wyrobami przedmiotów ze stali damasceńskiej. Jego pracownia mieściła się dosłownie godzinę jazdy samochodem na zachód od Manhattanu. Reklamował się jako weteran wojenny prowadzący zakład kowalski. Na stronie widniały zdjęcia różnych przedmiotów kutych ręcznie i specjalne wzory, które wykonywał na indywidualne zamówienia. Potwierdzały, że

także pracował na stali damasceńskiej. Przyjmował zlecenia tylko osobiście i wymagał do tego przedpłaty gotówką. To ostatnie dało mały promyk nadziei. Nikt nie ma takich zamówień zbyt często. Ogłoszenie widniejące w sieci zostało zamieszczone dawno, ale jak sprawdził Milton, było co jakiś czas odświeżane. Mieli obecnie tylko ten jeden trop, więc nie było co zwlekać. Zapisał adres widniejący na stronie w Internecie. Istniała niewielka szansa na powodzenie, gdyż następny taki rzemieślnik był oddalony od miasta o zaledwie kilkadziesiąt mil, a tak naprawdę podejrzany mógł zamówić swoje wyroby nawet na drugim końcu kraju.

Przebyta droga za miasto pomogła lepiej się poznać obu panom. Trochę różnili się od siebie, ale i bardzo byli do siebie podobni. Dwa twarde typy: jeden po wojsku i służbie w DEA, drugi urodzony glina z dziada pradziada. Ojciec i dziadek oraz dalsza rodzina detektywa Cane'a także służyli społeczeństwu. Jednak jedna różnica między dwoma partnerami biła w oczy. Milton to niedoszły ojciec, natomiast detektyw to człowiek z dużą rodziną - dwie córki i dwóch synów, a także wciąż jedna, kochająca żona Michelle. Detektyw prawie całą drogę opowiadał, jak dzieciaki dają mu nieźle popalić, mimo że dwójka była już dorosła. Narzekał, ale z drugiej strony nie wyobrażał sobie życia bez nich. Milton wiedział, co stracił, zostawiając Jessicę, ale miał nadzieję, że im się ułoży. Dojeżdżali właśnie na miejsce. Dochodziła trzecia po południu.

- Spójrz, to tam! - Detektyw wskazał ręką na szyld znajdujący się w odległości dobrych kilkadziesiąt metrów.

- Pustka wokoło, jak na kowala przystało - odpowiedział Milton.

Wielka farma oddalona była o dobrą milę od innych domostw. Wyglądało na to, że jest to prawdziwe odludzie.

- Pamiętaj, ja będę mówił, dobra? Niech widzą, że jeden jest od gadania, a drugi to ten mniej sympatyczny.

Milton kiwnął głową na znak, że rozumiał. Detektyw po wjechaniu na teren posesji zatrzymał samochód przed samym domem przy dużym drzewie. Auto było skierowane w kierunku drzwi frontowych drewnianego domu z wybudowaną z przodu niedużą werandą. Rozejrzeli się chwilę, po czym wysiedli z cadillaca. Milton przystanął z przodu maski. Detektyw natomiast tkwił w miejscu, oparty ręką o otwarte drzwi auta, gdy głośno zawołał:

- Halo, jest tu ktoś?!

Chwila ciszy. Nagle zza rogu domu wyłoniła się kobieta w niezbyt czystych ubraniach, na pierwszy rzut oka sporo po sześćdziesiątce.

- Czego?

- Szukamy kowala, zna go pani? - zapytał Milton, nie dotrzymując słowa danego wcześniej detektywowi.

Był mocno narwany, gdy coś nie szło po jego myśli. Cane zdążył się już o tym przekonać. Kobieta nie była przyjazna, jednak ręką wskazała przybyszom w stronę starej, drewnianej stodoły oddalanej od domu o jakieś sto metrów.

- Chodź! Widać, że tu mili ludzie mieszkają - rzekł detektyw z sarkazmem w głosie.

- O tak, wygląda, że nawet bardzo mili! - skomentował Milton.

Z każdym krokiem coraz bardziej było słyhać charakterystyczne odgłosy rytmicznych uderzeń młota w metal. Detektyw odpiął pasek zabezpieczający broń. Odwrócił się i spojrzał w kierunku, gdzie wcześniej stała prawdopodobnie właścicielka posesji. Nikogo jednak już nie było. Szli powoli twardą, ubitą z brązowej ziemi ścieżką. Po bokach rosła trawa

i kilka drzew, a dalej rozciągał się olbrzymi las. Pies ujadł okropnie przy budzie koło stodoły. Miał zapięty wyjątkowo długi łańcuch, także raczej nikt bez aprobaty właściciela nie mógł wejść do środka.

- Milton, uważaj na niego! To duży pies. Kto wie, co zrobi właściciel, gdy nas zobaczy? Może w każdej chwili odpiąć mu ten łańcuch - powiedział detektyw.

- Tak, wygląda na agresywne zwierzę - odpowiedział Milton, spojrzawszy na psa mieszanej rasy.

- Dzień dobry! - krzyknął detektyw, będąc kilka kroków od budynku.

Pies szczekał coraz bardziej, a z wnętrza wyłonił się facet słusznej postury. Zatrzymał się w wejściu, obok psa, który nawet na moment nie przestawał szczekać, i popatrzył na nich.

- Szukamy kowala, to pan? - zapytał detektyw.

Mężczyzna nadal milczał, pozostając w tym samym miejscu.

- Było ogłoszenie, ponoć potrafi pan wyrabiać rzeczy ze stali damasceńskiej na specjalnie zamówienie - dodał Milton.

Obaj spostrzegli, że z zewnątrz budynek wyglądał jak prawdziwa stodoła, tyle że wewnątrz zamieszczony był metalowy kontener, mniej więcej dwukrotnie większy od tych na statkach handlowych. To w nim kowal miał piec i rozgrzewał stal. Sprytne, jeśli ktoś chciał coś ukryć bądź nie puścić z dymem tej drewnianej szopy.

- Czego? Cicho, Brutus! - wrzasnął kowal i spojrzał na psa, który od razu przestał szczekać i usiadł posłusznie przy jego lewej nodze.

Facet trzymał w ręku spory młot, którym nerwowo obracał. Detektyw przysunął dłoń do broni.

- Ty, odłóż to natychmiast! Jestem detektyw Cane

z departamentu policji Nowego Jorku, a to mój partner Jon Milton.

Kowal stał nieruchomo i wydawało się, że na coś czekał. Nagle wypuścił z ręki młot na ziemię.

- Wiem, o co wam chodzi. Liczyłem, że się wreszcie zjawicie.

- Tak? To, kurwa, kładź się na glebę! - krzyknął Milton i wyjął broń, celując w stronę mężczyzny. Nie wytrzymał napięcia, momentalnie podskoczyła mu adrenalina.

- Spokojnie, glino! To nie mnie szukacie - wycedził kowal, po czym powoli i niezgrabnie położył się i rozpląszczył swe grube, wielkie ciało na ziemi.

Pies ani drgnął z miejsca, nadal warował przy leżącym teraz właścicielu. Detektyw ostrożnie podszedł i skuł gościowi ręce z tyłu. Pomógł mu się podnieść i posadził go na wielkiej kłodzie suchego pnia drewna, która leżała tuż przy stodole. Kowal oparł się plecami o ścianę budynku, a pies schował się w tym czasie do swojej budy.

- Więc myślicie, że to ja?! - walnął szyderczo kowal, wpatrując się w Milтона.

- Dobra, nie bredź, jak nie chcesz większych kłopotów niż ukrywanie dowodów i pomoc w przestępstwie. Widzę też, że i przepisy cię nie interesują. Wiemy, że to nie ty. Jesteś dwa razy grubszy od tego skurwysyna, którego szukamy - poinformował detektyw.

- Glino, ta stodoła to profesjonalna kuźnia, więc się wal! Ja robię, co się da, bo z czegoś żyć muszę.

- Nie po to tu jesteśmy, a swój szemrany interes zostaw dla siebie. Powinieneś nas zawiadomić, skoro coś podejrzewałeś! Wiadomości nie oglądasz?

- Tak, a forsa poszłaby się jebać! Wasza robota gównie mnie obchodzi, parszywe lenie, nieroby, tylko kasę bierzecie za nic.

- Chcesz pogadać czy pakować cię od razu do samochodu? - dodał Milton i zrobił krok w stronę kowala.

Ten zamilknął momentalnie. Znał swoje grzeszki i lewe rachunki oraz robotę na czarno. To na pewno wypłynęłoby na wierzch w trakcie przesłuchań.

- Słuchaj, mów co wiesz o gościu, któremu robiłeś na zamówienie kute gwoździe z damastu i co za kasa ci przypadnie - spytał podejrzliwie detektyw.

- No proszę, jednak wracamy do moich przeczuć. Mówiłem wam, że sami się grzebaliście, było wcześniej do mnie wpaść. Śledzę wiadomości, a po ostatnich nowinach wiedziałem, że prędzej czy później się zjawicie. I po co miałbym dzwonić?

- Dawaj konkrety, bo szkoda tu czasu na twoje wywody! - dodał Milton, niecierpliwiąc się coraz bardziej.

Detektyw spojrzał na niego. Jeszcze nie widział go w takim stanie. Wyglądał, jakby chciał rozszarpać faceta gołymi rękoma.

- Mówiłem, że nic konkretnego o nim nie wiem. Jeszcze nie zapłacił mi za ostatnią partię gwoździ. Czeka gotowa w kuźni już od tygodnia! Ładnie mu to wykonałem, swoją forszę też w to wpakowałem, więc nie spieprzcie mi transakcji dzisiaj.

Ostatnie słowa kowala zastopowało na moment obu policjantów. Nie spodziewali się takiego obrotu sprawy. Musieli szybko pomyśleć i rozegrać całą akcję sami. Raczej nie mieli ani czasu, ani możliwości na dodatkowe wsparcie. Wiązałoby się to z dużym ryzykiem. Okolica była wyludniała i zjeżdżające się radiowozy mogłyby odstraszyć mordercę.

- Ile do tej pory zrobiłeś mu tych gwoździ? - zapytał po chwili zwłoki detektyw.

- Osiem. To nie jest łatwa robota, a i inne zlecenia też mam. Chciał wszystkie od razu, trzy miesiące temu, jak się zjawiał z tą

propozycją. Ni chuja! Nie dałem się namówić, innych klientów bym stracił, robiąc tylko jemu! Mam zresztą już swoje lata.

- Znasz jego imię, nazwisko, adres? - spytał Milton.

- A faktycznie, dla was to niespodzianka, farciarze. Dziś, gliny, widocznie mieliście nosa, że tu przyjechaliście. Jutro byłoby już po ptakach. Nie wiem, jak się facet nazywa, nigdy się nie przedstawił. Wpada, zamienia dwa, trzy słowa i tyle. Z psem potem chodzi po lesie. Liczę na nagrodę, jak go złapiecie.

- Tak, dostaniesz parę lat darmowej wyżerki w stanowym, jak on się nam wyślizgnie. O której ma się dokładnie zjawić? Lepiej nic nie kręć! - powiedział detektyw z poważną miną.

- Wieczorem, jak zawsze. Ciemno jest, gdy przyjeżdża. Przodem auta wjeżdża do stodoły. Jeździ starym vanem. Uwielbia Brutusa, pies łąsi się do niego, nie to co do was.

- Tak, a to może jego pies, a ty jednak mu pomagasz? - spytał mocno zdenerwowany Milton.

- Chcielibyście! Po prostu przyjechał tu kiedyś. Noże na zamówienie miałem mu zrobić. Ja wiem, będzie już ze sześć, siedem lat temu. Nie pamiętam dokładnie. Brutus miał wtedy niecały rok. Pies oszalał na jego punkcie od tamtego momentu. Potem facet wpadał jeszcze co trzy, cztery miesiące, nieraz częściej. Od jakichś dwóch lat to nawet co dwa tygodnie zaczął się pojawiać. Na spacerzy psa do lasu zabiera. Łażą tam po kilka godzin. Nie domyślałem się, że to tak porąbany, chory skurwysyn! Wyglądał na normalnego gościa, więc co mi tam zależało, że Brutusa na bieganie zabiera?

- I co, twierdzisz, że ci się do dziś nie przedstawił? Jak zwracasz się do niego? - spytał detektyw.

- Normalnie, jak do was. Gdy spytałem go raz jak mu tam na imię, to się odwrócił i poszedł z psem na zające. Tyle było

rozmowy. Po chuj mi to wiedzieć?!

- Kowal, i co chcesz nam wmówić, że do tej pory nie spytałeś i nie ciekawiło cię, po co mu te specjalnie robione gwoździe?

- A co? Każdego mam pytać, co robi ze swoimi zamówieniami? Nie od tego jestem w tym miejscu.

- To ile masz jeszcze dla niego tych prętów? - spytał Milton.

- Dwadzieścia osiem czeka gotowych - wskazał kowal ręką w stronę wnętrza stodoły.

Detektywi spojrzeli po sobie. Zrozumieli, że nie mylili się co do dalszych planów mordercy. Wyglądało na to, że wszystkich ofiar miało być dziewięć.

- Jak dałeś mu znać, że już je zrobiłeś? - kontynuował Milton.

- Sam do mnie zadzwonił jakieś dziesięć dni temu i jeszcze przedwczoraj, tak zresztą się umówiliśmy po ostatniej rozmowie. Ma być dziś wieczór po odbiór, mocno się przy tym upierał, abym tylko zdążył z robotą na czas.

- Cane, możemy go namierzyć?

- Wątpię, pewnie dzwonił z budki. Zna się na tym, skurczybyk.

- Kowal! Zawsze przyjeżdżał tym vanem?

- Nie, od jakiegoś miesiąca zjawia się tym gruchotem. Wcześniej różnie bywało, ale gabloty ma stare.

- Milton, on pewnie kradnie auta i zmienia tablice rejestracyjne. Skupmy się na dzisiejszym dniu, jeśli przyjedzie, nie może nam zwać.

Detektyw podszedł i uwolnił mężczyźnie ręce z kajdanek. Ten wstał i zaczął dłońmi pocierać swoje nadgarstki, raz jeden, raz drugi. Po chwili facet klepnął ręką w udo. Pies natychmiast wyszedł z budy i usiadł przy nim. Detektyw ani drgnął. Mężczyzna odpiął psu łańcuch z obroży.

- Po co to zrobiłeś? - Milton pokazał ręką na psa.

- Zawsze tak biega o tej porze - uśmiechnął się szyderczo kowal.

- Może, ale nie dziś! Zabieraj tę bestię do domu, nie chcę go zastrzelić niepotrzebnie.

- Tylko spróbuj glino! Sam cię wtedy rozwalę! - Mężczyzna spojrzał na leżący młot.

- Zabieraj go i skończ te pogrożki! - dodał detektyw.

- Jak tam wolisz, ale facet od razu się kapnie. Jest bystry, nie to co wy, gliniarze. A mały naprawdę go lubi. Łasi się do niego jak szczeniak. Tamten zawsze głaszcze go, zanim wejdzie do środka stodoły.

- Rusz się, idziemy do ciebie. Tak w ogóle to ta kobieta, co nas przywitała, to kto? - spytał detektyw.

- Moja druga połówka, a co myślałeś?

W domu rozmowa odbyła się szybko i konkretnie. Gospodyni miała siedzieć zamknięta z psem i nie ważyć się

wychylić nosa na zewnątrz. Detektyw nie pojmował, dlaczego tak przebiegły przestępca popełnił taki błąd. Musiał zdawać sobie sprawę, że zostawiając narzędzia zbrodni, naprowadzi ich na trop.

Mógł przecież używać dalej tych samych gwoździ i nie ponosić zbędnego ryzyka, odbierając kolejne. Wyraźnie zarysował się obraz początku jego działania. W pierwszej ofierze zostawił gwoździe, które znaleźli w ciele Sally Belly. Sądził pewnie, że kolejną partię otrzyma szybciej. Niestety czas mu uciekał, a on nie przewidział, że kowalowi zejdzie dłużej z jego zamówieniem. Wyglądało na to, że musiał zmienić plany. To dlatego przybijał ofiary, a po ich śmierci wyjmował gwoździe, nie licząc pierwszej z zamordowanych. Detektyw szukał racjonalnego wytłumaczenia postępowania sprawcy i analizował czas, w którym przekazał im te wskazówki. Czy to jego pomyłka? Czyżby ich nie docenił? Teraz

wystarczyło cierpliwie poczekać na to, co się wkrótce wydarzy.

Dochodziła szósta trzydzieści wieczorem. Partnerka kowala, wedle wcześniejszych ustaleń, siedziała w domu z psem. Detektywi nie chcieli, by Brutus plątał się im pod nogami. Szczególnie, że lubił tamtego typu. Mógłby źle zareagować i nieźle namieszać, widząc jak go zatrzymują. Zwierzak był naprawdę duży i zachowywał się agresywnie w stosunku do policjantów. Kowal natomiast miał kuć swą stal w stodole jak zawsze, gdy zjawiał się podejrzany typ. Cadillac detektywa został zaparkowany tuż przy stojącym pikapie kowala, zaraz na podjeździe przed domem, koło wielkiego dębu. Przykryli go starą, podziurawioną plandeką. Zmrok zapadł szybko i zapanowała prawdziwa ciemność. Jedynie halogen zawieszony przed domem, nad drzwiami wejściowymi, oświetlał podwórko. W stodole kowal używał jarzeniówek do oświetlenia pomieszczenia przy pracy. Wnętrze było więc dobrze widoczne, nawet z dużej odległości. Dwuskrzydłowe, drewniane i wysokie na trzy metry drzwi wręcz zapraszały do wewnątrz. Przestępca zdawał sobie sprawę z panujących o tej porze warunków. Miał doskonały widok na wszystko, co działo się w środku stodoły, zanim tam podjechał.

Detektyw Cane z Miltonem wiedzieli, że facet musiał przeżyć, jeśli chcieli odnaleźć chłopca, a to mogło nie być łatwe. Pozostawał im jedynie element zaskoczenia. Milton stał tuż za kilkoma ogromnymi, drewnianymi belkami, które były oparte o ścianę na zewnątrz stodoły, dosłownie dwa metry od wejścia. Ta pozycja pozwoli mu zająć podejrzanego niepostrzeżenie od tyłu. Detektyw natomiast czał się za metalowym, szerokim na dziesięć metrów kontenerem. Obrął to miejsce specjalnie, by móc wyjść w odpowiednim momencie na wprost napastnika. Będzie miał do niego jakieś kilkanaście kroków, całą długość kontenera. Kowal

znajdował się w środku metalowego pomieszczenia, które z przodu było pozbawione jakiegokolwiek zamknięcia. Wydawało się, że to dla niego najbezpieczniejsze miejsce. Podejrzany, jeśli wyciągnie broń, raczej nie wyceluje w niego, tylko w któregoś z policjantów.

Mężczyzna pracował przy mocno rozgrzanym piecu, uderzając młotem w stal. Minęła kolejna godzina, czas mocno się wszystkim dłużył.

- Jedzie! - wrzasnął nagle kowal, przerywając pracę.

Poznał odgłos samochodu z oddali, gdy ten był jeszcze na asfaltowej drodze. Biały van z dość charakterystycznym wydechem. Słysząc od razu, że przydałby mu się remont tłumików.

- Ci! - szepnął Milton.

Kowal zapomniał się na moment, gdyż nerwy zaczęły brać górę.

Światła samochodu zbliżyły się najpierw do domostwa, by następnie skierować się po ubitej ziemi w stronę stodoły. Nie prowadziła tu żadna inna droga. Van podjechał wolniutko i zatrzymał we wjeździe do stodoły. Silnik miał na chodzie. Oświetlił reflektorami wnętrze całego pomieszczenia, gdzie znajdowała się pracownia. Kowal machnął do niego ręką, dając znak, że na niego czekał. Podejrzany jeszcze chwilę zwlekał i nagle zgasł silnik auta. Drzwi vana uchyliły się i ktoś wolno, jakby obawiał się czegoś, wysiadł i stanął tuż obok pojazdu. Reflektory zgasły, lecz drzwi samochodu po stronie kierowcy wciąż były otwarte.

- Kowal, co tam trzymasz pod tą plandeką? Wcześniej tego nie było! - zapytał podejrzany.

- To nic takiego, kupiłem wraka, ale silnik za to ma dobry.

Całkiem niezłe tłumaczenie, na razie spisuje się na medal - pomyślał detektyw Cane.

- Jakie to auto kupiłeś? I po co ci na tym zadupiu drugi wóz?

- Mówiłem, potrzebowałem silnik do mojej starej furgonetki, bo ledwo już zaskakuje rano. Remont jest konieczny, ale wolę go wymienić. Będzie łatwiej i szybciej.

- Tak? Części do furgonetki? A co za motor tam jest? Trzeba było mi powiedzieć, mam znajomości tu i tam, to bym ci pomógł załatwić tanie części. Pewnie sporo zapłaciłeś? - powiedział mężczyzna, wciąż stojąc oparty ręką o drzwi swojego samochodu.

- Dobra, chodź. Zrobiłem, o co prosiłeś. Kasę masz?

- Mam! Czego się tak denerwujesz? - podejrzany zawahał się na chwilę, gdyż zaniepokoił go pewien szczegół.

- Nie denerwuję się, tylko już późno i muszę trochę odpocząć. Natłukłem się tego twojego żelastwa cały dzień, by zdążyć z robotą na czas, a w krzyżu mi już mocno łupie. - Kowal wskazał ręką na regał, gdzie leżały zrobione przedmioty.

- Tak? A gdzie Brutus? W domu go dziś trzymasz? Hałas tam robi, jakby ci ktoś te starą chałupę okradał. Lubię jak się do mnie łąsi, gdy przyjeżdżam. Ten twój groźny bydlak jest wtedy jak mały szczeniak, gdy się razem włóczymy po okolicy. Eh, no dobra, idę już do ciebie, tylko wezmę forszę! - odpowiedział podejrzany i wsiadł z powrotem do auta.

Niespodziewanie zapalił przednie reflektory. Kowal kątem oka widział, że mężczyzna sięgnął po coś do schowka. Milton z detektywem wciąż czekali, nie do końca zdając sobie sprawę z przebiegu sytuacji. Nie byli w stanie dostrzec nawet sylwetki mężczyzny. Chcieli, by choć na moment oddalił się od swojego samochodu. Kowal stał nadal, wpatrując się w stronę vana, podczas gdy jego klient dość długo nie wysiadał.

- Pospiesz się, bo mi kolacja wystygnie! - ponaglił kowal.

Głos mu mocno zadrżał.

- Już idę! - wrzasnął podejrzany.

Wysiadł z samochodu i stanął za jego drzwiami. Popatrzył na kowala przez uchyloną szybę.

- Zamówienie chcę zobaczyć. Ocenię, czy spisałeś się tak dobrze jak ostatnio! - dodał.

- Ja swój fach znam - odpowiedział kowal.

Jednak sparaliżowany strachem nawet nie drgnął z miejsca. Powinien teraz pójść do metalowego regału umiejscowionego po lewej stronie stodoły, gdzie na półce znajdowały się wykute gwoździe zapakowane w zwykłą, starą gazetę. Ten ruch miał ułatwić rozpoczęcie akcji detektywom.

- No pokaż je, skoro są gotowe. Co się ociągasz?! I zawołaj Brutusa! Po transakcji przejdę się z nim po lesie. Może ci kolację upoluje. Lubisz zające?

- A tak, już! - odpowiedział kowal, lecz nadal tkwił w tym samym miejscu.

Pot pojawiał się na każdym centymetrze jego ciała. Szara koszulka na ramiączka stawała się coraz bardziej mokra i tym razem nie od ciężkiej pracy przy gorącym piecu.

Podejrzany analizował intensywnie zachowanie kowala, spojrzał jeszcze raz w kierunku samochodu zakrytego plandeką, który wyglądał na osobowy. Niby jakim cudem jego silnik miał pasować do dużo większej furgonetki? Coś tu mu wyraźnie śmierdziało. I jeszcze zamknięty w domu pies. Nigdy tak nie było - pomyślał i zajrzał na moment do wnętrza auta. Tym razem nie wsiadł do niego. Sięgnął tylko ręką pod siedzenie kierowcy. Wyjął obrzyna i bez słowa wyszedł na wprost kowala. Wypalił mu prosto w brzuch z jednego naboju, powodując w nim dziurę wielkości piłki do futbolu. Kowal padł, odrzucony do tyłu. Detektyw błyskawicznie pojawił się i bez ostrzeżenia oddał strzał w kierunku podejrzanego.

Kula wystrzelona z jego berety tylko prześlizgnęła się po ubraniu na ramieniu mężczyzny, który momentalnie skrył się w aucie. Milton wyszedł w tym czasie ze swojego miejsca i zaszedł podejrzanego od tyłu. Oddał dwa niecelne strzały. Mężczyzna nawet nie myślał o poddaniu się i bez chwili wahania wypalił przez uchyloną szybę w drzwiach z drugiego naboju w stronę detektywa. Ten, draśnięty ołowiem w prawe udo, padł na ziemię, ledwo uchodząc z życiem. Silnik vana zaskoczył za pierwszym razem. Podejrzany wrzucił wsteczny bieg i pojazd ruszył gwałtownie do tyłu. Milton odskoczył w bok, by uniknąć zderzenia, po czym oddał kolejne strzały w kierunku samochodu. Przestrzelił szybę i przód vana w kilku miejscach. Z chłodnicy zaczęła wydobywać się para. Podejrzany zatrzymał auto i wysiadł z niego, po czym oddalił się w stronę pobliskiego lasu przez łąkę. Ciemność dawała mu doskonały kamuflaż.

- Cane, w porządku?

- Tak, dorwijmy go! To tylko powierzchowna rana.

Milton pomógł podnieść się detektywowi. Ten owinął sobie nogę paskiem od spodni powyżej trafienia. Obaj spojrzeli na ciało kowala. Nie żył, jego wnętrzności były dookoła niego. Ruszyli w pogoń za sprawcą. Teren nie należał do najłatwiejszych. Wokół znajdowały się same zarośla i mnóstwo drzew. Utykający detektyw przyświecał latarką, którą trzymał w dłoni.

- Milton, widziałeś jego twarz? Kurwa, w którym kierunku pobiegł?

- Wszedł w las; nie zdążyłem nic więcej zobaczyć.

- Wyczuł go, skurczybyk. Specjalnie zapalił ponownie światła w samochodzie. Domyślił się, że kowal kręci - skomentował detektyw.

- Tak, ale to i nasza wina. Dasz radę wchodzić dalej w te

zarośla?

Obaj byli już dobre kilkanaście metrów w głębi lasu.

- Jebany! Gdzieś zniknął! Widzisz coś? - zapytał detektyw, podążając dobre kilka kroków z tyłu za Miltonem.

Rana dość mocno zaczynała mu krwawić.

- Nie, nic, ale uważaj, on zna ten teren lepiej niż my.

- Tak, ale las jest ogromny. Chyba nie będzie szedł nim do drogi.

Wokół panowała cisza przerywana jedynie dźwiękami łamanych patyków dochodzącymi spod stóp. Obaj, pochłonięci żądzą zemsty i troski o Jona, coraz głębiej zapuszczali się między drzewa.

- Milton, stań na chwilę! - krzyknął detektyw i skierował światło latarki w jego stronę.

Wszystko kompletnie ucichło. Nawet jednej łamiącej się gałązki. To wcale ich nie ucieszyło, gdyż jeszcze kilka minut temu słyszeli biegnącego między drzewami przestępcę. Obaj zaczęli intensywnie rozglądać się dookoła siebie.

- Słyszysz? - zapytał detektyw.

- Co?

- No właśnie nic!

- Ja pierdołę, Cane! - zaklął Milton, gdy spojrzał w kierunku domostwa kowala.

Gęsto porośnięte drzewa utrudniały mu widok, jednak światło wiszące nad werandą dobrze oświetlało teren przed domem.

- Kurwa, Cane! On jest przy naszym samochodzie!

- Wezwij natychmiast wsparcie! - ponaglał detektyw.

Wiedział, że i tak było za późno na jakikolwiek pościg. Po chwili przestępca zrzucił plandekę i odpalił cadillaca. Ostro ruszając, odjechał prywatnym autem detektywa. Obaj wyszli

pośpiesznie z lasu i dotarli na podwórko. Starsza kobieta, żona kowala, została bezdusznie zaszlachtowana. Leżała z podciętym gardłem na werandzie, tuż przed wejściem do domu. Psa nigdzie nie było widać. Przesłupca wykazał się również ogromną bezczelnością, gdyż zabrał ze stodoły to, po co przyjechał. Zakrawało to na dużą odwagę z jego strony i na pewno chęć udowodnienia swojej wyższości.

Detektyw był tylko lekko ranny, dlatego mógł koordynować akcją. Rozkazał ustawić blokady na wszystkich możliwych drogach, którymi mógł uciekać morderca. Żywili nikłą nadzieję, że któryś z patroli zauważy cadillaca i dojdzie do jego zatrzymania. Obaj detektywi zorientowali się, że mężczyzna musiał również znać się na przestępczym fachu, gdyż szybko odpalił skradziony samochód. Tablice oraz auto przestępcy sprawdzono dość szybko i okazało się, że wcześniejsze przypuszczenia detektywa były trafne. Białego vana skradziono ponad miesiąc temu w małej miejscowości oddalonej prawie o sto mil od Manhattanu.

Milton dotarł do mieszkania Jessiki dopiero około drugiej nad ranem. Wszedł po cichutku, otwierając drzwi kluczami, które dostał dzień wcześniej od dziewczyny. Jessica już smacznie spała zwinięta w kłębek, zakryta po sam nos białą kołdrą.

Detektyw Cane udał się do departamentu. Nawyk? Nie tym razem. Raczej złość na samego siebie, dlatego wolał nie pokazywać się rodzinie w takim stanie. Postanowił, że zdrzemnie się na fotelu w biurze. Jednak, jak się okazało, nie zmrużył nawet przez moment oka. Myślał o motywie, który popychał przestępcę do działania, lecz jednoznacznie nie mógł wyjaśnić w logiczny sposób, jaki bodziec ukierunkował mordercę do tych czynów. Gdyby nie ta sama metoda zabójstw i ilość ofiar, to raczej wszystko, co miało miejsce do tej pory, wyglądałoby na robotę

sfrustrowanego oraz pozbawionego nadziei na lepsze życie człowieka.

ROZDZIAŁ XXI

Jon Belly podniósł się z łóżka i podszedł do okna w swoim pokoju. Przysunął nos do szyby i zerkał na zewnątrz, gdyż metalowa roleta po zewnętrznej stronie była lekko uchylona. Ta niewielka szpara wystarczyła, aby zorientował się, że na dworze panował mrok. Bandaż na ręce przesiąknął mu delikatnie krwią. Nikt do niego nie zaglądał od dłuższego czasu i chłopiec nie miał pojęcia, dlaczego tak było. Kręcił się w kółko po swoim kącie, rysował trochę po ścianie, gdyż dostał kredki i papier od mężczyzny. Wolał upiększać pomieszczenie, w którym wydawało mu się, że spędzi resztę swojego życia. Był zamknięty jak mały, nieszczęśliwy, chory psiak w budzie. Czuł się bardzo samotny i nie miał już siły. Ręka pulsowała mu niemiłosiernie, powodując ból w całym ciele.

Po jakiejś godzinie, może więcej, usłyszał trzask otwieranych zamków w drzwiach zewnętrznych. Panująca w mieszkaniu cisza została przerwana, ktoś wszedł do środka i zapalił światło w holu. Chłopiec widział to w szparze pod drzwiami.

- To ty? - krzyknął chłopiec.

Nikt się nie odezwał. Podszedł więc do drzwi i przystawił do nich ucho. Chwilę przysłuchiwał się odgłosom dochodzącym

z tamtego pomieszczenia.

- Odsuń się mały, bo w nos dostaniesz, jak będę otwierał!

Zamek w drzwiach wydał charakterystyczny odgłos i klamka drgnęła w dół.

- Jak tam? Widzę, że dobrze się trzymasz - powiedział mężczyzna, uchylając odrobinę drzwi.

Jon nie odezwał się, tylko podniósł dłoń z zakrwawionym bandażem. Stał dosłownie metr od porywacza.

- O cholera! Chodź tu ze mną! Coś z tym musimy zrobić.

Mężczyzna nie spodziewał się takiego obrotu sprawy. Wcześniej nie musiał się martwić o czystość ran po odciętych palcach. Chłopiec wyraźnie był rozpalony i ledwo snuł się na nogach. Mężczyzna zaprowadził go do łazienki i posadził na zamkniętym sedesie.

- Auu! - Jon stęknął kilka razy, gdy zdejmował mu opatrunek.

Obmył mu czymś dłoń i zabandażował rękę ponownie. Chłopiec zaciskał zęby z bólu, a łzy same cisnęły mu się do oczu.

- Nie bądź beksą! Przecież mówiłeś, że jesteś duży Jon. Do czegoś cię to zobowiązuje.

- Jestem! Ale boli mnie, a ty w ogóle o mnie zapomniałeś. Ty jesteś kłamcą, nie ja!

- Może i tak. Tyle, że to wina twojego kumpla i gliny z departamentu! Dwa cwaniaki, próbowali pokrzyżować mi plany. Ale nie martw się, ja zawsze jestem górą. A ty przez niego teraz cierpisz, bo zeszło mi dużo dłużej, niż sądziłem.

- Wujek Milton chciał cię złapać?

- Tak, on! Ten sam, przez którego zginął kochaś twojej puszczańskiej matki. Tyle że, koniec końców, może to i dobrze.

- Jeremy nie żyje? Zabiłeś go?

- Nie kręć się tak, bo ci źle zawinę! Widzę, że trochę się

paprze ta twoja ranka. Strzępki z niego zostały. Taki niby wielki glina.

- A wujek przyjdzie po mnie?

- Raczej nie zdąży. Nie jest taki bystry, za jakiego go wziąłem.

Chłopiec opuścił na chwilę wzrok, patrząc w podłogę. Informacja o śmierci ojczyrna nie należała do przyjemnych, ale to wiadomości o Miltonie były ważniejsze niż cokolwiek innego. Wyglądało, że jego nowy wujek dotrzymywał danego słowa, tak jak mu obiecał. Mówił przecież, że pomoże znaleźć jego mamę i nie da nikomu zrobić mu krzywdy.

Chłopiec z nowym opatrunkiem udał się do kuchni. Tam zjadł podany posiłek, po czym wrócił do swojego pokoju. Mężczyzna podał mu w jedzeniu, tak jak poprzednio, środki przeciwbólowe oraz nasenne. Jon momentalnie zasnął.

Minęły może dwie godziny. Mężczyzna zebrał wszystkie potrzebne rzeczy do swojej skórzanej torby i wyszedł z mieszkania. Stał na chodniku przed budynkiem, wpatrując się w widoczny z oddali Brooklyn Bridge, jeden z najstarszych mostów wiszących na świecie, łączący Brooklyn i Manhattan.

Była już późna noc. Na dworze panowała wręcz wymarzona pogoda. Było ciepło jak na tę porę roku. Szczególnie po ostatnich ulewach i chłodzie, teraz dawało się zauważyć różnicę.

Kilka przecznic dalej mężczyzna napotkał kolejny bar, jakich wiele w tym mieście. Wszedł do środka i zdjął kurtkę, którą położył tuż obok siebie na czerwonym, podwójnym siedzisku. Rozejrzał się uważnie po całym pomieszczeniu, przyglądając się chwilę gościom umilającym sobie czas w knajpie.

- Coś panu podać? - spytała kelnerka, podchodząc do niego.

- Ładna jesteś! - odpowiedział nie na temat długonogiej, szczupłej kobiecie.

- Dziękuję, ale poproszę o pana zamówienie.

Mężczyzna minutę, może trochę krócej milczał, przyglądając się młodziutkiej dziewczynie pracującej w lokalu na nocnej zmianie.

- Poproszę mocno krwisty stek, czarną kawę i dużo cukru, blond słodziaku.

- Coś jeszcze pan sobie życzy? - dziewczyna pytając, zapisała zamówienie.

Znowu zapanowała chwila ciszy, choć w pomieszczeniu było gwaro i trochę tłoczno.

- Tak, słodziaku, ale trochę później.

- W porządku, proszę pana, tylko dzisiaj wcześniej zamykamy. Wyjątkowo czynne jest tylko do piątej rano.

- Wystarczy mi tyle czasu.

Po kilku minutach kelnerka przyniosła zamówienie, postawiła na stoliku i chciała się oddalić do innych klientów.

- To jak mówiłaś? O której kończysz pracę?

- Bar zamykamy o piątej, proszę pana.

- A tak, pamiętam! Jakiż to dziś powód tak wczesnego zamknięcia, skoro bar jest podobno czynny dwadzieścia cztery godziny na dobę?

- Szef bierze ślub, a przyjęcie odbędzie się właśnie w tym lokalu, już za dwa dni.

- To pewnie jesteś zaproszona?

- Może i jestem.

- Masz chłopaka?

- Ej ty, nie zaczepiaj kelnerki! - wtrącił zza lady kucharz i zarazem właściciel baru.

Zauważył, że klient zrobił się natarczywy.

Mężczyzna spojrzał tylko na właściciela, podczas gdy on nadal

stał za ladą przy kasie i przyjmował akurat jakąś kolejną zapłatę. Miał oczywiście ochotę wstać i pokazać facetowi, co o nim myśli. Jednak nie dziś, ta noc i plan na nią był zupełnie inny. Kelnerka spieszyła się lekko na moment. Mimo to po chwili odpowiedziała.

- Nie, nie mam nikogo. Jestem wolna i tak mi na razie pasuje.

- Masz rację, trzeba poczekać, znaleźć odpowiedniego człowieka. A co do imprezy w tym miejscu, to skromniej się chyba nie da wyprawić przyjęcia weselnego - powiedział, przechodząc do dalszej rozmowy.

- Może i skromie, ale za to elegancko i tanio.

- O tanio, to na bank! Choć wiesz, gdybym to ja się żenił, to z pewnością wyprawiłbym nam wesele w piękniejszym miejscu i z mnóstwem gości.

Promienny uśmiech pojawił się na twarzy dziewczyny.

- Ale tak nie jest i nigdy nie będzie, za stary jesteś dla mnie - odpowiedziała kelnerka.

- No, spadaj, słodziaku, bo jeszcze cię opieprzy ten zarośnięty typ zza baru. Pewnie nie możecie rozmawiać z klientami.

- Tak, lepiej już wróć do obowiązków. Od kilku miesięcy mam tę robotę i nie chciałabym jej stracić - odpowiedziała kelnerka, po czym odwróciła się i zmierzała w kierunku innego stolika.

Spojrzała jednak przez ramię na mężczyznę, przyjmując kolejne zamówienie.

- Ale wiesz, pomyliłam się co do ciebie! - zawołała na głos do mężczyzny, kierując się w stronę lady.

- Tak? A w czym?

- Jednak nie należy ludzi oceniać na pierwszy rzut oka.

- Zabawna jesteś i taka młoda! Pracuj, zanim ten zarośnięty szef cię wyleje.

Dziewczyna wyraźnie dała się zbajerować na skromne

pochwały i ten osobliwy, wręcz bezczelny sposób bycia nieznanego.

Bar pustoszał z każdą upływającą minutą. Słońce miało niedługo wschodzić.

- Zamykamy! - krzyknął właściciel, spoglądając na siedzącego wciąż przy tym samym stoliku mężczyznę.

Z gości pozostał już tylko on. Reszta opuściła lokal dobre kilka minut temu.

- Hej, zamykamy! Skończyłeś? - powtórzył.

Mężczyzna nawet nie podniósł wzroku na właściciela. Notował coś w swoim notesie, który wyjął ze skórzanej, brązowej torby.

- Sara! Co z nim nie tak? - właściciel spytał kelnerkę.

- Nie wiem. Mnie wydawał się w porządku. Normalnie się zachowywał - odpowiedziała dziewczyna i poszła wycierać stół przy oknie.

Kelnerka podeszła po chwili do mężczyzny. Miała jakieś dwadzieścia lat, długie prawie do połowy pleców, jasne blond włosy. Była bardzo ładna i zgrabna. W fartuszkach w czerwony kratkę wyglądała jak ktoś pospolity, pracujący na co dzień w podobnych miejscach. Ten wizerunek od razu ją określał. Jednak nic bardziej mylnego w jej ocenie nie można było uczynić. Dziewczyna miała bardzo jasną karnację, pełne, mocno zarysowane czerwony szminką usta, a do tego piękne, szafirowe oczy patrzące spod gęstych, długich rzęs. Wyróżniłaby się na pewno z tłumu w każdym innym miejscu. Jako aktorka miałyby niezłe wzięcie. Idealnie wyglądałaby, jeśli dorzucić jej nieco więcej luzu i może odrobinę pewności siebie, której najwyraźniej jej brakowało. Wtedy kariera filmowa stałaby przed nią otworem.

- Skończyłeś? - zapytała z uśmiechem, podchodząc do stolika ostatniego klienta.

Nieznajomy podniósł się i wyprostował, zachowując w ten sam osobliwy sposób co wcześniej. Olbrzymia pewność siebie była z jego zachowania. Teraz Sara zobaczyła, jak wielkiej postury naprawdę był ten facet. O głowę wyższy od niej, mimo że sama nie należała do niskich osób.

- Hej, Saro, nie bajeruj go! A ty wychodź, już zamykamy! - krzyknął ponownie zza baru właściciel.

- Jeszcze nie skończyłem - dodał mężczyzna, wpatrując się prosto w oczy dziewczyny.

Zanim pojawił się w tym miejscu, w jego umyśle miotał się już pewien plan. Wydarzenia sprzed kilku godzin tylko nakreśliły go do działania. Za każdym razem powtarzał ten sam schemat i sposób. Wzbudzał nadzieję w kimś, kto jej wyraźnie potrzebował, emanując przy tym niewzburzoną pewnością siebie. Strzał tym razem miał być szybki i pewny, a ofiara wybrana doskonale. Nie było już czasu na kolejne włóczenie się po nocnych barach bądź innych miejscach i aranżowanie przypadkowego spotkania z kimś już wcześniej poznanym. Musiał kończyć to, co zaczął i pokazać światu swoje dzieło. To czyjaś chora, ludzka natura zmusiła go do tego, spowodowała to, kim się naprawdę stał i co robił.

Właściciel z Sarą nie zrozumieli, o co mogło chodzić mężczyźnie. Talerz pusty, kawa dopita, a rachunek uregulowany i bar zamknięty.

- Dobra, wynoś się albo wzywam gliny! - zakomunikował ostro właściciel.

- Spokojnie! Mam małą sprawę do tego słodziaka.

Dziewczynie znowu wrócił uśmiech. Dawno nikt tak jej nie komplementował, nie licząc oczywiście podpitych typków z lokalu.

- Jak masz na imię, słodka?

- Sara, nie umiesz czytać? - wskazała palcem na plakietkę.

- Ładnie!

- Dobra! Kurwa, dzwonię po gliny, a ty się od niego odsuń, Saro! - krzyknął wzburzony dziwnym zachowaniem właściciel.

- Jezu, daj spokój! - wrzasnęła dziewczyna, spoglądając na szefa.

- Tak? W takim razie macie pięć minut, ale wiedz, że to głupie, co wyprawiasz.

Dojrzały facet znał życie i wiedział, że taki typ włóczący się po nocnych knajpach niczego dobrego nie może zaoferować tak młodej, pięknej kobiecie. Ulotna chwila radości, a potem łyzy przez wiele tygodni bądź lat.

Właściciel zamknął lokal po niecałych pięciu minutach, gdy Sara wyszła w towarzystwie nieznajomego. Nic nie mógł zrobić, dziewczyna często tak robiła. Potem słuchał jej żali, składała kilka obietnic, że nigdy więcej takich znajomości... A teraz, jak widać, szykuje się powtórka z rozrywki. Z jakiegoś powodu nie umiała wyciągać odpowiednich wniosków.

ROZDZIAŁ XXII

Tego ranka słońce zaglądało przez okna w sypialni, a jego promienie odbijały się w lustrze na ścianie.

- Cześć, śpiochu, wstajesz? - spytała Jessica wtulona w ramiona partnera. Zauważyła, jak na moment uchylił powieki.

- Wolałbym nie.

- Ja też, mam ochotę dziś poleniuchować. Położyłam się wczoraj wcześniej, wolałam nie myśleć, co znowu się wydarzyło. Czemu tak późno wróciłeś?

Milton odwrócił się i podniósł się z łóżka bez słowa. Podszedł do okna.

- Ale pogoda - powiedział coś bez większego znaczenia, aby odwlec odpowiedź na zadane przez dziewczynę pytanie.

- Faktycznie, dzisiejszy dzień cudownie się zapowiada, ale widzę, że coś cię dręczy. Mów, bo będzie cię to gryzło przez cały dzień - rzekła Jessica, po czym podniosła się i podeszła do niego, obejmując od tyłu rękoma.

Znała Milтона doskonale. Przysunęła się mocniej do jego ciała. Milton odwrócił twarz w stronę dziewczyny.

- Jess, on tam był.

- Kto? I gdzie?

- No na farmie, u kowala. Ten zwyrodnialec, który porwał Jona.

- Jezu, jak do tego doszło? Skąd wiedzieliście, gdzie go szukać?

- Pomogła nam w tym analiza stali, przeczucie, a także odrobina szczęścia. Przejrzeliśmy w Internecie, kto wykonuje takie wyroby. Długo nie zajęło nam zlokalizowanie osób robiących w tym fachu. Pojechaliśmy w pierwsze, najbardziej prawdopodobne miejsce.

W kolejnych słowach Milton dokładnie opisał wydarzenia z minionej nocy. Jessica nie miała ochoty tego słuchać, ale ciekawość zwyciężyła. Po całej rozmowie zabrakło jej siły i wigoru, aby przyrządzać śniadanie w domu. Postanowili zjeść na mieście, więc udali się do pobliskiej restauracji. Zamówili tam po kawie i pączku, lecz rozmowa wyraźnie się im nie kleiła. Dręczyło ich dużo bolesnych wspomnień spowodowanych utratą własnego dziecka i ta noc, która mogła sprawić, że inny malec wróciłby do domu. Milton z detektywem dobrze wiedzieli, jaką mieli szansę. Okazało się, że obaj ją zmarnowali. Może przez własną głupotę, a może przez niedocenienie świetnego przeciwnika.

Nagle w kieszeni Milтона odezwała się komórka.

- To Cane, muszę jechać. - Milton podniósł się od razu od stolika.

- Już teraz?

- Muszę, Jess. Jest jeszcze szansa, że go odnajdziemy.

- Tak, ale posłuchaj. To, co wydarzyło się w nocy, to nie twoja wina. Mały gdzieś tam czeka, wierz mi. To bystry i odważny chłopiec. Dasz radę, znajdziesz go.

Jessica wstała i pocałowała Milтона w policzek. Zrobiła to odruchowo, tak jak dawniej, gdy byli razem.

- A ty co będziesz dziś robić? Jedziesz do pracy?

- Może, ale najpierw wpadnę do mamy. Powiem jej, że chcemy znowu spróbować. Koniec końców i tak musi to zaakceptować. Jestem zmęczona tymi jej gadkami i telefonami na okrągło.

- Chcesz tego?

- A jak myślisz, po co tu jestem z tobą? Tylko nie zostaw mnie znowu. Zrozum, drugi raz tego nie zniosę.

Milton przytulił ukochaną, pocałował i szepnął czule do ucha:

- Nigdy w życiu, teraz już zawsze będziemy razem. Kocham cię, Jessico Christensen i zamierzam dotrzymać złożonej wcześniej przysięgi - dodał, podnosząc rękę i pokazał jej wytatuowaną obrączkę.

Jessica patrzyła mu w oczy przepełniona nadzieją i wiarą, że każdy kolejny dzień będzie tylko lepszy. Ujęła jego dłoń w swoją i obie obrączki, wytatuowane na palcach z czarnymi i czerwonymi różami przeplatany ze sobą, połączyły się na znak jedności.

Wyszli na zewnątrz. Słońce znajdowało się już wyjątkowo wysoko na niebie. Było ciepło jak na jesienną porę i aż chciało się, choć na chwilę, zapomnieć o wszystkich problemach. Jednak te czaiły się w zakamarkach miasta, a raczej w duszy i umyśle jednego poszukiwanego człowieka. Milton zostawił Jessicę, a idąc główną ulicą w kierunku metra, obejrzał się jeszcze w jej stronę. Machnął do niej ręką, po czym zszedł schodami do podziemi. Zanim wsiadł do wagonu, wyjął komórkę i zadzwonił do detektywa. Ten podał mu adres i kilka danych, które udało im się ustalić.

Milton dotarł na miejsce po niecałej godzinie. Przed budynkiem stał już tłum gapiów i kręciło się sporo mundurowych, którzy próbowali zapanować nad ciekawskimi, aby nie zakłócili pracy ekipy. Właśnie tu znaleziono kolejną ofiarę. Ciało znajdowało się w mieszkaniu, które zostało wynajęte, tak jak poprzednie, na

fikcyjne nazwisko. Ustalono to po rozmowie z pracownikiem agencji nieruchomości i przejrzaniu papierów. Detektyw przekazał Miltonowi tę informację jeszcze przez telefon.

- Cześć! Co mamy? - spytał Milton policjanta, gdy dotarł po schodach na pierwsze piętro budynku.

- W salonie, agencie Miltonie! - Mundurowy wskazał kierunek.

Już w samym progu dostrzegli wyraźną różnicę w stosunku do innych miejsc, w których znajdowali zwłoki. Milton przejrzał do tej pory wszystkie akta z miejsc zbrodni. To mieszkanie wyglądało, jakby ktoś w nim przebywał i było kompletnie urządzone. Nic nie było zasłonięte, tym bardziej zabezpieczone.

Detektyw znajdował się w dużym pokoju. Stał i przyglądał się kolejnemu ciału kobiety.

- Ten sam sprawca! - powiedział, zauważając wchodzącego Milтона.

- Domyślam się. A co to takiego? - Milton wskazał ręką na ściany i meble, na których widniały wyraźne ślady krwi, z pewnością należące do denatki.

- Wynajął mieszkanie jak poprzednio, tyle że tym razem spieszył się i niczego w pomieszczeniu nie zabezpieczył. Zaprosił ją tu, a potem, wygląda na to, wziął się od razu do dzieła. To młoda dziewczyna i widać, że zmarła całkiem niedawno.

- Może coś znajdują; jego DNA, odciski, cokolwiek, pośpiech mógł go zgubić. Palec też jej odciął?

- Tak, odcięty. Zobaczymy, czy tym razem coś po sobie zostawił.

- Jak zmarła? Ustalono już? - zapytał Milton.

- Podobnie jak wcześniejsze. Torturował ją, a na koniec przeciął tętnicę szyjną. Potwierdzą to pewnie po sekcji. Jak widzisz, przybił ją do podłogi. Ofiara chyba od samego początku

była przytomna i broniła się. Trochę niepodobne do niego, zawsze starał się tak zachowywać, by nie zdradzić się z tym, co wyprawiał w mieszkaniach.

- Czyli co? Ust jej nie zakneblował?

- Nie. Krzyczała tak długo i głośno, że sąsiad z piętra wyżej zadzwonił na policję, ale dopiero po tym, jak wszystko ucichło. Teraz facet żałuje, że tak długo czekał.

- Znamy jej tożsamość jak pozostałych? - spytał Milton.

- Tak, podobnie jak poprzednio zostawił tu jej wszystkie rzeczy. - Detektyw wskazał ręką na krzesło. - Poza tym nieźle go w nocy wkurwiliśmy, ponieważ zgarnął dziewczynę prosto z pobliskiego baru, niedaleko tego mieszkania. Uciął sobie z nią pogawędkę na oczach właściciela oraz kilku innych osób, a następnie ją tu zwabił.

W tym momencie podszedł prokurator i stanął w wejściu do pokoju.

- Niewiele tu pasuje do pozostałych zamordowanych, oczywiście poza metodą - dodał prokurator, przysłuchując się rozmowie.

- Wszystko się zgadza, prokuratorze. Pewnie puściły mu nerwy po wczorajszym - skomentował Milton.

- To ładnie go zdenerwowaliście, że tak się wyżył.

Cane i Milton tylko po sobie spojrzeli. Czyżby to przez ich nocne działanie ta dziewczyna została zamordowana?

- Wygląda na to, panowie, że ciął ją, gdzie popadnie. Rany różnią się od poprzednich, są głębsze i zadawane bardziej chaotycznie - powiedział koroner, oglądający zwłoki.

- Ma jakieś tatuaże? - spytał Milton.

- Nie, żadnych! - odpowiedział koroner.

- Słuchaj! Jeden z naszych był już u niej w domu i rozmawiał

z rodzicami. Na sto procent dziewczyna nie robiła sobie tatuaży. Ponoć brzydziła się takich rzeczy – powiedział detektyw.

- Cane, to burzy nasze dotychczasowe podejrzenie. Pojedźmy sami na miejsce, gdzie pracowała. Może uda nam się coś więcej ustalić po rozmowie z właścicielem lub jej znajomymi. Ktoś jeszcze musiał go widzieć. Może są nagrania z restauracji bądź z ulicy?

- Zaczekaj! Mają przywieźć właściciela tego baru do departamentu. Tam z nim porozmawiamy. Szukają też innych klientów, którzy byli w barze tamtej nocy. Zabezpieczyliśmy nagrania z zewnątrz budynku. W lokalu też były kamery, tyle że nieczynne. Milton, zachowaj tylko spokój i wysłuchaj mnie do końca.

- Coś masz jeszcze?

- Tak, musisz sam to zobaczyć. Nie wyciągaj tylko żadnych pochopnych wniosków, jasne? – mówiąc to, detektyw wskazał ręką na jedyne zamknięte obecnie drzwi w tym mieszkaniu.

Zdawał sobie sprawę, że gdy jego partner ujrzy, co znajdowało się w środku, przestanie trzeźwo myśleć i skupi się tylko na tamtym znalezisku. Milton bez zastanowienia ruszył przez korytarz i otworzył szare, przeszklone od góry drzwi. W pomieszczeniu było dość ciemno, gdyż okna zasłonięte były czarną folią, a na podłodze leżało jedynie kilka rozłożonych reflektorów policyjnych. Oświetlały puste ściany pokoju pozbawionego jakichkolwiek mebli i przedmiotów. Milton wszedł i stanął pośrodku. Zaczął obracać się przeciwnie do ruchu wskazówek zegara. Detektyw podążył za nim i zatrzymał się w progu. Zasłonił tym samym światło wpadające z przedpokoju, gdzie było o wiele jaśniej. Milton schylił się i podniósł reflektor, po czym skierował jego strumień na napis widniejący na ścianie.

- Mówiłeś, że sądzisz, że zrobił to w pośpiechu?

- Tak, ale miałem na myśli znalezienie kolejnej ofiary. To mieszkanie wynajmował już na długo przed morderstwem. Chociaż zobacz, wygląda na to, że nie zdążył do końca całego przygotować. To na pewno nasza sprawka. Myślę, że zabił ją w tym dużym salonie głównie ze złości i frustracji w jaką wpadł po wizycie u kowala, gdzie o mało go nie dorwaliśmy.

- Nie jestem tego pewien, Cane. To wciąż może być jego chory plan. Nerwy? To jak wytłumaczysz jego powrót do stodoły po gwoździe? Każdy w jego sytuacji wiałby jak najszybciej. To facet opanowany do granic możliwości.

Na czterech ścianach widniały identyczne napisy; konkretny adres, data i pod spodem podpis: „Meksykanie, dupku”. Treść wyraźnie była skierowana bezpośrednio do Jona Milтона.

- Kurwa, Cane, co tu się dzieje? Co to ma znaczyć?

- Nie jestem pewien. Gdzie jest Jessica?

- Miała pojechać do matki.

- To dzwoń do niej natychmiast! Ma zostać u niej, aż po nią pojedziesz!

Milton, nie wychodząc z pokoju, wybrał numer do dziewczyny. Dał Jessice wyraźnie do zrozumienia, że do jego powrotu ma zostać z Rachel i nigdzie nie wychodzić. Szczegóły rozmowy pozostawił do czasu, gdy się zobaczą. Niestety, jego uparta partnerka nie zgodziła się na pozostanie na Brooklynie, gdzie mieszkała jej matka. Zakomunikowała krótko i stanowczo, że nie będzie narażać mamy bez potrzeby. Umówiła się za to, że po powrocie zadzwoni i poczeka na Milтона w mieszkaniu i nikogo nie będzie wpuszczając.

Detektyw przyglądał się podanemu na ścianie adresowi. Potrafił wizualizować sobie miejsca, w których kiedyś bywał. Po chwili skojarzył tę lokalizację. Był to kolejny motel o dość wątej

opinii, okolice społecznego półświatka.

- Łapiesz coś z tego, Milton? Znasz może ten adres? - zwrócił się do niego detektyw.

- Nie. Nic mi to nie mówi. Jednak wydaje mi się, że ten skurczybyk zostawił nam jakąś konkretną wskazówkę. Meksyk i kartel Manuela to było moje jedyne zlecenie w Ameryce Południowej.

- Wiem, czytałem twoje akta, inaczej bym z tobą nie pracował.

- Zobacz, on napisał ten adres i połączył go z datą wybuchu w motelu, w którym ostatnio wynajmowałem pokój.

- Faktycznie, namazał nawet dokładną godzinę, o której to się stało.

- Cane, on mógł tam wtedy być. Może to jednak jego sprawka, ten gaz?

- Nie, to nie on. Chłopaki wcześniej rozmawiali z właścicielką, ludzie meksykańskiego pochodzenia wypytywali ją o ciebie na kilka dni przed eksplozją.

- Też słyszałem tę informację od Emilii. Powiedziała mi to w dniu, kiedy Jon był ze mną. Dlatego po tym, jak zwyrodnialec zabrał malca, udałem się do Jessiki; tam i tak nie miałem po co wracać.

- Milton, to nie był gaz. Ktoś musiał się znać dobrze na robocie. Wybuch nastąpił zaraz po otwarciu drzwi. Mam również informację z twojego wydziału, że Manuel prawdopodobnie przebywa w Stanach. Wygląda na to, że przekroczył granice jakieś pół roku temu. Sprawdzają gdzie i kto może mu pomagać.

Milton właśnie uświadomił sobie, że wracając do byłej narzeczonej, ściągnął na nią i jej rodzinę największe niebezpieczeństwo, jakiego unikał.

- Tylko skąd ten typ o tym wiedział i po co nam to zostawił?

Myszę, że musiał mnie śledzić od momentu, gdy zabrałem Jona tamtej nocy spod domu detektywa Robertsona.

- Nie żartuj! W momencie, gdy porwał chłopca, zapewne poznał także twoje imię i nazwisko. Wybuch w motelu podpowiedział mu, że masz kłopoty. Od razu wiedział, gdzie powinien iść i co zrobić, by potwierdzić swoje przypuszczenia. Zobacz, jak łatwo odpalił samochód. Ten gość zna przestępczy świat jak własną kieszeń, jestem tego pewien. Za odpowiednią kasę kupił o tobie każdą informację, której potrzebował.

- Kurwa! Myślisz, że on kontaktował się z Meksykanami? Czy tylko nam ich wystawił?

- Nie wiem! Może tylko dowiedział się, gdzie ukryli tyłki i nam to podrzucił na deser.

- Cane, chuj z tym! Działajmy, szkoda marnować czasu! Jak ich dorwiemy, to sprawa z Manuelem załatwiona! Potem zmusimy ich do gadania, może pomoże nam to odnaleźć Jona. Zakładam z góry, że seryjny z nimi musiał rozmawiać.

- Faktycznie, istnieje taka możliwość. Sprawdzimy to miejsce.
- Detektyw spojrzał na napis widniejący na ścianie. - Znam odpowiedniego człowieka. Ale, Milton, uwierz mi, oni nigdy nie odpuszczą. To kartel, jak raz zadrzesz, to do końca życia musisz się przed nimi chować. Powinieneś to wiedzieć, wstępując do DEA.

Minęły dwie godziny. Obaj panowie opuścili miejsce zbrodni. Detektyw usiadł za kierownicą czarnego chevroleta, a Milton z boku w roli pasażera. Zmierzali teraz w kierunku departamentu policji. Samochód zatrzymał się na czerwonym świetle.

- Cane, słuchaj, nie wiem tylko, dlaczego on się za nich wziął. To naprawdę groźne typy i mogą mu pokrzyżować jego plany.

- Pomyśl. Po co napisał nam ten adres? Ja już się zorientowałem. Domyślił się, skurczybyk, że jesteś dla nich

bezcenny. To w czymś ma mu pomóc, a my koniecznie musimy porozmawiać o tym, co zaszło w Meksyku i to szczerze, kolego.

Ktoś zatrąbił z tyłu. Światło na skrzyżowaniu zmieniło się na zielone. Detektyw ruszył.

- Miałem wcześniej nadzieję, że to on wysadził mi pokój w motelu za Jona, za to, że pokrzyżowałem mu jego zamiary.

- To nie on. Kartel musiał cię obserwować już od dłuższego czasu. Tak jak już mówiłem, to nie przypadek, że ich nam wystawił. Zobaczymy, co z tego wszystkiego wyjdzie.

- Kurwa, w co on pogrywa? Po co nam pomaga?!

- Jeśli informacje z tymi z Meksyku się potwierdzą, to może znaczyć, że knuje coś grubszego i potrzebuje na to więcej czasu. Chce odwrócić tym naszą uwagę. Nie mam co do tego wątpliwości - dodał detektyw.

- Cane, nieważne! I tak musimy ich znaleźć pierwsi, zanim zrobią coś Jessice.

- Tak, nie będziemy czekać. Jeśli znaleźli ciebie, a ty do niej wróciłeś, to na pewno wykorzystają każdą możliwość, by cię dorwać.

Kolejny wiadukt Manhattanu panowie przejechali, siedząc w milczeniu. Obaj weszli w skupieniu do gmachu departamentu. Minęli wielką, obłożoną marmurem kolumnę, stojącą pośrodku dużego holu. Spotkali paru kolegów i samego komisarza. Milton zatrzymał się i przywitał. Zamienił słowo ze swoim zwierzchnikiem. Detektyw poszedł dalej i zmierzał w kierunku schodów. Wszedł na pierwsze piętro i udał się do swojego biura. Tu czekał chwilę, aż Milton do niego dołączy.

- Siadaj i zamknij za sobą drzwi! - Detektyw wskazał Miltonowi fotel naprzeciwko, gdy tylko pojawił się w pomieszczeniu.

- Wal konkrety o tej operacji „Albatros”. Żadnych tajemnic, jeśli chcesz ujść z życiem razem z Jessicą.

- Już ci mówiłem, ktoś zdradził, innego wyjścia nie było. Teraz to wiem na pewno po rozmowie z Janningsem. To wszystko było do dupy. Od pewnego momentu szło nie tak.

- Kto był głównym dowodzącym całą operacją?

- Dave Coleman, najstarszy z nas.

Milton ucichł na chwilę po tych słowach. Nie tylko dlatego, że ujawnił tajne dane. Próbował wrócić wspomnieniami, krok po kroku, do tamtego zdarzenia. Detektyw obserwował go i wyczuł, że miał coś na sumieniu.

- Cane, to ja strzeliłem wtedy w Meksyku. - Milton wyrzucił z siebie skrywany ciężar.

- Do kogo?

- Zastrzeliłem mu żonę i to na oczach jego dziesięcioletniego syna. Ten skurczybyk przyglądał się temu.

Milton zauważył zaskoczenie na twarzy detektywa. Wtajemniczył partnera w operację „Albatros”. Wyjaśnił, że w pewnym momencie, gdy zorientowali się, że coś śmierdzi, a operacja to zasadzka, chłopaki natychmiast się wycofały. On chwilę został w samochodzie terenowym przy bramie. Razem z trzema kumplami ubezpieczali pozostałych na wypadek odcięcia drogi ucieczki. Wcześniej mieli uderzyć z zaskoczenia, zaczynając atak od frontu. Policja Meksyku jedynie miała osłaniać ich odwrót. Jednak, gdy byli już przed wjazdem do nowej, jeszcze nieskończonej posiadłości, skorumpowane patałachy, jak Milton nazwał policjantów z Meksyku, dołączyły do kartelu. Zaroiło się od uzbrojonych ludzi. Nagle z drugiej strony nadjechał osobowy samochód. Poznali go od razu. Z przodu siedział kierowca, zaś z tyłu kobieta oraz dziesięcioletni chłopiec. Wskoczyli więc

z samochodu i zatrzymali go tuż przed bramą. Kazali opuścić im auto. Manuel patrzył na wszystko ze swojej nowej willi, z drugiego piętra, jakieś dobre sto metrów od nich. Ludzie chroniący meksykańskiego bossa przyglądali się tylko. Kobieta wysiadła i zaczęła coś krzyczeć po swojemu; kierowca ani drgnął z miejsca. Jeden z agentów DEA kazał położyć się jej na ziemi. Był to agent Brett, który ruszył w jej kierunku, by ją skuć. W tym momencie kobieta wyjęła z torebki pistolet i wymierzyła w niego. Milton nawet się nie zawahał i strzelił pierwszy. Potem zrobiło się tak gorąco, że ledwo wszyscy uszli z życiem. Stało się jasne, że Milton zastrzelił żonę bossa kartelu i to na jego oczach. Widział to także jego syn. Tacy ludzie nie darują mu tego, zdawał sobie z tego sprawę. Dlatego po powrocie odszedł ze służby i zniknął. Mógł tego nie robić, miał przecież wsparcie ze strony agencji. Wybrał jednak inaczej i jak widać ten wybór nie był trafny.

- No to ładnie - podsumował detektyw.

- Cane, jak chcesz to rozegrać?

- Wygląda, że mamy tu prawdziwy motyw wybuchu. Zwijamy ich jak najszybciej, jeśli tam są, i przesłuchujemy. Do handlu koką dojdzie im jeszcze zabójstwo policjanta Robertsona. Tylko musimy potwierdzić to miejsce, zanim uderzymy. Chłopaki z wydziału już działają, a nie chcę przypadkowych ofiar w moim mieście.

Milton zrozumiał tę małą aluzję do wydarzeń z Meksyku. Jednak w tamtym momencie zadziałał instynkt i wydawało się, że każdy postąpiłby tak samo jak on, aby ratować życie agenta, a zarazem kolegi z zespołu. Po skończonej rozmowie detektyw powiadomił jednostkę specjalną. Oddział miał czekać w pogotowiu na jego znak, uderzą jako pierwsi. Są do takich akcji doskonale przygotowani i wyszkoleni.

- Zbieramy się! Pojedziemy coś przekąsić.

- Już idę, ale coś mnie jeszcze niepokoi w zachowaniu podejrzanego - dodał Milton, po czym wstał z fotela i podszedł do okna.

Pogoda na zewnątrz ponownie nie rozpieszczała.

- Chodź, coś zjesz! Niepotrzebna gadka tylko rozprasza i spowoduje pogorszenie oceny sytuacji.

- Cane, on rozmawiał z nimi. Domyślił się, że nas to zainteresuje. W innym wypadku nie napisałyby tego na ścianie. Miał pewność, że pójdziemy za tym tropem - powiedział Milton, wpatrując się przez okno w ludzi, którzy podążali z rozłożonymi parasolami w różnych kierunkach.

- Faktycznie. Wygląda, że skurwysyn miał stuprocentową informację o tym, że cię szukają. Wystawił ich nam z premedytacją. Inaczej nie zagwarantowałyby sobie dodatkowego czasu, który jest mu do czegoś potrzebny. To znaczyłoby też, że jeśli Meksykanie tam będą, to ich także oszukał. Dobra, Milton, dajmy spokój domysłom. To teraz mało ważne, ponieważ i tak nie możemy odpuścić tej sprawy. W przeciwnym razie oni wrócą w najmniej spodziewanym momencie. Znajdą cię znowu i załatwią was oboje, nie ochronisz jej sam. Zbieraj dupsko i wychodzimy.

Milton popatrzył jeszcze chwilę przez szybę, po czym ruszył za detektywem. Zorientował się w samochodzie, że detektyw zmierzał do jakiegoś miejsca znanego tylko jemu. Równie dobrze mógł wejść do najbliższej restauracji, skoro miał ochotę na posiłek. Zrobił jednak inaczej i dla Milтона było to mało racjonalnie zachowanie.

Detektyw, prowadząc auto, wyjął w międzyczasie komórkę i wybrał jakiś numer. Po dwóch sygnałach rozłączył się, a po chwili wybrał go ponownie. Mężczyzna odebrał po siódmym sygnale. Wyglądało, że był to ich znak rozpoznawczy.

- Cześć! Masz kogoś w południowej części miasta? - spytał detektyw, prowadząc pojazd jedną ręką.

- Tak, mam odpowiedniego człowieka. - Milton usłyszał męski głos rozmówcy, dochodzący z urządzenia partnera.

- Słuchaj, potrzebuję weryfikacji jednego adresu i osób, które obecnie tam przebywają. Standard w naszej współpracy.

- Tylko tyle? Mam się nie mieszać, rozumiem?

- Tak, chodzi mi o to, aby upewnić się na sto procent co do tej nory i do podejrzanych, których poszukuję. Słuchaj, sprawdź mi nijakiego Manuela Markiza Diego Gonzaleza, bossa meksykańskiego kartelu, reszta to raczej zwykłe bandziory. Zrób to tak, bym nie wszedł w jakąś podpuchę.

- Dobra, już uruchamiam odpowiednich ludzi. Daj mi na to kilka godzin.

- Masz góra dwie.

- Jak zawsze z tobą, Cane. Odezwę się do ciebie, jak coś ustalę - powiedział nieznajomy i się rozłączył.

- Z kim rozmawiałeś?

- Spokojnie Milton, mam swoich ludzi na mieście.

- To przestępcy?

- Jak ich zwał, tak zwał. Oni pomagają mi, ja im i jest to dobry układ. Zgarnę ich, to pojawią się następni i nie wiadomo, czy będą tak skorzy do współpracy. Sam wiesz, jak to wygląda.

- Jasne, tylko za jaką cenę?

- Milton, nie liczy się cena, ważny jest efekt. Dzwonię do ludzi z jednostki specjalnej, niech się szykują. Tak czy inaczej musimy działać - dodał detektyw.

- W porządku, Cane, działamy, ale jeśli Manuela tam nie ma, to niewiele mi to pomoże.

- Zyskasz trochę czasu, kolejnych zbirów nie wyśle tak szybko.

Tego, że ktoś tam jest, jestem pewien.

Obaj krążyli autem ponad dwie godziny po obrzeżach miasta, nie uzyskując żadnych danych od informatora. Telefon człowieka, do którego detektyw wcześniej dzwonił, milczał. Już nawet nie odbierał po ponownych próbach skontaktowania się. Jednak właśnie to potwierdzało im, że słusznie podejrzewali zemstę kartelu, a co za tym idzie, miejsce pobytu tych ludzi.

Detektyw podjechał ponownie pod departament. Nawet na chwilę nie zatrzymał się na wspomniany wcześniej posiłek. Weszli obaj do gmachu, gdzie po drodze detektyw zaczepił młodszego kolegę, prosząc, aby zamówił im chińszczyznę z pobliskiej knajpy. Milton nie skomentował tego dziwnego zachowania partnera. Zjedli wspólnie w biurze detektywa. Zrobili to w wyjątkowym skupieniu i prawie całkowitej ciszy, przerywanej jedynie krótką wizytą i informacją od detektywa Daga, którego ludzie potwierdzili obecność jakichś osobników pochodzenia meksykańskiego pod wskazanym adresem. Po kolejnych dwudziestu minutach zajrzał do nich sierżant.

- Detektywie, jednostka specjalna gotowa! Czekają na znak od ciebie - poinformował.

- Dobra, zaraz się zbieramy. Powinniśmy być na miejscu jeszcze przed północą. Idziesz?

- Daj mi chwilę! Tylko zadzwonię jeszcze do Jessiki.

- To dzwoń! Widzimy się na dole.

Detektyw wyszedł zrobić odprawę policjantom biorącym udział w akcji.

- Cześć Jess. Wróciłaś? Jesteś już do domu?

- Właśnie dojeżdżam, będę dosłownie za pięć minut. Myślałam, że ty za to jesteś już w mieszkaniu.

- Nie, jeszcze jestem w departamencie. Pewnie wrócę rano,

choć sam nie wiem, ile mi się zejdzie.

- Znaleźliście go?

- Nie, ale mamy kolejną ofiarę. Do tego przeprowadzamy w nocy akcję, która może pomóc w sprawie. Pamiętasz, Jessico, co mi obiecałaś?

- Pamiętam, a ty pamiętasz? Nie zgiń mi tam, dobrze? O mnie się nie martw, jestem z mamą. Zostanie u mnie na trochę. Po tym, co jej powiedziałam, nie chciała, abym siedziała sama, dlatego tak późno wracam.

Milton na chwilę zaniemówił. Znał Rachel i wiedział, że tego, co zrobił jej córce i nienarodzonemu wnukowi na pewno mu nie wybaczy. Nawet jeśli zaakceptuje jego powrót, to nigdy nie zapomni. Mimo to cieszył się, że tym razem jest z Jessicą.

- W takim razie pozdrów ją ode mnie - dodał.

- Tak, przekażę mamie. Powiedz, kiedy to wszystko się skończy? Ja się już po prostu boję.

- Jess, skarbie, kocham cię. Wierzę, że już niedługo to minie i nam się ułoży.

- Tylko ostrożne, proszę. Nie zostaw mnie tym razem, jak poprzednio.

Obawy partnerki wciąż kłębiły się w jej sercu.

- Nigdy więcej. Wrócę szybko, a wy z mamą czekajcie na mnie.

- Mamo, daj spokój! - krzyknęła Jessica i trąciła matkę łokciem, by przestała wtrącać swoje mądrości.

Jednak Rachel, jak to matka, kochała córkę nad własne życie. Obawiała się ponownego skrzywdzenia córki, kolejnej walki o zdrowie i stabilność swojego jedyne dziecko. Jessica rozłączyła się, nie ciągnąc niepotrzebnie zbędnych tematów. Obie panie dotarły na miejsce, a schody pokonały w całkowitej ciszy. Z każdą kolejną minutą dało się wyczuć narastające napięcie. Rozpakowały

torby z zakupami w kuchni i Jessica zabrała się do zaparzania kawy.

- Jessico, wiesz, że to głupota? - Matka nie dawała za wygraną.

Ta tylko spojrzała na nią jakby z wyrzutem. Nie rozumiała, dlaczego była taka uparta i nie chciała dać Miltonowi drugiej szansy.

- Może, mamó - odpowiedziała jednak po chwili.

- Kochanie, ponownie wchodzisz do tej samej, brudnej wody. Zastanów się dwa razy, zanim zrobisz ten krok.

Jessica zignorowała podjęty przez matkę temat.

- Posłuchaj! - krzyknęła ostrzej Rachel, tak by córka choć na moment oprzytomniała.

- Mamó! - również krzykiem odpowiedziała Jessica.

- Żadne mamó! Znowu zaczynasz życie z tym, który cię tak skrzywdził?! Nie zapominaj o dziecku!

Jessica stała odwrócona, tuż przy blacie kuchennym. Kipiała ze złości. Nalała sobie duży kubek kawy, nie pytając nawet matki, czy też chce się napić. Upiła odrobinę i odwróciła się ponownie w jej stronę. Rachel siedziała na drewnianym stołku przy oknie.

- Ja go kocham!

- A tam kochasz! Wtedy też tak mówiłaś i co ci zrobił? Zapewniał, przysięgał i co na koniec? Spaprał wszystko! To nie jest odpowiedni człowiek dla ciebie, uwierz mi, moja droga!

Jessica wyszła z pomieszczenia i udała się do łazienki, nie chciała więcej słuchać wywodów swojej matki, która teraz została w kuchni i parzyła sobie herbatę. Rachel domyśliła się, że córka w ten sposób próbowała jej manifestować, żeby osiągnąć swój cel.

Zapanowała cisza w mieszkaniu. Jedynie z łazienki słychać było płacz i szlochanie Jessiki. Rozumiała punkt widzenia matki i pamiętała, jak jej pomogła, gdy była w depresji po odejściu

Miliona i utracie dziecka. Rachel natomiast znała doskonale swoją córkę i wiedziała, że była rozsądną dziewczyną, ale znała także życie i targające nim uczucia. Domyślała się, że miłość między tym dwojgiem nie zgasła.

Minęły kolejne długie minuty. Jessica nadal siedziała na podłodze w łazience.

- Jessico, domofon! - krzyknęła matka.

Dziewczyna podniosła się z podłogi. Spodnie miała lekko wilgotne na pupie. Widocznie w łazience terakota nie była sucha. Tego dnia od rana spieszyła się mocno. Nic jednak teraz jej to nie obchodziło. Obtarła łzy z policzków i wyszła.

- Płakałaś?

- Nie! - zaprzeczyła dziewczyna i wcisnęła guzik domofonu bez zastanowienia.

- Późno już, co ty robisz? Trzeba było zapytać, kto to!

- Nieważne! Pewnie pomyłka - powiedziała roztrzęsiona Jessica.

Dzwonek do drzwi wejściowych odezwał się dosłownie po minucie. Jessica ruszyła w tamtym kierunku.

- Mamo, to policjant! - oznajmiła, wyglądając przez wizjer.

Rachel podeszła do niej i sama spojrzała, aby upewnić się, kto stał po drugiej stronie.

- Odsuń się mamo, otwieram!

- Zaczekaj! Dziewczyno, co ty znowu wyprawiasz? Która to już godzina?

- Mamo! - wrzasnęła Jessica.

Rachel zrobiła krok do tyłu. Jessica przesunęła blokadę zamka i uchyliła ostrożnie drzwi. Policjant departamentu Nowego Jorku stał przed nią w czapce i pełnym umundurowaniu. Deszcz padał już od co najmniej godziny, więc krople skapywały mu z ubrania,

jedna po drugiej. Jessica opuściła odrobinę niżej wzrok i łzy ponownie pojawiły się jej w kącikach oczu. Klęknięta w progu wejścia do mieszkania, opadając całkowicie z siły. Przejęcie odebrało jej na moment mowę. Rachel podeszła i otworzyła drzwi szerzej. Popatrzyła na mężczyznę w mundurze znanego jej departamentu 67 i zaniemówiła.

ROZDZIAŁ XXIII

Na dworze zrobiło się bardzo nieprzyjemnie. Padał deszcz, dochodziła dwunasta w nocy. Po telefonie do Jessiki, Milton udał się w kierunku pokoju odpraw.

- Już po rozmowie? - zapytał go detektyw.

- Tak, skończyłem. Jessice nie jest łatwo teraz z matką. Rachel nie jest w stanie mi wybaczyć tego, jak postąpiłem wtedy z jej córką.

- Minie jej z czasem. Zobaczysz, że ułoży się wam, gwarantuję.

- Musi... Kocham Jess i wiem, że spaprałem sprawę; powinienem był postąpić inaczej.

- Dobra, skupmy się na zadaniu, to prędzej do niej wrócisz i wszystko będzie po staremu.

- Nie, Cane. To, co oboje straciliśmy, tego nigdy już nie odzyskamy.

Milton wrócił myślami do czasu, kiedy Jessica poroniła dziecko, a jego przy niej nie było. Winę za to zdarzenie wziął już dawno na siebie. Rachel pomogła mu w tym kilka miesięcy temu, gdy natknął się na nią wieczorem w metrze.

- Dobra, twardzielu, wracaj z zaświatów i do roboty!

W tym momencie kolega z wydziału Cane'a wszedł do pokoju.

- Mamy prawie dwunastą. Jest już naprawdę późno, jednostka specjalna czeka w pogotowiu. O której chcesz być na miejscu?

- Dobra, Dag, wkładamy kamizelki, bierzemy sprzęt i wychodzimy. Rozmawiałem już z dowódcą ESU. Dołączymy do nich, gdy dotrzemy w umówione miejsce.

Dag był detektywem kierującym całą akcją od strony policji. Od samego początku prowadził śledztwo dotyczące wybuchu w motelu i śmierci Robertsona.

Po piętnastu minutach z podziemi departamentu 67 wyjechały cztery policyjne radiowozy oraz wypożyczony chevrolet detektywa. Opancerzone samochody jednostki ESU również wyruszyły ulicami Manhattanu. W krótkim czasie oddziały dotarły pod wskazany adres.

Jednostka specjalna zatrzymała się najbliżej zweryfikowanego miejsca. Komandosi momentalnie przemierzili teren dzielący ich od pomieszczenia, w którym mieli przebywać podejrzani. Drzwi wejściowe wyleciały z hukiem, a szyby posypały się w oknach. Ogłuszający wybuch granatów zdezorientował na ułamek przeciwnika. Wokół zaroilo się od gęstego dymu.

- Gleba! Gleba! Kurwa, leżeć! - słycać było krzyki komandosów przeplatane wystrzałami z broni maszynowej.

Podrzędny motel stał się teraz polem walki. Wymiana ognia odbywała się z każdej ze stron. Błyskawicznie trzech ludzi z ESU przeszło z tyłu budynku. Tam było słycać pojedyncze strzały. Dwóch osiłeków z kartelu wyskoczyło przez okno prosto na parking przed motelem. Próbowali za wszelką cenę przebić się przez policyjny kordon. Strzelali, trafiając jednego z funkcjonariuszy, który raniony padł koło swojego radiowozu.

Nagle przez chwilę zapanowała kompletna cisza. Przestępcy, którzy wydostali się na zewnątrz budynku, zostali zabici. Kolejnych trzech, znajdujących się w pokoju, było rannych.

Detektyw wszedł do pomieszczenia. Wszystko było doszczętnie zniszczone. Ściany i meble wyglądały teraz jak sito z okrągłymi dziurami wydrążonymi na wylot przez wystrzelone kule.

- Tak to się robi, detektywie Cane! - powiedział dumnie dowódca ESU.

Wiedział o sprawie, która miała miejsce niedawno, gdy to obaj z Miltonem wypuścili mordercę, a zarazem porywacza dziecka. Według niego był to niewybaczalny błąd.

- Dobra, przejmuję tych gości. Teraz są nasi. Musimy jak najszybciej ich przesłuchać! - powiedział krótko detektyw.

Nie chciał wdawać się z nim w zbędną dyskusję i tłumaczyć z nieudanej akcji u kowala.

- W porządku, zabieraj ich i miłej zabawy kolego. Damy wam eskortę do departamentu.

W tym momencie w pomieszczeniu pojawił się także Milton. Ujrzał trzech mężczyzn leżących twarzami do podłogi, ubranych w same slipki i koszulki na ramiączkach. Z tyłu zakuto im ręce. Milton czubkiem buta dotknął ramienia jednego z zatrzymanych, aby ten spojrzał jego stronę.

- To on. Boss największej zbrodniczej maszyny w Meksyku. Manuel Markiz Diego Gonzalez.

Detektyw pochwycił ręką za przedramię leżącego mężczyzny i pomógł mu usiąść na łóżku. Boss kartelu z podniesioną głową wpatrywał się w agenta Milтона. Miał w oczach identyczne nienawistne spojrzenie co wtedy w Meksyku. Ten sam wyraz twarzy co ponad rok temu, gdy Milton zastrzelił jego żonę.

- Zabrać go i te dwa dupki do radiowozu! - powiedział

detektyw do funkcjonariuszy, wskazując na nich ręką.

Spostrzegł, jak Milton reagował na widok człowieka, który na pewno chciał go zabić i skrzywdzić jego ukochaną.

- Dobra, Dag, my się zbieramy! Daj znać, jak skończycie. Masz towarzystwo z FBI - zwrócił się detektyw do kolegi z departamentu.

Sam oficjalnie nie mógł mieszać się do tej sprawy. Robertson był jego partnerem. Detektyw wiedział, że za zabójstwo policjanta w stanie Nowy Jork przestępcy dostaną najwyższy wymiar kary. Trzeba im było tylko to udowodnić. Choć z tego, co dostrzegł, nie będzie z tym najmniejszego problemu. Materiały wybuchowe i okazały arsenał broni leżały w każdym możliwym kącie. Musieli czuć się tu pewnie, skoro trzymali wszystko na wierzchu.

- Spadajcie, poradzę sobie! - odpowiedział Dag.

- No i jak się teraz czujesz, Milton? - zapytał detektyw, gdy wychodzili razem na parking przed motel.

- Dobra robota, Cane! Mieliśmy dziś cholerny fart.

- Masz rację, partnerze. Najistotniejsze jest dla nas to, że tu byli. Zbieramy się stąd, jedziemy przycisnąć Manuela i jego ludzi. Zaraz nastanie świt. Jedziesz ze mną czy wracasz do siebie? Bo możesz odpocząć z godzinę albo dwie w domu.

- Nie, kończmy to! Musimy z nimi pogadać i to jak najprędzej!

Obaj panowie doszli do samochodu. Detektyw otworzył drzwi auta i rozejrzał się jeszcze po okolicy. Po chwili wsiadł do środka i ruszył do gmachu departamentu policji.

*

Dochodziła ósma trzydzieści rano, gdy czarny chevrolet podjechał pod departament 67. Detektyw zaparkował na ulicy, tuż przy chodniku. Ulewa nasilała się z każdą minutą. Wysokie

wieżowce Nowego Jorku doskonale wpisywały się w ponury krajobraz panujący na zewnątrz. Obaj panowie wysiedli z auta i szybkimi krokami zmierzali w stronę głównego wejścia. Już wewnątrz Milton zdjął przemoczony, brudny po nocnej akcji płaszcz i zarzucił sobie na przedramię. Ubrany był w czarne dżinsowe spodnie, białą koszulę i miał na sobie kamizelkę kuloodporną. Za to detektyw nawet nie zwracał uwagi na krople deszczu pozostawione na jego skórzanej kurtce, gdyż były nieistotnym problemem.

- Detektywie Cane! - zawołał do niego jeden z mundurowych, gdy szedł przez środek holu budynku policji.

- Co tam? - odpowiedział, zatrzymując się tuż przy marmurowej kolumnie.

- Kurier dostarczył dla pana paczkę przed piątą rano - odpowiedział sierżant i położył ją na blacie przed sobą.

- Poczekaj, Milton! - Detektyw powiedział do kolegi, po czym skierował się do funkcjonariusza stojącego za długim prawie na trzy metry kontuarem i po chwili wziął do ręki szarą kopertę.

Obejrzał przesyłkę z każdej strony. W tym samym momencie Milton wyjął z kieszeni spodni komórkę. Spojrzał na wyświetlacz i zorientował się, że telefon miał wyłączony przez cały czas. Zapomniał go ponownie włączyć po skończonej akcji.

Detektyw Cane nadal stał i trochę się wahał. Na kopercie nie widniało nic oprócz jego nazwiska wypisanego na wierzchu i sygnatury firmy kurierskiej, której plakietka była niewyraźnie wypełniona. Mimo to rozerwał sklejoną krawędź koperty. Milton akurat uruchomił ponownie telefon.

- O cholera! - powiedział Milton.

- Co się stało? - odezwał się detektyw, spoglądając teraz w stronę partnera.

- Jessica dzwoniła i to kilka razy, jeszcze przed północą. Zostawiła też wiadomość.

- Dobra, to przeczytaj. Ja sprawdzę, co mi tu przysłali. - Detektyw w tym czasie położył na blacie kopertę. Delikatnie przytrzymując jedną ręką za jej tylną część, przechylił przesyłkę do przodu, aby wysunąć zawartość.

Milton obserwował cały czas to zdarzenie, trzymając komórkę w lewej dłoni. Po chwili w całości ukazała się im mała, foliowa torebka. Od środka była poplamiona krwią. Wewnątrz znajdował się jeden odcięty ludzki palec. Milton nawet nie odczytał wiadomości od swojej dziewczyny. Od razu ruszył w stronę detektywa.

- Odłóż to, Cane! Pozostali do tyłu! No już! - wrzasnął na mundurowych i kilku cywilów. W tym także momencie schował swój telefon do kieszeni.

- Widać, że pieprzony psychol nie próżnował. Musiał odciąć go niedawno - powiedział detektyw do kolegi, po czym zwrócił się do funkcjonariuszy - zabezpieczcie to i do analizy! Sprowadźcie mi też tego kuriera! Przepytać pracowników firmy, może ktoś zapamiętał zleceniodawcę. Musiał im jakoś to dostarczyć. Kto wie, do czego ten typ może się jeszcze posunąć! Milton, bierzemy się za przesłuchanie Manuela.

- Tak, Cane! To po to on nam ich wystawił. Coś tu wyraźnie nie gra. Kolejne morderstwo to za mało. On potrzebował czasu na coś więcej.

Detektyw rozglądał się chwilę po holu departamentu, jakby czuł, że to nie był koniec na dziś.

Obaj ruszyli w stronę dużych, krętych schodów prowadzących na piętro budynku. Minęli pokrytą marmurem kolumnę stojącą pośrodku holu.

W tym czasie czarne auto podjechało i zatrzymało się dokładnie na wprost wejścia do gmachu departamentu. Kierowcy zatrąbili na nie, gdyż zatarasowało im ruch. Mężczyzna siedzący na miejscu kierowcy otworzył drzwi pojazdu i wysiadł. Rozejrzał się przez chwilę. Mijając stojące na ulicy auta, szedł w stronę budynku departamentu. Wszedł do środka i nie zwracając uwagi na to, co działo się wokół niego, skierował się do głównych schodów. Zatrzymał się tuż przed kontrolą.

Milton sięgnął ręką do kieszeni, gdy byli z Cane'em na półpiętrze.

- Co ci napisała Jessica? Przeczytałeś? - spytał detektyw, odrywając się tym pytaniem na moment od ponurej rzeczywistości.

- Detektywie! - Nagle ktoś krzyknął z holu departamentu.

- Co jest? - Cane obejrzał się do tyłu i spojrzał w stronę dobiegającego głosu. Nic jednak nie zobaczył, ponieważ znajdował się akurat w miejscu, w którym wielka kolumna zasłaniała mu część widoku. Spozrzegł jedynie gliniarzy krzątających się w swoich obowiązkach i tych zabezpieczających przesyłkę z odciętym palcem, która wciąż leżała na blacie kontuaru.

- Jonie Miltonie! - krzyknął ktoś przeraźliwie głośno, wyłaniając się zarazem zza ogromnej, pokrytej marmurem kolumny.

Większość osób znajdujących się w holu obejrzała się teraz w jego kierunku. Mężczyzna ubrany był w policyjną kurtkę i mundur. Guziki miał rozpięte i widoczna była z przodu biała koszula z krwistoczerwonymi plamami. Na nogach miał czarne buty ubrudzone jasnym błotem. Nogawki spodni również były pochłapane.

Mężczyzna zrobił jeszcze krok i stanął pośrodku holu, tuż przed bramkami, których bez rewizji nie mógł przejść. Rozłożył

szeroko obie ręce, podnosząc je jednocześnie do góry. Dłonie były także całe ubrudzone, najprawdopodobniej ludzką krwią.

- Kurwa mać! - zaklął Milton i zrzucił płaszcz z ramienia na schody.

- Jonie Miltonie, agencie DEA! To mnie szukasz! - Podejrzany wymówił te słowa bardzo spokojnie.

- Stój w miejscu! - krzyknął Milton jeszcze na schodach i wyciągnął broń, mierząc w podejrzanego.

- Ani mi się ważcie go ruszyć! Jest nasz! - Detektyw wydał polecenie pozostałym mundurowym.

Milton zbiegał już na dół. Nie mogli pozwolić, aby któryś z policjantów niepotrzebnie strzelił do tego człowieka.

- Stójcie, spokojnie! Nie ruszać się z miejsc! On jest nieuzbrojony! - powtarzał cały czas detektyw.

Powoli podążał za Miltonem, który znajdował się już zaledwie kilka kroków od podejrzanego. Obawiał się, aby żaden z policjantów nie zachował się zbyt pochopnie i nierozsądnie. To na pewno nie był koniec. Potrzebowali go żywego. Mężczyzna czekał w ciszy, nadal trzymając rozłożone w bok ręce.

- Na podłogę! Kurwa, kładź się natychmiast! - krzyknął Milton i zbliżył się do mężczyzny na trzy kroki.

Ten wciąż stał z tym ironicznym uśmiechem na twarzy, jakby prosząc się o to, by Milton sam go powalił.

- Znam cię, Jonie Miltonie! Znam doskonale takich ludzi jak ty! - powtórzył, patrząc teraz tylko na niego.

- Kurwa, kładź się na brzuchu, ty parszywa kanalio! No już, zanim cię zastrzelę i będą zdrapywać twoje wnętrzności z podłogi! - nakazał Milton.

Broń trzymał wycelowaną w klatkę piersiową podejrzanego. Detektyw starał się zachować zimną krew, obserwował wszystko

i wszystkich dookoła, analizując powstałą sytuację.

- Leżeć! Na co czekasz? Kładź się, no już! - powtórzył Milton.

- Tak, były agencje DEA - odpowiedział bardzo opanowanym głosem podejrzany.

Po czym powoli położył się na marmurowej podłodze z rozłożonymi szeroko rękoma. Policyjna czapka spadła mu z głowy i poturlała się do przodu.

- Nosem do ziemi i ani drgnij! - dołożył kolejny raz Milton i momentalnie klęknął kolanem na plecach mężczyzny, po czym skuł mu z tyłu ręce kajdankami. - Chryste! Ja pierdolę, co to ma być? Kurwa, Cane, widziałeś? - powiedział, patrząc na swoje czerwone dłonie, które ubrudził, gdy dotykał rąk podejrzanego.

- Chciałbym rozmawiać z adwokatem, jeśli szanujecie tu prawo - poprosił zatrzymany, zwracając głowę w stronę detektywa.

- Jasna cholera! Co za dzień! - zaklął detektyw. Schował pistolet i przegarnął ręką włosy do tyłu.

- Mamy skurczybyka! - dodał któryś z mundurowych.

Detektyw jednak nie był do końca zadowolony z takiego obrotu sprawy. Znał już tego zwyrodnialca i przeczuwał, że sprawa dopiero nabierze tępa. Mężczyzna przyszedł do nich sam, ale chłopca z nim nie było. Do tego ta dziwna przesyłka, którą otrzymał kilkanaście minut temu.

Zatrzymanego zabrano i po wszystkich czynnościach osadzono w pokoju przesłuchań. Siedział obecnie spokojnie na krześle, przykuty rękoma do metalowego stołu, który był przytwierdzony śrubami do podłogi. Naprzeciwko niego stało jedno puste krzesło. Jego ubrania zostały zabezpieczone i wzięte do analizy, a pojmanemu przydzielono czerwony kombinezon. Oczekiwał teraz na swojego adwokata, którego, jak się okazało, zawiadomił już wcześniej.

Detektyw z Miltonem weszli do drugiego pokoju z wielkim lustrem weneckim w ścianie i przyglądali się zachowaniu zatrzymanego. Rozmawiali ze sobą chwilę i wątpili, by ten mężczyzna przyszedł tu i poddał się tak bez powodu.

- Kim on, do cholery, jest? - spytał Milton.

- Na razie nic nie mamy! Żadnych dokumentów, odcisków, po prostu nic. Wiemy tylko tyle, że facet nie ma jednego palca. Ponadto nie mam pewności, że to właśnie on stał za tymi wszystkimi morderstwami. Mamy tylko jego słowa, krew na rękach i ubraniu.

- Widziałeś przecież, co miał na sobie! Przyznał się, skurczybyk. Czego nam więcej potrzeba? Pogadajmy z nim ostro i już! Pęknie, mówię ci! Wystarczy mi kilka minut sam na sam i wydobędę z niego informację, gdzie przetrzymuje Jona.

- Niemożliwe! To za duże ryzyko, Milton. Tak w ogóle, to facet twierdzi, że jego dziewczyna skaleczyła się i umazała go krwią, a o rannej przesyłce do departamentu nic nie wie.

- Bzdura! To po co tu przyszedł i odstawił całe gówniane przedstawienie? Niech poda w takim razie jej adres i dane, to dowiemy się tego sami. Zobaczymy, czy kobieta potwierdzi jego wersję.

- Wiem, kręci i pogrywa z nami. Zatrzymamy go, aż coś znajdziemy. Dzwoniłem już do prokuratora, załatwiłem nakaz. Jest aresztowany i możemy działać.

- Ale jak mamy go przesłuchać, skoro milczy i czeka na swojego adwokata?

- Ma takie prawo. Tyle, że czas nie stoi w miejscu, goni naprzód i nie możemy tego tym razem spaprać. Nie wiemy, gdzie zostawił chłopca, zakładając, że dzieciak jeszcze żyje. Odmówił jednak jakiegokolwiek rozmowy do czasu przybycia jego papugi.

Adwokat ma być za pół godziny. Czekamy. Potwierdzili z kancelarii, że już do nas jedzie.

- Cane, słuchaj, mogę ci zagwarantować, że mamy do odnalezienia kolejne zwłoki. Jestem przekonany, że to jego właśnie szukamy. Pozostaje pytanie, czy zdążymy uratować Jona.

- Widzę, że zaplanował wszystko. Milton, on zawsze był krok przed nami.

- Faktycznie, oby nie tym razem, Cane. Do tego zastanawiałeś się, dlaczego tu przyszedł, ot tak, w kilka godzin

po wystawieniu nam Manuela? To jego chora gra i dalej kontynuuje swój plan, który uknuł w głowie.

- Dobra, jak dotrze ten obrońca niby-uciśnionych, damy mu piętnaście minut. Tyle, kurwa, będzie sobie z nim gadał. Potem wezmę się za niego sam - zakomunikował detektyw, któremu także puszczały nerwy.

Zdawał sobie sprawę, że to nie był koniec. On również miał wciąż nadzieję na uratowanie chłopca. Detektyw Cane poprosił do pokoju, w którym się obecne znajdował, dwóch mundurowych, a sam wyszedł. Mieli obserwować podejrzanego przez cały czas. Po chwili ktoś wywołał z pomieszczenia także Milтона. Poinformowano go, że jedzie do nich komisarz Jannings i będzie za jakieś pół godziny, a także prokurator, który dotrze do departamentu w tym samym czasie. Czyżby chodziło o splendor chwały po pojmaniu seryjnego mordercy? Milton nie rozumiał takiego postępowania tych dwóch panów. Sprawa nie była przecież zamknięta.

- Coś masz jeszcze dla mnie, sierżancie? Ale bardziej sensownego od przyjazdu tych przyszłych polityków... - zapytał Milton po otrzymaniu mało ciekawych wieści.

- Nie, po prostu kazano mi to panu przekazać.

- Dobra, spadaj stąd.

Milton zszedł schodami na dół z trzeciego piętra departamentu. W holu minął kilka poznanych już osób. Podeszedł do stojącego przy ścianie automatu, wrzucił monetę i po chwili wyjął dwa czekoladowe batony oraz niegazowany napój. Udał się na zewnątrz budynku, od strony parkingu, gdzie panował większy spokój i cisza. Stanął z boku pod zadaszeniem, aby niedosięła go ulewa. Miał dość wrażeń jak na ostatni czas. Musiał trochę ochłoniąć i nie zamierzał paść z głodu jak poprzednim razem.

Po jakichś dwudziestu minutach skierował się do pokoju detektywa. Gdy był już na korytarzu przed pomieszczeniem, usłyszał ostrą dyskusję za zamkniętymi drzwiami. Wyglądało na to, że dotarła oczekiwana świta.

- Cześć! Co słyhać, agencie Miltonie? - zagadnął do niego pierwszy komisarz Jannings, gdy tylko otworzył drzwi do biura.

- W porządku - odpowiedział Milton, po czym usiadł przy oknie w bardziej postronnym miejscu.

Deszcz wciąż padał, a krople lądujące na szybie i zewnętrznym parapecie zdawały się tonować nastroje. Milton chwilę wpatrywał się w ruchliwą ulicę na dole, która była zakorkowana jak zawsze w tym mieście.

- Musimy poczekać, lepiej nie dawać tym kanaliom z adwokackich korporacji żadnych podstaw prawnych, gdyż znają wszystkie kruczki. Potem przesłuchamy podejrzanego i będziemy mogli postawić mu zarzuty - powiedział prokurator.

- A co z Manuelem? - spytał detektyw.

- Niech go zabierają ci z FBI, to już sprawa ich i DEA. My swoje zrobiliśmy. A skoro ten typ sam do nas przyszedł, to przesłuchiwanie Manuela i jego meksykańskich kumpli nie ma żadnego sensu. Nic nie wniesie do śledztwa dotyczącego mordów

kobiet i zamordowania chłopaka – powiedział prokurator.

- On ma imię i póki co nie mamy jego ciała. Oznacza to w takim razie, że jest zaginiony, panie prokuratorze. Takie mamy tu zasady – wtrącił ostro Milton, gdyż zirytowała go wypowiedź o chłopcu.

- Wiem. I co z tego? Mały pewnie nie żyje, a nawet jeśli, to znalezienie go nie będzie takie łatwe. No chyba, że ten szczywany lis, jeśli to w ogóle on, coś wam powie. Sami mówiliście, że nie widzieliście u kowala jego gęby i teraz nie jesteście w stanie go rozpoznać. Na razie czekamy na jego adwokacineę.

Ten kolejny komentarz prokuratora znów spowodował, że Miltonowi zagotowała się krew w żyłach.

- Nie ma co gdybać! Na pewno ich wystawił tylko po to, by zająć was na trochę. Nie miałyby to innego sensu. Tym ruchem ułatwił sobie wykonanie ostatnich morderstw. Prawdopodobnie zabił nie tylko dwie kobiety, na co wskazuje kolejny odcięty palec i krew na jego ubraniu, ale także chłopca – dodał komisarz Jannings.

- Detektywie, jest już adwokat! – poinformował jeden z podwładnych, wchodząc do pokoju.

- Dobra, powiedz mu, że może do niego wchodzić – dodał prokurator, tym samym wyręczając detektywa.

Adwokat podejrzanego wyszedł z pokoju przesłuchań po około godzinie. Zjechał windą na pierwsze piętro budynku. Po przejściu kilku kroków w stronę biura detektywa, drzwi do jego pokoju się otworzyły i ukazała mu się postać Cane'a, który sam wpuścił go do środka. Natychmiast po wejściu rozsiadł się wygodnie na czarnej, skórzanej, dwuosobowej kanapie stojącej przy ścianie, naprzeciwko okna i tuż z boku biurka detektywa. Siedział już na niej prokurator. Przesunął mu się odrobinę w lewo, gdy ten

wpakował się, nie zwracając na niego uwagi. Adwokat Delaney zachowywał się tak, jakby był najważniejszą osobą w tym pomieszczeniu. Spozregł komisarza Janningsa, który z niecierpliwością wpatrywał się w niego z fotela ustawionego na wprost biurka.

- Wygodnie? - walnął detektyw z ironią w głosie.

Mało brakowało, a ten arogancki adwokat wyprowadziłby go całkiem z równowagi. Najpierw facet w drogim, szarym garniturze poprosił o kawę, potem wyjął plik dokumentów i trzymał je chwilę w ręce. Wyglądało, że były przygotowane już wcześniej.

- Mój klient... - powiedział adwokat i rzucił jakieś papiery na biurko detektywa.

- Co to do cholery?

- To pisemne przyznania do każdego z morderstw, ze szczegółami.

Wszyscy zaniemówili, słysząc z ust tego cwaniaka Delaney'a coś, co wydawało się nieprawdopodobne i wręcz niemożliwe.

- To po chuj to całe przedstawienie? - spytał komisarz Jannings.

Milton siedział nadal na swoim miejscu i nawet z niego nie drgnął. W tym czasie detektyw wziął papiery do ręki i zaczął wertować jeden po drugim. Analizował w głowie poprawność z informacjami, które mieli w swoich aktach. Wyraz jego twarzy zmieniał się z każdym kolejnym przejrzanym dokumentem. Opisy zgadzały się w najdrobniejszych szczegółach.

To nie mogło być aż takie proste. Milton nie dawał wiary, że to był koniec. Czekał, tak jak pozostali, na dalsze wyjaśnienia; czekał, aż adwokat diabła dołoży coś od siebie.

- Dobra, Delaney, ty podrzędny adwokacino. Myślę, że zdajesz sobie sprawę, że przetrzymywanie takich dowodów jest tak samo

karalne, jak popełnianie tych przestępstw, więc nie wkurwiał mnie bardziej i mówił konkretnie, czego ten zwyrodnialec chce, bo głupi to nie jestem – powiedział wyraźnie zdenerwowany detektyw, przesuwając papiery w stronę adwokata.

- Po pierwsze to trudno wam będzie udowodnić, że znałem wcześniej treść tych dokumentów. Tak naprawdę przekazano mi je dziś rano. Były w szarej, zaklejonej kopercie. Przesyłkę dostarczył mi kurier przed kancelarią, gdy wchodziłem do pracy. Łatwo to sprawdzicie. Ponadto miesiąc temu dostałem pewien list, a w nim adnotację, kiedy dokładnie mam otworzyć paczkę, gdy ją już otrzymam. Zrobiłem tak, jak proszono. Dzisiaj o godzinie dziesiątej, u mnie w biurze, rozpieczętowałem kopertę i osobiście zapoznałem się z treścią znajdujących się w niej dokumentów. Po przeczytaniu od razu wsiadłem do taksówki i przyjechałem, a że wy zadzwoniliście do mnie, jak byłem w drodze, to już inna sprawa. Ktoś anonimowo przelał dziesięć tysięcy dolarów za tę usługę na konto kancelarii. Pieniądze zostały zaksięgowane dziś wczesnym rankiem. Jak już wspominałem, o tym, że będę go bronił, dowiedziałem się dopiero jakąś godzinę przed przyjazdem.

Tłumaczenia adwokata rozwścieczyły detektywa Cane'a.

- Może i jest w tym odrobina prawdy, podrzędna kanalio! Ale w jednym się mylisz. Sądzisz, że wierzę w każde wypowiedziane przez ciebie słowo, a jestem pewny, że musiałeś wiedzieć o tym zleceniu wcześniej. Łącznie z tym, czego sprawa będzie dotyczyć. Widzę to w twoim zachowaniu. Jak będzie trzeba, to ci to udowodnię!

- Tylko nie kanalio, Cane! Nie masz na to dowodów. Jak wiesz, taki mój zawód, muszę współpracować z oskarżonym. Domniemanie niewinności to w tym kraju standard.

- Tylko, kurwa, nie Cane! Dla ciebie pan detektyw! Mów i to

natychmiast, co jeszcze masz dla nas, bo przysięgam, że osobiście się tobą zajmę, jak nie znajdę chłopca żywego przez twoje pierdolenie i marnowanie cennego czasu – powiedział, kończąc swą wypowiedź, detektyw.

Zaniemówili nagle wszyscy w biurze. Pojęli, iż kolejne słowa adwokata mogą nie należeć do tych przyjemnych.

- Spokojnie, ja tylko robię, co do mnie należy. Gdybyś dokładniej przyjrzał się, to zauważyłbyś, że żaden z dokumentów nie jest podpisany. To tylko wymysł chorej wyobraźni człowieka, którego uważasz za przestępcę.

- Zauważyłem, ale to mi nie jest potrzebne. Jak tego skurwysyna przycisnę, to podpisze wszystko, co mu każę! Tylko, że nie o to chodzi, Delaney.

- O, widzę, że doskonałe metody znane z filmów wchodzą teraz w standard prawdziwej policji – dodał sarkastycznie adwokat.

- Może, ale na wolność to on już stąd nie wyjdzie – wtrącił komisarz Jannings.

- Panowie, spokojnie. Ja tu rządzę, a papiery muszą zostać podpisane i to w sposób niebudzący podejrzeń o naruszenie prawa. Przesłuchajcie go zatem i niech podpisuje się pod tymi oświadczeniami, a ja zwołam w tym czasie konferencję – dodał prokurator, po raz kolejny ukazując swoje prawdziwe oblicze.

- Chwileczkę! Wątpię, aby to było takie proste. Posłuchajcie, jeszcze nie skończyłem! – Adwokat wstał.

- Co? Wreszcie zaczniesz mówić? – zapytał detektyw.

Milton tylko wsłuchiwał się w ciszy w każde słowo człowieka, którym zaczął już gardzić.

- Mój klient wyprze się wszystkiego i nic nie podpisze, a do tego będzie milczał niczym zamknięty grób. Powie, że zmusiliście go do tego i że na tych papierach to są tylko wasze wymysły, a ja

potwierdzą tutejsze metody przesłuchania i przymusowego wyciągania zeznań. Słyszałem dziś już wystarczająco dużo w tym pokoju.

Detektyw zerwał się z fotela i podszedł do adwokata.

- Tak mówisz? To ja ci odpowiem od razu, ty namiastko człowieka. Posłuchaj, wsadzę ci te twoje wszystkie papiery w dupę i sam z nim porozmawiam na osobności, w zamkniętym pokoju, tak jak już mówiłem, a potem przyjdę tu z powrotem i gdy ty będziesz grzebał sobie w tyłku, wyjmując to, co ci tam wsadziłem, zapytam cię jeszcze raz: co, kurwa, chciałeś mi przekazać od niego?

- Śmiało, detektywie Cane. Mówił, że tak zareagujesz. Niepoczytalność poparta brutalnością i zastraszaniem przez policję to będzie strategia obrony. I co teraz, panie detektywie?

- Kurwa, chyba żartujesz? On gdzieś tam przetrzymuje pięciolatka! - wykrzyczał adwokatowi prosto w twarz Cane.

- Może tak jest. Tylko, że wybronię go bez problemu z tych waszych insynuacji. Wierzcie mi, panowie, to będzie łatwizna. No chyba, że dojdzie do porozumienia, tak jak zaproponowałem. Warunki są proste. Od razu także zmieni to postać rzeczy. Powiedział, że podpisze wtedy te papiery oraz poda miejsce, gdzie znajdują się zwłoki kobiety oraz chłopiec.

Milton podniósł się z krzesła, po czym podszedł do biurka detektywa. Oparł się o nie dłońmi i spojrzał na dwóch panów stojących pośrodku pokoju. Czekał na to wyznanie. Powróciła nadzieja na odnalezienie Jona. Komisarz Jannings przesunął lekko fotel, aby mieć dobry widok na detektywa i adwokata.

- Miejsce jednych zwłok, mówisz? - zapytał Milton adwokata. Wciąż stał oparty rękoma o biurko.

- Tak powiedział - potwierdził detektyw.

- Cane, on miał na sobie krew co najmniej dwóch różnych

osób. Badania grupy krwi to potwierdziły. Na resztę wyników musimy czekać. – Milton zwrócił się do partnera.

– On o tym wie doskonale, detektywie Milton. Powiedział wam już skąd krew na jego rękach i ubraniu? Mnie zapewnił, że jest jedna ofiara, a wskaże wam jej ciało oraz miejsce pobytu chłopca Jona Belly’ego – wtrącił adwokat.

– Milton, on znowu w coś z nami pogrywa – rzekł detektyw.

– Cane, mamy go! Niech mówi, czego chce, musimy spróbować odnaleźć Jona! Wierzę, że jeszcze jest na to szansa. Chłopak może żyć. Reszta spraw może na razie poczekać.

Detektyw skinął głową na słowa partnera. W opowieści podejrzanego dostrzegał pewne luki i domyślał się, że nie było w niej krzty prawdy. Jedna z krwi zabezpieczona na jego ubraniu z pewnością nie pochodziła z historii, którą wtedy wyssał na poczekaniu z palca. Jednak niewiele mógł teraz zrobić, ryzykowałby życie chłopca. Również w nim tliła się iskierka nadziei, że mały wciąż gdzieś tam na nich czekał.

– Kończ, Delaney, tę swoją szmatławą gadkę i mów czego ten bydlak chce – zwrócił się detektyw do adwokata.

Milton podszedł i stanął teraz obok detektywa. Dwóch dżentelmenów, jeden z kanapy, drugi z fotela, też podniosło się, zagradzając drogę adwokatowi. Na pewno poczuł się mocno osaczony. O to właśnie im chodziło, aby odrobinę zbić aroganta z pantafyku i piedestału nietykalności, za który uważał swój zawód.

– Muszę wam powiedzieć, że jest dobry w tym. Wiedział, że się zgodzicie. Mówił, że przedstawienie musi trwać, a wy jesteście jego najważniejszą częścią.

Wszyscy dookoła aż kipieli ze złości. Wymagało to nie lada opanowania ze strony obu detektywów, aby adwokat nie dostał od nich w zęby. Przeciągał tak ważną sprawę do granic możliwości.

Policjanci chcieli przesłuchać pojmanego, gdyż mieli wcześniej taki plan, ale jak widać spalił na panewce. Okazał się niezwykle inteligentnym przestępcą. Musieli działać natychmiast, jeśli chcieli mieć jakiegokolwiek szanse na uratowanie chłopca.

- Przesuń się pan! - poprosił adwokat i ruszył, trącąc komisarza swoim ciałem w kierunku dzbanka z kawą, po czym nalał sobie kolejną filiżankę.

- Cane, to jego strategia. Od początku to zaplanował - powiedział Milton do detektywa.

- Tak, to dalsza część jego chorej wyobraźni.

Cała czwórka wątpiła w szczerość podejrzanego. Jednak mieli go i nic nie mogło tego zmienić. Kolejny ruch wydawał się ryzykowny, ale możliwe, że nie mieli innej opcji, skoro postanowił milczeć, gdy odrzucą jego propozycję. Wszyscy nadal stali, tylko adwokat ponownie rozsiadł się wygodnie na tej samej skórzanej kanapie.

- Panowie, posłuchajcie... Przyjmując jego propozycję zwiększacie szansę na to, że znajdziecie chłopca żywego. Tak kazał mi powiedzieć. Zaznaczam z całą stanowczością, że to jego słowa - uprzedził adwokat, odsuwając się odrobinę w drugi kąt kanapy, gdyż obawiał się reakcji wciekłego Milтона.

Sam też nie chciał zostać pociągnięty do odpowiedzialności karnej.

- Mów i niech wreszcie podpisuje te papierzyska! - Milton nie wytrzymał.

- Już tłumaczę. Chodzi o to, że wskaże wam miejsce, gdzie zostawił ciało ostatniej ofiary, której macie odcięty palec. Zaznaczam po raz kolejny, że to jego słowa i wedle mnie mogą okazać się zwykłymi fantazjami. Kazał również powiedzieć, że tam ponoć znajdziecie też chłopaka. Jednak robi to pod jednym

warunkiem: detektywi Cane i Milton mają osobiście go eskortować w tamto miejsce. Bez ogona i takich tam... sami wiecie.

- Propozycja nie do zaakceptowania! - wtrącił ostro komisarz Jannings.

- Dlaczego w ogóle o tym mówimy? Ten psychol jest tam na górze i przyznał się już raz. To nam wystarczy, mamy wszystko na nagraniach - dodał prokurator.

- Tak, on o tym wie, ale prosił, byście przejrzyli taśmy i dokładnie posłuchali, co powiedział. Nie ma na nich słowa o zbrodni, a tym bardziej o przyznaniu się do winy. Do tego to, co wam teraz przekazuję, może nie zawierać krzty prawdy, a być jedynie wymysłami jego wyobraźni - dodał adwokat.

Detektyw spojrzał na pozostałych. Pamiętał doskonale, co mówił podejrzany na dole. Padły z jego ust jedynie puste słowa o tym, że to jego szukają, a krew znajdująca się na jego rękach i ubraniu to niby sprawka małego wypadku osoby, której zapewne i tak nigdy nie znajdą bez jego pomocy. Odcięty palec był twardym dowodem na kolejne morderstwo, ale jak mieli mu to udowodnić bez ciała?

- Posłuchajcie, tu nie chodzi tylko o te zamordowane kobiety i sprawiedliwość. Jest realna szansa, że Jon, mały chłopiec, żyje i uda się nam go ocalić - dodał dość opanowanym głosem Milton.

- Tego nie powiedział. Chłopca pewnie też już zamordował. Kombinuje, jak zwać i pokazać światu nasze słabości, jak to robił do tej pory. Zapomnieliście, co podrzucił Robertsonowi do mieszkania? - wtrącił ponownie prokurator.

- Wedle tego, co mi mówił, to chłopak żyje - dodał pewnym głosem adwokat.

- Fakt bezsporny - powiedział detektyw.

- Może i masz rację, Cane, ale jest też szansa, że to kolejna

pułapka. Co niby mam powiedzieć dziennikarzom, jeśli wam znowu zwieje? Choć może i to dałbym radę wyjaśnić, zwalając winę na system. Ale co, gdy któryś z was zginie? – tłumaczył komisarz Jannings.

- Przestań, komisarzu! On ma chłopca, przysięgaliśmy walczyć z takimi typami i chronić niewinnych. Ryzyko mamy wpisane w zawód. – Detektyw przedstawił swoje stanowisko przełożonemu oraz pozostałym.

- Jasne, ale to byłoby wypuszczenie aresztowanego przestępcy... Lepiej może go przesłuchać, kiedyś w końcu powie prawdę – dodał wkurzony prokurator.

- Mój klient powoła się na niepoczytalność, mówiłem wam. Wyprze się wszystkiego, jeśli odrzucicie jego propozycję – powiedział pewnym głosem adwokat.

- To niedorzeczne, że w ogóle to rozważamy. Nie ma mowy, bym się na to zgodził. Bierzemy go i jedziemy. Nie zmarnujemy tej szansy, nie pozwolimy chyba umrzeć chłopcu? – wtrącił Milton.

- Milcz Milton, ty jesteś tu, jakby to rzec, asystentem i tyle. Na mnie spoczywa pełna odpowiedzialność – dodał prokurator.

- Może i na tobie, ale ten chłopak jest mi bardziej bliski niż wam wszystkim i za cholere nie zostawię go, abyś ty i tobie podobni mieli co powiedzieć wiecznie głodnym sensacji dziennikarzom. Jasne, panie prokuratorze Edwards?! –

- Pojedziemy z nim. Powiedz, że się zgadzamy – wtrącił detektyw, kierując te słowa do adwokata.

Tak naprawdę to detektyw Cane podejmował tu ostateczną decyzję i w konsekwencji za nią odpowiadał.

- Cane, my nie zawieramy układów! – dodał stanowczo prokurator.

- Wy nie, ja tak. Niech podpisuje te papiery. Szykować go –

powiedział zdecydowanym głosem detektyw.

Nagle ktoś zapukał do drzwi i przerwał tę niekończącą się rozmowę.

- Można? - zapytał policjant zanim otworzył.
- Wchodź! Co tam?
- Detektywie, są kolejne wyniki z laboratorium.
- Dawaj!

Funkcjonariusz wręczył papierek detektywowi, który w oka mgnieniu zapoznał się z jego treścią.

- Słuchajcie. Nie ma szans na potwierdzenie tożsamości ofiary. Bez ciała to niemożliwe. Linie papilarne ścięte.

- Brednie, brednie i tylko brednie. Niedobrze mi się już robi od słuchania tych waszych analiz i przemyśleń. Obiecałem, że małego nie zostawię i nie po to angażowałem się z powrotem w to bagno, wracając do służby, aby odebrać Jonowi ostatnią nadzieję - dodał Milton, po czym wyszedł z biura, trzaskając drzwiami.

- A chuj, róbcie co chcecie! Pamiętajcie jednak, że będziecie mieć niebezpiecznego psychola bez eskorty oraz wsparcia. Jak spieprzycie, to obaj polecicie na zbity pysk - skomentował komisarz.

- Dobra, biorę to na siebie. Ponadto szef naszego departamentu już dawno dał mi wolną rękę i ostatecznie ja tu decyduję - dodał detektyw Cane.

- Szykujcie się zatem, macie mieć założone podsłuchy i pełne magazynki. Jakby co, to go rozwalcie. Nie może nam uciec. A to, o czym tu rozmawialiśmy, zostaje w tych czterech ścianach! Jasne, panie Delaney? - wypowiadając te ostatnie słowa, komisarz spojrzał wymownie na adwokata.

Ten, popijając kawę, kiwnął jedynie głową na znak akceptacji. Zdawał sobie sprawę, że samo składanie takiej propozycji było nie

do zaakceptowania, ale jeśli dziennikarze dowiedzieliby się, że posiadał papiery o takiej treści, mocno zaszkodziłoby mu to w dalszej karierze. Stało się zatem oczywiste, że ani prasa, ani nikt inny poza tu obecnymi nie może wiedzieć o tym układzie.

Komisarz również był świadomy, że podjął ryzyko, które może zaważyć na jego politycznej karierze.

Detektywi Cane i Milton udali się do pokoju na drugim piętrze departamentu. Tam ekipa wyposażyła ich w odpowiedni sprzęt. Kamizelki, broń i podsłuch dla każdego, to konieczność w takiej akcji.

- Dzwoniłeś do Jessiki? - spytał detektyw, zapinając koszulę.

- Nie, jest teraz z matką. Lepiej niech nie wie, co będę robił, bo Rachel zacznie jej gadać, że znowu się narażam i takie tam...

- Wiem coś o tym, jak to jest być zięciem. Też kiedyś miałem teściową.

- Nie wiedziałem, że także zalazła ci za skórę.

- Wiele jeszcze o mnie nie wiesz, Milton. Wszyscy chyba nie mają tak strasznie, może my byliśmy po prostu pechowcami, co?

- Nie, ponieważ ja w ostatnim czasie poważnie zaważyłem. Wierz mi, teraz za to płacę i pewnie nie szybko się to skończy.

- Auu! Uważaj! - stęknął detektyw ukuty przez funkcjonariusza czymś ostrym w klatkę piersiową.

- Przepraszam detektywie, to te nowe mocowania sprzętu - dodał spec od urządzeń elektronicznych.

- Kiedyś wystarczył plaster i ogolona klata - skomentował Milton.

- Tak, ale postęp i nowinki wchodzą wszędzie, nawet u nas. Musimy być zawsze na bieżąco z tymi rzeczami - dodał policjant z wydziału technicznego.

Milton zamyślił się na chwilę, zapinając guziki koszuli, pod

którą miał już założony podsłuch.

- Jak sądzisz, znajdziemy go? - spytał niepewnym głosem.

- Nie wiem, Milton, ale znasz mnie i moje zdanie na temat osób zaginionych. Poza tym takie twarde typy jak my nie pozwolą mu przecież uciec i zabić dzieciaka. Chłopiec musi przeżyć.

- Tak, to akurat pewne, że nieźle z nas typy. Ale zauważ, byliśmy wciąż krok za nim, a teraz to wręcz gramy otwarcie w tę jego chorą grę.

Detektyw dopinał w tym czasie jeden z górnych guzików koszuli. Był ubrany podobnie jak Milton: w białą koszulę i ciemny garnitur. Zamilkł na chwilę po słowach partnera. Sam przecież wiedział, jaką decyzję ostatecznie podjął.

Obaj sprawdzili jeszcze broń i działanie sprzętu, gdy zjawił się w pomieszczeniu komandos z jednostki specjalnej.

- Panowie, damy wam ogon z helikoptera.

- Lepiej nie, bo zorientuje się skurczybyk - wtrącił detektyw.

- Mam polecenie z góry od szefa departamentu. Będziemy w sporej odległości od was, tak na wszelki wypadek. Nadajemy na kanale ósmym.

- Cane, niech lecą. Myślę, że on jest i tak na to przygotowany. Lepiej ruszajmy - wtrącił Milton.

Czarny, nieoznakowany chevrolet czekał w garażach departamentu. Cane z Miltonem zeszli schodami do podziemi budynku.

*

Tymczasem podejrzany ubrany w czerwony uniform siedział spokojnie skuty w pokoju.

- Poproszę kawę - zwrócił się uprzejmie do jednego z policjantów przebywających z nim w pomieszczeniu.

- Co?

- Kawę chcę, nie rozumiesz?

Policjant tylko westchnął i przyniósł po chwili z automatu espresso.

- Niezła, jak na automat - skomentował po pierwszym łyku.

- Tak, najlepsza jaką i ja piłem z automatu - dodał policjant i uciszył się, gdyż uświadomił sobie, że dał się wkręcić w pogawędkę z mordercą.

Inny funkcjonariusz będący z nim w pokoju tylko się uśmiechnął.

- Dobra, wstawaj! Idziemy, już czekają na ciebie, dostałem właśnie wiadomość.

- Tak, to jest odpowiednia pora, by wreszcie stąd wyjść.

Podejrzany poruszał się powoli, gdyż miał skute z przodu ręce kajdankami, które były połączone łańcuchem biegnącym do związanych nim kostek.

*

- Co z nim? Ile będziemy tu stać i czekać? Prowadzą go czy poprosił o klechę i się spowiada? - zapytał Milton, czekając na parkingu.

- Jest! - dodał krótko detektyw, zauważając podejrzanego, gdyż właśnie otworzyły się drzwi windy.

W drodze do samochodu towarzyszyło mu dwóch funkcjonariuszy. Jeden podtrzymywał go pod lewe ramię. Spokojnie podążali w stronę czarnego chevroleta.

- Wsiadaj! - ponaglił go policjant, gdy zostały otwarte tylne drzwi auta.

Milton, Cane oraz inni policjanci, którzy tam stali, w milczeniu przyglądali się całemu zajściu. Po chwili Milton wsiadł do auta.

Detektyw jeszcze spojrział przez zamkniętą szybę, jakby chciał się upewnić, czy podejrzany był odpowiednio skuty. Otworzył drzwi i zasiadł na miejscu kierowcy.

- Wyjeżdżają! - zakomunikował funkcjonariusz w podziemiach przez policyjne radio.

- Przyjąłem - odpowiedział pilot z helikoptera, który już krążył w powietrzu.

Policyjny samochód wyjechał z garażów departamentu i podążał w nieznanym kierunku, który wskazywał podejrzany. Deszcz wciąż lał niemiłosiernie. Ulice Manhattanu tonęły w kałużach.

- Dokąd oni jadą? - spytał pilot komandosa na pokładzie.

- Nie zgub ich! I leć w większej odległości. Podążamy za nimi na ślepo - odpowiedział oficer jednostki specjalnej będący na pokładzie śmigłowca.

- Przyjąłem, wznoszę się - dodał pilot.

W tym czasie w biurze dowodzenia znajdowali się komisarz Jannings, prokurator, szef departamentu 67 oraz Delaney i doskonale słyszeli rozmowę z samochodu oraz helikoptera. Był tam również dowódca operacji Clark Carter i jako jedyny miał możliwość przekazywania poleceń. To on wydawał rozkazy jednostce specjalnej w helikopterze, jak i snajperowi.

- Kim ty jesteś? - spytał Milton po kilku minutach jazdy ulicami Manhattanu.

- Co masz na myśli, były agencje DEA?

- Po prostu powiedz, jak się nazywasz.

- No cóż. Ja jestem nikim w przeciwieństwie do ciebie. Zapewne tak uważasz?

- Nie, nie o to mi chodziło. Powiedz, jaki z ciebie człowiek. Choć to chyba za duże słowo, by mogło cię opisać.

- Nie ważne kim ja jestem i jakim człowiekiem. Przyjrzyj się sobie i własnym wyborom, czynom i ich konsekwencjom oraz temu, co po sobie zostawiasz.

- Daj spokój i nie opowiadaj swoich filozofii! Powiedz wreszcie lepiej, jak się nazywasz. Przecież nic już nie ryzykujesz - poprosił go detektyw.

- Zjedź z wiaduktu i trzymaj się głównej ulicy - powiedział podejrzany, ignorując obydwu.

Kilka minut później skręcili w kolejny zjazd prowadzący poza miasto.

- Dobra, mów dokąd jedziemy! Nie przepadam za niespodziankami... - rzekł detektyw.

- Zobaczycie. Jedź, nie ma pośpiechu.

- Posłuchaj, tylko odpowiedz szczerze. Nie zabiłeś chyba kolejnych dwóch kobiet, a już na pewno nie chłopca? Nie jedziemy po dwa lub trzy ciała, prawda? Nie mordujesz dzieci? - spytał Milton, nie odwracając się nawet.

- A co, byłoby to za bardzo szokujące dla ciebie, agencie Jonie Miltonie? Nie znasz mnie i lepiej byłoby dla ciebie, żebyś mnie nie poznał. Los jednak zdecydował za nas. Może tak miało po prostu być.

- Kim ty naprawdę jesteś? Jaką kanalią, by zabijać tyle niewinnych osób? - spytał detektyw.

- Niewinnych? To chyba za bardzo uproszczona wersja i zbyt proste rozwiązanie. Nie sądzisz, detektywie, podrzędny gliniarzu ze słodką rodzinką? - podejrzany wyraźnie chciał sprowokować detektywa do dalszej dyskusji.

- Podrzędny może, ale to ty siedzisz skuty z tyłu, z wyrokiem śmierci - odpowiedział detektyw.

Po tych słowach lekki uśmiezek pojawił się na twarzy

podejrzanego.

- O czym w ogóle myślałeś, wchodząc rano do departamentu? - Milton, zadając to pytanie, zmienił lekko pozycję na siedzeniu, by móc patrzeć prosto na podejrzanego.

- Jeśli chcesz, aby ludzie cię zapamiętali, nie wystarczy klepnąć ich po ramieniu, trzeba wałnąć każdego pięścią w twarz. Wtedy zwrócą na ciebie tyle uwagi, na ile zasługujesz.

- Czyli co? Chodzi ci o gazety, sławę i takie tam? Po co ci to, skoro i tak zdechniesz sam w pokoju z darmową kablówką, z zasranym żarciem podawanym zawsze o tej samej porze? A tak w ogóle, to co w tobie jest takiego wyjątkowego, żeby zwrócić na ciebie uwagę i cię pamiętać oraz słuchać, psycholu? - zapytał Milton.

- Nie jestem wyjątkowy i nigdy nie byłem. Życie sprawiło, że stałem się tym, kim jestem, rozumiesz?

- Nie, nie rozumiem! Po co to wszystko? Nie lepiej było normalnie żyć, mieć rodzinę, dzieci, patrzeć, jak dorastają? Chodzić z nimi do parku, kina... Mieć wnuki?

- Może, ale to moja droga i sposób na jej pokonanie, a to co robię jest...

- Co jest? Powiedz, bo ja widzę, że chujowy model wybrałeś sobie na życie, a do tego gównianą robotę.

- To nie model, to tylko taki specjalny rodzaj pracy, który ma sprawić, że świat i ludzie spostrzegą cierpienie innych. Do tego niewiele różni się od twojego zawodu, agencie. Tylko, że moja praca jest naprawdę wyjątkowa.

- Chuj, nie wyjątkowa! I nie ma nic wspólnego z tym, co ja robię. Specjalny rodzaj pracy? Raczej nie! Po prostu jesteś żaloszny - dodał Milton, spoglądając w tym momencie w stronę detektywa.

Cane zerknął we wsteczne lustro, aby zobaczyć twarz

podejrzanego.

- Zaraz, zaraz, nie sądzisz, że tylko ty dostrzegasz w niej tę wyjątkowość? - wtrącił się detektyw.

- Mylisz się, detektywie, podobnie jak twój nowy partner, agent Milton - odpowiedział podejrzany, gdy jadący samochód z dość dużą prędkością mocno podskoczył na pozamiejskich wybojach.

- Nie, obaj nie mylimy się co do ciebie. W tym wszystkim najzabawniejsze jest to, że wierzysz w te swoje powołanie, nie licząc się z faktem, że za kilka miesięcy pojawi się podobny psychol. Prasa zapomni i nikt poza kumplami z celi, którzy będą cię jebać w dupę, kiedy zechcą, nawet nie wspomni o tobie. Gównu będzie obchodzić innych, co zrobiłeś. Pojmij, że jesteś zwykłym szaleńcem, jakich wielu na tym świecie.

- Widać, że wciąż jesteś ślepy jak wtedy w Meksyku i gdy wróciłeś z niego. Raczej podziękuj mi za pomoc, bo gdyby nie ja, już byś zdechł, agencino DEA. - Mocne słowa padły z ust podejrzanego.

- Co ma do tego Meksyk? Skąd wzięłeś te wszystkie informacje? Rozmawiałeś z Manuelem? Po co w ogóle nam ich wystawiłeś? Dobra, mądralo, nie odpowiadaj. Domyśliliśmy się, że chciałeś sobie kupić trochę czasu, żeby zaszlachtować kolejną, niewinną dziewczynę.

Na twarzy podejrzanego podniosły się do góry kąciki ust. Głowę przekrzywił raz w prawą stronę raz w lewą i wciąż miał to dziwne, radosne spojrzenie. Po chwili jednak odpowiedział Miltonowi.

- Pogadałem sobie z tymi przemytnikami. Nie uwierzyłybyś, co mi za ciebie zaoferowali. Jednak zrozum, to nie wpisywało się w moją misję. Chociaż już sam nie wiem, co na koniec zrobiłem -

prowokował swoją wypowiedzią podejrzany.

- A to dziękuję za ocalenie mojego tyłka i mojej narzeczonej. Cudownie, że jesteś taki przebiegły i pomocny. Tylko zauważ, to ty siedzisz skuty, a oni są w stanowym i czekają na krzesło elektryczne. A jeśli Jon nie żyje, to sam zapierdołę cię gołymi rękoma na śmierć. Rozumiesz, psycholu?

- Proszę, agencie Miltonie, poczekaj z osądami, aż zobaczysz całe ukończone dzieło. Wtedy porozmawiamy.

- Gównu, nie dzieło! A z tym Manuelem, to miałeś zwykły fart i wykorzystaleś go, aby odwrócić od siebie naszą uwagę. Nie myśl, że jesteś taki cwany. Zabrałeś kolejne niewinne istoty z tego świata, myśląc, że jesteś pieprzonym zbawcą ludzkości. Tylko po co?

- Jonie Milton, gdy to się stanie, zobaczysz, jak ludzie wtedy to docenią. I mimo że ledwo to pojmą, to na pewno nie zapomną przez długi czas. Uwierz mi, agencie, będziesz w centrum, tak jak byłeś w Meksyku.

- Świr jebany kręci coś, Cane, i tyle. Sam wierzy w to gówno, o którym mówi i pewnie liczy, że nam zwieje. Zrozum, psycholu, nikt cię nie zapamięta. Raczej mnie, jeśli zabiłeś chłopca, to masz akurat pewne. Lepiej powiedz, gdzie on jest, zanim będzie za późno. Tak będzie prościej i oszczędzisz nam wszystkim czasu.

Milton wciąż nie dawał za wygraną. Próbował w jakikolwiek sposób sprowokować podejrzanego, aby pękł i ujawnił, co zrobił z Jonem Belly.

- Mylisz się co do tego, kogo zapamiętają ludzie. Będą mówić o nas dwóch nieustannie. Nie znasz jeszcze prawdy, dlatego tak łatwo wyciągasz wnioski.

Samochód ponownie mocno podskoczył, tym razem na przejeździe przez tory kolejowe.

- Po co ten pośpiech i ta dzisiejsza jazda, skoro mówisz, że zamordowałeś wszystkich, nawet niewinnego, mającego przed sobą kawał życia, pięciolatka? - Detektyw spytał wprost bardzo opanowanym głosem.

Podejrzany nic nie odpowiedział.

Minęło kilkanaście kolejnych minut jazdy na zachód dwupasmówką numer czternaście, gdy detektyw spytał mężczyznę o konkretny punkt, do którego zmierzali.

- Dobra. Gadaj, dokąd jedziemy - powiedział, zatrzymując się przed znakiem stop.

- Już niedaleko, jeszcze kilka mil tą główną drogą.

- Tak, Cane, jedźmy szybciej, bo zaraz każę ci się zatrzymać i sam wyduszę z niego to, co nam potrzebne.

- Sam, Jonie Milton? - Podejrzany spojrzał w boczną szybę samochodu. - Nie do wiary, jak łatwo jest kłamać. Ja również nie mogę się doczekać, kiedy zobaczycie to, nad czym pracowałem ostatnio, a wierz mi, agencie, z pewnością jest to coś specjalnego - dodał.

- Dobra, mądralo, będę stał tuż obok, więc nie zapomnij mnie poinformować, że to już się dzieje. Nie chcę czegoś przeoczyć, zanim znowu cię wpakuję do celi na wieczność.

- Zobacysz, Jonie Miltonie, zobacysz i zaufaj mi, będziesz sam wiedział, że to już finał.

Cane i Milton zastanawiali się, co takiego jeszcze przygotował ten zwyrodnialec oprócz pokazania im miejsca, gdzie

ukrył ostatnie zwłoki. Czy Jon Belly wciąż żył? Czy przypadkiem podejrzany nie zwodził ich oraz celowo odciągał od przesłuchania?

Policyjny śmigłowiec leciał w sporej odległości od samochodu. Pilot na bieżąco informował dowódcę w departamencie

o przebiegu akcji, a ten przekazywał to pozostałym osobom przebywającym z nim w pomieszczeniu.

W aucie zapanowała cisza. Zaczął padać lekki deszcz. Zwiastowało to coś niepokojącego. Detektyw coraz mocniej zaciskał dłonie na kole kierownicy, natomiast Milton wyjął z kieszeni marynarki batona, rozpieczętował go i zaczął powoli jeść. Chciał odwrócić uwagę i ukryć swoje zdenerwowanie. Podejrzany w tym czasie siedział z tyłu i patrzył spokojnie przez przednią szybę, nie wykazywał żadnych oznak niepokoju. Plan, który wdrożył, podążał wyznaczonym przez niego kursem. Od czasu do czasu mężczyźni mierzyli się wzrokiem. Detektyw poprawił wsteczne lustro, aby jeszcze lepiej widzieć twarz podejrzanego.

- Co cię tak cieszy? - zapytał.

- Nic. Niedługo dojeżdżamy - odpowiedział podejrzany, spoglądając w prawą stronę przez szybę w samochodzie.

*

Komisarz oraz prokurator kręcili się nerwowo po pokoju dowodzenia. Zdawali sobie sprawę, że niepowodzenie akcji obniży ich notowania na obecnych stanowiskach. Natomiast adwokat mógł się spodziewać, że znajdzie się na zasiłku dla bezrobotnych, jeśli będzie miał oczywiście szczęście i wyrozumiałego sędziego na rozprawie. Szef departamentu jako jedyny wykazywał spokój.

Helikopter leciał w sporej odległości. Mimo to w aucie słyszeli jego pracujące łopatki wirnika, gdyż znajdowali się w pozamiejskiej ciszy, bez wielkiego zgiełku towarzyszącego im w metropolii.

- Poruszają się tą samą drogą - poinformował pilot przez radio.

- Dobra, nie zgubcie ich. Wszystko ma być pod kontrolą -

odpowiedział dowódca jednostki.

Śmigłowiec trzymał się teraz prawej strony samochodu jadącego na północny zachód. Dookoła rozpościerały się jedynie puste pola. Wzdłuż drogi były poprowadzone linie energetyczne i telefoniczne na drewnianych słupach.

Samochód nie zwalniał ani na chwilę. Detektyw panował nad nerwami, ale wiedział, że czas odgrywał dużą rolę, a znamienna cisza świadczyła, że wulkan lada chwila wybuchnie. Nawet nie poznał do tej pory imienia podejrzanego. Był dla niego niczym zjawa z najgorszego snu; takiego, przed którym każdy ucieka i nikt nie odważyłby się zmrużyć oka, aby przypadkiem nie zasnąć. Spojrzał ponownie we wsteczne lustro. Twarz pospolita, włosy kruczoczarne, obcięte krótko i zaczesane do tyłu. Można by pomyśleć, że jada na przejażdżkę z normalnym człowiekiem, gdyby nie ten jednoczęściowy ubiór i kajdanki. Mężczyzna był opanowany i w swym wyglądzie niczym nie wyróżniał się od zwykłych ludzi, których można spotkać na ulicy każdego dnia. Jednak jego czyny kontrastowały na tle tłumu i plasowały go wśród najokrutniejszych znanych morderców świata. Milton ponownie odwrócił się w stronę podejrzanego.

- Wiesz, myślę tak już od kilku minut i próbuję coś zrozumieć. Może ty mi w tym pomożesz? - Milton po raz kolejny spróbował wciągnąć mężczyznę w rozmowę, chcąc uzyskać od niego potrzebne informacje.

- Pytaj, agencie, jestem jak otwarta księga.

- Zastanawia mnie, czy zostaliśmy wybrani razem z detektywem do twojego chorego, pozbawionego racjonalnych wyjaśnień planu tak, jak każda z pozostałych ofiar.

- Dowiesz się niebawem i nie bądź próżny w swoich osądach.

- Nie bardzo rozumiem, bo nie widzę tu próżności z mojej

strony. Ale w dużym stopniu ciekawi mnie, czy ktoś tak obłąkany wie, że jest psychicznie chory.

- Chory?

- No tak. Na przykład: budzisz się rano i patrzysz, a tu kupa gówna leży na łóżku, a ty zaczynasz się przy tym masturbować. To powiedz, tylko szczerze: zdajesz sobie sprawę, że jesteś porąbany, czy może myślisz, że to normalne i każdy tak ma? Daj spokój, mów, nie wstydz się... Gdzie zostawiłeś malca?

- Ładnie to rozgryź, inteligentny z siebie człowiek, agencie Miltonie - skomentował podejrzany z szyderczym uśmiechem na twarzy.

- Dziękuję, popaprańcu! Ty raczej nie należysz do tego grona ludzi z rozumem. - Milton prowokował kolejny raz w nadziei na wydobyć z niego choć strzępka informacji o chłopcu.

- Jednak ci odpowiem - podejrzany przysunął się odrobinę do kraty oddzielającej go od kierowcy i pasażera. - Dobrze jest wszystko tłumaczyć chorobą, wygodnie jest przypiąć łatkę chorego popaprańca. Nie spodziewałem się, że to zrozumiesz. Myślę, że ty nigdy się nie nauczysz, nawet na własnych błędach, agencie Miltonie. Dlatego to przez ciebie i tobie podobnym inni ponoszą konsekwencje. Może i chłopiec.

- Niech ci będzie, ale lepiej dla ciebie, żeby był cały... - odpowiedział krótko Milton.

- Widzę, że nie zauważasz pewnych oczywistych sprzeczności w swoim rozumowaniu. - Detektyw wtrącił się, gdyż przeczuwał, dokąd zmierzała ta słowna potyczka.

Spostrzegł w Miltonie narastające szybko napięcie, które było przeciwieństwem zachowania podejrzanego.

- To znaczy, detektywie? Co za sprzeczność masz na myśli?

- Dobrze, że pytasz o konkrety.

Detektyw spojrział we wsteczne lusterko samochodu. Milton przez swoje lewe ramię także obrzucał wzrokiem podejrzanego.

- Sadzę, że skoro uważasz, że zostałeś wybrany przez jakąś siłę wyższą, a inaczej sobie nie umiem wytłumaczyć twojego zachowania, to naprawdę dziwne, że czerpiesz z tego tyle przyjemności, torturując każdą z ofiar do granic jej wytrzymałości. Prawda, Milton? - rzekł detektyw.

- O tak, nie widzę tu nic poza psycholem i popaprańcem wierzącym w jakieś własne gówno... Gdyby nie to, że zależy mi na chłopcu i mam nadzieję, że on wciąż żyje, rozjechałbym mu bez zastanowienia ten chory łeb i wrzucił ścierwo do rowu. O tu, popatrz, pojebie - wskazał ręką na rów wzdłuż drogi.

- Doskonale, agencie, może będziesz miał ku temu okazję i spełnisz daną teraz obietnicę.

- Oj, lepiej dla ciebie, żeby Jon żył. Uwierz mi, ja też potrafię zadawać ból, a tu nie ma nikogo, kto powstrzymałby mnie przed tym. Może nie zauważyłeś, jak sam wyprowadziłeś się na to odludzie.

- Może tak chciałem, nie pomyślałeś? Wiedz jednak, że wciąż ci ufam i trzymam za dane słowo, do ostatniej twojej obietnicy. Przyznam, że wątpię, czy bawiłem się kiedykolwiek lepiej z każdą z kobiet, którą wyprawiałem na tamten świat, niż ty bawiłbyś się ze mną, gdybym faktycznie zabił chłopca.

- Obyś go, kurwa, nie zamordował! Bo chyba nie zdajesz sobie sprawy, do czego jestem zdolny.

- No, powiedz! Chciałbyś mnie dorwać sam na sam. Chciałbyś być bezkarny, pozbawiony tej chorej dyscypliny i przepisów. Mógłbyś ponownie zabijać bez konsekwencji tak jak w Meksyku. Łatwo było strzelić kobiecie w serce?

- Kurwa, skąd o tym tyle wiesz?

- Przecież wspominałem ci o rozmowie z dość hojnym, acz umierającym, Meksykaninem.

- A niby na co zdycha ta kanalia? A już wiem, na to samo co ty. Psychol i morderca w jednej osobie skazany na zastrzyk z trucizny. No to zdechniecie w małym pokoju, gdzie nikt nie zlituje się nad wami i nikt już nie pomoże. Jak śmierć zajrzy wam w oczy, to będziecie błagać o wybaczenie i litość. Ale ani jedno, ani drugie nie nadejdzie, uwierz mi.

- Zastanów się, agencie... Po co Manuel przyjechał osobiście do Nowego Jorku i tak ryzykował? Odpowiem ci od razu, byś nie wysiłał się za mocno. Ma nieuleczalnego guza mózgu, dlatego chciał popatrzeć na własne oczy, jak zbierają twoje resztki ze ściany motelu. Nie wiedziałeś o tym, prawda? Jednak ważniejsze jest to, za jakie informacje zapłacił mi sowicie. Bo dziesięć tysięcy dolarów to chyba sporo, nie sądzisz?

- Cane, ja pierdołę, ale psychol! Przecież dorwaliśmy go już, nie zauważyłeś popaprańcu? Siedzi w stanowym i czeka na śmierć. A ty nigdy nie zdążysz wydać forsy, którą od niego dostałeś.

Detektyw skrzętnie zanotował w swojej głowie wiadomości, które usłyszał. Zauważył również, że jego partner przeoczył pewien, podany przez podejrzanego, fakt. Wszystko zaczęło nabierać jaśniejszych barw. Mężczyzna spojrzął na niego i uśmiechnął się delikatnie, po czym kontynuował dalej rozmowę.

- Pamiętasz wyraz twarzy chłopca w Meksyku? Siedział z tyłu w samochodzie.

- Myślisz, że ranisz moje uczucia tymi swoimi bredniami? Musiałem wtedy strzelić, a ty nie masz o tym pojęcia. Bo skąd masz niby wiedzieć, jak to jest ratować czyjeś życie, skoro je tylko bezsensownie odbierasz?

- Co w tym złego, że człowiek lubi swoją pracę, prawda,

detektywie? Nie będę cię oceniać, Jonie Miltonie, a ty nie oceniaj mnie. Nic przecież złego w tym, że karzemy grzeszników i obracamy grzech przeciw nim samym.

- Chwileczkę, byłem przekonany, że zabijasz niewinne osoby. Czym niby zawiniły te kobiety, by tak cierpieć i ponieść śmierć? A chłopiec też był grzeszny? Też go zamordowałeś?

- Niewinne? To chyba taki żart z twojej strony? - powiedział podejrzany, natychmiast zmieniając wyraz twarzy.

Momentalnie złość i nienawiść uzewnętrzniły się na jego obliczu. Przekrzywił głowę na bok, chcąc rozluźnić napięte mięśnie szyi. Opanowując już swoje emocje, kontynuował rozmowę.

- Jedna to blond zdzira, która zostawiła dziecko na pastwę sióstr w zakonie. Wiedziałaś, co one tam robią dzieciom? Te zboczone, chore kruki? Inna, wiecznie zajęta mamuśka, tylko kim? Chłopami z barów. Dzieciak utopił się w wannie, kiedy baraszkowała z barmanem w pokoju obok. Sprawa umorzona. Wasza robota. Wypadek! Tak działa to wasze chore prawo!

- Dobra, daruj sobie tę swoją gównianą gadkę. Zauważyłem już, że uważasz się za zbawcę i sędziego w jednej osobie - wtrącił detektyw.

- Wszystkie te kurwy były winne. Śmiertelne grzechy są popełniane na każdym rogu, a wy to tolerujecie? Tłumaczycie wszystko tym, że jest to powszechne. Dzieje się tak na okrągło, w każdej rodzinie. Nawet u gliniarzy, niby tak porządnych, z nienaganną opinią jak wy dwaj.

- Ja nie mam rodziny.

- Masz, Jonie Miltonie. Tylko o tym nie wiesz. Będziecie analizować na wiele sposobów każdy mój czyn i sprawicie, że moja praca nie pójdzie na marne. Z czasem, gdy dorosną obecnie pokrzywdzeni, to sami osądzą tych, którzy zabrali im bliskich.

Także ciebie, Jonie Miltonie. Ja dałem przykład innym, a wam nauczkę, by sprawiedliwość była dla każdego taka sama, a nie tylko dla tych wybranych.

- Cane, zauważyłeś? To znowu ta jego mania boskości - wyraził opinię Milton.

- Agencie Miltonie, powinienes mi szczególnie podziękować - powiedział mężczyzna.

- Tak? A niby za co?

- Bo staniesz się teraz sławny i zostaniesz doceniony za wszystko, łącznie z zamordowaniem matki na oczach dziesięciolatka. Manuel opowiadał mi o tym twoim dokonaniu.

- Co ty bredzisz?! Ratowałem życie swojego partnera! A ta wystraszona kobieta popełniła błąd.

- Bredzę? To dlaczego jestem tu z własnego wyboru?

- Nie, na pewno nie jesteś! - zaprzeczył stanowczo detektyw.

- Tak sądzisz, detektywie?

- Tak, w końcu i tak byśmy cię dopadli. Jak każdego. Miałem już z takimi typami do czynienia, zawsze popełniacie jakiś błąd.

- Niebawale! Naprawdę w to wierzysz? Taki doświadczony policjant z tyloma zasługami... To co właściwie robiliście do tej pory? Czekaliście na odpowiedni moment czy może ryzykowaliście życie kolejnych kobiet? A może chcieliście też poświęcić tego chłopca, Jona Belly'ego? Tak, już rozumiem, na to właśnie obaj czekaliście.

Detektyw słuchał i zarazem obserwował Milтона, który wydawał mu się dziwnie spokojny podczas rozmowy z podejrzanym. Zupełnie jakby był w letargu. Nawet nie zareagował na wymienienie imienia chłopca. Najwyraźniej przez chwilę odpłynął myślami gdzieś indziej. Zdawało się, że podejrzany osiągał swój cel. Sprawił, że Milton powrócił do przeszłości

i wydarzeń z nią związanych. Mężczyzna nie milczał już, był bardzo otwarty. Wciągał obu policjantów w coraz głębszą wymianę zdań.

- Pojmij detektywie: gdyby nie ja, te meksykańskie typy już dawno upolowałyby tego twojego partnera i jego śliczną narzeczoną. Nieprawdaż?

- Stul pysk! - wrzasnął detektyw.

Te słowa bardzo wzburzyły aresztowanego, poprawił się na tylnym siedzeniu i po chwili przysunął głowę do przodu. Dotknął twarzą kraty zamontowanej pośrodku, która oddzielała go od detektywa i Milтона.

- Na pewno chcesz, bym milczał?

- Uciszyć się ty gnido, ani słowa więcej! Jedyne, co możesz powiedzieć, to gdzie mam jechać, jasne?! Jeśli blefowałeś, to pożałujesz. Sam zostawię cię tu, w tym rowie!

Milton jedynie przysłuchiwał się temu przedstawieniu. Wreszcie nie wytrzymał i walnął pięścią w kratę. Podejrzany otrzymał nią mocno w twarz. Odchylił się od razu do tyłu i ponownie oparł o siedzenie. Przetarł rękawem usta, gdyż pojawiła się na nich krew.

- Nareszcie doczekałem się eskalacji, prawdziwego charakteru agenta Jona Milтона, bo już myślałem, że zostawiłeś go w domu! - odpowiedział przekornie podejrzany, po czym splunął krwią na podłogę w aucie.

- Zaraz każę Cane'owi zatrzymać samochód, bo dłużej nie zniosę tej paplaniny, i pogadamy sobie na poważnie, sam na sam - powiedział mocno zdenerwowany Milton.

- Znowu to twoje kłamstwo! Sam? - wycedził cicho podejrzany, wskazując palcem na boczną szybę auta.

Domyślił się, że mieli ogon, gdyż helikopter leciał za nimi, już od dłuższego czasu trzymając mniejszy dystans.

- Zdaje się, że już prawie cię mieliśmy u kowala. Zapomniałeś?
- wtrącił detektyw.

- Zgadza się, detektywie, a ja strzeliłem do ciebie i niewiele brakowało, a byłbyś martwy. A ty, Jonie Miltonie, zapamiętaj, nie znasz dnia ani godziny, ale śmierć zapuka do ciebie.

- Tym bardziej nie masz pojęcia, po kogo ona przyjdzie, narwańcu.

Przestępca znowu przysunął twarz do kraty. To była kolejna prowokacja z jego strony.

- Nie pogrywaj ze mną! - odpowiedział krótko wzburzony Milton.

- Żyjesz tylko dlatego, że tak chciałem, agencie. Mogłem cię rozjechać vanem u kowala. Uwierz mi, miałem taką ochotę. Jemu się upiekło, niewielka ranka. Udo nadal boli, detektywie? - podejrzany przyłożył lewą rękę do kraty, dając jasno do zrozumienia, do kogo skierowane było pytanie.

- Gówno prawda! Ledwo mnie drasnąłeś. Uspokój się wreszcie i oprzyj o swoje siedzenie, no już!

- Tak, tak, spokojnie detektywie, już siedzę grzecznie - powiedział mężczyzna. - Jonie Miltonie, człowieku noszący imię zaginionego chłopca, gdy będziesz spoglądał w lustro, za każdym razem wspomnisz, co dla ciebie zrobiłem. Myśl o tym przez resztę swojego nędznego życia.

- Siedź tam, kurwa, i zamknij mordę! - dodał ponownie detektyw, gdyż powoli rozgryzał zamiary podejrzanego.

- Nie zapominaj, masz to swoje życie, gdyż pozwoliłem ci na nie i zdecydowałem za ciebie, jak ma wyglądać - kontynuował mężczyzna.

Milton ponownie odwrócił się w stronę podejrzanego.

- Jesteś nikim, kurwa! Jutro dostaniesz dożywocie i wszyscy

będą mieli w dupie te twoje nauki czy jak tam to zwiesz. Żaden z ciebie mesjasz, a tym bardziej sędzia. Stałeś się jedynie katem mordującym osoby, o których tak naprawdę nic nie wiedziałeś. Poza rodzinami zamordowanych nikt nie będzie ciebie pamiętać. Ja wrócę do mojej dziewczyny i będę normalnie żyć w przeciwieństwie do ciebie. Ty z wyrokiem śmierci będziesz gnić w celi, oczekując swojego ostatniego posiłku. Potem przyjdą po ciebie i położą na stole. Zaśniesz na wieczność w bólach. Wcześniej jednak będziesz żałować swoich zbrodniczych czynów, których się dopuściłeś. Uwierz mi, w dniu śmierci człowiek widzi i myśli inaczej.

- Oszczędziłem cię, zapamiętaj to, agencie Miltonie.

- Oprzyj się wreszcie, ty pieprzony świrze, i zamknij mordę! Mam dość twoich bredni! - wykrzyczał głośno Milton w kierunku mężczyzny.

Detektyw w tym czasie milczał. Zaczęło do niego docierać, że osobnik siedzący z tyłu zaplanował wszystko, także tę irytującą, wymykającą się niejednokrotnie spod kontroli dyskusję z jego partnerem. Zerkał co chwilę we wsteczne lustro i wciąż dostrzegał dziwne zadowolenie malujące się na twarzy podejrzanego. Niestety nie mógł powiedzieć tego samego o Miltonie.

Nadal podążali samochodem w nieznanym kierunku. Ponownie, po jakiś piętnastu minutach jazdy, podejrzanym zaczął kontynuować swoją osobliwą pogawędkę. Tym razem zwrócił się do obu policjantów.

- Nie proście mnie, żebym żałował tych kobiet. Nie były niczym innym niż rozpustnicy w Sodomie, a sam Bóg zesłał na nich oczyszczenie za grzechy.

- Czy to znaczy, że to, co uczyniłeś, było dziełem Boga? -

zapytał detektyw.

- Co jest, kurwa?! Cane, wieziemy tu samozwańczego wybawiciela! - wtrącił Milton.

- Niezbadane są wyroki boskie, a ja nie jestem żadnym zbawicielem.

- To w takim razie kim jesteś? - spytał detektyw.

- Zaraz wszystko zrozumiesz, detektywie - podejrzany odpowiedział i w milczeniu wpatrywał się w plecy Milтона, który zauważył, że dojeżdżają do granicy lasu. To nie była wymarzona sceneria w obecnej sytuacji.

- Co kombinujesz? - zapytał detektyw, spoglądając w lusterko.

Podejrzany jednak nie odpowiedział mu na to pytanie. Wydawał się bardzo spokojny.

*

Tymczasem helikopter wzniósł się jeszcze wyżej, by lepiej widzieć teren przed jadącym samochodem.

- Przed nami granica lasu, dojadą tam za jakąś minutę. Możemy mieć utrudnione widzenie - poinformował pilot swojego dowódcę w departamencie.

- Dobra, mamy to na mapie. Tuż za lasem jest małe miasteczko - odpowiedział mu przez radio dowódca Carter.

- Widzimy. Jakies dwie mile lasu, a dalej mała miejscina. Ta droga, którą jadą, biegnie przez to miasto dalej na północny zachód - poinformował pilot.

Po chwili dostał informację z dowództwa.

- To prawie wymarłe miasto, ale zachowajcie ostrożność. Jest tam tylko jedna główna ulica, niewielu mieszkańców. Może jedynie przejadą przez tę okolicę. Poruszają się dalej na ślepo, według wskazówek podejrzanego. Czekać na dalsze rozkazy - usłyszał

pilot z dowództwa.

- Tak, widzimy. Pojedyncze domki. Cmentarz i kościół po prawej, niewiele więcej - zakomunikował pilot.

Helikopter zaczął zbliżać się do miasteczka.

- Obleć jeszcze ten teren! - poprosił komandos będący na pokładzie.

- Na razie nie widać żadnego ruchu w okolicy - zakomunikował pilot.

- Zawróć i trzymaj się blisko nich - poinformował dowódca na pokładzie.

Samochód z podejrzanym zwolnił na jego prośbę.

- Znacznie zwolnili - rzekł po chwili komandos, nadając na osobnym kanale.

- Dobra, miej ich cały czas na oku. Prawdopodobnie zmierzają do tego miejsca. Snajper ma czekać w gotowości, jak opuszczą auto. Macie zielone światło, gdy tylko zauważycie cokolwiek odchodzącego od normy. Nie ma prawa zwiać, a tym bardziej narazić życia funkcjonariuszy, rozumiałeś? - zakomunikował dowódca operacji.

Wkrótce miało się rozstrzygnąć, czy decyzja dotycząca umowy zawartej z podejrzanym była słusznym posunięciem.

Samochód minął las i poruszał się z niewielką prędkością.

- Skręć tu, detektywie. - Podejrzanym wskazał skutymi rękoma w prawą stronę. Cane przyhamował autem i zjechał na skrzyżowaniu w utwardzoną drogę. Domyślał się, że prowadziła do centrum miasteczka. Po dosłownie chwili, opanowanym głosem, mężczyzna poprosił, aby detektyw zatrzymał auto. Ten zahamował dość gwałtownie i wiatr poderwał tuman kurzu z mało uczęszczanej ulicy.

- Co dalej? - spytał Milton.

- Nic.

- Jak to nic? Na coś czekasz? - zapytał znowu Milton i rozglądał się dookoła.

Po obu stronach ulicy znajdowało się kilka drewnianych domów. Były dość mocno zniszczone. Podejrzany także wpatrywał się w okolice, a następnie w jeden biały domek ogrodzony drewnianym płotem połamanym w kilku miejscach.

- Podjedź tam, widzisz wjazd na cmentarz? - Podejrzany pokazał skutymi rękoma, opierając dłonie o szybę w drzwiach auta.

Samochód ruszył naprzód i po chwili skręcił we wskazanym kierunku. Był teraz zaledwie kilkadziesiąt metrów od głównej bramy cmentarza, która znajdowała się na wprost nich. Brama była szeroko otwarta oraz mocno pordzewiała, musiała przez lata nie widzieć farby. Wzdłuż centralnej alei spostrzegli mnóstwo zniszczonych grobów. Wysokie drzewa rosły w wielu miejscach. Ponury plac ukazywał przeszłość miasteczka. Na cmentarzu panowała cisza i pustka. Samochód dojechał do bramy.

- Zatrzymaj się! To tu jechaliśmy! - usłyszeli krótki komunikat z ust podejrzanego.

- Siedź, Milton! Wyjdę pierwszy.

Detektyw Cane otworzył drzwi auta i bardzo ostrożnie wysiadł. Noga po postrzale w udo wciąż pobolewała, gdy na nią stawał, szczególnie po tak długim bezruchu w podróży.

- Cane, widzisz coś?

- Nic! Ani żywego ducha.

- Co tu robimy? - Milton zapytał podejrzanego.

Mężczyzna jednak tylko patrzył przed siebie, w kierunku przedniej szyby w aucie.

- Pusto, wyprowadź go! - powiedział detektyw.

Milton opuścił pojazd i podszedł do tylnych drzwi, po czym je otworzył. Detektyw obserwował teren, ale zerkał także na podejrzanego. Helikopter wisiał w powietrzu w niedużej odległości, czekając w pogotowiu. Obaj detektywi nie znali prawdziwych zamiarów człowieka, którego musieli utrzymać przy życiu przynajmniej do czasu odnalezienia chłopca.

- Wychodź, pośpiesz się! - ponaglił go Milton.

Podejrzany wysiadł z samochodu i poczuł znany mu zapach świeżego powietrza dochodzący z pobliskiego lasu. Deszcz w tej okolicy już nie padał, a słońce dawało niezłe ciepło jak na tę porę roku.

- Stój! Czekaj tu! Ani mi się waż stąd ruszyć! - Milton stanął za podejrzanym i schwycił go prawą ręką za przedramię.

Detektyw ruszył naprzód i wszedł przez otwartą bramę na teren cmentarza. Zatrzymał się po kilku krokach.

- Piękna pogoda jak na koniec października. Rozpogodziło się wyjątkowo. O świcie było tu dużo paskudniej - powiedział podejrzany z ironią w głosie.

- Dobra, mów gdzie Jon! Bo przysięgam, że jeśli go tu zakopałeś, to żywcem cię pochowam w jednym z tych starych grobów.

- Już niedługo go odzyskasz i uwierz mi, będziesz z tego zadowolony.

- Prowadź, zanim całkowicie stracę cierpliwość.

- Tędy, agencie Miltonie! - podejrzany ruszył i wskazał skutymi rękoma kierunek na wprost.

Szedł jako pierwszy, a za nim podążał Milton. Detektyw poczekał, aż obaj go minęli i także ruszył za nimi. Trzymał się kilka kroków z tyłu.

Dowódca i kilka osób przebywających z nim w departamencie mocno się niepokoiłi.

- Widzisz ich? - spytał pilota przez radio.

- Tak, na razie idą prosto cmentarną aleją, ale mamy słaby widok. Mnóstwo drzew na tym cmentarzysku.

- Obserwuj wszystko dookoła, coś mi tu nie pasuje - przekazał polecenie dowódca Carter.

- Zaraz, ktoś się pojawił! - zakomunikował pilot.

- Co? - zdziwił się dowódca.

- Mamy ruch! Powtarzam, ktoś oprócz nich jest na cmentarzu.

- Pilot przekazał informację.

*

Detektyw w tym momencie także spostrzegł nieznanego mężczyznę.

- Stój, Milton! Zatrzymaj się! Ktoś tam jest!

- Co jest? Kurwa, kto to? - spytał Milton, patrząc na podejrzanego.

- Mnie nie pytaj, ty jesteś agentem.

Milton cofnął się krok do tyłu i wyjął pistolet. Bez zastanowienia wycelował w podejrzanego. Detektyw przyglądał się nieznanemu mężczyźnie, który na pierwsze spojrzenie wyglądał grubo po siedemdziesiątce, a oddalony był od nich o kilkanaście metrów. Wykonywał swoją pracę, nie zwracając uwagi na to, co działo się dookoła. Grabił liście między alejami i grobami. Podejrzany ruszył dalej bez pytania, jakby wiedział, kim był ten niezajomy starszy pan.

- Stój! Dokąd idziesz, ty kanalio? - krzyknął Milton.

Wszyscy znajdowali się już dobre trzydzieści metrów od bramy cmentarnej.

- Cholera, Cane, sprawdź go! - zasugerował Milton partnerowi.

- Trzymaj go na muszce. On to zaplanował - poinformował detektyw.

- Klękaj! No już! - ponownie krzyknął Milton.

Podejrzany tylko patrzył i w spokoju obserwował całe powstałe zamieszanie.

- Ziemia! - Milton popchnął ręką podejrzanego, który padł na kolana.

- Pilnuj go! - Detektyw ruszył wolno w stronę starszego mężczyzny. Szedł pomiędzy nagrobkami.

- Hej, słyszy mnie pan? - krzyknął z odległości kilku metrów do starca.

Mężczyzna odwrócił się i spojrzał w kierunku detektywa. Zachowywał się, jakby co dopiero go zauważył.

- Coś się stało? W czymś pomóc? - zapytał mocno ochrypniętym głosem.

- Kim jesteś? - zapytał detektyw.

- Głośniej! Głuchy prawie jestem. Czego pan chce?

Detektyw podszedł do nieznanego.

- Znasz tego mężczyznę? - wskazał ręką na podejrzanego.

- Nie.

- Grabarzem jesteś?

- Tak, od urodzenia tu mieszkam. Pracuję w parafii od małego.

- Przyjrzyj się mu. Nikogo ci nie przypomina?

- Głuchy jestem, a nie ślepy. Mówiłem, że nie znam człowieka. Gębę kojarzę. Stał rano przed otwarciem bramy o tam, gdzie ten czarny samochód. - Starzec wskazał ręką stronę bramy cmentarnej.

- Rozmawiałeś z nim? Czego chciał?

Starszy mężczyzna oparł grabie o stojącą koło niego taczkę i ruszył między grobami.

- Chodź pan! Na co czekasz? Pokażę, po co przyjechał.

Detektyw spojrzał na Milтона. Następnie poszedł za starcem w stronę wskazanej mogiły, poruszając się między grobami.

- Tu przyszedł i ja wiem, z pół godziny, może trochę więcej wpatrywał się w ten grób. Zdążyłem w tym czasie te gałęzie na kupę poukładać. - Mężczyzna wskazał ręką w przeciwną stronę.

- Wiesz, kto jest tutaj pochowany? - spytał detektyw, gdyż poza wbitym w ziemię krzyżem nic tam nie było.

- To bezimienny grób i niepoświęcony. Samobójca, ale w parafii będą mieli informację, kogo tu zasypano. Z tego co kojarzę, facet nie pochodził stąd.

- To świeża ziemia! Ty ją dziś tu usypałeś? - spostrzegł detektyw.

- Faktycznie, teraz zauważyłem to dopiero.

Cane kucnął i delikatnie rozgarnął odrobinę ziemi. Od razu tuż pod powierzchnią wyczuł, że coś było przysypane. Wstał i spojrzał w stronę Milтона.

- Dobra, niech pan stąd odejdzie i nie wpuszcza tu tych ludzi. - Detektyw wskazał ręką na kilka osób znajdujących się za ogrodzeniem cmentarza.

Starzec o nic więcej nie pytał, tylko wolnym krokiem się oddalił. Detektyw gołymi rękoma odgarniał ziemię. Chwilę trwało nim dostrzegł to, do czego próbował się dokopać. Zwykle tekturowe pudełko, podobne do tych po butach. Było owinięte folią i przewiązane sznurkiem jak prezent na gwiazdkę. Wyjął je, zrzucając resztki ziemi, po czym postawił przed sobą.

*

Pilot połączył się ponownie z departamentem.

- Sprawdziliście, czy jest tam jakiś stróż prawa w tym miasteczku? - zapytał dowódcę.

- Tak, jest szeryf - odpowiedział dowodzący akcją z departamentu.

- Dobra, bo coraz większy tłok się tu robi. Pojedyncze osoby zaczynają się kręcić przed ogrodzeniem cmentarza.

Śmigłowiec zniżył się nieco, aby mieć lepszy widok na cały cmentarz i okolice wokół.

- Już rozmawiamy z szeryfem. Zaraz spróbuje ich stamtąd odsunąć.

- Przyjąłem - odpowiedział pilot.

*

W tym momencie podejrzany zwrócił się do Milтона.

- Poszedł, co? Zostaliśmy sami, Jonie Milton, nie licząc tych ludzi tam - wskazał ręką na kilka postronnych osób i helikopter.

- Mów wreszcie, gdzie Jon i pozostałe zamordowane kobiety. Inni to mnie mało obchodzą. A to raczej niedobrze dla ciebie wróży.

- Tak uważasz, a ja myślę wręcz przeciwnie. Mamy teraz trochę czasu na pogadanie.

Detektyw Cane spojrzał w stronę partnera. Wiedział, że musiał wykonać kolejny ruch. Podniósł się i przez moment wpatrywał w postawione na ziemi pudełko, zawahał się na chwilę. Ogarnął myśli i sięgnął do tylnej kieszeni spodni. Wyjął swój mały, rozkładany scyzoryk. Przykucnął ponownie przed pakunkiem. Dokładnie jeszcze obejrzał przedmiot z każdej strony, po czym rozciął sznurek i zdjął folię. Delikatnie rozciął też boki pudełka, które były oklejone szarą taśmą.

- No jak tam, Jonie Miltonie? Ciekawy jesteś, co znalazł detektyw? - powiedział podejrzany, widząc, jak detektyw walczy z taśmą.

Milton zrobił krok w stronę partnera. Jednak dzieliło ich dobre kilkadziesiąt metrów. Wiedział, że niczego nie dojrzy z tego miejsca.

- Nieźle się zachowałeś wtedy w Meksyku. Szyba reakcja. Strzał i koniec. Powinieneś być z siebie dumny, nie sądzisz?

- Zamknij się, gnoju! - Milton zrobił kolejne dwa kroki w stronę detektywa. Przeczucie zaczynało mu podpowiadać, że coś było nie tak.

- Agent DEA, niedoszły ojciec... Matka twojego dziecka, która pozwoliła ci odejść, oddała twego syna. Po to są te wasze domy ojca.

- Co?

- Nie wiesz? A miałeś być taki bystry!

Milton patrzył już tylko na podejrzanego.

- Mów, kurwa, gdzie Jon i nie bredź!

- Ha! Okłamała cię, jak każda. Mówiłem, że mi podziękujesz. Twój dzieciak się urodził i żyje gdzieś tam w tym popapranym świecie bez zasad.

- Zamknij się, kurwa, i nie kłam!

Milton podszedł i wymierzył bronią prosto w głowę podejrzanego. Stał dosłownie metr od niego.

- Ja kłamię? Tak naprawdę uważasz?

- Kłamiesz, kurwa, głupoty gadasz! Mój syn się nie urodził, Jessica poroniła, a ty nic o tym nie wiesz! Zmyślasz i tyle. Gadaj, gdzie zostawiłeś chłopca, bo rozjebię ci ten pusty łeb, tu, na oczach ciekawskich!

- Tak? To śmiało! Nigdy nie dowiesz się prawdy od ukochanej.

Milton ponownie spojrział w stronę detektywa, tak jakby chciał zobaczyć, nad czym tak klęczał.

Detektyw w tym momencie uchylił delikatnie scyzorykiem jeden z boków pudełka.

- O Boże! - zawołał na głos, odsuwając się raptownie do tyłu.

To, co zobaczył, odebrało mu mowę. Spojrział jeszcze raz do środka, gdyż chciał się upewnić, że to nie było złudzeniem. Wewnątrz znajdowała się odcięta tuż za nadgarstkiem ludzka dłoń. Na jednym palcu miała widoczny tatuaż. Obrączka z kwiatów, a dokładnie przeplatane ze sobą róże w kolorze czarnym i czerwonym. Detektyw rozpoznał od razu ten charakterystyczny malunek. Wiedział, która dziewczyna zrobiła go sobie i w jakim celu. Wstał i spojrział w kierunku partnera, który mierzył pistoletem prosto w podejrzanego. Milton również patrzył w jego stronę.

Detektyw z ledwością łapał kolejny oddech. Sięgnął ręką do kieszeni i wyjął bawełnianą chustkę. Kucnął i nakrył nią odciętą dłoń. Zamknął boki pudełka, zdjął z siebie marynarkę i przykrył nią znalezisko. Ruszył powoli w stronę Milтона.

Podejrzany też obserwował całe swoje misternie przygotowane przedstawienie i wciąż szyderczo się uśmiechał.

- Już się zaczęło. Zobacz, jak zbliża się prawda i wybawienie.

- Dla kogo, ty kłamliwa kanalio?

- Milton opuść broń! - zawołał z daleka detektyw i zaczął biec w ich kierunku, mocno utykając na jedną nogę.

- Co? - krzyknął do niego Milton.

- Opuść, do cholery, broń! - wrzasnął ponownie.

- Piękne życie miałeś, Jonie Miltonie, ale narzeczoną spapraną jak te inne, martwe grzesznice. Sprawiedliwość dosięga każdego, tłumaczyłem ci, tylko nie chciałeś uważnie słuchać.

Milton popatrzył w twarz człowiekowi, który próbował nim manipulować. Nie rozumiał tylko, co chciał tym osiągnąć.

- Skąd wiesz o dziecku? Dlaczego kłamiesz? Mój syn umarł, zanim się urodził. I co ma wspólnego z tym wszystkim Jessica?

- Tak? To co jest w pudełku, agencie Miltonie?

- Co ty, kurwa, gadasz?! Co tam zostawiłeś?

- Nic wyjątkowego. Wystarczyła mi krótka rozmowa z nią i wszystko mi powiedziała o twoim małym synu.

Detektyw wciąż biegł i zmęczył się już mocno, ale Milton nie zwracał teraz na niego uwagi. Słowa o jego synku i Jessice wstrząsnęły nim do głębi. Podszedł dosłownie na krok do podejrzanego. Ten wciąż klęczał na gołej, cmentarnej ziemi, a głowę trzymał wysoko, spoglądając prosto na Milтона.

- Widzisz, jak łatwo zostać wybrańcem?

- Milton, rzuć broń! - krzyknął kolejny raz detektyw.

Miał wciąż nadzieję, że zdąży i zniweczy cały misterny plan podejrzanego. W tym momencie zobaczył, że Milton opuścił broń i trzymał pistolet w jednej ręce. Stał nad mężczyzną nieruchomo jak zahipnotyzowany.

Milton próbował poskładać wszystko w jedną całość. Podejrzany natomiast nie przerywał i opowiadał dalej.

- Wiesz, odwiedziłem jej mieszkanie, gdy ty bawiłeś się w stróża prawa razem z detektywem i łapałeś moją meksykańską przynętę.

- Opuść broń! Milton, nie słuchaj go! - Detektyw nie ustawał i wołał do partnera.

Milton poczuł oddech śmierci wydobywający się z ust podejrzanego.

- Zabawiłem się w policjanta. Spróbowałem posmakować życia takiego typu jak ty, bez zasad i odpowiedzialności; takiego typu,

który strzela matkom w plecy, a jego kobieta bezkarnie niszczy życie własnemu dziecku i jego ojcu, oddając pociechę do adopcji lub gorzej, do innych miejsc pozbawionych ludzkich uczuć.

- Milton, rzuć broń, do cholery! - Detektyw nie dawał za wygraną. Potknął się i upadł kilka kroków od nich.

- Co jej, kurwa, zrobiłeś?! - zapytał po chwili Milton.

- A jak myślisz, co tu zostawiłem?

- Mów, kurwa, co tam jest!

Detektyw, kulejąc, dotarł na miejsce i stanął dosłownie dwa metry od obydwu mężczyzn. Twarz podejrzanego zrobiła się poważna. Wyraźnie widać było, że czuł zadowolenie z tego, jak dokonał czegoś, co nikomu nie mogło się nawet przyśnić.

- Nie słuchaj go, Milton! Oddaj broń i odsuń się! Oni są gotowi cię zastrzelić. Podejrzanym nie jest uzbrojony. To będzie morderstwo - powiedział detektyw do Milтона, spoglądając na helikopter. Po chwili zwrócił się do podejrzanego. - A ty milcz, kanalio!

- Nie, dokończę to, co zacząłem. Niech wie, detektywie. Najpierw wpadłem i przywitałem się z tą starą, kłamliwą suką, a następnie zabrałem tę twoją blond dziewczynę na przejażdżkę.

Miltonowi ból w sercu zamieniał się momentalnie w furję.

- Cane, o czym on, do cholery, mówi?! Co tam znalazłeś? Co on zrobił Jessice?

- Oddaj broń, Milton. To tylko puste pudełko. - Detektyw wyciągnął rękę w stronę partnera.

- Cane! Co się dzieje?! Gdzie jest Jon?! Co zrobiłeś Jessice?! Dzwonię do niej natychmiast!

- Oddaj pistolet, proszę cię. To nie czas na telefon.

Milton zaczął chodzić w kółko dookoła podejrzanego. Myśli kłębiły mu się w głowie. Ból i strach łączyło jedno: niepewność.

Pistolet wciąż trzymał opuszczony bezwładnie.

- Co jest w tym cholernym pudełku? - Milton domagał się odpowiedzi, powtarzając pytanie po raz kolejny.

- Módl się, Jonie Milton, gdyż tylko to ci zostało w twoim samotnym, pozbawionym rodziny życiu.

- Co tam jest, do cholery?!

- Powiedziałem ci, agencie bez zasad. Przywiozłem ci twoją ukochaną w to miejsce, spójrz! - podejrzany skierował wzrok na nagrobek, gdzie stała łopata oparta o wbity w ziemię drewniany krzyż. - Przekop całe to cmentarzysko, centymetr po centymetrze, to znajdziesz każdy następny kawałek jej grzesznego ciała i resztę tych niby niewinnych, których krew miałem dziś rano na swoich rękach.

- Zamknij się wreszcie! Kłamiesz! Urodziłeś się kłamliwym potworem i takim zdechniesz!

Milton podszedł i mocno uderzył podejrzanego ręką, w której trzymał pistolet. Mężczyzna z rozciętym łukiem brwiowym i wargą upadł twarzą na ziemię.

- Strzelaj! Na co czekasz? - zachęcał go, plując krwią.

- Odsuń się od niego, Milton! Spójrz, on właśnie tego pragnie. Zaplanował to od samego początku. Po to nas tu ściągnął.

- Cane, powiedz, że to nieprawda co mówił. Powiedz, że Jessice nic nie jest!

- Odłóż broń Milton, proszę cię!

- Powiedz, że nic jej nie jest. No powiedz to, Cane! - Milton ponownie zwrócił się do detektywa.

- Bądź jak wtedy w Meksyku, działaj bez wahania. Wymierz sprawiedliwość - słyszał kolejne słowa wypowiedane przez podejrzanego.

- Mów, że nic jej nie jest! Bo go, kurwa, rozwalę!

- Milton, jeśli go zabijesz, wszystko zaprzepaścisz. Trafisz za kratki. A Jon? On nadal może żyć. Pomyśl o nim.

- Znajdę go sam, jeśli wciąż żyje.

- Błagała o życie, Jonie Miltonie. To jej skomlenie, kiedy ją krzyżowałem, naprawdę coś niewyobrażalnie pięknego - szeptała mężczyzna, a słowa odbijały się echem w głowie Milтона.

- Zamknij się! - krzyknął detektyw.

Milton podszedł do człowieka, który właśnie przyznał się do kolejnej zbrodni, spojrzał mu w twarz i zdał sobie sprawę, że dla niego to był koniec.

- Chciała żyć, by dać ci ponownie małe szczęście. Powiedziała, że wie, gdzie jest twój syn i chciała go odzyskać, stworzyć na nowo utraconą rodzinę.

Detektyw kopnął podejrzanego mocno w bok, by wreszcie zamilkł. Jon Milton stał na wprost niego. Opuścił głowę, nawet nie patrząc na tę kanię bez serca i żadnego uczucia.

- Och, nie wiedziałeś, że możesz go mieć? Znowu kolejna tajemnica zachowana przez blond dziwkę. Wybacz, agencie, że pozbawiłem cię możliwości posiadania szczęśliwej rodziny!

Detektyw właśnie zrozumiał, że teraz decyzję podejmie już tylko jego partner. Milton podniósł wzrok i wycelował pistolet prosto w głowę podejrzanego. Stał się tym, który decydował o życiu i śmierci; stał się okrutnym kostuchą i miał teraz przed sobą największego okrutnika, który jeszcze chodził po ziemi. Tym razem nie chodziło o to, by uratować żyjących jak wtedy w Meksyku, ale o to, by pomścić martwych, wymierzając sprawiedliwość. To on teraz decydował, jak to zakończyć. Milton spojrzał mordercy w oczy, zrobił krok do przodu i przystawił lufę prosto do jego czaszki. Patrzył teraz tylko na niego, reszta przestała istnieć. Detektyw zamarł i spojrzał w kierunku snajpera.

Milczał chwilę, licząc, że nikt nie wystrzeli w ich stronę.

- Milton, jeżeli strzelisz, on zwycięży! - powtórzył detektyw.

- Boże! Boże, gdzie byłeś i czemuś na to pozwolił? Nie znalazłeś dla nas litości, ja zaś nie umiem znaleźć w sobie przebaczenia - powiedział Milton.

Cofnął się dwa kroki w tył. Spojrzał na detektywa i ponownie wycelował w podejrzanego. Helikopter wisiał w powietrzu, a snajper mierzył w ich stronę. Słyszeli całą rozmowę przez nadajniki. Podejrzany zamilkł i zamknął oczy, a Milton znowu podszedł do niego ma metr. Po kilku sekundach powoli opuścił rękę z pistoletem. Stał w miejscu nad mordercą, nie odrywając od niego wzroku. Myślami wrócił do Jessiki, ich dziecka, a potem do akcji w Meksyku. Wiedział, że znowu wszystko spieprzył i już tego nie odwróci. Szybkim ruchem uniósł broń do góry i strzelił mężczyźnie prosto w głowę. Ciało opadło do tyłu, wciąż jakby klęcząc.

- Kurwa, on go zastrzelił! - poinformował przez radio jeden z funkcjonariuszy z helikoptera.

- Kogo? - krzyknął dowódca Carter w departamencie.

- Podejrzany nie żyje! - usłyszeli kolejną krótką informację.

Milton stał nieruchomo, po czym schował spokojnie broń do kabury. Detektyw tylko patrzył, zdał sobie sprawę, że już dawno stracił kontrolę nad całą sytuacją.

- Sprowadźcie psy, natychmiast! - Detektyw zwrócił się do ludzi w helikopterze przez radio.

Domyślał się, że gdzieś tu mogły znajdować się ciała ostatnich ofiar. Jaki inny cel miałyby jechanie na to cmentarzysko? Jednostka w helikopterze odleciała. Nikt poza Miltonem nie wystrzelił, a on wciąż stał w bezruchu. Patrzył na martwe ciało mężczyzny. Dopiero nadjeżdżające radiowozy i wycie policyjnych syren

sprawiło, że ocknął się z zamyślenia, wracając do świata żywych, choć miejsce, w którym obecnie się znajdował, należało do tych, którzy już odeszli.

Policyjne samochody dojeżdżały do cmentarza. Milton ruszył w stronę grobu, gdzie wcześniej stał detektyw.

- Zaczekaj! Tam nie pójdziesz, oni się tym zajmą.

Detektyw powstrzymał go przed oglądaniem czegoś, co i tak by już nic nie zmieniło.

- Odnajdę Jona, jeśli żyje. Uwierz mi, Cane. - Milton, mówiąc te słowa, spojrzął po raz ostatni na martwego zwyrodnialca, przez którego stał się katem.

- Tak, poradzimy sobie. Psy z ludźmi mają być za jakieś dwie godziny, zdążą jeszcze przed zmrokiem przeszukać ten teren i kawał pobliskiego lasu - rzekł detektyw.

- W porządku, ale wątpię, by coś znaleźli. On go nie zabił. Jess też tu nie ma. Nikogo tu nie ma. Specjalnie sprowadził nas w to miejsce, z dala od miasta, aby nikt i nic nie mogło mnie powstrzymać. Chciał, żebym to ja wykonał na nim wyrok. Z pewnością znał te okolice.

- Chodź, zbieramy się już!

- Cane, on wszystko zaplanował, to dlatego się poddał i podpisał oświadczenia o przyznaniu do winy. On nie chciał żyć - dokończył swoje rozważania Milton, po czym ruszył w kierunku samochodu, którym obaj z detektywem oraz podejrzanym przyjechali do tego miasteczka.

Zaraz za wejściem po prawej stronie policjanci zabezpieczali przy grobie ludzkie szczątki. Detektyw jeszcze chwilę popatrzył na martwe ciało mężczyzny. Towarzyszyło mu obrzydzenie i nie miał w sobie żadnego współczucia dla tak niehumanitarnej istoty.

Służby zakończyły czynności w terenie, zanim zapadł całkowity

zmrok. Psy nie pochwyciły żadnego tropu, a co za tym idzie, Jon Belly wciąż pozostawał zaginiony. Przeszukanie tego miejsca wymagało pracy przez kilka kolejnych dni. Może odnajdą szczątki, o których mówił podejrzany.

Detektyw, będąc w drodze do Nowego Jorku, powiadomił odrębną jednostkę, która miała obserwować teren przed mieszkaniem Jessiki. Wiedział, że przebywała tam matka dziewczyny, gdyż potwierdził tę informację jeden z policjantów, który zadzwonił na podany przez niego numer telefonu. Rachel dopytywała się kilkakrotnie funkcjonariusza o córkę, gdyż była zmartwiona, że nadal nie wróciła do domu. Policjant jednak nic jej nie przekazał. Poprosił, aby cierpliwie czekała na detektywa Cane'a.

Milton czuł, że rozpadł się na drobne kawałki. Nie był w stanie racjonalnie myśleć. Wypierał wiadomość o śmierci ukochanej, wciąż wydawało mu się, że zaraz zadzwoni do niego i wszystko będzie jak ostatnio; wróci do domu, a ona będzie na niego czekać i robić mu wykłady, że znowu późno przychodzi. Może to tylko zły sen – pomyślał, lecz potem zerknął na milczącego detektywa siedzącego za kierownicą i wiedział, że to jednak wydarzyło się naprawdę.

Zaczął zbierać siły na ostatnią rozmowę z Rachel. Musiał przekazać jej tragiczną wiadomość. Dla siebie nie widział już żadnej nadziei. Zastanawiał się tylko gdzie i kiedy popełnił błąd, który odebrał mu miłość jego życia. Detektyw Cane również obarczał się winą. Przegrał tę sprawę i była to jego najgorsza porażka w życiu.

Auto zatrzymało się przed kamienicą na Manhattanie. Milton otworzył drzwi, by wysiąść. Wtem detektyw pochwycił go za ramię.

- Przeczytałeś wiadomość?

- Nie - odpowiedział krótko i wyjął telefon z kieszeni.

Nic nie powiedział, tylko oczy wypełniły mu się łzami. „Kocham Cię, zaraz się widzimy” - wiadomość nadana przez Jessicę tuż przed północą.

- Wejść z tobą - zaproponował detektyw, który również widział, co napisała dziewczyna.

- Sam to zrobię - odpowiedział Milton ledwo słyszalnym głosem.

- Nie, idę z tobą! Jessica była ważną osobą nie tylko dla ciebie - dodał detektyw.

Deszcz lał niemiłosiernie. Wyglądało, jakby intensywnie lecące z nieba ogromne łzy chciały zmyć ostatni grzech sprawcy, a także porażkę dwóch stojących na chodniku policjantów. Jednak nawet największa ulewa nie była w stanie tego zrobić. Weszli schodami na górę. Ręce Miltona trzęsły się, nie potrafił włożyć kluczy do zamka. Detektyw wziął je z jego rąk i sam otworzył. Pchnął delikatnie drzwi do mieszkania dziewczyny.

- Córcia, to ty? - zawołała matka dziewczyny.

Milton w ciszy wszedł do pokoju, a detektyw Cane tuż za nim. Kobieta siedziała w fotelu i trzymała na kolanach śpiącego chłopca.

- Jon? - wyszeptał Milton.

- Cicho, śpi! Gdzie Jessica? Sądziłam, że jest z tobą i razem wrócić. Policjant przyprowadził tutaj chłopca, a Jessica pojechała podpisać papiery, żeby mały mógł zostać na noc, tak jak prosiłeś. Dzwoniłam tyle razy, ale jej komórka milczy.

Obaj panowie spojrzeli po sobie. Maluch otworzył oczy. Uśmiechnął się na widok Miltona.

- Chodź, bohaterze! - Milton kucnął i wyciągnął do niego ręce.

Jon momentalnie zszedł z kolan Rachel i wtulił się w swego

przyjaciela.

- Wiedziałem, że mnie nie zostawisz! Kocham cię, wujku. Gdzie jest mama? Odnalazłeś ją?

Łzy popłynęły Miltonowi z oczu. Rachel wpatrywała się na zmianę w obu mężczyzn i nawet nie drgnęła z fotela. Była matką i serce podpowiadało jej najgorsze. Mimo to nie chciała dopuścić tej samej myśli do siebie, jeżeli chodziło o jej córkę.

- Rachel, proszę, pójdz ze mną do kuchni - odezwał się detektyw.

Kobieta podniosła się i od razu osunęła z powrotem na fotel. Podparła się ręką o jego rant i mimo kolejnego wysiłku już nie wstała. Jej serce nie wytrzymało, waliło jak oszalałe, chcąc wyrwać się z piersi. Chciała jednak usłyszeć na głos słowa, które wydawały się tak naprawdę zbędne. Powoli gasła nadzieja w jej matczynym sercu.

- Nie, Cane, weź Jona. Leć, Duży, ja muszę... - Milton urwał w pół zdania. Detektyw ujął dłoń chłopca i udał się z nim do kuchni. Wiedział, że to jego partner powinien przekazać matce Jessiki wiadomość o jej śmierci. W salonie detektyw nie słyszał krzyków tylko długi przeraźliwy jęk i jedno powtarzane na okrągło słowo.

- Nie, nie, nie...

Potem dźwięk mocnego uderzenia dłonią w twarz.

Milton wiedział, że na to zasłużył. Swoim powrotem zabił Jessicę i odebrał matce jedyną córkę.

ROZDZIAŁ XXIV

Jon Belly przebywał z Miltonem w mieszkaniu Jessiki od kilkunastu godzin. Jak się okazało, milczał przez cały czas pobytu z Rachel, aż do momentu pojawienia się Milтона. Obecnie poczuł się trochę swobodniej i zaczął bawić się kociakiem dziewczyny, a po wizycie w szpitalu udali się razem na krótki spacer do pobliskiego parku. Rana po odciętym palcu zaczęła goić się szybciej, gdyż chłopiec otrzymał odpowiednie antybiotyki. Wraz z tym ustawał również ból.

Śledztwo wciąż nie zostało zamknięte. Należało odnaleźć ciała zamordowanych kobiet, aby matki, ojcowie i rodziny mogły złożyć je do grobu. Milton na razie nie odszedł z wydziału i każdego dnia sumiennie pełnił swoją służbę. Musieli zakończyć z detektywem wszystkie sprawy.

Matka Jessiki przyznała się w końcu do kłamstwa dotyczącego jego pierworodnego syna, lecz odmówiła jakiegokolwiek pomocy w odnalezieniu dziecka. Dodała, że tamtą decyzję podjęła dla dobra swojej córki. Natomiast jego faktycznie okłamała, gdyż chciała ukarać go w ten sposób za to, co uczynił jej jedynaczce, pozostawiając samą w ciąży. Milton jednak nie dał za wygraną

i szybko odnalazł tego, kto adoptował jego synka. Okazało się, że rodzina zastępcza mieszkała ponad dwieście mil od Nowego Jorku.

Rankiem zadzwonił telefon. Detektyw przekazał Miltonowi informację, na którą czekali przez ostatnie dni. zaproponował, że po niego wpadnie i go zabierze, ale Milton i tym razem wolał dotrzeć metrem pod wskazany adres.

Na czas nieobecności Miltona w domu chłopcem zajmowała się wynajęta opiekunka.

- Zostaniesz dzisiaj z Katherine, dobrze? - zwrócił się do Jona, gdy malec już się obudził i oglądał jakiś kanał dla dzieci, leżąc na łóżku.

- Dziś jest sobota, to po co idziesz do pracy?

- Muszę, Jon! Detektyw dzwonił, to pilna sprawa.

- Dobra, wujku, zostanę z Katherine. Bardzo ją lubię. Zrobimy dziś Kociakowi tor przeszkód, a na mecie ustawimy picie w nagrodę.

Milton uśmiechnął się. Opiekunka dotarła w niecałą godzinę. Widać, że lubiła zajmować się chłopcem. Miała dwadzieścia jeden lat i często dorabiała jako niania w czasie wolnym od uczelni.

- Zaraz wychodzę, Katherine. Zróbcie sobie jakiś deser, a po obiedzie idźcie na spacer.

- Dobrze, panie Milton, poradzę sobie jak zawsze.

- Katherine, wrócę pewnie późno wieczorem, więc nie martwcie się o mnie. Połóż go spać i sama odpocznij. Pa, Jon, trzymaj się, Duży.

Milton uściskał malca. Następnie, nie oglądając się, wyszedł. Trzasnął drzwiami i zbiegał po schodach. Dotarł metrem na odpowiednią stację, z której miał dojść pod wskazany adres. Na samą myśl nogi ugięły mu się w kolanach. Za chwilę ujrzy coś, co dręczyło go każdej nieprzespanej nocy. Deszcz wydawał się

ponownie płakać na znak żałoby. Gdy wyszedł z podziemi, zacinał mu prosto w twarz i nie widać było, że w kącikach oczu pojawiły się łzy.

Detektyw czekał już na miejscu i stał przy samym wejściu do budynku mieszkalnego. Schronił się przed ulewą pod małym zadaszeniem. Kolejni policjanci zabezpieczali teren wokół bloku jak i w jego wnętrzu. Milton spostrzegł go od razu.

- Cześć, jak się trzymasz? Na pewno chcesz tam wejść? - zapytał detektyw partnera.

- Cześć! Nawet mnie nie pytaj! Muszę to zrobić.

- Dobra, to idziemy. Nie ma na co czekać. Właściciel lokalu obok zadzwonił do nas, bo wyczuł strasznie nieprzyjemny zapach, który mu przeszkadzał. Nasi są już w środku, podobno makabryczny widok. Czas i wysoka temperatura w mieszkaniu zrobiły też swoje. Dasz radę? Chcesz to oglądać? - Detektyw upewnił się jeszcze raz.

Jednak Milton milczał i tylko pokonywał kolejne schody. Drzwi do mieszkania na siódmym piętrze apartamentu były otwarte na pełną szerokość.

- Na wprost, detektywie! - powiedział jeden z policjantów przed wejściem, wskazując kierunek dłonią.

Milton wszedł pierwszy, ale stanął w korytarzu i obejrzał się jeszcze na partnera.

- To na pewno ona?

- Raczej tak. Mamy tu wszystkie jej dokumenty i ubrania. Ręka odcięta w tym samym miejscu. Poczekamy jeszcze na konkretną analizę badań DNA. Słuchaj, to nie będzie miły widok. Ciało jest mocno okaleczone i w bardzo złym stanie.

Milton ruszył dalej korytarzem, mijając pierwszy pokój i dalej łazienkę. Wszedł do niedużego pomieszczenia znajdującego się na

lewo od drzwi wejściowych.

- O Boże! - Tyle wydobył z siebie, ujrzawszy zwłoki dziewczyny.

Ciało młodej kobiety było przybite gwoździami do podłogi, owinięte przezroczystą folią i pozbawione prawej dłoni. Ogrzewanie było włączone na najwyższą temperaturę, więc w mieszkaniu było wręcz upalnie, a zapachu nie dało się pomylić z niczym innym. Widok cierpienia kogoś, kogo obaj znali, a jeden na pewno kochał, był nie do zniesienia. Milton milczał przez dłuższy czas pobytu w pomieszczeniu. Po wszystkich czynnościach obejrzał zwłoki i wyszedł. Był twardy, ale czy aż tak? Zwymiotował na dworze. Usiadł na mokrym chodniku i schował twarz w dłoniach. Deszcz padał i zdawał się płakać razem z nim, lecz nie chciał zmyć cierpienia rozrywającego jego duszę. Ofiary nie dało się rozpoznać, była zbyt mocno zmasakrowana. Jednak blond włosy i charakterystyczny tatuaż na plecach zdradzały, kim była. Morderca zostawił im również na stole dokumenty i ubranie kobiety, by nie mieli co do tego wątpliwości. Należały do Jessiki Christensen.

Milton pożegnał detektywa i udał się po drodze do baru, aby choć na chwilę wymazać ostatni widok z pamięci. Barman nalewał mu burbon, kieliszek za kieliszkiem, i nie dopytywał klienta, z jakiego powodu potrzebował takich ilości alkoholu. Wygląd mężczyzny mówił mu wiele.

Milton wyszedł z lokalu odrobinę wstawiony. Nogi siłą woli wykonywały ruch, niemrawo nosząc go po ulicach miasta aż do świtu. Rano, siedząc w parku na ławce, postanowił zadzwonić do Rachel. Przekazał jej, że znaleźli ciało Jessiki w pewnym mieszkaniu. Mimo przygnębiających wieści kobieta poczuła pewną ulgę, gdyż mogła pochować ukochaną córkę. Nie wszystkie rodziny

miały taką możliwość.

Milton wrócił do domu pieszo. Wszedł po cichu, aby nikogo nie zbudzić. Katherine spała w dużym pokoju obok chłopca. Dziewczyna domyślała się, co sprawiło, że wyszedł do pracy w sobotę i nie wrócił na noc.

Milton zrobił sobie śniadanie w kuchni. Otworzył lodówkę i wyjął jeszcze puszkę kocięj karmy. Nasypał kotu do miski, gdyż pupił łasił się i upominał o swoją porcję.

W tym czasie dziewczyna uchyliła powieki i ostrożnie podniosła się z łóżka, ponieważ nie chciała zbudzić śpiącego chłopca. Weszła po cichu do kuchni.

- Dzień dobry. Jak się pan trzyma? Znaleźliście Jessicę, tak?

- Cześć, Katherine. Możesz mówić mi po imieniu, Jon jestem - podał jej rękę, nie odpowiadając na zadane wcześniej pytanie. - Tak będzie wiele łatwiej. Mam do ciebie jeszcze prośbę, czy mogłabyś zostać dziś na trochę dłużej? Bo nie czuję się najlepiej. Siadaj, napij się ze mną? - powiedział, po czym wskazał ręką na butelkę mleka stojącą na blacie.

- Dziękuję, wolę kawę. Coś musi postawić mnie na nogi. Jon długo nie mógł zasnąć i miał koszmary w nocy.

- Martwił się pewnie, dużo ostatnio przeszedł. Za dużo jak na takiego malca. Muszę ci jeszcze coś powiedzieć, chciałem jutro jechać w pewne miejsce, więc...

- Chcesz zobaczyć syna. - Dziewczyna bardziej stwierdziła, niż zapytała, gdyż wspominał jej o tym, że go znalazł.

- Tak, mam nadzieję, że go odzyskam. Muszę zobaczyć go jak najszybciej. Chociaż na chwilę.

- Uda ci się! Wierz mi, pewnie nie takie rzeczy jeszcze zrobisz. Życie toczy się dalej. Masz dla kogo żyć, a Jonowi z pewnością przydałby się młodszy brat. Jak widać, czas nie czeka i pewnego

dnia przyjdzie kolejno po wszystkich, więc nie można oglądać się za siebie.

- Tak, masz rację, ale matki już nie odzyska - dodał Milton w zamyśleniu, po czym wstał i podszedł do okna w kuchni.

Spojrzał na ulicę, po której w obie strony mknęły samochody. Ulewa ustąpiła, a świat wyglądał tak samo, jak przed tą tragedią. Ludzie wciąż żyli, jakby nic się nie stało, jedni gdzieś się spieszyli, inni szli powoli chodnikiem. Milton miał dość już tej niesprawiedliwej tułaczki zafundowanej mu wcześniej przez kartel z Meksyku, a teraz przez mordercę, który myślał, że naprawia społeczeństwo.

Katherine na jego prośbę została dłużej i wyszła dopiero po południu. Jon dokazywał cały dzień wraz z kotkiem Jessiki. Bardzo przypadli sobie do gustu. Chłopiec zawsze marzył o prawdziwym zwierzaku i uwielbiał zabawy ze swoim nowym przyjacielem. Wtedy choć na chwilę zapominał o tym, co go spotkało.

Milton odpoczął przez ten czas, jednak ciężko było mu się pozbierać. Późnym popołudniem ubrał się i wyszedł z chłopcem na dwór. Udali się do pobliskiego kościoła. Nie liczyło się, jakiego był wyznania. Usiedli w ławce na samym końcu wśród wielu zgromadzonych ludzi. Milton słuchał uważnie każdego słowa kaznodziei i obserwował inne osoby przebywające wewnątrz budowli. Dostrzegał ich wiarę i oddanie Bogu. Sam jednak nie potrafił mu wybaczyć za to, co zesłał na niego. Wziął Jona za rękę i wyszli pod koniec mszy.

Wsiedli do żółtej taksówki i pojechali do parku rozrywki. Zjedli tam po hot-dogu i słodką watę cukrową. Miltonowi udało się celnie trafić w tarczę i zdobył pluszową zabawkę dla malca. Niedzielne popołudnie upłynęło im na zabawie i obaj chcieli, aby ten dzień trwał wiecznie.

W nocy Milton nie zmrużył oka nawet na moment. W poniedziałek Katherine przyjechała tuż przed siódmą rano, wedle umowy. Zabrała ze sobą walizkę z ubraniami i rzeczami osobistymi, gdyż wcześniej ją o to poprosił. Miało nie być go w domu przez kilka następnych dni.

Nie dzwonił do adopcyjnej rodziny jego syna. Nie chciał niepotrzebnie ich denerwować, wolał na spokojnie przedstawić się i porozmawiać na miejscu. Chłopiec był malutki i tak naprawdę nawet go nie znał.

Milton zszedł na dół. Machnął ręką na nadjeżdżającą taksówkę, po czym wsiadł do niej.

- Proszę na... - powiedział Milton do kierowcy, lecz sygnał telefonu dobiegający z kieszeni spodni przerwał mu rozmowę.

- Tak? To gdzie mam jechać, proszę pana? - spytał taksówkarz.

- Chwileczkę.

Detektyw wysłał mu jak zawsze krótką wiadomość SMS. Milton miał natychmiast zjawić się w departamencie policji, mimo że od dziś przebywał na urlopie. Zatem musiał zmienić swój plan. Taksówkarz z wprawą omijał poranne korki, więc droga zajęła dosłownie chwilę. Milton wbiegł do gmachu departamentu, mijając w holu kilku kolegów. Drzwi do biura detektywa otworzył z impetem, aż odbiły się od ściany.

- Co jest? - rzekł bez przywitania Milton.

- To nie jest ciało Jessiki! - odpowiedział mu detektyw, nie odrywając wzroku od ekranu komputera. W rękę trzymał jakieś papiery.

- Co ty pieprzysz?! - wzburzył się Milton.

- Siadaj i wysłuchaj mnie na spokojnie. Jessica miała inną grupę krwi niż ta zamordowana, której ciało znaleźliśmy w sobotę. Nadal czekamy na pozostałe analizy.

- Cane, tam były jej ubrania, dokumenty! Do tego dziewczyna miała identyczny tatuaż na plecach i odciętą prawą dłoń.

- Tak, ja też dałem się na to nabrać. Wybrał bardzo podobną dziewczynę. Pewnie porwał ją wcześniej i trzymał nieprzytomną do czasu, aż wrócił po zamordowaniu Jessiki i dopiero wtedy wytatuował jej identycznego skorpiona na plecach. Skopiował go, skurczybyk. Potem ją też zamordował, wrócił na cmentarz i stamtąd przyjechał do departamentu.

Milton usiadł w fotelu na wprost detektywa. Wziął leżące na biurku dokumenty z laboratorium. Przeskakiwał z linijki na linijkę, analizując ich treść.

Jeżeli to nie Jessica, to w takim razie gdzie znajdowało się ciało jego ukochanej? - Pytanie nasunęło się w myślach.

Detektyw wstał i nalał partnerowi czystej wódki. Milton wziął od niego szklankę, lecz odstawił na bok, zaaferowany najnowszymi informacjami.

- Posłuchaj! Skoro tatuaż był świeżo wykonany, to powinniśmy szukać gościa, który się na tym zna - powiedział Milton, wciąż trzymając protokół w ręku.

- Tak, wiem, popełniliśmy błąd. To gość robiący tatuaże. Prawdopodobnie miał taki zakład lub był zatrudniony u kogoś w tej branży. Dowiemy się, kim był. Już zleciłem chłopakom, aby sprawdzili wszystkie takie pracownie w mieście. Zajmują się tym od rana. Mamy jego zdjęcie, więc może uda się nam coś ustalić. A ty wiesz, gdzie Jessica zrobiła swoje tatuaże?

- Nie, poza tym pierwszym na palcu, który razem wykonaliśmy w Vegas.

- To nie pomoże. On musiał pracować w którymś z zakładów w Nowym Jorku. Mam takie przeczucie, ponieważ wszystkie zamordowane kobiety mieszkały tu na przestrzeni pięciu ostatnich

lat. Pewnie poznawał je w pracowni, może nawet brał od nich adresy.

- Cane, Jessicę wybrał przeze mnie, tego jestem pewien.

- Daj spokój! Nie zadręczaj się tym niepotrzebnie.

- Może i masz rację. Potwierdza to nasze wcześniejsze przypuszczenia, że wszystkim ofiarom wycinał kawałki skóry w miejscach, gdzie miały tatuaże. Jak sądzisz, po co w ogóle je usuwał?

- Sam tego nie wiem. Pojedziemy do rodziców Margaret Parker, jego czwartej ofiary, spróbujemy coś ustalić. Zaprzeczali na przesłuchaniach, podobnie jak i pozostałe rodziny, że dziewczyna miała tatuaż. Wszyscy wręcz upierali się, że ich córki nigdy nie zrobiłyby czegoś takiego. Tyle że pannie Parker, jako jedynej, wyciął tylko jeden kawałek. Zapytamy jeszcze raz, bo nie wierzę do końca w ich wersję. Chyba że sami nie mieli pojęcia, że dziewczyny to robiły. Gdzieś musiały je zrobić i to w konkretnej pracowni. Znajomych też przepytamy po raz kolejny. Zanim chłopaki przekopią to miasto, minie parę dni, jeśli w ogóle ktoś go zapamiętał i rozpozna ze zdjęcia. Dobra, zbierajmy się, Milton. Gdy ustalimy, gdzie panna Parker zrobiła tatuaż, to będziemy mieli jego dane. Wtedy przepytamy jego znajomych i przekopimy to miasto po fundamenty. Sprawdzimy każdą norę, w której mógł mieszkać i zostawić ciało Jessiki. Znajdziemy ją. Nie będzie jedną z wielu kolejnych ofiar tego miasta, których ciał nie odnaleziono.

ROZDZIAŁ XXV

Na dworze wypogadzało się z każdą upływającą minutą podróży. Początek listopada zapowiadał się cieplejszy niż ostatnie dni września i miniony październik. Detektyw pędził swoim odzyskanym niedawno cadillakiem do miasta Hackensack, gdzie mieszkała rodzina Margaret Parker. Dojechawszy na miejsce, zaparkował na wprost wejścia do rodzinnego domu państwa Parker, mieszczącego się w porządnej dzielnicy. Rodzice Margaret zostali uprzedzeni telefonicznie o tej wizycie. Ścieżka prowadząca do drzwi frontowych była starannie wyłożona kamienną, szarą kostką. Dookoła chodnika leżało kilka dziecięcych zabawek należących prawdopodobnie do ich wnuczki, dziecka młodszej córki Layli. Milton zaniemówił, gdy zobaczył ten widok. Wyobraził sobie w tym momencie swój rodzinny dom, który mógł stworzyć razem z Jessicą. Jednak wszystko przepadło bezpowrotnie.

Drzwi otworzyły się, zanim doszli na miejsce. Znany detektywowi niewysoki mężczyzna stanął w progu.

- Zapraszam panowie, czekamy z Susan.

- Witaj Hugh - odpowiedział detektyw, podając mężczyźnie rękę na powitanie.

Milton wszedł za nim i także przywitał się z gospodarzem tego domu. Detektyw przedstawił go jako swojego partnera z wydziału.

- Siadajcie! Susan zaraz przyjdzie.

Milton spoczął w salonie na dużym, ciemnozielonym, skórzanym narożniku. Obok niego usiadł detektyw. Hugh chwilę stał i czekał na małżonkę, która szła właśnie z tacą. Niosła na niej cztery filiżanki i dzbanek herbaty oraz talerzyk z pokrojonym na kawałki ciastem. Postawiła poczęstunek na małym stoliczku, który stał przed detektywem i Miltonem. Nalała gorącego napoju do filiżanek i usiadła w fotelu naprzeciwko gości. Hugh w tym momencie wyszedł bez słowa do innego pokoju i za chwilę wrócił. Trzymał w ręku zdjęcie przedstawiające jego córkę. Detektyw spojrzał na nie i od razu spostrzegł na wewnętrznej stronie uda dziewczyny wytatuowane imię „Lewis”, gdyż panna Parker była ubrana w krótkie spodenki. Jednak nie to przykuło uwagę detektywa najbardziej. Fotografie wykonano na tle salonu tatuaży. Szyld był niewidoczny, więc nie mogli dowiedzieć się od razu co to za zakład i gdzie mógł się mieścić. Liczyli jednak, że wystarczy ten fragment budynku i okolicy, aby mogli zlokalizować to miejsce. Milton wyjął swoją komórkę i zrobił zdjęcie fotografii, po czym wysłał niezwłocznie do departamentu, aby policja zawężyła swoje poszukiwania. Detektyw odwrócił fotografię. Tam odręcznie widniał napis: „Mój pierwszy tatuaż”, a pod nim data, która wskazywała, że wykonano go na niecały tydzień przed śmiercią dziewczyny. To także podpowiadało detektywowi, czemu tak bliska przyjaciółka jak panna Butler nie podała mu tej informacji na przesłuchaniach. Teraz zrozumiał, że mogła po prostu o tym jeszcze nie wiedzieć.

Państwo Parker przyznali w trakcie rozmowy, że znaleźli to zdjęcie w rzeczach Margaret kilka dni temu. Nie zdawali sobie

jednak sprawy, jak cenna była ta informacja i ile istnień mogła uratować. Podczas dalszej wymiany zdań okazało się, że dziewczyna pewnego dnia wyjechała bez słowa do Nowego Jorku i zamieszkała na Dolnym Manhattanie. Milczała ponad dwa lata, nie dając znaku życia. Pojawiła się ponownie w domu rodzinnym jakieś pół roku temu. Rodzice dowiedzieli się wtedy od córki, że była w ciąży i to skłoniło ją do podjęcia decyzji o przeprowadzce do wielkiego miasta. Przyznała im również, że nie chciała zostać samotną matką. Detektyw jednak znał inny powód ucieczki Margaret Parker i oddania przez kobietę dziecka do adopcji. Zdradziła mu to panna Butler na przesłuchaniu w departamencie.

Obaj panowie wracali już do Nowego Jorku, gdy na tylnym siedzeniu w kurtce detektywa odezwał się telefon. Sięgnął po niego jedną ręką i spojrzął na wyświetlacz.

- Kurwa! A ten czego chce? Mało spieprzył?!

- Kto? - zapytał Milton.

- Mój człowiek; ten sam, który sprawdzał nam Meksykanina - powiedział detektyw i przesunął palcem po zielonej słuchawce. - Co jest, że teraz dzwonisz?

- Mam ci coś do przekazania, Cane.

- Wiesz, że spieprzyłeś?!

- Nie spieprzyłem! Zrobiłem to, co mi kazali. Ja też mam rodzinę.

- Co ty, kurwa, gadasz?!

- Cane, zapieprzaj natychmiast do Manuela, rozumiesz? Mnie już nie ma po tej informacji - powiedział mężczyzna i od razu się rozłączył.

Dziwna rozmowa podniosła detektywowi momentalnie ciśnienie. Nie miał pojęcia, o co chodziło informatorowi, a w dodatku słyszał w tle czyjeś głosy z meksykańskim akcentem. Od

razu spowaźniał na twarzy i w złości rzucił telefon przed siebie na deskę rozdzielczą samochodu. Milton patrzył na niego, czekając na wyjaśnienia. Wjeżdżali już na kolejny wiadukt na Manhattanie. Pasy ruchu prowadziły w obie strony i nic poza namalowaną linią pośrodku ich nie rozdzielało. Nagle detektyw zaciągnął hamulec i cadillac zahamował gwałtownie. W tym czasie kierowca skręcił ostro kierownicą i prawie w miejscu zawrócił na przeciwny pas ruchu. Milton przytrzymał się ręką uchwyty nad głową. Potrzebowali jak najprędzej dostać się do więzienia stanowego.

- Co się dzieje, Cane?!

- Właśnie informator powiedział, że to nie koniec.

- Kurwa! W co ten twój koleś pogrywa? Chodzi o Jessicę, tak?

- Nie wiem do końca. Kazał jechać natychmiast do Manuela i wierz mi, nie zrobił tego dobrowolnie, ktoś go do tego zmusił. Dlatego nie oddzwonił i nie odbierał.

- Do stanowego? Dadzą nam z nim pomówić?

- Z tym nie będzie problemu. Dyrektor więzienia ma u mnie dług wdzięczności. Czas, by go spłacił. Porozmawiamy z więźniem nieoficjalnie.

- Myślisz, że Manuel przekaze nam informację o tym, gdzie jest ciało Jessiki?

- Nie mam pojęcia, czego on chce, ale minął już tydzień od jej zniknięcia. Jej ciało przecież musi gdzieś być.

Detektyw w trakcie jazdy wykonał telefon do więzienia stanowego, by zaaranżować spotkanie z więźniem.

Gdy dotarli na miejsce, dyrektor kazał przyprowadzić Manuela Markiza Diego Gonzaleza do swojego biura. Więzień został skuty kajdankami i doprowadzony w eskorcie dwóch funkcjonariuszy do wskazanego pomieszczenia. Posadzono go na drewnianej ławce, która stała tuż pod ścianą. Milton pierwszy wszedł do pokoju

i podał dyrektorowi rękę na powitanie, następnie stanął na wprost meksykańskiego bossa oraz przyglądał mu się chwilę. Detektyw Cane również przywitał się podobnie i usiadł na drewnianym krześle naprzeciwko biurka dyrektora. Sam dyrektor zaraz po krótkiej rozmowie wyszedł z pomieszczenia razem z dwoma pracownikami i zamknął za sobą drzwi. Milton podszedł do okna i wpatrywał się w okolicę.

- Mów, co masz do powiedzenia w sprawie Jessiki Christensen - zaczął detektyw, stojąc dosłownie metr od więźnia.

- Czekałem na was. Długo się grzebaliście. Facet się pomylił. - Manuel spojrział w kierunku Milтона, mówiąc te słowa.

- Z czym? - Detektyw pytał dalej.

- Z czasem. Mówił, że powinniście odkryć zwłoki po trzech dniach, w takim piekle, w jakim je zostawił.

- Chodzi ci o ogrzewanie i zapach rozkładających zwłok w mieszkaniu na Dolnym Manhattanie?

- Pewnie tak, szczegółów mi nie zdradził. Gównu mnie to obchodziło. U nas mamy lepsze sposoby na tych, co odmawiają współpracy.

Milton zaczął kręcić się nerwowo po pokoju. Nagle podszedł do siedzącego przestępcy. Popatrzył mu w oczy. Ten nawet nie drgnął, wytrzymując jego przenikliwy wzrok.

- Gdzie ona jest? Co zrobił z jej ciałem?

- Kto?

W tym momencie więzień otrzymał potężny cios w twarz z pięści Milтона. Zsunął się na podłogę. Detektyw posadził go ponownie na ławce i oparł plecami o ścianę.

- I po co ci to było? Mów, co wiesz i skończ tę zabawę. Wiem, że macie mojego informatora - rzekł detektyw.

Manuel otarł rękawem twarz z krwi i spojrział na Milтона.

- Sprawiedliwość powróciła. Każdego dosięga. Jej czas już minął, agencie DEA. Zapłaciła za twój błąd w moim kraju.

- Zbieramy się stąd, Milton. On jest już chorym trupem. A za to, co teraz zrobiłeś, uprzykrzą ci tu twoje ostatnie dni, sam będziesz chciał zdechnąć. Znajdę ją, Milton, bez jego kłamstw.

- Powodzenia! Ja i tak umieram.

- Tak, ale ja postaram się, by twoja śmierć była wyjątkowo bolesna i długa.

Detektyw po tych słowach skierował się w stronę drzwi. Gdy Milton ruszył za nim, mężczyzna odezwał się do nich.

- Chcecie znać prawdę?

Milton przystanął, a detektyw Cane domknął uchylone właśnie drzwi.

- Gadaj, czego chcesz i mów gdzie jest jej ciało - zapytał Milton.

- Jedno życzenie i powiem.

Milton podszedł do więźnia i wpatrywał mu się w oczy.

- Co tylko zechcesz, jeśli ją znajdę.

- Mój syn uwielbiał bawić się z matką. Kochał ją i szanował. Chciał dorastać pod jej opieką, chciał ożenić się i pokazać nam wnuki. Jednak pewnego popołudnia jakiś niedoszkolony agent zabrał mu najważniejszą dla niego osobę i on na to patrzył. Strzelił bezbronnej kobiecie w tył pleców jak zwykły tchórz.

W napięciu Milton z detektywem słuchali słów więźnia.

- Dobra, skończ, znam tę historię, ale wedle mnie to ona zginęła przez kanalię, którą jesteś ty sam. Przez swojego męża mordercę i gwałciciela kobiet oraz dzieci.

- Tak, może to i prawda. Tyle że ja robiłem to z konieczności. Taki rząd i kraj.

- Mów, czego chcesz i gdzie jest dziewczyna - zwrócił się do

niego detektyw, wciąż stojąc przy drzwiach.

Nie wierzył, aby ten przestępca zmienił się nagle w porządnego obywatela i powiedział im to, co chcieli usłyszeć.

- Chcę powiedzieć, że mój syn potrzebuje matki. Skoro mu ją zabrałeś, agencie Miltonie, to zapłaciłem temu waszemu psycholowi dziesięć tysięcy dolarów i ją kupiłem. Teraz ta inwalidka bez jednej ręki jest w moim domu i dwudziestu chłopaków rżnie ją na zmianę. Będzie służyć mojemu synowi do starości albo śmierci, zależy co przyjdzie pierwsze. To chciałeś wiedzieć, agencie DEA?

Detektyw Cane stał nieruchomo w swoim miejscu, gdy Milton jeszcze raz podszedł do okna. Wydawało się, że pogoda miała się zmienić. Robiło się ponownie pochmurno. Milton uchylił odrobinę okiennice.

- Kłamiesz! - powiedział Milton, wyglądając na zewnątrz.

- Może, ale nie masz pewności co do tego i będzie cię to dręczyło do końca twoich dni - powiedział więzień i zaśmiał się w głos.

- Załatwię ci taki koniec, o jakim nawet nie śniłeś! - dodał przez zęby detektyw.

- Czekam z niecierpliwością. A i jeszcze jedno... mój syn, gdy dorośnie, postara się abyś i ty, agencie Jonie Miltonie, stracił coś najcenniejszego; to, co próbujesz teraz odzyskać.

Te słowa obaj detektywi zrozumieli od razu. Milton nie potrzebował dalszych dopowiedzeń. Wydawało się, że ten człowiek miał także informacje o jego synku. Nie wiedział na pewno od kogo, ale to nie miało już znaczenia. Podszedł do więźnia i złapał go za ubranie tak, by ten musiał wstać.

- Źle zrobiłeś. Powinieneś być nauczyć się milczeć i nigdy nie grozić nikomu, kto przysięgał na flagę Stanów Zjednoczonych

bronić tego kraju przed takimi szmatławcami jak ty. Posłuchaj, zanim zdechniesz, oglądaj wszystkie wiadomości, detektyw Cane o to zadba, by ci pozwolili. Tam, któregoś dnia ujrzysz moją głowę i twojego syna w Stanach. Postaram się już o to. Wychowam go na porządnego obywatela USA. Z czasem dowie się, jakim szubrawcem był jego ojciec i będzie cię nienawidził za śmierć matki do końca swoich dni. Podoba ci się takie rozwiązanie, Manuelu? - Kończąc wypowiedź, Milton posadził osadzonego z powrotem na ławce.

- Nie uda ci się! On przejął już wszystko po mnie. Chronią go lepiej niż waszego zasranego prezydenta.

- Rozwalmy go od razu, Cane! Daj cynk dyrektorowi więzienia, żeby zdychał w męczarniach i powolutku. Niech nie doczeka procesu.

Detektyw podszedł do więźnia.

- Manuelu... Mogę tak do ciebie mówić? - Detektyw zwrócił się do osadzonego, lecz ten nie odpowiedział, tylko uważnie wpatrywał się w niego. - Znasz niejakiego Alejandro, pseudonim „Pies”?

Na twarzy więźnia pojawiło się momentalnie zaskoczenie. Milton nie rozumiał, w co pogrywa detektyw.

- Znam i co z tego? - odpowiedział po chwili zwłoki osadzony.

- To ja ci już wyjaśniam, frajerze. Pracuje od lat dla twojego wuja, zgadza się? To zrobimy tak, ty dasz nam informację o dziewczynie i jak ją wydostać z twojej willi bądź jeden mój telefon i *game over*. Spotykasz się zaraz z żoną po drugiej stronie i przyszłym małym mordercą, na którego pewnie wyrósłby twój jedenastoletni syn. Pasuje ci taki układ?

Więzień zrozumiał, że właśnie stracił swoją przewagę. Do końca nie miał pojęcia, kim był detektyw i skąd miał taką wiedzę.

Zależało mu jednak na życiu syna i najbliższych.

- Jedna prośba, detektywie... - zwrócił się opanowanym, ściszym głosem, patrząc tylko na Cane'a.

- Wal, zanim stracę swoją cierpliwość.

- Niech on wie, że kłamałem. Nie dwudziestu, a co najmniej stu brutalnych i pozbawionych współczucia mężczyzn gwałci tę dziwkę codziennie do czasu, aż zdechnie.

Tym razem to zaciśnięta pięść Cane'a z impetem powędrowała na twarz więźnia. Milton po raz ostatni spojrział jeszcze na Manuela i wyszedł z pokoju. Osadzony leżał na podłodze, plując krwią, ale mimo tego wciąż szyderczo się uśmiechał. Detektyw dołączył do partnera po jakiś dwudziestu minutach. Gdy wyszli za mury Milton spostrzegł, że ręce Cane'a miały mocno starty naskórek na kostkach. To mogło świadczyć tylko jedno: detektyw stracił cierpliwość, co zdarzało mu się rzadko.

*

Ciemne chmury wisiały nad okolicą. Detektyw pierwszy wgramolił się do cadillaca. Milton jeszcze dobre kilka minut stał przy samochodzie, jakby czekał, aż zacznie padać. Otworzył drzwi i zanim wsiadł, powiedział do detektywa.

- On kłamał. Nie ma jej. Jedyne co wiedział to o moim synu.

- Wsiadaj wreszcie, sprawdzimy dokładnie te informacje. Manuel powiedział mi, że...

- Dawaj! Cokolwiek wiesz! - Milton ponaglił partnera, po czym wsiadł do auta i trzasnął drzwiami, a detektyw ruszył z piskiem opon.

- Słuchaj, to co mam do powiedzenia na pewno ci się nie spodoba. Oni tam w motelu czekali na nas. Wiedzieli, że po nich przyjdziemy. Może nie znali dnia ani godziny, ale Manuel nie

zamierzał wracać do Meksyku. Chciał cię zabić za wszelką cenę. Ma aktualne informacje o całej twojej rodzinie. Wie, że teraz Jon przebywa z tobą. Zna dokładnie adres Jessiki, Rachel i wie wszystko o twoim synu. Rozumiesz? Nie mam pojęcia, skąd zna niektóre szczegóły. Prawie go tam zatłukłem na śmierć, żeby to z niego wydusić.

- Cane! Najprawdopodobniej o Jonie i ostatnich zwłokach powiedział mu morderca, wtajemniczając go w swoje plany. Stąd Manuel o tym wiedział. W ten sposób ten martwy skurczybyk kupił jego zaufanie - dodał Milton.

- Fakt, resztę mogli wydobyć z Jessiki, jeśli naprawdę ją mają.

- Cane, pomyśl, po chuj podejrzany oddałby mu Jessicę? Te niektóre dane, jak i adres Rachel, Manuel mógł zdobyć już wcześniej. Do tego nie po to ten psychol mordował, by zawierać układy z ludźmi z kartelu. On nimi gardził. To nie było w jego stylu. Sam widziałeś, on chciał umrzeć na tym cmentarzu. Manuel po prostu groził mi.

- Może masz rację, choć w duchu chciałbym, by Manuel nie kłamał, a Jessica żyła nawet tam, w meksykańskim świecie. Sądzę jednak, że ta kolejna groźba z jego strony to poważna sprawa. Pamiętaj, niewiele zostało mu już życia. On tu umrze, ale to nie znaczy, że jesteś bezpieczny razem z rodziną. Masz może odrobinę czasu, ale to nie koniec. To potężny kartel. Wiesz, powiedział mi coś jeszcze, ale nie do końca to rozumiem. Mianowicie zacytował fragment z Biblii: „Oto Ja was posyłam jak owce między wilki”¹. Dodał, że powinienem być już dawno w domu ojca.

- To jakaś podpowiedź? Czy kolejne kłamstwo i gówniany cytat z ust tego meksykańskiego ścierwa?

Samochód połykał kolejne mile. Kilka minut jechali w zamyśleniu, gdy Milton zapytał detektywa:

- Cane, a co z tym twoim informatorem?

- Mają go ci z kartelu, to już pewne. Zmusili go do tego telefonu. Bez wątpienia wpadł w ich łapy, jak sprawdzał dla nas Manuela. Nie jestem w stanie mu pomóc, tak jak mówiłem, to potężny kartel. On już jest martwy.

- A ten facet o pseudonimie „Pies”, skąd go znasz?

- Nie znam. Ale wiedziałem do kogo zadzwonić, jak pojaliśmy tego cwela z Meksyku. Potrzebowałem zaczerpnąć trochę wiedzy ze źródła. Siedzę w policji od lat razem z moją rodziną. Mój dziadek, ojciec, wszyscy służyli społeczeństwu. Otrzymałem informację, że mają tam kogoś w razie, gdybym potrzebował coś zadziałać w twojej sprawie. Spodziewałem się, że to nie będzie koniec, choć do tej pory nie miałem pojęcia, że będzie chodzić o Jessicę.

- Naprawdę sądzisz, że on mówił prawdę i mają Jess?

- Nie wiem, ale wymyślę sposób, by ją odzyskać, gdziekolwiek jest, nawet jeśli rzeczywiście jest w tym zasranym Meksyku. Nie będzie to łatwe, a tym bardziej nie nastąpi szybko, ale sprawdzą mi to, możesz być pewien.

- Znajdziemy ją, Cane. Nie odpuszczę im. Jeśli myślał, że mnie zastraszy, grożąc rodzinie, to właśnie on stał się owcą, a ja wilkiem.

- Tak, znajdziemy, a następnie zapolujemy na nich. Podrzucę cię od razu do mieszkania, dobra? Odpocznij i wyśpij się. Pozdrów jeszcze Jona ode mnie. Rano bądź w departamencie - powiedział detektyw i zamyślił się dłuższą chwilę.

Obaj dotarli na miejsce. Milton wysiadając z auta, klepnął detektywa w ramię, a on zrozumiał ten gest od razu. Wiedział, że osobno to zaczęli, ale zakończą wspólnie.

Milton wszedł do mieszkania. Jon z Katherine z pewnością nie

spodziewali się go tak szybko. Zapalił światło w korytarzu i po cichu zdjął buty oraz płaszcz. Zajrzał do salonu. Było ciemno. Katherine spała na kanapie. Mogła skorzystać z sypialni, jak prosił, ale najwyraźniej wybrała inaczej. Jon spał przy niej, wtulony, pod kocem. Milton wziął prysznic, a potem udał się do kuchni, gdzie odgrzał sobie coś w mikrofalach. Drzwi uchyliły się, gdy jadał. Stała w nich zaspana Katherine i przecierała oczy ze zmęczenia. Była ubrana w piżamę w zwierzęta, podobną do tej, którą miał chłopiec.

- Już wróciłeś, tak szybko? Myślałam, że nie będzie cię kilka dni.

- Nawet tam nie pojechałem - powiedział Milton, czując potrzebę rozmowy z kimś innym, nie tylko z detektywem.

Katherine podeszła do szafki i nalała sobie z dzbanka gorącej kawy. Usiadła naprzeciwko niego przy stole. Widziała, że coś go gryzło. Obserwowała, jak łyżka za łyżką pochłaniał posiłek, nawet na nią nie patrząc.

- Chcesz pogadać to śmiało.

Ruszył tylko ramionami.

- Umiem słuchać, całe życie tylko słucham - dodała zachęcająco Katherine.

Milton wstał, sprzątnął resztki jedzenia z talerza i wstawił go do zmywarki.

- Usiądź, powiedz, gdzie byłeś. Myśleliśmy z Jonem, że wrócisz dopiero za kilka dni.

- Wiem, ale wyszło inaczej i nie pojechałem do syna. Cane wysłał mi wiadomość, więc ruszyłem taksówką prosto do departamentu. Okazało się, że ciało, które znaleźliśmy ostatnio, to nie ciało Jessiki. Morderca chciał nas zmylić, zostawiając na miejscu zbrodni jej rzeczy. Prawdopodobnie wykonywał tatuaże. Szukają właśnie salonu, w którym mógł pracować - powiedział

Milton, wciąż analizując ostatnie słowa Manuela, które przekazał mu detektyw.

Wreszcie przypomniał sobie, że morderca powiedział coś podobnego. Nagle telefon zawibrował na szafce. Wstał i odczytał wiadomość.

- Cane nigdy się nie zmieni - rzekł.

- Co ci napisał? - zapytała Katherine.

- Podał adres salonu tatuażu. Mam być rano na miejscu.

- To dotyczy tej sprawy, on tam pracował?

- Miejmy nadzieję, że tak. Panna Parker na pewno tam zrobiła swój tatuaż, skoro Cane przysłał tę wiadomość. Byliśmy dzisiaj u jej rodziców. To oni w pewnym sensie pomogli nam ustalić ten adres. Co do reszty to zobaczymy. Sądzymy, że to ma związek z morderstwami, jeśli faktycznie on tam pracował.

- A Jessica też zrobiła tam swój? Widziałam na zdjęciach.

- Nie, ten na palcu razem robiliśmy na wycieczce w Vegas, a co do tego na plecach, to nie wiem. Raczej wybrał ją wyłącznie przeze mnie. Ona umarła przeze mnie.

- Przestań, nie obwiniaj się. To on nie miał prawa nikogo mordować. Wymyślił sobie w głowie ten motyw i go urzeczywistnił.

- Idź już spać, Katherine, bo będziesz rano wykończona. Połóż się w sypialni, zaraz przeniosę tam Jona. Nie chcę wam hałasować z rana, bo zamierzam wyjść, zanim wstaniecie.

- Dobra, dobranoc. Ale i ty też się prześpij trochę. Nie wyglądasz najlepiej - dziewczyna wstała, zrobiła krok w stronę Milтона i położyła mu rękę na ramieniu. - W torebce mam kluczyki od mojego samochodu, możesz go pożyczyć, jeśli nie chcesz tłuc się metrem o świecie.

- Dzięki, ale pojedę mimo wszystko metrem.

- Jak chcesz, mi i tak nie będzie na razie potrzebny.

Milton po kilku minutach zaniósł chłopca do sypialni, po czym wrócił do kuchni i przesiedział tam do świtu.

Rano jednak zmienił zdanie, gdyż czuł się mocno wyczerpany. Zajrzał do torebki dziewczyny i wyjął breloczek z kluczami od samochodu. Stara toyota corolla stała zaparkowana niedaleko budynku. Miała ręczną skrzynię biegów i mocno nadniszczony środek. Milton zauważył w aucie mnóstwo papierków po cukierkach oraz kartki wypełnione różnymi rysunkami. Leżały dosłownie wszędzie. Katherine studiowała architekturę, co wyjaśniało te niezrozumiałe dla niego bazgroły. Po około godzinie podróży dojechał na miejsce, mając po drodze niewielkie problemy z samochodem Katherine. Jednak nie żałował, że go pożyczył. Salon mieścił się na przedmieściach, a on nieźle musiałby się natrudzić, aby dotrzeć w to miejsce na umówiony czas. Zaparkował po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko cadillaca detektywa. Rozejrzał się dookoła po okolicy i przeszedł w poprzek przez ulicę w kierunku budynku ze zdjęcia. Bez zastanowienia wszedł do środka. Wnętrze było mało ciekawe, jak na jego gust.

- Cześć! To właścicielka? - Milton przywitał się i wskazał ręką na mocno wytatuowaną kobietę, stojącą niedaleko detektywa.

- Tak, to Brenda Turner. Twierdzi, że rysopis się zgadza, facet był zatrudniony u nich ponad pięć lat. Sumienny, pracowity i podobno wygadany. Odszedł z roboty trzy tygodnie temu. Wcześniej pracował tylko w wybrane dni tygodnia, jednak nie dłużej niż cztery godziny dziennie.

- To znaczy, że przychodził tu, gdy już mordował. Masz jego adres, dane? A co z Manuelem?

- My robimy dalej swoje, a maszyna ruszyła. Za dwadzieścia cztery godziny dostanę wiadomość z Meksyku. Albo to potwierdzą, albo jej tam wcale nie ma. Tym razem pomyłki nie będzie.

Rozmawiałem w nocy osobiście z odpowiednimi ludźmi. A co do naszego sprawcy to ponoć nazywał się Arthur Baldwin i sporo naopowiadał o sobie przez te wszystkie lata pracy.

- Coś jeszcze? A może pani wie, gdzie mieszkał? - Milton zwrócił się bezpośrednio do właścicielki salonu.

- Mówiłam, wynajmował niedaleko mieszkanie. Przychodził do pracy pieszo. Adres macie tu, na kartce. - Właścicielka salonu wskazała ręką na korkową tablicę wiszącą na ścianie na zapleczu.

Cała była pokryta mnóstwem małych, zapisanych karteczek. Detektyw zdjął tę wskazaną i natychmiast wykonał telefon. To był wyraźny przełom w dotychczasowym śledztwie. Po chwili otrzymał z departamentu potwierdzenie na temat tego adresu i osoby tam mieszkającej. Mieszkanie należało do nijakiego pana Smitha, a to sugerowało, że Arthur Baldwin je tylko wynajmował.

- Zbieramy się i jedziemy w to miejsce - zakomunikował detektyw.

- Załatwiamy nakaz? - zapytał Milton.

- Jebany jest już martwy, niepotrzebny nam żaden papier. Śledztwo jest nadal w toku.

- Zaczekajcie, było coś jeszcze - wtrąciła pod koniec właścicielka salonu.

- Tak, co masz jeszcze dla nas?

- Arthur powtarzał to na okrągło. Śmialiśmy się z niego, słysząc te jego wymysły, ale opowiadał tę historię tyle razy, że stała się nawet w pewnym sensie zabawna. Głupota, ale może wy coś z tego zrozumiecie. Powtarzał pewne słowa, nawet jak nie pasowały do prowadzonej rozmowy.

- Jakie, do cholery?! - zapytał już podenerwowany detektyw.

- To chyba z tej świętej księgi; „oto Ja was posyłam jak owce między wilki”, ale nie wiem, do czego to przypiąć. Gadał o tym na

okrągło, do czasu odejścia z pracy. Podobno mieszkał wcześniej w sierocińcu.

- O czym ty w ogóle mówisz? Jaki sierociniec? - zapytał Milton.

- No tam wychował się, mówiłam już wam.

- Nie, kurwa, nie mówiłaś! Cedzisz każde zdanie, jakbyś się czegoś obawiała. Wiesz, który to sierociniec? - Detektyw, pytając, podszedł do właścicielki salonu tak blisko, jak było to możliwe. Na pewno poczuła jego przyspieszony oddech.

- Adresu nie znam, ale nazywa się Dom Ojca.

- Ja pierdołę, nie skojarzyłem tego od razu! Milton, słyszałem o tym miejscu. Nigdy tam nie byłem, ale chłopaki z wydziału dla nieletnich mi kiedyś o nim wspominali. Manuel też zacytował te same słowa. W takim razie mamy potwierdzenie, że oni ze sobą rozmawiali, a Manuel nie kłamał, przynajmniej w tej kwestii. Dobra, ja jadę do sierocińca. Zobaczę, co mi tam powiedzą, a ty z ekipą ładujcie się do jego mieszkania. Tylko ostrożnie! Cholera wie, co jeszcze mógł wymyślić ten szaleniec - powiedział detektyw.

- Pani pojedzie jeszcze z funkcjonariuszami do departamentu policji na dalsze przesłuchanie - zwrócił się do właścicielki salonu.

- W takim razie ja ruszam, Cane. Za parę minut będę z chłopakami pod tym adresem, skoro to tu w pobliżu. Daj mi znać, jak coś ustalisz w tym sierocińcu.

Na dworze lekki deszczyk zaczął zmywać delikatnie brud z przedmieść Manhattanu. Milton i detektyw opuścili salon tatuaży. Detektyw stanął przy cadillacu, a Milton przeszedł na drugą stronę ulicy w kierunku zaparkowanej toyoty.

- To twój? Kupiłeś? - detektyw zauważył, jak Milton otwierał drzwi do jakiegoś starego gruchota.

- Nie, tylko pożyczyłem! Coś mnie podkusiło dzisiaj - krzyknął.

- Nieźle wygląda i chyba wyjątkowo przyda ci się tego dnia -

dodał detektyw z uśmiechem, po czym wsiadł do auta i uruchomił silnik.

Milton wyjął jedynie swój płaszcz z toyoty i podbiegł do radiowozu, którym zamierzał jechać razem z kolegami z departamentu. Dwa radiowozy dotarły pod wskazany adres i zatrzymały się przed trzypiętrowym, dość mocno zniszczonym budynkiem, który nie wyróżniał się niczym szczególnym w tej okolicy. Milton i czterech mundurowych weszli do środka. Przystanęli przed brązowymi drzwiami mieszkania wynajmowanego przez Arthura Baldwina.

- Wywalajcie te cholerne drzwi! - powiedział Milton z mocnym przekonaniem.

Jedno pchnięcie sprzętem do wyważania i zamek puścił. W wejściu przywitał ich niemiły zapach stęchlizny. Mieszkanie już na pierwszy rzut oka było mocno zaniedbane, jakby nikt nie korzystał z niego od dawna. Klóciło się to odrobinę z informacjami uzyskanymi od właścicielki salonu tatuażu. Obraz jednak doskonale pasował do trybu życia, jaki prowadził ostatnio morderca. Zmieniał lokale częściej, niż potrzebował i to na coraz bardziej ekskluzywne. Udało mu się zwieść detektywa, policja dotarła tu dopiero wówczas, gdy morderca zakończył swoje życie. Milton uważnie przyglądał się znajdującym tam przedmiotom. Sprawdzali wszystkie, nawet najmniejsze kąty. Szuflady, szafki, łóżka, każdą rzecz. Jeden z dwóch pokoi był pełen gratów. Znajdowało się w nim mnóstwo pudeł, które zaklejone były taśmą i poustawiane w rzędach. Aby to przejrzeć potrzebowaliby dobrych kilkanaście godzin, a może nawet dni. Jednak nie mieli aż tyle czasu. Musieli się sprężyć. Milton zdejmował karton po kartonie. Minęły już dobre dwie godziny, odkąd przeglądał szczegółowo rzeczy należące do mordercy. To nie miało żadnego sensu -

pomyślał mocno już zmęczony. W tym też momencie zdał sobie sprawę, że tak naprawdę nic nie było tu ukryte. Wyszedł z pokoju i udał się do kuchni. Popatrzył na wszystko z innej perspektywy. Mieszkanie wyglądało, jakby ktoś poszedł do pracy, zamknął za sobą drzwi i nigdy nie wrócił. Na suszarce koło zlewu stało kilka umytych, zakurzonych naczyń. Lodówka była zaopatrzona, choć jedzenie dawno się w niej popsuło. Spojrzał na górne, oszklone drzwiczki szafki w kuchni. Znajdowała się za nimi fotografia. Milton sięgnął ręką i wyjął zakurzone zdjęcie.

[1](#) *Mowa misyjna*, [w:] Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, Wyd. Pallottinum, Poznań 1989, Mt 10, 16.

ROZDZIAŁ XXVI

Detektyw Cane dojechał bez przeszkód do sierocińca. Teren był monitorowany i ogrodzony wysokim na ponad dwa metry ceglanym murem. Z każdej strony wylaniały się kamery: przed wjazdem, w ogrodzie, na budynku. Ochroniarz, gdy tylko zobaczył odznakę policyjną, natychmiast otworzył bramę, przy której widniał napis wykonany z metalowych liter: „Dom Ojca”. Budynek, pod który podjechał, był ogromny i także zbudowany z cegieł. Składał się z jednej większej części oraz kilku innych, mniejszych dobudówek. Detektyw wysiadł i rozejrzał się dookoła. Na pierwszy rzut oka teren był dobrze zadbane. Rosły rozłożyste drzewa, pod którymi stały ławeczki, a nawet z lewej strony siatką wydzielono miejsce do gry w tenisa.

Detektyw podszedł do głównych drzwi wejściowych zdobionych metalowymi ornamentami i spostrzegł z boku dzwonek. Ten sierociniec siostry zakonne prowadziły od ponad stu lat. Jeśli faktycznie Arthur Baldwin tu trafił w jakimś okresie swojego życia, detektyw był w odpowiednim miejscu. Nacisnął dzwonek. Po kilku sekundach drzwi otworzyła młodziutka dziewczyna w czarnym habicie.

- Szczęść Boże - powiedziała siostra zakonna.

Detektyw wyjął odznakę i przedstawił się krótko.

- Proszę do środka! Pogoda nie rozpieszcza w tym roku, prawda detektywie?

- Tak, leje już od kilkunastu dni. Tej jesieni słońce nas słabo dogrzewa - odpowiedział.

- W czym mogę panu pomóc, detektywie Cane?

- Chciałbym porozmawiać z siostrą przełożoną.

- W takim razie zapraszam za mną - powiedziała siostra zakonna i ruszyła długim korytarzem przed siebie.

Budynek wewnątrz wyglądał mało zachęcająco i niezbyt przytulnie. W środku panował surowy, minimalistyczny wystrój. Detektyw rozglądał się po drodze, podążając za dziewczyną. Mijał ceglane ściany, przy których nie stały żadne meble oprócz ławeczek oraz licznych rzeźb przedstawiających świętych.

- Zapewne dziwi się detektyw, że panuje tu taki spokój? - spytała siostra zakonna.

- Tak, wyjątkowo tu cicho.

- Podopieczni zawsze o tej porze mają zajęcia w salach. Są one prowadzone do późnego popołudnia. Wtedy robi się tu trochę gwarniej.

Młoda osoba szła cały czas pierwsza i pokonując długie korytarze, jako jedyna wiedziała, dokąd zmierzali. Detektyw podążał za nią jak owca za pasterzem i zastanawiał się, kiedy w końcu dotrą na miejsce, gdyż już nieco zgubił się w tych labiryntach. Przeszli kolejnym korytarzem do końca, gdzie po lewej stronie mieściły się niewielkie sale lekcyjne dla dzieci, a po prawej okna, które wychodziły na ogród.

- Tu proszę! - Młoda osoba wskazała ręką w kierunku jednego z pokoi i usiadła na ławeczce z boku.

Detektyw delikatnie zastukał do brązowych, drewnianych drzwi i nacisnął chłodną, metalową klamkę. Wewnątrz pomieszczenia, za dużym biurkiem stojącym na wprost wejścia, ukazała się stara kobieta, która siedziała na krześle. Spojrzała na niego z wyrazem twarzy niezdradzającym żadnych emocji.

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, detektywie Cane. Niech pan siada - zwróciła się do niego, zanim przekroczył próg.

- Dzień dobry. Skąd siostra wie, kim jestem? - powiedział i wszedł do pokoju, zamykając za sobą drzwi.

- To mój przywilej.

- Nie rozumiem.

- Proste, nie ma w tym żadnej magii ani boskiej tajemnicy. Ochroniarz zawsze do mnie dzwoni i informuje, jak kogoś wpuszcza na teren sierocińca.

Detektyw usiadł na wskazanym miejscu po prawej stronie biurka. Jego drewniane krzesło było twarde i mało wygodne. Kobieta naprzeciwko niego była ubrana w podobny strój, co młoda dziewczyna, która go tu przyprowadziła. Jedynie kolor habitu się różnił.

- Detektywie Cane, jakież to powód sprawił, że zechciał pan nas zaszczyścić swoją obecnością w Domu Ojca? - spytała siostra przełożona.

- Podobno siostra prowadzi ten sierociniec od lat, a ja potrzebuję konkretnych informacji o mężczyźnie, który mieszkał tu za młodu. Nazywał się Arthur Baldwin.

Twarz siostry przełożonej wydawała się przez moment dziwnie zamyślona.

- Pamiętam go. Takich dzieciaków nie sposób zapomnieć. Może coś do picia? Mamy doskonałą wiśniową naleweczkę własnego wyrobu.

- Innym razem, dzisiaj czas nie jest moim sprzymierzeńcem.

- To nieprawda, detektywie. Skoro pan tu do mnie trafił, to na pewno Bóg w tym uczestniczył.

Kobieta powoli podniosła się i podeszła do regaliku stojącego naprzeciw detektywa. Otworzyła przeszklone skrzydło drzwiczek i wyjęła karafkę z wiśniówką. Zabrała także dwa kryształowe kieliszki. Usiadła i nalała do każdego po sam brzeg.

- Zdrowie, detektywie.

Cane nie protestował już. Domyślił się, że lepiej będzie przemilczeć i nie toczyć z nią zbędnej dyskusji na ten temat, gdyż i tak nie bardzo zważała na jego zdanie. Zakonnica po chwili sięgnęła ręką na koniec biurka i ujęła w dłoń słuchawkę aparatu telefonicznego. Wcisnęła guzik i została z kimś połączona automatycznie. Wypowiedziała dwa słowa, a mianowicie imię i nazwisko, które wymienił wcześniej detektyw. Po chwili młoda zakonnica, ta sama, która wpuszczała detektywa, przyniosła szarą, grubą teczkę wypełnioną plikiem dokumentów i położyła ją na biurku tuż przed detektywem.

- Proszę, może pan sam sprawdzić. To był naprawdę idealny chłopiec - rzekła siostra przełożona.

Detektyw przysunął bliżej teczkę, rozwiązał sznurek, którym była związana i ją otworzył. Przeglądał papiery, jeden po drugim, starając się jak najwięcej z nich dowiedzieć. Nagle wskazał palcem na mały wpis czerwonym flamastrem.

- Tak... Biedny Arthur! Zmarł kilka lat temu. To było wielkie nieszczęście w Domu Ojca. Miał wypadek. Spadł ze schodów i to była moja wina. Tego wieczoru poprosiłam go, by przyniósł mi kolejną butelkę nalewki z piwnicy. Zapomniałam, że biedak bał się tych ciemnych podziemni. Do dziś żałuję tej decyzji, ale kto zna wyroki Boże i kto odważyłby się z nimi nie zgadzać? Policja

zamknęła sprawę po miesiącu, wystarczyły im moje zeznania.

Na twarzy siostry przełożonej pojawiła się mocno wypisana wina. To dużo tłumaczyło, zwłaszcza konieczność wypicia kieliszka wiśniówki, po tym, jak dowiedziała się, w czyjej sprawie detektyw do niej przyjechał. Jednak myliła się co do celu jego wizyty. Detektyw nie prowadził śledztwa wypadku sprzed lat, do którego doszło w tym miejscu.

- Jak to zmarł? Przecież kilka dni temu został zastrzelony na cmentarzu w małej miejscinie - poinformował ją zdziwiony detektyw.

Kobieta również nie dowierzała jego słowom, znała całą historię Arthura. Detektyw przerzucał kartka po kartce. Na kolejnych stronach znajdowało się mnóstwo danych i kilka zdjęć chłopaka. Wyjął komórkę z kieszeni i przejrzał galerię zdjęć.

- Coś siostrze pokażę, ale uprzedzam, że zdjęcie pochodzi z kostnicy. Człowiek ten nie żyje od tygodnia, a w pracy przedstawiał się jako Arthur Baldwin.

Siostra przełożona tylko zerknęła na wyświetlacz w telefonie. Wystarczyło jej jedno spojrzenie. Podniosła się z krzesła i wyszła z pokoju bez słowa. Detektyw nie miał pojęcia, co spowodowało, że wyszła tak nagle. Wróciła do niego po jakiś dziesięciu, może piętnastu minutach. Trzymała w ręku kolejną teczkę, tyle że sporo grubszą. Usiadła i położyła dokumenty na biurku.

- Śmiało, niech pan sprawdzi, detektywie. Ten człowiek to Ben Frost. Młodzieniec, który w przeciwieństwie do Arthura dawał nam mnóstwo powodów do zmartwień, szczególnie pod koniec pobytu w sierocińcu. Zmienił się mocno przed odejściem. Nie wiem, co aż tak na to wpłynęło. Może ten psiak?

Detektyw zapoznawał się z kolejnymi aktami. Wyglądało na to, że Ben Frost po śmierci chłopca o imieniu Arthur podsztył się pod

niego, a trafił do tego sierocińca w wieku jedenastu lat po decyzji sądu. Z zapisków wyłaniała się potworna przemoc. Jego ojczym odciął mu palec u prawej ręki, a matka na koniec odeszła z nim, zostawiając Bena samego. Przeprowadzano z nim mnóstwo rozmów, które spisano na kartkach i dołączono do dokumentów w teczce.

- Proszę siostry przełożonej, kto z nim tyle rozmawiał i zapisywał to na tych kartkach?

- Anna, psycholog. Pracowała tu prawie do swojej śmierci. Wie pan, detektywie, ona jako jedyna chyba rozumiała dobrze Bena. Utrzymywali ze sobą doskonały kontakt. Dużo się jej zwierzał, nieraz rozmawiali całe noce, aż do rana. Zdawałam sobie sprawę, że to było łamanie zasad tego domu, ale cóż... Próbowaliśmy wszystkiego, by Ben się otworzył i zapomniał o tym, co mu zrobili. Tylko z nią chciał rozmawiać.

- Długo to trwało?

- No cóż, ponad trzy lata, od czasu jak Anna zaczęła tu praktykę. Często dzięki niej wychodził na miasto. Oczywiście z nią jako opiekunką, gdyż sam nie mógłby opuścić placówki przed ukończeniem pełnoletniości.

Detektyw kończył przeglądać zapiski z młodości oraz pobytu w sierocińcu Bena Frosta.

- Wspomniała siostra, że ta Anna nie żyje. Co się w takim razie jej stało?

- Zmarła na raka, jakieś trzy tygodnie przed ucieczką Bena. Została pochowana na cmentarzu północnym, tu, w pobliżu Domu Ojca. Słyszałam, że ponoć tak życzyła sobie jej rodzina, by ciało było jak najbliżej tego świętego miejsca.

- Znała siostra jej rodzinę?

- Nie, nigdy ich nie poznałam. To właśnie oni podobno wzięli

psiaka Bena i obiecali się nim zająć do czasu, aż opuści to miejsce. Anna wywiozła zwierzątko na ponad miesiąc przed swoją śmiercią. Wtedy też po raz ostatni odwiedziła podopiecznego. Ben nie mógł go tu zatrzymać, rozumie pan, detektywie. I tak z tego była niezła afera. Chłopak tłumaczył, że znalazł szczeniaka, bo ktoś przerzucił go przez ogrodzenie. Dla mnie wyglądało na to, że wszystko wymyślił, a tak naprawdę Anna go tu przyniosła.

- Może potrzebował kogoś, kim mógł się opiekować, skoro wiedział, że dziewczyna umiera. Widać, że nie miał łatwo w życiu. To tylko mały pies! Nie warto było nagiąć odrobinę te zasady? Czyż nie jest to także stworzenie Boże?

- Wyobraża pan sobie, detektywie, co by się działo, gdybyśmy tak łatwo ulegali pokusom? Mowy nie ma, byśmy zgodzili się na takie rzeczy! To zamknięta sprawa. Gdy Ben uciekł, miał skończone siedemnaście lat, a zrobił to w kilka tygodni po śmierci Anny. Mógł poczekać i sam odzyskać psa. Niedużo mu brakowało do pełnoletniości i opuszczenia placówki normalnie. Niech mi pan wierzy, detektywie, z tego powodu również było mnóstwo nieprzyjemności oraz kolejne spore zamieszanie w Domu Ojca.

- Uciekł? A ta kobieta, Anna, ile lat miała jak zmarła?

- Kobieta to za duże słowo, by ją opisać. Miała zaledwie dwadzieścia cztery lata i odbywała u nas staż. Prowadziła rozmowy, doradzała zagubionym owieczkom.

- Młoda była. Nie sądzi siostra, że mogło coś oboje łączyć poza rozmową? Przecież wychodzili razem na te niby spacerunki na miasto, a dodatkowo te ich nocne zwierzenia...

- Na pewno nie, detektywie Cane! Traktowali się jak rodzeństwo. W waszym świecie to bywa różnie, ale Dom Ojca nigdy nie był zamieszany w żaden taki skandal. Zawsze tego pilnujemy i dbamy o naszych podopiecznych.

Detektyw tylko skinął głową, znał takie praktyki z wielu podobnych placówek, w których pilnuje się, by pewne sprawy nie wychodziły poza mury.

- Mówi siostra, że trafił tu, kiedy miał jedenaście lat i został skierowany decyzją sądu. Znaleźli go na ulicy, tak?

- Owszem, już to panu wspominałam, detektywie. Jego biologiczny ojciec powiesił się, gdy Ben miał dziewięć lat. Chłopiec przebywał wtedy z matką, gdyż siłą zabrała go od ojca i odeszła z nim do innego mężczyzny. Mieszkali razem z ojczymem przez dwa lata. Potem ślad po matce się urywa, a policja znalazła wycieńzonego Bena w parku na ławce. Nikt inny z jego rodziny nie chciał go adoptować. Musiał tu zostać.

- Co mogło być powodem samobójstwa tego człowieka, jego prawdziwego ojca? Ma może siostra przełożona jakąś wiedzę na ten temat? Zna w ogóle siostra imię tego człowieka? Nie dopatrzyłem się nigdzie wzmianki w papierach. - Detektyw spojrział na otwartą teczkę.

- Tak, znam. Nazywał się Dave Frost i myślę, że nagłe zabranie syna ojcu i odejście żony mogło być przyczyną tego ciężkiego grzechu. Zresztą Ben często wspominał o tym Annie. Może pan przeczytać w papierach, dziewczyna wszystko skrupulatnie zapisywała. Znajduje się to pewnie w tej drugiej teźce. Tam też będzie akt urodzenia chłopca. Przechowujemy to w osobnym miejscu, tak na wszelki wypadek. Zapewne słyszał pan, detektywie, o tragedii, jaka dotknęła to święte miejsce ponad pięćdziesiąt lat temu?

- Nie, aż tak daleko nie sięgam pamięcią.

- A może warto. Powiem tylko, że to miejsce strawił ogromny pożar, dlatego od tamtego czasu dzielimy dokumenty i przechowujemy w różnych pomieszczeniach, by nie zginęły

doszczętnie w razie kolejnego zrządzenia losu.

- Współczuję, ale wiedza o przeszłości tego miejsca niewiele mi teraz pomoże, a ojca Bena Frosta sprawdzę dokładnie po powrocie do departamentu policji. Mam jednak kolejne pytanie, które nurtuje mnie już od pewnej chwili. Czemu po umieszczeniu chłopca w sierocińcu, nikt nie chciał go adoptować? - zapytał detektyw.

- Po tym wszystkim jak jego matka, nie bójmy się nazywać rzeczy po imieniu, dziwka i ladacznica, odeszła w grzechu z kochankiem?! Detektywie, niech pan nie żartuje! Każdy, ale to każdy, kto usłyszał tę historię od nas, zrezygnował na samym początku rozmowy.

- Może trzeba było milczeć i nie mówić zbędnych szczegółów ludziom, to dzieciak miałby szansę na normalną rodzinę... A czy śledztwo dotyczące zniknięcia matki chłopca i tego mężczyzny zostało zamknięte?

- To już pan, detektywie, powinien wiedzieć lepiej.

- Nie omieszka i zajrzę także do akt tej sprawy sprzed lat.

- Detektywie, niech mi pan wyjawia tajemnicę, czym Ben tak zgrzeszył, że go zastrzelono? Przecież maltretowany przez tę ladacznicę i jej kochankę, nie do końca był winien swojego charakteru.

- Siostrze, był winien wszystkich nieszczęść, których się dopuścił. Mógł wybrać inaczej. To on stał za serią ostatnich morderstw w mieście i nic go nie usprawiedliwia.

- Niemożliwe, że to nasz Ben! - Siostra przełożona naprawdę nie wierzyła w to, co przed chwilą usłyszała.

- Problem w tym, siostrze, że to nie koniec. Nie mamy ostatniego ciała dziewczyny. Potrzebuję koniecznie znaleźć tych ludzi z psem, mógł się u nich zatrzymać na jakiś czas. Może coś

pomogą, może znają miejsca, gdzie bywał po ucieczce z tej placówki. Poproszę jeszcze nazwisko tej Anny.

- Anna Andrew, jak ten huragan, co to kilka lat temu zniszczył tyle domostw i zabił niewinnych.

- Andrew, powiada siostra?

Detektyw nie tylko odkrywał motyw zbrodni. Znalazł człowieka powiązanego z Benem Frostem. Kowal, u którego już byli z Miltonem, nosił to samo nazwisko co Anna, psycholog Bena. Wiek psa także pasował idealnie. Mały szczeniak mógł wyrosnąć na naprawdę duże psisko. Detektyw wstał i wyjął komórkę. Wybrał numer do Milтона. Siostra przełożona tylko go obserwowwała.

- Słuchaj, gdzie teraz jesteś? - zapytał po odebraniu połączenia przez Milтона.

- Nieważne, Cane. Zbieraj się stamtąd i jedź do kowala. Ja jestem już w drodze, właśnie miałem do ciebie dzwonić.

- Znalazłeś coś, prawda? Czym jedziesz? - zapytał detektyw.

- Tak, znalazłem i wziąłem radiowóz.

- Milton, znajdujesz się po drugiej stronie miasta, pewnie ja dojadę pierwszy, ale gdybyś dotarł przede mną, to czekaj. Milton, tylko spokojnie, rozumiesz? Nie wchodź tam, zanim się nie zjawię. Posiadłość była sprawdzona. Może jednak coś przeoczyli. Sprawdzimy razem - powiedział detektyw do swojego partnera, po czym odstawił na moment komórkę od ucha.

- Do widzenia siostró i dziękuję za pomoc. A co do sprawy wypadku tego Baldwina, to na pewno ją przejrzę - pożegnał się detektyw i wyszedł, wciąż trzymając włączony telefon w ręku.

- Proszę za mną, odprowadzę pana, detektywie - zwróciła się uprzejmie ta sama młoda osoba w habitcie, która wcześniej go tu przyprowadziła.

Wyglądało, że czekała na niego na ławeczce przed drzwiami.

Detektyw kiwnął głową i ruszył za nią.

- Milton, słyszysz mnie? - kontynuował.

- Tak, słyszę. Facet miał kiedyś psa i znał kowala. Wszyscy nas oszukali z jakiegoś powodu.

- Tak, coś ukrywali, a nasz morderca nie nazywał się Arthur Baldwin tylko Ben Frost.

- Cane, to teraz nieważne. Znalazłem zdjęcie tego psa zrobione u kowala i jest na nim także ten gość. W tle widać ich posiadłość i to wielkie drzewo, gdzie zaparkowałeś samochód. To dlatego u niego wyrabiał gwoździe. Jadę tam, musiał coś zostawić po sobie, jakiegokolwiek ślady.

- Dobra, ja będę za jakąś godzinę. Daj znać, gdy dotrzesz na miejsce.

Milton rozłączył się i wcisnął mocniej pedał gazu. Samochód mknął stanową do miejsca, gdzie wcześniej prawie pojмали mordercę.

- Siostró, jak ma siostra na imię? - zwrócił się przy wyjściu detektyw.

- Abigail, dlaczego detektyw pyta?

- Abigail, długo prowadzisz takie życie dla Boga? Czy w ogóle warto było rezygnować z doczesnego świata? - Detektyw zwrócił się do młodej dziewczyny w habicie.

- To nie dla Boga, detektywie, tylko siebie.

- Rozumiem... Zgubiłaś drogę, a ten Wszechmogący ma ci pomóc?

- Tak, wiara jest jedynym lekarstwem na zło na tym świecie.

- Wątpię, siostró Abigail. Długo tu przebywasz? Ile lat minęło od wstąpienia do zakonu, bo nie odpowiedziałaś?

- Nie, jestem tu niedługo, od około roku.

- To coś ci powiem, Abigail, i lepiej dobrze się wsłuchaj

w każde moje słowo.

Detektyw otworzył drzwi wyjściowe i stanął na zewnątrz.

- Coś detektyw mi sugeruje?

- Nie, mówię wprost. Ten Dom Ojca ma wiele tajemnic i nie tylko tych przyjemnych. Nazbierał przez lata więcej grzechów niż niejeden złoczyńca. Zmień swoje zdanie i szukaj szczęścia, niekoniecznie w tym przybytku ciszy i spokoju, byś nie stała się za życia tylko służebną owcą. - Detektyw spojrział na widniejący napis nad drzwiami wejściowymi.

Z metalowych prętów ułożono tam cytaty z ewangelii: „Oto Ja was posyłam jak owce między wilki”. Zrozumiał te słowa od razu. Pojął, kto był wilkiem w tym Domu Ojca, a kto stawał się zawsze owcą po spędzonych tu latach. Szkoda było mu tych niewinnych, młodych dziewczyn zaślepionych czymś, co z pewnością nie było wolą Boga.

- To pana zdanie, detektywie. - Siostra odpowiedziała stanowczo.

- Nie, to prawda poparta faktami, które niedługo udowodnię. A jeśli On istnieje... - detektyw spojrział wymownie do góry - to nigdy nie pozwoliliby, aby ktokolwiek rezygnował z własnego życia w jego imieniu. Gdyby tak było, to ani On, ani tym bardziej my nie różnilibyśmy się od tych najgorszych, co w imię świętych mordowali i nadal mordują, gwałcą i mówią, że to Bóg i jego święte słowa tak im każą. Nie warto, siostrzo Abigail. Czas to nasz Bóg i oby nie okazał się niepotrzebnie stracony. Zastanów się, dziewczyno.

Młodą siostrę Abigail naprawdę poruszyły ostatnie słowa detektywa i dały mocno do myślenia. Detektyw natomiast miał nadzieję, że dziewczyna znajdzie inną drogę życia. Zauważył, jak przez lata takie i podobne placówki skrywały swoje mroczne

tajemnice za własnymi, grubymi murami. Nie odpowiadało mu to. Tu też coś nie składało się w całość. Śmierć chłopca o imieniu Arthur nie wydawała się zwykłym wypadkiem, a samo zeznanie przełożonej nie mogło być wystarczającym dowodem, by zakończyć śledztwo. Detektyw pożegnał się i zmierzał samochodem w miejsce, gdzie miał nadzieję znaleźć choćby małą wskazówkę dotyczącą Jessiki Christensen.

*

Licznik kręcił się, nabijając kolejne mile. Milton dojechał wreszcie do posiadłości kowala. Wyłączył silnik i wybrał numer do detektywa.

- Dojechałem. Gdzie jesteś?
- Czekaj, dojeżdżam już. Będę za jakieś pięć minut.
- Nie, nie będę czekał! Wysiadam.
- Mówię, że za zaraz będę, zaczekaj!

Milton rzucił telefon na boczne siedzenie auta, otworzył drzwi i wysiadł. Na zewnątrz lało, więc błoto było wszędzie dookoła domu. Szybkim krokiem pokonał odległość dzielącą go od werandy. Wszedł na nią i schronił się pod zadaszeniem. Błyskawice co chwilę rozświecwały niebo, a dość silny wiatr zrywał małe gałązki z pobliskich drzew. Taśmy policyjne wciąż zabezpieczały stodołę, a także wejście do domu. Plamy krwi małżonki kowala dawno zmyła już ulewa. Milton spostrzegł samochód detektywa, gdy był na drodze dojazdowej do posesji. Detektyw Cane zatrzymał auto bardzo blisko werandy, trzasnął drzwiami i wszedł na stopnie schodów prowadzących na nią. Mimo tego zabiegu i tak ubrudził błotem całe buty i dół nogawek spodni.

- Straszne tu błoto - skomentował Milton, spoglądając najpierw na swoje ubranie, a potem na detektywa.

- Faktycznie, fatalna pogoda. Myślałem, że dojadę pierwszy.

- Jechałem dosyć szybko. No to co, wchodzimy?

- Sprawdziłeś dookoła domu?

- Nie, jaki to miało mieć sens w taki deszcz?

- Co konkretnie ustaliłeś w jego mieszkaniu?

- Ten pies, Brutus, nie jest kowala tylko tego Frosta. Wiem to na pewno, widziałem zdjęcia.

- Ja też potwierdziłem tę informację, znał się z tą rodziną. Dziewczyna, niejaka Anna Andrew, była córką brata kowala, dlatego nosiła takie same nazwisko. Według moich przypuszczeń ona była kochanką Bena Frosta, ale zmarła kilka lat temu i to ona przywiozła wcześniej tu tego psa, gdy był szczeniakiem.

- Myślisz, że tu się spotykali albo mieli inne gniazdko i to tam mógł zamordować Jess?

- Tak sądzę, dlatego musimy się dowiedzieć, gdzie mogli się zabawiać. To mieszkanie, w którym dzisiaj byłeś, wynajmował dopiero po śmierci Anny Andrew. Chłopaki sprawdzili to dla mnie jak jechałem. Dobra, Milton, zrywaj te taśmy!

- Cane, masz może jakiś łom w tym swoim bagażniku? Te dechy dość mocno przybili.

Drzwi wejściowe i okna były porządnie zabezpieczone. Funkcjonariusze już się o to postarali, przybili deskę przy desce tak, by nikt nie dostał się do środka. To wciąż było miejsce zbrodni. Detektyw spojrzał na zachmurzone niebo i cadillaca. Ruszył jednak i otworzył bagażnik. Wrócił z kluczem do zmiany kół.

- I co? To niby ma mi wystarczyć? - spytał ze zdziwieniem Milton.

- Odsuń się, kolego! - powiedział detektyw i z ogromną siłą zrywał deski.

Gwoździe puszczały, a Milton odrzucał je na bok. Gdy detektyw skończył pracę, rzucił klucz na posadzkę koło leżących desek. Milton pchnął jednoskrzydłowe, drewniane drzwi. Na dworze było pochmurno i szaro, a we wnętrzu pomieszczenia panował całkowity mrok. Na szczęście obaj doskonale znali już rozkład tego domu, gdyż byli tu zaledwie kilkanaście dni temu tej feralnej nocy, gdy śmierć poniósł kowal i jego małżonka.

Wewnątrz domu znajdował się wąski, długi na jakieś osiem metrów korytarz, który prowadził do ogromnego salonu. Po drodze było kilka mniejszych pomieszczeń oraz kuchnia. Dzisiejszy dzień, a raczej już prawie noc, musiała wyglądać zgoła odmiennie od poprzednich oględzin tego miejsca po dokonaniu zbrodni w domostwie kowala. Detektywi powinni teraz przekopać każdy, nawet najmniejszy centymetr budynku, by znaleźć choćby jedną wskazówkę, która podpowie im, gdzie Anna Andrew prawdopodobnie spotykała się z Benem Frostem. Sądzieli, że mogła tu pozostawić jakieś swoje rzeczy, a oni przeoczyli je wcześniej. Może jakieś zapiski, adres, który Ben Frost mógł po latach wykorzystać do ukrycia zwłok? Prąd w całym gospodarstwie był odłączony, więc detektywi, otwierając drzwi do kolejnych pomieszczeń, przyświecali sobie latarkami. Kierowali się prosto do głównego salonu. Detektyw szedł wąskim korytarzem tuż za Miltonem.

- Co to było? - spytał nagle detektyw.

Milton stanął bokiem, aby Cane mógł dostrzec, co mieli przed sobą. Pies pojawił się jakby znikąd. W lekko uchylonych drzwiach prowadzących do salonu stał na wprost nich Brutus. Miał zjeżoną sierść na całym grzbiecie i karku oraz odsłonięte kły.

- Zastrzele go! - powiedział Milton.

- Nie, odsuń się. Przecież widać, że sam jest wystraszony

i ledwo stoi. - Detektyw przeszedł do przodu przed partnera. - Spokojne mały, spokojnie - uspokajał psa.

Lecz ten warczał jeszcze ostrzej i zrobił krok w stronę detektywa. Milton sięgnął po broń. Cane przystopował partnera, wyciągając w jego stronę rękę.

- Chodź, Brutus, chodź piesku - zawołał.

Nagle pies położył się na podłodze tuż za wejściem do salonu. Wyglądał na bardzo wycieńczonego. Musiał tu przebywać w zamknięciu co najmniej od kilku dni.

- Czujesz ten zapach? - spytał detektyw.

- Tak, nieźle śmierdzi.

- To jego odchody. Ktoś musiał go tu zamknąć, ciekawe tylko kiedy.

- Może nasi go przeoczyli.

- W to akurat wątpię. Chyba, że ma jakieś inne wejście i wrócił, gdy zrobiło się spokojnie.

Detektyw zbliżył się powoli do psa, kucnął przed nim i pogłaskał po głowie. Brutus nawet nie drgnął. Cane pchnął ręką ostrożnie drzwi do salonu. Milton podszedł do detektywa. Minął go z boku i zrobił duży krok nad leżącym psem. Wszedł do salonu. Światło z latarki powędrowało na wprost po oknach. Potem skierował je na meble, a na koniec na podłogę. Nagle stęknął, jakby zabrakło mu oddechu. Oparł się plecami o ścianę. Detektyw podniósł się z kolan i wszedł za nim do pokoju. Pies popiskiwał cały czas, jakby cierpiał z bólu.

- Boże! - wydusił z siebie detektyw, dostrzegając to, co wcześniej Milton.

Ciało Jessiki leżało na drewnianej podłodze pośrodku salonu. Była całkiem naga i została okaleczona w podobny sposób, jak pozostałe ofiary. Metalowe pręty przechodziły przez oba jej

obojczyki i uda. Zeschła krew była widoczna z każdej strony jej ciała. W ustach nie znajdował się knebel jak u pozostałych zamordowanych. Jessica nie miała także związanych rąk ani nóg, jak również nie była owinięta folią. Detektyw podszedł do niej z lewej strony, tam, gdzie miała skierowaną głowę. Milton nadal stał nieruchomo, gdyż stracił właśnie ostatnią nadzieję na jej uratowanie. Po chwili oprzytomniał i zebrał w sobie resztki sił, by spojrzeć jeszcze raz na ukochaną. Skierował światło z latarki w stronę jej stóp. Powoli przesunął się ku dalszym partiom ciała dziewczyny. Nie mógł uwierzyć, że to był już koniec.

- Nie, Milton! Światło w bok, nie na nią! - Detektyw ściszonego głosem wydał polecenie.

Sam ukląkł przy ciele dziewczyny, tuż przy jej głowie. Dotknął delikatnie dłonią szarej, pozbawionej życia twarzy. Skóra była sina i lodowata, oczy zamknięte. Jej prawa dłoń została odcięta tuż powyżej nadgarstka, a rana w tym miejscu była owinięta kawałkiem materiału. Detektyw przysunął swoją twarz do ust Jessiki. Położył dwa palce na jej szyi.

- Podejź - wyszeptał.

Milton ruszył i klęknął z boku detektywa.

- Tylko jej nie dotykaj - powiedział do niego detektyw tak cicho, jak tylko umiał i spojrzał mu w oczy.

Ta informacja przekazana Miltonowi i to w ten szczególny sposób wystarczyła. Cane wstał i wyszedł na zewnątrz. Obaj wiedzieli, że będą liczyły się nie minuty, a sekundy. Detektyw zdawał sobie sprawę, że jego partner obecnie nie był w stanie działać, jak należy, dlatego sam postanowił wezwać jak najszybciej odpowiednią pomoc. Śmigłowiec ratunkowy zjawił się w ekspresowym tempie. Nieprzytomną dziewczynę, na granicy życia i śmierci, zabrano do tego samego szpitala, w którym

detektyw Cane dochodził ostatnio do zdrowia. Walka o jej życie trwała kilkanaście długich godzin. Tego wieczoru został zabrany także wycieńczony pies Brutus. Jak wykazały oględziny miejsca, musiał czuwać przy dziewczynie prawie od samego początku. Wyglądało na to, że pies ogrzewał ją swoim ciałem, gdyż znaleziono mnóstwo jego sierści na ciele Jessiki. Poza tym niejasne było dla wszystkich to, że rana w miejscu odcięcia dłoni była owinięta kawałkiem materiału.

EPILOG

W grudniową środę rankiem, gdy minął już ponad miesiąc od znalezienia i uratowania Jessiki, lekarze postanowili wybudzić ją ze śpiączki. Rachel czuwała przy córce przez cały ten czas, od momentu, kiedy przetransportowano ją helikopterem do szpitala.

- Jak tam, skarbie? - zapytała córkę, gdy otworzyła oczy.

- Jess, kochanie - wyszeptał Milton, trzymając jej lewą rękę w dłoniach.

Dziewczyna wodziła błędnym wzrokiem po sali, ale widać było delikatny uśmiech na jej twarzy. Przekręciła lekko głowę i mrużąc oczy, spojrzała w okno. Nie miała pojęcia, ile już spędziła czasu w tym miejscu. Deszcz nie padał, a jedynie płatki śniegu leżały na zewnętrznym parapecie.

Jessica została wypisana ze szpitala po Nowym Roku. Miała mocno okaleczone ciało. Jej kości barków i ud ucierpiały najbardziej, nie licząc straconej prawej dłoni. Rany jednak goiły się zadowalająco, a ciepło i bezpieczeństwo, jakim została otoczona w domu, pomagały powoli dojść do siebie po tych traumatycznych przeżyciach. Jon opiekował się swoją ciocią, jak tylko potrafił. Chętnie zabierał Brutusa razem z Katherine i wychodzili z nim na

spacery. Pies stał się ich nowym domownikiem, gdyż Milton odebrał go ze schroniska na prośbę Jessiki. Jak się okazało, to on towarzyszył jej przez cały czas i trwał wiernie w ciemności, zimnie oraz bólu. Ponowne oględziny miejsca wykazały, że Brutus miał możliwość wyjścia z domu kowala. Nikt jednak do dziś nie wiedział, dlaczego został i omal nie zdechł z głodu, czuwając przy rannej dziewczynie.

Minęło kilka kolejnych tygodni zanim Jessica zaczęła mówić o tym, co wydarzyło się w domu kowala. Powiedziała, że po wyjściu oprawcy lewą ręką wyjęła z ust szmatę i owinęła nią ranę po odciętej dłoni tak dokładnie, jak była w stanie, będąc przybita do podłogi. Zdradziła również, że nigdy nie straciła wiary w to, że Milton z Cane'em ją znajdą i wróci do domu.

Śledztwo dalej prowadzono i po dokładnym przejrzeniu zapisków z pudeł pochodzących z mieszkania Bena Frosta i kolejnych przesłuchaniach sióstr zakonnych w Domu Ojca wykazano, że Ben Frost był człowiekiem niewątpliwie pozbawionym jakichkolwiek uczuć. Bestia w ludzkiej skórze - tylko tak można było wytłumaczyć jego sadyzm i chęć sprawiania cierpienia. Już od najmłodszych lat przejawiał takie skłonności i szukał takich doznań. Zapiski znalezione w piwnicy u kowala, sporządzone przez Annę Andrew, mówiły wprost, że Ben Frost odnalazł matkę i jej partnera, a następnie zamordował ich podczas jednego ze swoich wyjść z sierocińca. Anna wspomina w nich, że Ben nie zawsze był z nią cały czas podczas wspólnych wypraw. Jeden zapisany przez nią fragment przedstawiał Bena, który chwalił się dziewczynie wielkim sprytem i inteligencją, mówiąc, że zakopał ich w miejscu, gdzie pozostaną w bezimiennym grobie na wieki. Sam sądził, że świat zapamięta go jako największego okrutnika, którym niewątpliwie był za życia i pozostał po śmierci.

Detektyw także się nie pomylił w swojej wcześniejszej ocenie. Ben z Anną mieli swoje gniazdko, dokładnie to samo miejsce, w którym Anna Andrew zmarła po powrocie ze szpitala. Mieściło się ono w domostwie kowala. Nie udało się ustalić, dlaczego rodzina kowala kłamała w tamtym czasie, gdy detektyw z Miltonem pojawili się tego pamiętnego dnia i zastawili zasadzkę na Bena Frosta, choć jednoznacznie należy przyznać, że w ostatnim momencie wydawało się, że kowal próbował pomóc detektywom w złapaniu przestępcy.

Po nowym roku Cane zlecił porównanie DNA Jona Belly'ego z materiałem genetycznym Bena Frosta, gdyż pewna myśl nie dawała mu spokoju.

Czternastego lutego, w dzień zakochanych, bez wcześniejszej zapowiedzi, jak to miał w zwyczaju, detektyw Cane wszedł po schodach na odpowiednie piętro budynku. Na dole wpuściła go do środka jakaś osoba, wychodząca właśnie z klatki. Zadzwoił dzwonkiem na górze i czekał. Słyszał, jak ktoś podszedł do drzwi i wyjrzał przez wizjer. Zamki drgnęły, a drzwi uchyliły się odrobinę.

- Cześć, młoda, jak się masz? Widzę, że dużo lepiej.

- Cześć, Cane, miło cię widzieć! Wchodź śmiało! Właśnie siadamy do obiadu.

Detektyw wszedł i zdjął kurtkę, podając ją Jessice. Dziewczyna, uśmiechając się do niego, wzięła ubranie lewą ręką i powiesiła w szafie. Cieszyła się, że wszyscy traktowali ją normalnie mimo okaleczonego ciała.

- Hej, detektywie! - krzyknął chłopiec, gdy zauważył wchodzącego do salonu Cane'a. Zeskoczył momentalnie z krzesła i mocno wtulił się w jego ramiona, gdy ten przykucnął.

- Jak tam, urwisie?

- Dobrze! A wiesz, Kociak i Brutus bardzo się lubią. On nawet śpi z Brutusem.

- To wspaniale! Dasz nam chwilkę? Dorośli muszą porozmawiać na ważny temat.

- Dam, i tak już zjadłem, i nie smakowały mi te warzywa.

Wszyscy się uśmiechnęli, łącznie ze stojącą za detektywem Jessicą. Milton podniósł się i przywitał mocnym uściskiem dłoni. Katherine, która nadal przychodziła pomagać w opiece przy chłopcu, poszła z Jonem do sypialni, by maluch na razie się czymś zajął.

- Napijesz się czegoś? - spytała Jessica.

- Tak, poproszę ulubiony trunek twojego narzeczonego. Burbon, kochana, wydaje się odpowiedni na dziś.

- Cane, nie spoufalaj się, mój narzeczony jest twardzielem i to bardzo zazdrosnym.

- O, to akurat mogę śmiało potwierdzić.

- Siadaj i mów z czym przyjechałeś - powiedział Milton.

Detektyw zrobił, o co poprosił jego partner i zajął miejsce w fotelu oraz odebrał drinka od Jessiki. Nie odwlekał niepotrzebnie tego, co miał im do przekazania.

- Usiądź i ty, Jessico - poprosił. - Jak wiecie, czekaliśmy na wyniki z laboratorium. Mały jest synem Bena Frosta i od was zależy, kiedy mu to powiecie.

- Domyślałam się - skomentowała krótko Jessica, spoglądając na Milтона, któremu siedziała na kolanach.

- Ja również! Uważam, że na razie Jon jest za mały na takie informacje oraz kolejne przeżycia z tym związane. Może nigdy nie powinien o tym wiedzieć?

- Zgadza się z wami, kochani. Ben Frost był szaleńcem, którym niewątpliwie kierowała chora nienawiść od najmłodszych

lat. Nie poradził sobie po stracie ojca i śmierci Anny, a także po odejściu od niego Sally, która zabrała mu syna. Przyznać muszę, że nie mam pojęcia, kiedy tak naprawdę oboje z Jonem uciekli od niego. To prawdopodobnie w tamtym okresie postanowił zabijać i wygląda na to, że już nic nie mogło go powstrzymać. Przynajmniej wiemy, czemu nie zamordował malca i co nim kierowało, gdy wybrał Robertsona. Sądzę, że siostra przełożona okłamała mnie w sierocińcu i to właśnie Ben Frost zamordował Arthura Baldwina. Ponowne śledztwo powinno to potwierdzić. Wygląda na to, że przywłaszczył sobie jego dane i próbował być jak Arthur Baldwin. Może liczył, że będąc kim innym, zmieni swoje życie. Próbował sam oszukać się w ten sposób. Człowiek nie rodzi się złym, tylko nim się staje.

- Cane, dla mnie to nieważne. Nie da się zapomnieć tego, co zrobił mnie i innym, ale będę żyć i cieszyć się każdym następnym dniem danym przez Boga - powiedziała Jessica.

- Tak, skarbie. Mamy syna i wkrótce go odzyskamy. Cane, już złożyliśmy z Jess stosowne papiery. Jak wiesz, sąd przyznał nam Jona pod opiekę do czasu rozprawy. Liczymy, że również uda się nam go adoptować.

- Ciesz się tym! Braciszek dla Jona i wy szczęśliwi, to najważniejsze po tych przeżyciach. Do tego dostałem informację, że Manuel zmarł w szpitalu trzy dni temu. Kartelem zajmują się już odpowiedni ludzie i nie dadzą im spokoju, aż zamkną ostatniego z tych zbirów. Milton, posłuchaj, ta nasza rozmowa w stanowym i jego kłamstwo miało cię jedynie zdenerwować i uzmysłwić, że nie odpuszczą nawet po jego śmierci. Wykorzystał zdobyte informacje na temat twoich bliskich, za które zapłacił Frostowi. Liczył, że załamiesz się po stracie Jess, a oni wrócą i dokończą to, co zaczęli, mordując ci syna, Rachel i na pewno na koniec ciebie.

Tyle chciał osiągnąć Manuel. Jednak pomylił się, ktoś tam na górze czuwał nad waszą rodziną.

Jessica w tym momencie uśmiechnęła się i spojrzała w stronę okna, w które mocno świeciły promienie słońca.

- Cane, przyjacielu! Na to wyznanie też czekałem. Czyli co? Obejdziemy się bez programu ochrony świadków dla naszej czwórki? - zapytał Milton, mocnej przytulając ukochaną.

- Zobaczymy, jak sprawy się ułożą w najbliższych dniach. Pamiętasz, co obiecałeś Manuelowi w stanowym? Bo chłopaki już szykują odpowiednią akcję.

- O czym mówicie? - spytała Jessica.

- O kolejnym chłopcu do adopcji. Tylko że to nasz kraj zadba o to, aby znalazł odpowiednią rodzinę - odpowiedział detektyw.

- Chcecie porwać syna Manuela? - spytała Jessica, patrząc Miltonowi w oczy, a on poczuł jej ciepły oddech na swojej twarzy.

- Tak, skarbie, ja zawsze dotrzymuję słowa. Zrobimy to tak, aby wyglądało, że to inny kartel go uprowadził, a tym samym sprawimy, że skurczybyki nawzajem zaczną się niszczyć.

Detektyw wypił kolejny łyk alkoholu.

- Dobry, chyba przestawię się z whisky na burbon.

- Mówiłem ci, że trzeba zrywać z przyzwyczajeniami. Kolejne muszą być windy - skomentował z uśmiechem Milton.

- O, to niemożliwe! O tym bym nie marzył na twoim miejscu, partnerze - odpowiedział detektyw i przechylił szklanekę z burbonem, opróżniając do dna.

Pozostałą część dnia detektyw spędził w doskonałym towarzystwie, jakim była nowo zaręczona, szczęśliwa para. Dziewczyna z czasem odzyskała sprawność dzięki rehabilitacji i pomocy, jaką dawała jej kochająca rodzina.

Po wewnętrznym dochodzeniu Milton na stałe przeniósł się do

wydziału kryminalnego departamentu 67 położonego na Manhattanie. Jon Belly odwiedzał grób mamy i bardzo za nią tęsknił. Rodzina Sally Belly nie знаła wcześniej tożsamości ojca Jona i nie utrudniała procesu adopcji chłopca przez Miliona i Jessicę. Detektyw natomiast odkrył, dlaczego morderca Ben Frost wybrał akurat tamto małe miasteczko na miejsce swojej śmierci. Tam właśnie został pochowany przez władze miasta jego ojciec, Dave Frost.

Po ponad roku od wydarzeń, Milton z Jessicą pobrali się i odzyskali prawa rodzicielskie do syna oraz adoptowali Jona Belly'ego. Przeprowadzili się do nowego apartamentu w samym sercu Nowego Jorku. Cała rodzina układała sobie dalej wspólnie życie. Los raz bywa łaskawy, a innym razem wręcz przeciwnie i zawsze dzieje się to za sprawą czyjejś dobrej lub złej woli. Tak było i będzie od początku po koniec naszego istnienia.

KONIEC

Bez litości i przebaczenia

Wydanie pierwsze, ISBN 978-83-8147-684-3

© Mariusz Leszczyński i Wydawnictwo Novae Res 2019

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

REDAKCJA: Jędrzej Szulga

KOREKTA: Katarzyna Pacyga

OKŁADKA: Paulina Radomska-Skierkowska

KONWERSJA DO EPUB/MOBI: Inkpad.pl

WYDAWNICTWO NOVAE RES

ul. Świętojańska 9/4, 81-368 Gdynia

tel.: 58 698 21 61, e-mail: sekretariat@novaeres.pl, <http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej zaczytani.pl.